WYDANIE NOWOROCZNE NA DWA TYGODNIE

Szlendak o miłości, Kwaśniewski o przyszłości • Dronomania • 10 pytań o Polskę
Podatki od influencerów • Nowa lista płac • Rok dwóch „Lalek” • Jakie poglądy ma AI

POLITYKA

POLITYKA.PL

LIDER SPRZEDAŻY

Cena 18 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195
TYGODNIK, nr 1/2 (3546), 1.01–13.01.2026

ILUSTRACJA ARKADIUSZ HAPKA

USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO

ISSN 0032-3500
9 770032 350602 01>

Wydanie w sprzedaży do 13.01.2026

Trump

Co nam przyniesie ~~2026 rok~~

eprasa.pl 2d9fcd4723

ski team®

SKITEAM.PL | ROWERYCUBE.PL | SPYDER.PL

Nowe kolekcje

Największy wybór odzieży oraz sprzętu narciarskiego i snowboardowego

SPRAWDŹ AKTUALNE PROMOCJE DOSTĘPNE W SKLEPACH SKI TEAM

tydzień z MARKĄ

Na produkty marki SPYDER, LIB TECH GNU, BENT METAL

Co tydzień NOWE PROMOCJE!

-20%

SPYDER LIB TECH BENT METAL BINDING WORKS Gnu

Regulamin promocji w sklepach i na skiteam.pl

Sklepy stacjonarner Ski Team w Warszawie są otwarte w najbliższą niedzielę (04.01.2026) w godzinach 12:00 - 18:00

Godziny otwarcia sklepów Poniedziałek - Sobota: 12:00 - 20:00

Warszawa: ul. KOR 36/38, ul. Toruńska 107b, Poznań: ul. Bułgarska 117a, Katowice: ul. Sportowa 20, Wrocław: ul. Grabiszyńska 167

POLITYKA

ROZMOWY NA NOWY ROK

w numerze 1/2 1.01–13.01.2026

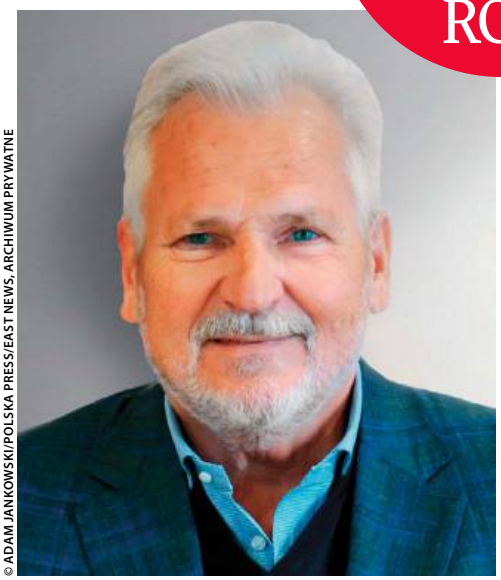

© ADAM JANKOWSKI/POLSKA PRESS/EAST NEWS, ARCHIWUM PRYWATNE

22
Z Aleksandrem Kwaśniewskim o wojnie dwóch pałaców

26
Z Tomaszem Szlendakiem o polskiej związkofobii

Ludzie i wydarzenia

6 **Aktualności**
10 **Ile zapamiętamy z 2025 r.**
14 **Co czeka świat w 2026 r.**

Temat na Nowy Rok

18 Łukasz Wójcik **Niespodzianki Trumpa**

Rozmowy na Nowy Rok

22 Były prezydent **Aleksander Kwaśniewski** o szansie obozu demokratycznego na sukces
26 **Tomasz Szlendak**, socjolog, o tym, dlaczego coraz mniej chętnie wchodzimy w związki

Polityka

30 Rafał Kalukin **Prognozy na 2026 r.**
33 Anna Dąbrowska, Michał Tomasik **Polityka pod użytkownika**
36 Michał Danielewski **Głośne bon moty partyjnych działaczy**

Społeczeństwo

40 Juliusz Ćwieluch **Polska dronami stoi**
44 **Jacek Lewinson**, historyk seksualności, o erotycznej polszczyźnie
48 Katarzyna Kaczorowska **Moda na taniec**
51 Joanna Podgórska **Ostre wyzwania dla ostrożerców**

Rynek

54 Adam Grzeszak **Podatki dla influencerów, youtuberów, instagramerów?**
60 Joanna Solska **Nowa polska lista płac**
63 Cezary Kowanda **Drugie życie stuletniego PKP**

Świat

66 Paweł Reszka, Evgenia Tamarchenko ROSJA **Noworoczne orędzia Putina i poprzedników**
69 Mariusz Zawadzki **O sztucznych poglądach sztucznej inteligencji**
72 Piotr Buras NIEMCY **Co dalej z AfD?**
74 Aleksander Kaczorowski WĘGRY **Strategia Orbána**

Nauka/projektpulsar.pl

78 Agnieszka Krzemińska **Droga ku nieśmiertelności**
82 Marta Alicja Trzeciak **Miły zwierzak, groźny deepfake**
86 W święta Polak znów wyrzuci do kosza 1,5 kg żywności, ubolewa psycholog dr **Michał Misiak**
90 Andrzej Hołdys **Jak uczeni i artyści wskrzesili dinozaury**

Historia

94 Aleksandra Boćkowska **100-lecie Gdyni: sześć odsłon z dziejów miasta**
98 Marek Łaziński **Rewolucja ortograficzna sprzed 90 lat**
102 Rozmowa z **Witoldem Szabłowskim**, autorem książki „Kucharze dyktatorów"

Kultura

106 AFISZ **Co będzie grane (wystawiane, czytane) w 2026 r.**
110 Jul Łyskawa **Dwie „Lalki" na nowe czasy**
114 PATRON 2026 **Andrzej Wajda** oczami reżysera Władysława Pasikowskiego
116 PATRON 2026 **Jerzy Giedroyc** we wspomnieniach historyka i filozofa Krzysztofa Pomiana
118 PATRON 2026 **Mieczysław Fogg** według muzyka Jana Emila Młynarskiego
120 Jakub Demiańczuk **Uniwersum „Stranger Things"**
123 Rozmowa z **Kōji Kamoji**, japońskim artystą tworzącym od ponad 60 lat w Warszawie
126 Bartek Chaciński **Jak AI przebojem wdziera się na muzyczny rynek**
135 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

Sport

130 Marcin Piątek **Zimowe igrzyska olimpijskie znów w Europie**
132 Marcin Piątek **Gigantyczne piłkarskie mistrzostwa świata 2026**

Ludzie i style

142–145 • **Napary na chłodne wieczory** • **Apki nas podsumowują** • **Klasa nonszalancji** • **Whycation, czyli podróż z sensem** • **Wina roku**

Stałe rubryki

• **4** Przypisy • **42**, **140**, **146** Galeria POLITYKI • **136** Passent • **137** Orliński • **138** Chutnik i Plebanek • **139** Hartman • **140** Mizerski • **141** Do i od redakcji • **146** To jeszcze nie koniec

UWAGA CZYTELNICY
Kolejny 3. numer POLITYKI w sprzedaży od **środy 14 stycznia**.

eprasa.pl 2d9fcd4723

Rok korekty

Jerzy Baczyński

Im bardziej zaglądamy w rok 2026, tym więcej widać Trumpa. Prezydent USA w szczególny sposób zdominował politykę światową; odkąd przed rokiem objął rządy, „śmieszy, tumani, przestrasza". Jego nieprzewidywalność, impulsywność, megalomania stały się wielkim globalnym problemem. Przez ostatnie dekady żyliśmy, nie zawsze będąc tego świadomi, w cieniu czy – jak kto woli – w słońcu Ameryki jako centrum wolnego świata, zachodniej cywilizacji, technologicznego postępu, demokracji, praw człowieka i innych wzniosłych wartości, które Donald Trump zwyczajnie uznaje za *bullshit*. W 2025 r. utraciliśmy Amerykę z naszych wierzeń i kinowych mitów „miasta na wzgórzu". Donald Trump jest twarzą nowej bucowatej, aroganckiej, handlarskiej Ameryki – może o tyle nienową, że przypomina stare sowieckie karykatury Wuja Sama, bezwzględnego kapitalisty (wtedy koniecznie z cygarem) depczącego i wyciskającego maluczkich – ludziki i narody.

Formalnie Trump wciąż jest naszym sojusznikiem, przyjacielem pięknej Polski i jej wspaniałego prezydenta Dudy, to znaczy Nawrockiego, ale już chyba i „Nałroki" zrozumiał, że nie będzie miał żadnego wpływu na to, jak Trump dogada się z Putinem w sprawie Ukrainy. Obawiamy się, że może on ją przehandlować (razem z naszym bezpieczeństwem) za obietnice intratnych biznesów, także dla siebie i swojej rodziny. Przekonaliśmy się w ciągu tego pierwszego roku „nowej ery" (1 a.T. – first after Trump), że jeśli z kimś jeszcze w tej części globu prezydent USA się liczy, to – bardzo niechętnie – „z Europą" na tyle bogatą, że da się z nią robić różne deale, np. sprzedawać jej broń dla Ukrainy. Etyka i polityka komiwojażera. Unii Europejskiej prezydent USA nie uznaje, nie szanuje. I tak oto w rodzinie transatlantyckiej nagle zostaliśmy półsierotami.

Zastanawiamy się (Łukasz Wójcik w okładkowym tekście, s. 18), na ile Trump jest przyczyną, a na ile objawem „dziecięcej choroby prawicowości", jaka ogarnęła nasz świat. Na pewno mamy do czynienia z końcem – trwającej od upadku Związku Radzieckiego – epoki Pax Americana, historycznej dominacji Zachodu. I nie chodzi tylko o wzrost potęgi Chin czy o próbę siłowej odbudowy imperium rosyjskiego – ale o to, że załamała się obowiązująca od dekad wizja lepszego świata, postępu ludzkości. To miał być wolny handel wiążący różne kraje siecią pokojowej kooperacji i wymiany; powszechnie dostępny internet służący edukacji i zbliżeniu ludzi; wspólna troska o planetę, jej klimat i środowisko naturalne; ochrona praw człowieka jako moralne zobowiązanie szczęśliwszych społeczeństw; postulat zwalczania rasizmu, zakaz dyskryminacji mniejszości, także seksualnych, religijnych, etnicznych, prawo azylu – i można by jeszcze wymieniać. Tyle że, patrząc z perspektywy pierwszej ćwierci nowego wieku, ludzkość (znowu?) nie dorosła do ideałów, dziś pogardliwie nazywanych „lewackimi".

Przynajmniej od dekady (pierwszy Trump) coraz intensywniej ujawniały się koszty postępu: upadek lokalnych gospodarek wskutek dzikiej globalizacji; hipokryzja i brak realizmu programów „walki z ociepleniem planety"; presja migracyjna, przekraczające społeczne i mentalne zdolności absorpcji obcych; radykalizm wielu postulatów rewolucji obyczajowej; wzrost nierówności społecznych. Internet przekształcający się w narzędzie hejtu, dezinformacji, ogłupiania. Reakcją na ekscesy modernizmu był zwrot w prawo i w tył, w stronę konserwatyzmu obyczajowego, nacjonalizmu, lokalnych mitologii godnościowych. Także politycznego populizmu autorytarnych, charyzmatycznych obrońców ludu. Donald Trump stał się cesarzem tych wszystkich lokalnych „trumpków".

Rok 2025 mógł się wydawać – właśnie ze względu na Trumpa – potwierdzeniem, że „oto czasy nadchodzą nowe". Prezydent USA w swojej strategii bezpieczeństwa narodowego praktycznie postawił USA poza NATO, ulokował Amerykę w grupie czterech (USA, Chiny, Rosja, Indie, ewentualnie piąta Japonia, ale nie Unia Europejska) wielkich mocarstw, które mają dzielić się władzą nad światem i strefami wpływów; stał się promotorem nowej oligarchii, komercjalizacji polityki wewnętrznej i zagranicznej. Ale ośmielając naśladowców, Trump jednocześnie naraził na kompromitację całą globalną prawicę. Widać, że nie może być żadnego realnego sojuszu nacjonalistów, bo z definicji wcześniej czy później staną przeciw sobie („mój kraj najpierw"). Z kolei atak Trumpa na niezależne media, sądy, instytucje państwa rodzi – również w USA – obawy przed bezkarnością i nadużywaniem władzy, korupcją, prywatyzacją państwa. Trump, jego fani i followersi (jak u nas Braun, Mentzen, Nawrocki, Kaczyński) radykalizują i brutalizują mowę, obrażają kolejne grupy społeczne i ich symbole (po to Nawrocki zdemontował Okrągły Stół), kłamią, eskalują konflikty, pomówienia. Straszą sobą.

Rok 2026 może przynieść korektę. Wahadło za szybko i za daleko poszło z lewa w prawo. W Ameryce połówkowe wybory do Kongresu mogą odebrać Republikanom większość; poparcie dla Trumpa spadło do 36 proc. Unia Europejska już dokonała autokorekty, redukując ambitne cele klimatyczne, zaostrzając politykę migracyjną, biorąc na siebie finansowy wysiłek pomocy dla Ukrainy i zbrojeń na wypadek rosyjskiego ataku i bierności USA. W Polsce zwyżka notowań KO i kryzys w PiS potwierdzają zmianę nastrojów po wyborach. A Braun mobilizuje dawny elektorat 15 października do tworzenia jednolitego frontu oporu przeciw szaleństwom prawicy. Z Nawrockiego, dziś napompowanego pychą, też zacznie uchodzić powietrze. W polityce polskiej, europejskiej i globalnej 2026 r. zapowiada się jako przejściowy, errata, korekta do roku 2025. Wiele wskazuje na to, że poprawki będą szły w stronę realizmu i rozsądku. Oby! W drugim roku ery Trumpa (2 a.T.) wciąż wszystko jest możliwe – nawet zmiana na lepsze.

eprasa.pl 2d9fcd4723

Albatros travel

SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU 2026!

Tajemnicza Azja Centralna

Wybierz się w niezapomnianą podróż Jedwabnym Szlakiem przez 5 środkowoazjatyckich krajów: Uzbekistan, Turkmenistan, Kirgistan, Tadżykistan i Kazachstan.

Azja Środkowa od wieków kusi podróżników historią i niezwykłą przygodą. To tu, wśród starożytnych miast i krajobrazów Jedwabnego Szlaku, wznosiły się imperia Aleksandra Wielkiego, Czyngis-chana i Timura. Odwiedzimy Bucharę, Samarkandę i Merw, przejedziemy przez pustynię Karakum, zobaczymy meczety, fortece, mauzolea oraz drewnianą cerkiew w Ałmaty.

14 dni
Wyloty z Warszawy
12/05, 06/10 2026

od **16.998,-**

Albatros Travel otrzymał tytuł najlepszego organizatora wycieczek objazdowych w Danii

DANISH TRAVEL AWARDS 2025

Stambuł i Kapadocja – od cesarskich pałaców po skalne miasta

Odkryj jedno z najbardziej imponujących miast Europy oraz wyjątkowy krajobraz Kapadocji – krainy jak z baśni.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot z Warszawy do Stambułu. Zakwaterowanie i kolacja powitalna. **Dz. 2** Zwiedzanie miasta: Hipodrom, Błękitny Meczet, Hagia Sophia i cysterna Binbirdirek. **Dz. 3** Meczet Sulejmana Wspaniałego, rejs po cieśninie Bosfor i Wielki Bazar. **Dz. 4** Poranek w Stambule i przelot do Kapadocji. **Dz. 5** Kapadocja. Twierdza Uçhisar, Dolina Wyobraźni, Muzeum Göreme i możliwość lotu balonem. **Dz. 6** Kapadocja. Wąwóz Ihlara, klasztor Selime i podziemne miasto. **Dz. 7** Powrót do domu.

Włoska Riwiera, Monako i Éze

Wyjątkowa podróż od Nicei aż po Genuę przez piękne wybrzeże Ligurii z bazą wypadową w urokliwym miasteczku Diano Marina.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot z Warszawy do Nicei, krótkie zwiedzanie miasta i przejazd do Diano Marina we Włoszech. **Dz. 2** Spacer po Diano Marina. **Dz. 3** Muzeum Oliwy w Imperii. Nadmorskie miasteczko Alassio i Finale Ligure. **Dz. 4** Relaks i wypoczynek w Diano Marina. **Dz. 5** Wycieczka do Val Nervia. Wizyta w Pignie i Dolceacqua z degustacją wina oraz krótka wizyta w San Remo. **Dz. 6** Wycieczka do Monako i średniowiecznego Èze. **Dz. 7** Zwiedzanie Genui. **Dz. 8** Przejazd z Diano Marino do Nicei i powrót do domu.

7 dni | Wyloty z Warszawy 27/04, 01/06, 11/09, 04/10, 18/10 2026 | od **6.998,-** **8 dni | Wyloty z Warszawy 14/05, 21/05, 17/09 2026 |** od **4.998,-**

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL49**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 2d9fcd4723

Krótkie mosty

Jak zawsze o tej porze sprawdzamy układ kalendarza na nowy rok i podpowiadamy, jak dobrać dni wolne i zorganizować sobie naprawdę długie weekendy.

Pierwsza okazja – i to nie byle jaka – trafia się na początku roku, ponieważ **1 stycznia** to czwartek, a Trzech Króli (**6 stycznia**) wypada we wtorek. Biorąc więc wolne w piątek i poniedziałek, można zbudować tzw. most urlopowy i wypoczywać przez niemal tydzień. (Prawdziwą zaś rozpustą było zaplanowanie wolnego w ostatnich dniach grudnia: 29, 30 i 31, dzięki czemu można było zyskać aż dwa tygodnie laby!).

Wielkanoc wypada w tym roku **5 kwietnia**, ale mostu już tu nie zbudujemy, wszak drugi dzień świąt to tradycyjnie poniedziałek, tyle że lany (**6 kwietnia**). Podobnie sprawa ma się z majówką, ponieważ Święto Pracy (**1 maja**) wypada w piątek, a co za tym idzie – Święto Konstytucji będziemy obchodzić w niedzielę (**3 maja**).

Zielone Świątki to zwyczajowo niedziela (**24 maja**), Boże Ciało zaś – czwartek (**4 czerwca**). I dopiero wówczas, biorąc wolne 5 czerwca, możemy zbudować kolejny niedługi most.

Dalej też nie jest lepiej: bowiem **15 sierpnia**, czyli Święto Wojska Polskiego i zarazem Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, to sobota, natomiast Wszystkich Świętych (**1 listopada**) wypada w niedzielę. Most będziemy mogli pobudować dopiero w połowie listopada, ale trzeba będzie dobrać dwa dni wolnego (poniedziałek i wtorek lub czwartek i piątek), bowiem Święto Niepodległości (**11 listopada**) będziemy obchodzić w środę. Nie zbudujemy także mostów w grudniu, ponieważ Wigilia (**24 grudnia**) wypada w czwartek, a Nowy Rok (**1 stycznia**) w piątek.

Dobra wiadomość jest jednak taka, że zgodnie z Kodeksem pracy za każde święto wypadające w sobotę (a w tym roku będą to święta celebrowane 15 sierpnia i 26 grudnia) możemy sobie odebrać dzień wolny. (MLV)

Świński akt dywersji?

Czy epidemia afrykańskiego pomoru świń w powiecie piotrkowskim jest efektem kolejnego rosyjskiego sabotażu? Pojawiły się takie podejrzenia. A zaczęło się 25 listopada, kiedy w lesie nieopodal miejscowości Fałek w gminie Rozprza znaleziono martwego, częściowo oskórowanego i wypatroszonego dzika zakażonego ASF. Do jednej nogi miał przyczepiona linkę, za którą najpewniej został przyciągnięty i ukryty w lesie. „Jest przypuszczenie, które sprawdzamy, że został on podrzucony w to miejsce. Powiat piotrkowski to serce polskiej hodowli trzody, dlatego też niezwykle ważne jest to, żeby sprawdzić wszelkie wątki" – mówił minister rolnictwa Stefan Krajewski.

Paweł Meyer, główny lekarz weterynarii, zapewnił, że podczas rutynowych przeszukiwań tych terenów, które były prowadzone od początku roku, nigdy nie znaleziono zakażonego truchła ani nie napotkano dzików z objawami choroby. „Tym bardziej zastanawiające jest, że oskubany niekompletny dzik znalazł się w tym miejscu" – dodawał. Zwłaszcza że ciało zwierzęcia zostało znalezione na terenie podmokłym, oddalonym od zabudowań, w pobliżu dorzecza.

© KPP STARGARD

Sprawa ma charakter kryminalny. Postępowania prowadzą ABW, policja oraz Prokuratura Okręgowa w Piotrkowie Trybunalskim. Jeśli potwierdzi się celowe działanie człowieka, może to być jeden z najpoważniejszych incydentów związanych z ASF w Polsce. I być może jedna z najgroźniejszych prób dywersji na terenie naszego kraju. Bo w powiecie piotrowskim ASF do tej pory nie było. A to zagłębie hodowli trzody, w którym hoduje się ok. 450 tys. świń. Tylko w promieniu 5 km od miejsca znalezienia truchła działa 58 gospodarstw, w których utrzymywanych jest ponad 7 tys. sztuk trzody chlewnej.

Co więcej, gdy po znalezieniu tzw. dzika zero – tak określają go służby – rozpoczęto zakrojoną na szeroką skalę akcję poszukiwawczą i odkryto **kolejne martwe osobniki**. W sumie co najmniej kilkanaście sztuk, z czego co najmniej połowa była zakażona ASF. Do poszukiwań zaangażowano ponad 130 funkcjonariuszy, m.in. służb weterynaryjnych, Państwowej Straży Pożarnej i OSP, policji, żołnierzy WOT, przedstawicieli nadleśnictw, członków kół łowieckich. Po ich zakończeniu zaczęto zintensyfikowany „odstrzał sanitarny". Wszystko to zaniepokoiło nie tylko polskie władze, ale i Komisję Europejską, która zamierza powiększyć strefę objętą zakażeniem AFS. (AS)

eprasa.pl 2d9fcd4723

137

wybitnych kobiet w nauce otrzymało wsparcie od 2021 roku

KLIKNIJ I POZNAJ WIĘCEJ NASZYCH OSIĄGNIĘĆ

L'Oréal w Polsce: wspieramy społeczności

Oprócz wkładu gospodarczego, firma L'Oréal działa na rzecz społeczeństwa realizując programy wspierające kobiety, zwalczające molestowanie i przemoc oraz niosąc pomoc osobom cierpiącym na nowotwory i choroby skóry.

Program L'Oréal-UNESCO Dla Kobiet i Nauki promuje osiągnięcia naukowe utalentowanych badaczek oraz zapewnia im wsparcie finansowe. Stypendystki inspirują kolejne pokolenia, a firma L'Oréal wraz z partnerami programu, wzmacnia równość płci w środowisku naukowym w Polsce.

L'ORÉAL GROUPE | TWORZYMY PIĘKNO, KTÓRE PORUSZA ŚWIAT

eprasa.pl 2d9fcd4723

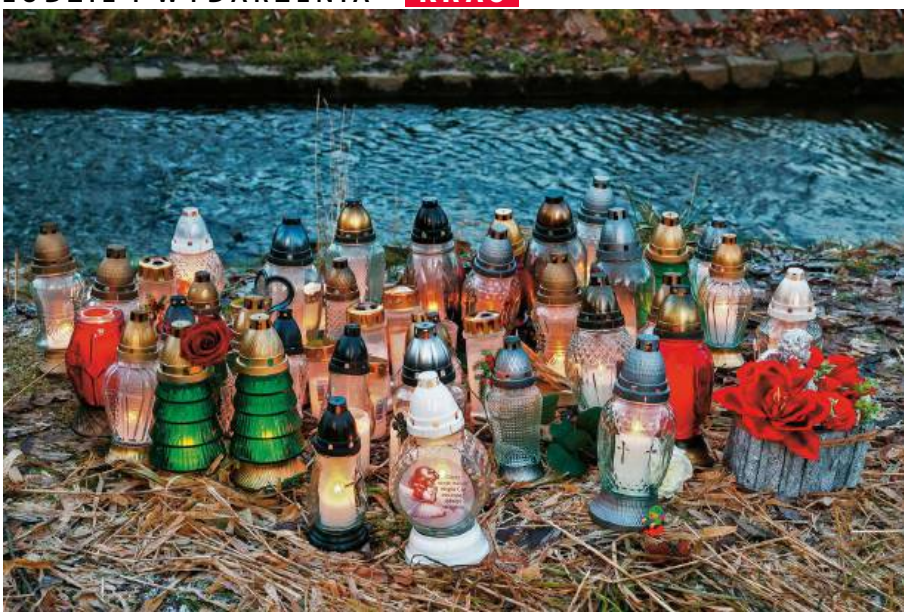

Śmierć dziewczynki i hejt

Pogrzeb 11-letniej Danusi, najprawdopodobniej zabitej przez starszą o rok uczennicę z tej samej szkoły podstawowej, przyciągnął tłumy Jeleniogórzan. Tę smutną uroczystość ochraniała policja i chyba po raz pierwszy zdarzyło się, że media uszanowały wolę rodziny, która prosiła o to, by nabożeństwo w kaplicy miało charakter prywatny.

Dwie uczennice Szkoły Podstawowej nr 10 w Jeleniej Górze znały się z widzenia. Dziewczynki nie były w bliskiej, koleżeńskiej relacji. Obie należały do harcerstwa. Danusia była zaangażowana w wolontariat, z sukcesami startowała w szkolnych konkursach. 12-latka z kolei miała interesować się militariami, planowała pójście do średniej szkoły mundurowej.

Co dokładnie wydarzyło się w poniedziałek 15 grudnia?
Świadek miał widzieć kłótnię i bójkę dwóch dziewczynek **nad potokiem**, tuż za szkołą, do której uczęszczały. To 10-letni chłopiec, który zaalarmował ojca, a ten z kolei zawiadomił policję. Kiedy dorośli dotarli nad potok, na miejscu była Danusia, ale na jakąkolwiek pomoc było już za późno. 12-latkę, która – jak wynika z pierwszych ustaleń – do szkoły przyniosła nóż typu finka, znaleziono w domu. Sąd rodzinny wyraził zgodę na wysłuchanie dziewczynki, a następnie przejął postępowanie, utajnił je i zdecydował o zastosowaniu środka zapobiegawczego w postaci izolacji. 12-latka trafiła do zakładu leczniczego, czyli najprawdopodobniej na oddział psychiatryczny.

Na tym etapie sprawy (kiedy zamykamy ten numer) nie wiadomo, jaki był motyw tej zbrodni i czy w ogóle jakikolwiek motyw istniał. Jest za to mnóstwo spekulacji i domniemywań. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji oddelegowało do szkoły, w której dziewczynki się uczyły, 16 psychologów, by wsparli pedagogów, psychologa, a przede wszystkim uczniów i nauczycieli. Dolnośląskie Kuratorium Oświaty zdecydowało o przeprowadzeniu w podstawówce kontroli – pod kątem wdrożenia wymogów tzw. ustawy Kamilka, czyli procedur związanych z bezpieczeństwem i wsparciem dzieci.

Prezydent Jeleniej Góry Jerzy Łużniak, nie kryjąc poruszenia tragedią, podkreśla, że gmina prowadzi programy wspierania rodziny i przeciwdziałania uzależnieniom, w których istotnym elementem jest też wsparcie w problemach psychicznych. Tylko w 2025 r. w szkołach przeprowadzono 1,4 tys. pogadanek i konsultacji; uczestniczyło w nich 25 tys. osób – uczniów i nauczycieli. Po tragedii specjaliści byli w każdej klasie jeleniogórskiej podstawówki.

– *Ale dzieci sobie nie radzą z tym, co się stało. Tak samo jak rodzice* – przyznaje nauczycielka, która uczy dodatkowo angielskiego chłopca uczęszczającego do SP nr 10. Rodzice odwołali lekcje, bo syn boi się wyjść z domu popołudniem i wracać wieczorem.

Pytania o przyczynę tragedii w Jeleniej Górze to tylko jedno z wyzwań, jakie teraz stoją przed sądem rodzinnym. Tym bardziej że w przestrzeni publicznej powielane są niepotwierdzone informacje – np. że 12-latka prowadziła pamiętnik, w którym miała zapisany plan lekcji 11-letnej Danusi; że chwaliła się w szkole tym, że ma przy sobie nóż, a nauczycielka nie zareagowała; że tego tragicznego dnia miała ze sobą nie tylko finkę, ale też dwa długie noże kuchenne... I że jest Ukrainką.

Niezwykle ważną kwestią jest też hejt, jaki dotknął rodzinę 12-latki. W mediach społecznościowych ujawniono imię i nazwisko dziewczynki, zdjęcia z rodziną, ale też wykształcenie i miejsce pracy matki. Komentarze nawołują do utylizacji sprawczyni, zemsty „oko za oko"; sugerują, że rodzina 12-latki jest zamożna, wpływowa i zamierza rozmyć odpowiedzialność swojego dziecka. Na platformie X pojawiły się antyukraińskie wpisy i filmiki z hasłami typu: „Obudźcie się!", bo zabójstwo to tylko wstęp do rzezi na Polakach. Na Facebooku wpisy o ukraińskim pochodzeniu sprawczyni zamieszczają konta, które wśród „znajomych" mają m.in. posła PiS Dariusza Mateckiego. Co istotne w tym kontekście, inne posty publikowane na tych kontach dotyczą m.in. kryzysu Unii Europejskiej, polexitu czy wykorzystywania Polski przez Ukrainę. Prorosyjskie tropy są bardzo czytelne. Ta antyukraińska fala doprowadziła zresztą do wydania przez MSWiA oświadczenia dementującego te niczym niepoparte plotki.

Postępowanie prowadzone w związku z jeleniogórską tragedią regulują przepisy Ustawy o resocjalizacji z 2022 r., która wyróżnia dwa tryby: jeden dotyczy osób, które ukończyły 10 lat, drugi – osób, które ukończyły 13 lat. 13-latek może odpowiadać za czyn karalny, a to oznacza, że mogą być zastosowane wobec niego środki poprawcze do 21. roku życia (w szczególnych okolicznościach – do 24. r.ż.). Dzieci, które nie ukończyły 13 lat, umieszcza się w młodzieżowym ośrodku wychowawczym, w którym mają przebywać do ukończenia 18. roku życia.

Karkonoski Hufiec ZHP pożegnał tragicznie zmarłą Danusię, pisząc w mediach społecznościowych: „Była osobą pełną energii, uśmiechu i szczerego zaangażowania w życie drużyny". Księża z parafii pw. Matki Boskiej Królowej Polski i św. Franciszka z Asyżu, do której należy rodzina dziewczynki, dodali: „Była dzieckiem głębokiej wiary, radości i wrażliwości, która swoim śpiewem i postawą pięknie ubogacała liturgię oraz życie naszej wspólnoty".

KATARZYNA KACZOROWSKA

© RAFAŁ KLIMKIEWICZ/EDYTOR.NET/NEWSPIX.PL, ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

eprasa.pl 2d9fcd4723

Zabetonowany prezes

Karolina Lewicka
Dziennikarka Radia TOK FM, wykładowczyni Collegium Civitas, politolożka

Są takie prognozy, które po latach budzą tylko uśmiech politowania. Jedną z nich jest ogłoszony w 2012 r. przez Michała Kamińskiego w rozmowie z Andrzejem Morozowskim „koniec PiS-u", pogląd sfalsyfikowany już trzy lata później. U jego podstaw legło przekonanie byłego spin doktora Nowogrodzkiej, że diagnozy Kaczyńskiego abstrahują od rzeczywistości wskutek „wielkiego wyobcowania Jarosława z realnego życia". Okazało się jednak, że ten obsługiwany przez partię w każdym aspekcie swojej codzienności i wyśmiewany za anachroniczność oraz zaściankowość polityk pomimo tychże „deficytów" potrafi lepiej niż konkurencja czytać społeczne nastroje. A przez dobór odpowiednich ludzi udanie wykorzystywać nowoczesne narzędzia komunikacyjno-wyborcze, o których istnieniu progresywna Platforma zazwyczaj dowiadywała się, śledząc kampanię rywali.

Oczywiście czas nie stoi w miejscu, a 76-letni Kaczyński jest pod większą presją biologii, niż był jako sześćdziesięcioparolatek. Co prawda Piotr Semka z wręcz obezwładniającą logiką stwierdził, że „to i tak mniej w porównaniu z 79 latami Trumpa", ale w tym samym numerze „Do Rzeczy", raptem kilka stron dalej, Józef Orzeł, twórca klubu Ronina, dokonuje bolesnej dla prezesa analogii do czasów późnego Gomułki. W powietrzu wyczuwalny jest nastrój ośmielenia, bo skoro już nawet TV Republika wprost mówi o walce o schedę po Kaczyńskim, a Michał Adamczyk dopytuje go, kto tę schedę po nim przejmie (ostrożnie dodając, że „w nieokreślonej przyszłości"), to trudno o bardziej znaczące znaki końca pewnej epoki, w której Kaczyńskiego na emeryturę odsyłali wyłącznie desperaci. Zresztą, jeden z nich, prof. Andrzej Nowak, który w lutym 2024 r. pisał, że „gotowość do odejścia jest miarą dojrzałości", parę miesięcy później przedstawiał wybranego przez prezesa kandydata na prezydenta, który wbrew wszystkiemu te wybory wygrał. Kaczyński raz jeszcze udowodnił niedowiarkom, że – jak jego ulubione zwierzę – ma wiele żyć.

Tak czy owak Kaczyński odejdzie, kiedy zechce. Wysadzić z siodła się go nie da, na stanowisku prezesa jest zabetonowany, bo najważniejsza była, jest i będzie jego władza nad partią, którą – jak powiedział mi kiedyś jeden z byłych polityków PiS – traktuje niczym Arkę Noego. Rozgorzała w ostatnim czasie walka frakcji wskazuje na słabość lidera – nie wystarczy już, aby tupnął nogą, by waśnie ucichły. Z drugiej strony cóż mogą Bocheński z Jakim czy Morawiecki z Budą? Mogą z PiS-u wyjść, by bez budżetowych pieniędzy próbować stworzyć partię, która pociągnie dopóty, dopóki jej członkowie sprawują mandaty i otrzymują comiesięczne wynagrodzenie. Będą się zresztą niezmiennie kojarzyć z macierzystą formacją, jak niegdysiejsi ziobryści, którym Jacek Kurski wymyślił wielkie plakietki z napisem „Solidarna Polska" przypinane do garniturów. Na niewiele się to zdało.

Sam prezes też zresztą przypomina, że wcześniejsze rozłamy jakoś jego partii nie zaszkodziły. Obecna sytuacja PiS, głównie z powodu podwójnej konfederackiej konkurencji, wydaje się trudna, ale rzut tylko oka na minione 12 miesięcy pokazuje, że ostatnio cechą polskiej polityki jest zmienność w krótkim czasie. Nawrockiemu wróżono mijankę z Mentzenem, Tuska liczono na deskach, Kaczyński już witał się z gąską i co? Wszystko potoczyło się zupełnie inaczej. Nowy rok zapewne przyniesie nam kolejne zwroty akcji.

Antyaborcyjne wzmożenie

Pod koniec roku środowiska fundamentalistyczne ogłosiły wielki sukces, czyli doprowadzenie do zwolnienia z oleśnickiego szpitala Gizeli Jagielskiej. Ginekolożce, która jako jedna z kilku specjalistek w Polsce wykonywała legalne aborcje, nie przedłużono kontraktu (jej mąż Łukasz Jagielski, kierownik oddziału ginekologii, oberwał rykoszetem i też stracił pracę). Oficjalnie szpital tłumaczy się tym, że w organizowanym co dwa lata konkursie pojawiły się lepsze oferty niż ta złożona przez Jagielskich. Jednak jak udało się nam ustalić, wymagania na ich stanowiska zostały w tym roku obniżone, nie premiowano długiego doświadczenia zawodowego, a nowi szefowie oleśnickiej ginekologii mieli nieformalnie otrzymać propozycje zajęcia stanowisk już pod koniec września (tymczasem wyniki konkursu w Oleśnicy ogłoszono w połowie grudnia).

Z kolei **Kaja Godek** twierdzi, że dyrekcja szpitala przestraszyła się przygotowanego przez nią filmu dokumentalnego „Oleśnica – śledztwo w sprawie zbrodni": „Wystarczył trailer, aby w szpitalu zrozumieli, o czym będzie w filmie. I że za chwilę cała Polska zobaczy, co wyprawiała Jagielska z poczętymi dziećmi za zamkniętymi drzwiami, a czego szpital nie raportował w oficjalnych dokumentach". Film jest finansowany przez fundację „Życie i rodzina". Zbiórka na dokończenie go wciąż trwa, ale zebrana dotychczas kwota nie jest podawana do publicznej wiadomości. Premiera ma się odbyć „wkrótce". Godek zapowiada, że w filmie zabiorą głos „ludzie, którzy byli wielokrotnie zmuszani, nakłaniani, pośrednio, bezpośrednio do tego, żeby uczestniczyć w aborcjach albo przynajmniej żeby po tych aborcjach sprzątać".

Atmosfera wokół szpitala w Oleśnicy i wykonywanych tam aborcji gęstniała od miesięcy. Napaść na szpital w kwietniu była dla Grzegorza Brauna momentem przełomowym, po którym zacząć zyskiwać w sondażach. Fundamentaliści zaczęli eksponować temat przerywania późnych ciąż, choć prokuratura niedawno umorzyła postępowanie w sprawie aborcji przeprowadzonej przez doktor Jagielską w 37. tygodniu ciąży. To szeroko opisywana w mediach sprawa pani Anity – kobieta przerwała zaawansowaną ciążę, ponieważ lekarze zwlekali z podaniem jej informacji o stanie zdrowia płodu, przekazywali sprzeczne dane.

Pod szpitalami, w tym pod Oleśnicą, wciąż trwają pikiety antyaborcyjne z zakrwawionymi płodami, organizowane są publiczne różańce oraz akcje pisania listów do lekarzy i posłów. A Kaja Godek bierze sobie na celownik kolejny szpital: im. Świętego Wojciecha na Zaspie w Gdańsku, przekonując, że to „druga Oleśnica". (AGSZCZ)

eprasa.pl 2d9fcd4723

Wyścig prezydencki na sterydach

Pierwszą połowę 2025 r. niewątpliwie zdominowała **kampania prezydencka**, w dodatku taka, jakiej dotychczas jeszcze nie widzieliśmy. Poziom emocji, manipulacji i populizmu wywindowano ponad skalę. Do tego pierwszy raz mieliśmy do czynienia z taką liczbą prezydenckich debat: debatował każdy z każdym i chyba w każdym możliwym formacie. Co szczególnie wygodne dla polityków: od części tych debat odsunięto profesjonalnych dziennikarzy albo zastąpiono ich prezenterami odliczającymi jedynie czas i przekazującymi głos kolejnym kandydatom. To zaś spowodowało, że nawet antysemickie hasła wygłaszane przez Grzegorza Brauna mogły swobodnie wybrzmieć. Najmniej w tej kampanii było przestrzeni na prawdę, co doprowadziło do tego, że niewygodne fakty z przeszłości Karola Nawrockiego, zamiast wyjaśnione i rozliczone, zostały zdeprecjonowane i obśmiane. Skalę populizmu najlepiej pokazuje narracja, którą pisowskim specom od marketingu udało się upowszechnić. Tak oto atutem w wyścigu o fotel prezydenta stała się „męskość": wyciskanie na siłowni, udział w ustawkach, młodość na blokowisku, przeszkodą zaś perfekcyjna znajomość języków obcych, wykształcenie i oczytanie. Momentami można było odnieść wrażenie, że kampania dotyczy wyboru prezesa klubu sportowego, nie zaś głowy państwa. Ale to także wina nieporadności sztabu Trzaskowskiego i samej Platformy, która dała wolną rękę Sławomirowi Nitrasowi i jego ekipie, najwyraźniej wierząc, że tymi samymi ludźmi, instrumentami i pomysłami można osiągnąć zgoła inny rezultat niż pięć lat wcześniej. Nic bardziej mylnego.

Z tej dziwacznej kampanii zapamiętamy: historie przejmowania mieszkania pana Jerzego oraz wynajmu apartamentów w Muzeum II Wojny Światowej; opowieści o nocnym życiu w Trójmieście; nazwiska pomorskich gangusów; chowanie tęczowej flagi; hulajnogę Mentzena, i rzecz jasna snusa oraz czerwone korale Joanny Senyszyn („Kochani!"). No i wynik: 50,89 proc. w II turze dla Nawrockiego. A do tego awanturę o przeliczanie głosów, która dodatkowo podzieliła twardy elektorat koalicji rządzącej.

Wetomat w Pałacu

Karol Nawrocki po wygranych wyborach stara się podtrzymywać wizerunek „człowieka z ludu". A to pomacha z okna Pałacu, zje kebab z młodymi, pójdzie na mecz albo powyciska na siłowni. I to wciąż działa, bo Nawrocki przoduje w sondażach zaufania. Zdecydowanie nie jest jednak „prezydentem wszystkich Polaków": jest **w ostrym konflikcie z rządem** (m.in. o nominacje ambasadorskie, oficerskie w służbach czy sędziowskie). Domaga się także uzgadniania z nim projektów ustaw pod groźbą weta. W ciągu ledwie czterech miesięcy Nawrocki zawetował już 20 ustaw, czyli więcej niż Andrzej Duda przez swoje dwie kadencje (19 – choć akurat ta prezydentura przypadała głównie na rządy PiS). Nowy prezydent już dorobił się przezwiska „wetomat". Inwestuje za to w relacje ze skrajną prawicą. Ze wzajemnością: ciepło mówił o nim Sławomir Mentzen, sympatią pała do niego Krzysztof Bosak, nawet Grzegorz Braun zapowiadał, że będzie na niego głosował. Choć z przychylnością tej strony też bywa różnie: konfederaci i brauniści ucieszyli się, kiedy Nawrocki zawetował ustawę dotyczącą kryptowalut, ale zirytowali, gdy podpisał futrzarską, bo ich zdaniem „zdradził rolników". Ale choć prezydent nawet nie kryje, że zamierza wkładać kij w rządowe szprychy, ministrowie Tuska, tacy jak Radosław Sikorski czy Waldemar Żurek, podejmują konfrontację i prowadzą publiczne polemiki z prezydentem i jego otoczeniem. Do tej konfrontacji włączył się też nowy marszałek Sejmu Włodzimierz Czarzasty, zapowiadając „marszałkowskie weto" wobec ustawodawczych inicjatyw Nawrockiego.

Rozrachunki z PiS

Rozliczenie rządów PiS w 2025 r. wyraźnie przyspieszyło. Adam Bodnar według Donalda Tuska robił to zbyt wolno, więc na stanowisku ministra sprawiedliwości zastąpił go **Waldemar Żurek**. Urobek z ostatnich miesięcy jest całkiem pokaźny. To m.in. uchylenie immunitetu Zbigniewowi Ziobrze – który, jak twierdzą w PiS, wcale nie uciekł na Węgry, tylko nie może stamtąd wrócić. To skierowanie aktu oskarżenia przeciwko byłemu szefowi MON Mariuszowi Błaszczakowi za przekroczenie uprawnień. Podobnie – i za to samo – przeciwko Danielowi Obajtkowi. Nawet Mateusz Morawiecki usłyszał zarzuty za „wybory kopertowe". Są też kolejne akty oskarżenia w aferze związanej z Funduszem Sprawiedliwości, m.in. przeciwko posłowi Dariuszowi Mateckiemu. Toczących się śledztw są zresztą dziesiątki. Powstały dla nich w Prokuraturze Krajowej specjalne zespoły. Śledczy zajmują się też przypadkami z tzw. raportu Bodnara – zawiera on ponad 200 spraw, które umorzyła prokuratura za czasów Ziobry i które trzeba teraz uczciwie poprowadzić (np. sprawa dwóch wież Kaczyńskiego). Do wyborów raczej nie uda się nikogo osądzić, ważne jednak, by do sądów trafiły akty oskarżenia. A czasu jest coraz mniej.

eprasa.pl 2d9fcd4723

Koalicja: trwa i ma trwać

Dla koalicji rządzącej to nie był łatwy rok: najpierw kampanijna rywalizacja kandydatów z obozu władzy ubiegających się o prezydenturę, później lizanie ran po upokarzającej przegranej. A do tego: przetasowania w rządzie i walka o stołki, spory personalne i światopoglądowe, jesienią zaś – wymiana marszałka Sejmu, która w kuluarach budziła wiele emocji. Wszystko to nie ułatwiało rządzenia państwem, o realizacji wyborczych obietnic z 2023 r. nie wspominając. Zresztą w KO zakładano, że dopiero druga połowa 2025 r. przyniesie odbicie: pod żyrandolem w Pałacu Prezydenckim zasiądzie Rafał Trzaskowski, koalicjantów będzie łatwiej trzymać w szachu, a wyborcom pokazywać, że słynne „konkrety" da się dowieźć. Plan się jednak rozpadł. PiS skrzętnie próbował wykorzystać spadek koalicyjnego morale – że choćby przypomnimy słynną kolację w mieszkaniu Adama Bielana i konszachtowanie Szymona Hołowni i Michała Kamińskiego z prezesem PiS. To z kolei sprawiło, że notowania partii Hołowni zaczęły jeszcze wyraźniej spadać. A już i tak przecież było fatalnie, kiedy po rozwiązaniu u progu lata projektu Trzeciej Drogi, czyli koalicji łączącej PL2050 z PSL, obie partie osobno zawisły na granicy wyborczego progu. W KO nasiliły się obawy, że wybory w 2027 r. skończą się dla Tuska tak jak te w 2023 r. dla Kaczyńskiego: na punkty je wygra, ale nie będzie miał większości, bo obecne przystawki nie dostaną się do Sejmu, a mandaty lewicy nie wystarczą. Sondaże z końca roku potwierdziły te niepokoje; wróciły więc dobrze znane sprzed kilku lat nawoływania do utworzenia jednej wyborczej listy demokratów.

Wizerunkowym odbiciem dla koalicji 15 października miała być rekonstrukcja rządu. Ale tarcia, spory o stanowiska, a przede wszystkim przedłużający się proces układania składu gabinetu sprawiły, że nie było efektu „fresh startu". Choć żelazny elektorat docenił nominowanie na ministra sprawiedliwości Waldemara Żurka, który przyspieszył proces rozliczeń prominentnych polityków PiS. Notowania Koalicji Obywatelskiej (która zrezygnowała z historycznej nazwy Platforma Obywatelska) wzrosły o kilka punktów.

Afery roku

Nie ma róży bez ognia (że przypomnimy film Stanisława Barei), nie ma roku bez afer, czasem jak z filmowych komedii. Tak było i tym razem. Te dwie najgłośniejsze pokazały, że wciąż – cytując klasyka – „Polska jest mistrzem Polski". Tak oto pieniądze z KPO, które miały wynagrodzić przedsiębiorcom z branży HoReCa (hotelarstwo i gastronomia) czas pandemii, wydawano na tzw. dobra luksusowe – jachty, sauny, solaria, ekspresy do kawy… **Sieć zalały memy**, ale ulewać zaczęło się też w kuluarach sejmowych. Politycy obozu rządzącego przerzucali się odpowiedzialnością za niegospodarność i niefrasobliwość, część z nich domagała się dymisji ministry Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz, której podlega rozdział środków europejskich, ta jednak winę przerzuciła na byłą szefową Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości, zdymisjonowaną na krótko przed wybuchem afery. Sprawa miała „pogrążyć rząd Tuska", ostatecznie rozeszła się po kościach. Bo afery nie demolują polskiej sceny politycznej, co najwyżej zajmują na kilka chwil uwagę mediów.

Tak było więc i z drugim skandalem, który wypłynął jesienią 2025 r., choć dotyczył końcówki rządów PiS i ikonicznego dla tej formacji projektu CPK. Kolejny raz się okazało, że pod wielkimi hasłami „godności narodowej", „suwerenności" czy „deprowincjalizacji" politycy PiS próbowali ukryć wielomilionowe interesy. W tym wypadku chodziło o 160-hektarową działkę w Zabłotni przeznaczoną pod port, którą tuż przed oddaniem przez PiS władzy w grudniu 2023 r. naprędce sprzedano wiceprezesowi firmy Dawtona za niespełna 23 mln zł – choć jej wartość mogła sięgać nawet 400 mln zł. Działkę ostatecznie udało się odzyskać (za kwotę sprzedaży); PiS zaś swoim zwyczajem uznał, że sprawy nie ma, bo w umowie była zapisana możliwość odkupienia ziemi.

Narodowiec prezesa

Po „obronie kościołów" podczas strajków kobiet i organizacji „straży narodowej" **Robert Bąkiewicz** w tym roku wyznaczył nowy cel: obronę polskich granic. Pierwszą demonstrację jego Ruch Obrony Granic zorganizował 8 marca w przygranicznych Słubicach. A 10 maja poprowadził ulicami Warszawy marsz przeciwko imigrantom. Sukcesu frekwencyjnego może nie było, ale brunatne marsze w kolejnych miastach Polski, w tym Krakowie czy Sopocie, sprawiały niepokojące wrażenie. Sam Bąkiewicz nie zapomina, że idea ideą, ale na końcu liczy się kasa, co zresztą wypominają mu inni narodowcy, z którymi się skłócił.

Niedawno ujawniono, że Narodowy Instytut Wolności domaga się od Bąkiewicza i jego stowarzyszenia zwrotu 383 tys. zł po wykryciu poważnych nieprawidłowości w rozliczeniach. „Wielokrotnie przestrzegaliśmy przed tym człowiekiem. Po kilku latach konsumowania rządowych dotacji pozostawił Stowarzyszenie Marsz Niepodległości z pustymi kontami, długami i ogromnymi zaniedbaniami księgowymi" – komentował Krzysztof Bosak. Teraz w Bąkiewicza inwestuje Nowogrodzka. Wystąpił na **październikowej manifestacji PiS w Warszawie**, gdzie wykrzykiwał o „chwastach, które trzeba z polskiej ziemi powyrywać". Jego atutem według PiS jest to, że groźnie wygląda (a prezes docenia postawnych mężczyzn) i nie ma hamulców. Zresztą większość ludzi z jego ruchu to zarazem działacze partii Kaczyńskiego. Bąkiewicz ma pomóc Kaczyńskiemu dokooptować choć 2 proc. w wyborach w 2027 r. Ponoć ma za to obiecane dobre miejsce na listach PiS.

© STACH ANTKOWIAK/REPORTER, FILIP NAUMIENKO/REPORTER, JACEK DOMIŃSKI/REPORTER, ANITA WALCZEWSKA/EAST NEWS, PLATFORMA X, SŁAWOMIR KAMIŃSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 2d9fcd4723

Cała na prawo

Marzenie Jarosława Kaczyńskiego o tym, że „nic na prawo od PiS", legło w gruzach. Teraz musi konkurować nie tylko z Konfederacją Mentzena i Bosaka, ale też z Konfederacją Korony Polskiej Grzegorza Brauna. W dodatku te umacniają się w sondażach. W PiS irytują się, że po tym, jak Braun na początku roku pożegnał się z Konfederacją, obie konkurencyjne formacje tylko zyskały. Co więcej, do Brauna przeszli ci najbardziej radykalni i skrajni wyborcy PiS. Nie dziwi zatem poirytowanie **prezesa, który częściej już atakuje Mentzena niż Tuska**.

Z kolei u konfederatów upadki i wzloty. Po wakacjach Mentzen znów zaczął zapraszać wyborców i polityków konkurencji na piwo. Niewielu skorzystało, bo to nie kampania, więc nie trzeba się przymilać do innych środowisk – z bardziej znanych polityków z zaproszenia skorzystali tylko Władysław Kosiniak-Kamysz i Mateusz Morawiecki, który walczy o swoją pozycję wewnątrz samego PiS. Za to na Marszu Niepodległości ku wielkiej radości narodowców pojawił się Karol Nawrocki. Maszerował także sam prezes, choć jego obecność nie była tak fetowana. Jest bowiem część prawicy, która wyobraża sobie mariaż Konfederacji, Nawrockiego i części PiS, tyle że to wymagałoby zapewne odsunięcia lub ustąpienia Kaczyńskiego, a ten na emeryturę się nie wybiera. Do tego nieraz pokazał, że koniec końców potrafi się pozbyć konkurencji – o czym przekonali się choćby Zbigniew Ziobro czy Jarosław Gowin z dawnej Zjednoczonej Prawicy. Ponoć prezes wyobraża sobie rządzenie z Mentzenem i Braunem – może nie mieć innego wyjścia – ale ci najpierw musieliby uznać jego zwierzchnictwo. Zresztą, także w minionym roku, promując Roberta Bąkiewicza, Kaczyński udowodnił, że nie brzydzi się radykałami, jeśli tylko są użyteczni politycznie.

Finał Hołowni

To było do przewidzenia, szczególnie jeśli ma się w pamięci historię wszystkich tych partyjnych bytów, które miały „zmienić oblicze" polskiej sceny politycznej, rozbić duopol, pokazać, że „inna polityka jest możliwa". Projekt, który w samą nazwę miał wpisaną długofalową perspektywę – rok 2050 – może nawet nie dotrwać do 2030 r. Ostatnie sondaże dają partii Hołowni średnio 1,5 proc., a publicystom trudno sobie wyobrazić, co takiego musiałoby się stać, żeby po takim zjeździe i kompromitujących niekiedy wyskokach założyciela formacji udało się jej podźwignąć. Tym bardziej że zmiana szefostwa Polski 2050 też gładko nie przebiegnie, co więcej – może nawet skończyć się rozłamem. Bo chętnych do objęcia sterów rachitycznej sondażowo partii jest sporo. A wśród nich: Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz, Michał Kobosko, Paulina Hennig-Kloska, Joanna Mucha i Ryszard Petru.

Samemu **Hołowni** najwyraźniej polska polityka już się znudziła albo wręcz obmierzła – wszak kolejny start w wyborach prezydenckich skończył się dla niego katastrofą; zdobył raptem 4,99 proc. głosów. Marzyło mu się prestiżowe stanowisko komisarza ONZ ds. uchodźców. Na to jednak dużych szans nie było, a pod koniec roku okazało się, że rolę tę pełnić będzie Irakijczyk Barham Ahmed Sali. Na pocieszenie Hołowni zostało piastowanie funkcji wicemarszałka Sejmu, bo laskę marszałkowską, zgodnie z umową koalicyjną, od listopada przejął **Włodzimierz Czarzasty**.

Polska zbrojna

Bezpieczeństwo w obecnych czasach stało się kluczowym hasłem politycznym, a wrogie działania ze wschodu i niekończąca się wojna w Ukrainie potwierdzają, że nie jest to jedynie marketingowy chwyt partyjnych spin doktorów. W minionym roku obserwowaliśmy nasilenie działań sabotażowych i dywersyjnych, w tym najbardziej niepokojący incydent, czyli listopadowy atak na tzw. infrastrukturę krytyczną kraju i **próbę doprowadzenia do katastrofy kolejowej na linii Warszawa–Dorohusk** (na szczęście, m.in. dzięki czujności maszynisty – nieudaną). Za podejrzanymi działającymi na rzecz Rosji: Ołeksandrem Kononowem i Jewhenijem Iwanowem wystawiono czerwone noty Interpolu. Ale to niejedyne przypadki, które poderwały polskie służby i wojsko. Zakłócanie sygnałów GPS, kolejne próby podpaleń i paraliżowania lotnisk, nasilona aktywność szpiegowska (w tym działalność tzw. grupy kamerkowców), szerzenie dezinformacji, ataki hakerskie – to tylko część wrogich posunięć wychwyconych na terenie naszego kraju. Wyjątkowo działający na wyobraźnię i mogący wywołać panikę w społeczeństwie był wrześniowy nalot rosyjskich dronów, które naruszyły przestrzeń powietrzną Polski i spadły lub zostały strącone w kilkunastu miejscowościach. I w tym przypadku nikomu nic się nie stało. Wraz z dronami ruszyła jednak rosyjska propaganda i przekaz, że drony były ukraińskie – tę narrację tradycyjnie szybko podchwyciła polska skrajna prawica spod znaku Brauna i Konfederacji. Po tym incydencie polskie władze przyspieszyły budowę systemów antydronowych, zachęcano także Polaków do szkoleń wojskowych i przygotowywania tzw. plecaka ewakuacyjnego. Pod koniec roku zamknięto też ostatni rosyjski konsulat w Polsce (w Gdańsku).

© ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM, SŁAWOMIR KAMIŃSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL, WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

eprasa.pl 2d9fcd4723

Cztery koła, jedna przewaga.

Dlaczego napęd 4x4 przestał być luksusem, a stał się standardem bezpieczeństwa? Udowadniają to modele Škody.

Jeszcze niedawno napęd 4x4 kojarzył się z ekstremami: jazdą w terenie, sportowymi osiągami albo drogimi markami premium. Coraz częściej wybierają go kierowcy, którzy szukają przede wszystkim bezpieczeństwa, stabilności i komfortu w codziennej jeździe. Škoda udowadnia, że napęd na cztery koła może być przystępny, nowoczesny i dopasowany do realnych potrzeb współczesnych użytkowników dróg.

Napęd 4x4 coraz rzadziej jest dziś wybierany z myślą o jeździe w terenie czy ekstremalnych warunkach. Dla wielu kierowców stał się racjonalnym rozwiązaniem na codzienne potrzeby. Nowoczesne układy napędu na cztery koła pracują nieprzerwanie, automatycznie dostosowując rozdział momentu obrotowego do aktualnej przyczepności i obciążenia osi. W praktyce oznacza to większą stabilność podczas ruszania, lepszą kontrolę w zakrętach oraz przewidywalne zachowanie samochodu w sytuacjach nagłych. W modelach Škody napęd 4x4 jest zintegrowany z systemami wspomagającymi kierowcę i reaguje w ułamkach sekund. Kierowca nie musi niczego aktywować. Zyskuje po prostu większy margines bezpieczeństwa, który ujawnia się szczególnie tam, gdzie warunki są zmienne: na mokrej nawierzchni, w zimowym ruchu miejskim czy na krętych drogach poza miastem. Inteligentny napęd na cztery koła automatycznie dostosowuje rozdział momentu obrotowego, dbając o optymalną trakcję zawsze wtedy, gdy kierowca jej najbardziej potrzebuje.

Drugim filarem jest dynamika. Napęd 4x4 to nie tylko pewność na śliskiej nawierzchni, ale także większa precyzja prowadzenia i stabilność w zakrętach. W najnowszych elektrycznych modelach Škody dodatkowym atutem jest natychmiastowa reakcja układu napędowego. Przyspieszenie dostępne od pierwszego muśnięcia pedału sprawia, że samochód zachowuje się przewidywalnie i pewnie, niezależnie od nawierzchni.

Siłą Škody jest również szeroka oferta. Napęd 4x4 nie jest zarezerwowany dla jednego typu auta czy jednej grupy klientów. Elektryczne Elroq i Enyaq (także w wersji Coupé), wszechstronny Karoq, rodzinny Kodiaq, elegancki Superb, czy kompaktowa Octavia – każdy z tych modeli realizuje tę samą ideę: dać kierowcy swobodę wyboru bez kompromisów w zakresie bezpieczeństwa i komfortu. Te samochody zaprojektowane pod różne style życia, ale oparte na wspólnym technologicznym fundamencie.

Ten fundament nie wziął się znikąd. Historia napędu 4x4 w Škodzie sięga lat 30. XX wieku, a przełomowym momentem była premiera Octavii 4x4 w 1999 roku. Od tamtej pory technologia dojrzewała, ewoluowała i dziś – także w wydaniu elektrycznym – pokazuje, że doświadczenie i innowacja mogą iść w parze.

Napęd 4x4 w wydaniu Škody to nie obietnica przygody w ekstremalnych warunkach. To raczej cicha, codzienna przewaga: większy spokój za kierownicą, lepsza kontrola nad samochodem i technologia, która realnie wspiera kierowcę tam, gdzie liczy się najbardziej – na zwykłej drodze, na której nie wszystko da się przewidzieć. Także tej najkrótszej i najbardziej rutynowej, prowadzącej rano do pracy. W miejskim ruchu, na wilgotnym asfalcie, w koleinach i nagłych manewrach napęd na cztery koła pomaga utrzymać stabilność auta. Daje większą przewidywalność reakcji samochodu i dodatkowy margines bezpieczeństwa, który w praktyce oznacza mniej nerwowych sytuacji. To rozwiązanie, którego sens najbardziej widać wtedy, gdy podróżujemy z bliskimi, a celem nie jest przygoda, lecz spokojny, bezpieczny dojazd.

Materiał powstał przy współpracy ze Škoda

eprasa.pl 2d9fcd4723

BILLION plus

W starym roku niektórym kalkulatorom skończyły się zera. W nowym będą potrzebne kolejne. Ale najpierw trochę teorii. Słowo „bilion" w języku polskim i we wszystkich krajach stosujących tzw. długą skalę (większość świata) oznacza liczbę jeden i dwanaście zer. Anglosasi mają inaczej, tam „bilion" oznacza nasz miliard, czyli jeden i dziewięć zer. Teraz mówimy więc o jedynce i dwunastu zerach.

Choć więc „bilion" to liczba niepojęta dla większości ludzi, staje się powoli punktem odniesienia dla wycen giełdowych na Wall Street (dolary) i może się stać już standardową miarą koncentracji bogactwa. Wartość dużych firm z branży AI coraz częściej przekracza bilion dolarów. Żeby kupić całą Nvidię, słynnego producenta półprzewodników (gdyby ktoś chciał ją sprzedać), trzeba dziś zapłacić już ponad 4 bln dol. Kolejny rekord padł w listopadzie, gdy akcjonariusze Tesli zatwierdzili przyznanie swojemu prezesowi Elonowi Muskowi biliona dolarów w formie udziałów w ciągu najbliższych pięciu lat, w zależności od wyników.

Jako ludzkość do tych bilionów doszliśmy stosunkowo niedawno. W 1987 r. budżet Stanów Zjednoczonych pierwszy raz przekroczył bilion dolarów (w ich nomenklaturze „trylion"). Ówczesny prezydent Ronald Reagan uświadomił Kongresowi, że „taka suma stanowiłaby stos banknotów tysiącdolarowych rozciągający się na 100 kilometrów". We wrześniu 2008 r. w związku z kryzysem finansowym straty na Wall Street pierwszy raz przekroczyły bilion dolarów. W 2018 r. wartość biliona dolarów jako pierwsze dwie firmy osiągnęły Amazon i Apple.

W nowym roku „bilion" może też odmienić Polskę. Dzięki wysiłkom swoich przedsiębiorczych obywateli, wsparta unijnymi funduszami, z silnym eksportem przemysłowym, w minionym wrześniu pod względem produktu krajowego brutto Polska przekroczyła – według Międzynarodowego Funduszu Walutowego – symboliczny próg biliona dolarów, dołączając do grona 20 największych gospodarek świata. W praktyce dzięki temu bilionowi Polska może zasiąść w G20, czyli grupie największych gospodarek świata – może jeszcze nie jako pełnoprawny członek, ale już blisko.

Ukraina: rok piąty

Wojna Rosji z Ukrainą zaburzyła rachubę czasu w Europie. Od rosyjskiej inwazji w 2022 r. to koniec lutego wyznacza prawdziwy początek kolejnego roku wojny, z nikłą nadzieją na jej zakończenie. W rok 2026 wjedziemy na oparach poprzedniego. Uruchomiony przez Donalda Trumpa wehikuł negocjacyjny jeszcze sunie, choć rzęzi i trzęsie się na wybojach. Rosja wciąż rozmawia, choć przed świętami faktycznie odrzuciła kolejną propozycję Amerykanów, zrzucając winę na Europejczyków, że nie chcą uznać przymuszenia do kapitulacji Ukraińców – i siebie samych.

Wojenny mechanizm Rosji jest rozgrzany, mimo że jego ekonomiczne silniki słabną. Na dorocznej konferencji „z narodem" Władimir Putin dostał zaskakująco dużo pytań o ceny energii, braki paliw i ogólnie ciężkie życie. Związku tej sytuacji z wojną jednak nie widzi, żadnego końca nie przewiduje – Rosja nie cofnie się o krok w realizacji swoich celów, co potwierdza amerykański wywiad.

Po 12 stycznia wojna z Ukrainą, od inwazji z 2022 r., będzie już dłuższa niż wielka wojna ojczyźniana, jak Rosjanie nazywają swój udział w drugiej wojnie światowej. Najważniejszy wojenny symbol stalinizmu zrówna się z najważniejszym symbolem putinizmu, a potem ten drugi zacznie dominować. Po 24 lutego obecna wojna Putina wejdzie w piąty rok, bez perspektywy na pokój. Amerykanie nie są jednak gotowi przyznać się do porażki, mimo że w styczniu Trump będzie obchodzić rocznicę zapowiedzi zakończenia wojny w 24 godziny po objęciu urzędu. „To nie nasza wojna" – mówił sekretarz stanu Marco Rubio, gdy było jasne, że ostatnia faza negocjacji zmierza donikąd. O umyciu przez USA rąk i zostawieniu europejskiej wojny Europejczykom już słyszeliśmy, ale teraz zostało to skodyfikowane i wydrukowane. Strategia odchodzenia na zachodnią półkulę została oficjalnie przyjęta i będzie realizowana w nowym roku ku radości Moskwy i Pekinu.

Mniej Ameryki na świecie to więcej swobody dla jej rywali, z którymi Europa stanie oko w oko. Cztery lata zajęło nam zrozumienie tej sytuacji i choć dostosowania raptownie przyspieszyły w ostatnich miesiącach, Europa nie jest gotowa stawić czoła Rosji, a co dopiero Rosji i Chinom. Z trudem jest w stanie wspierać Ukrainę, co pokazało fiasko planu przeznaczenia rosyjskich pieniędzy na wojnę z Rosją. Na szczęście – i to prawdziwy noworoczny cud – Ukraina się trzyma, a nawet odbija z rąk okupantów swoje ziemie. Na froncie zmiana daty niczego nie zmieni. Piąty rok wojny wcale nie musi być ostatni.

© SHUTTERSTOCK (3), ROMAN PILIPEY/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 2d9fcd4723

Stawka: Tajwan

Źródłem niepokojów będzie sytuacja wokół Tajwanu. Xi Jinping, przywódca Chińskiej Republiki Ludowej, wielokrotnie zapowiadał „zjednoczenie" z wyspą i nie wyklucza akcji zbrojnej. Wymaga od wojska, by było gotowe przed 2027 r. Jeśli potraktować ten termin serio, to nadchodzą ostatnie miesiące spokoju w Azji Wschodniej, a co za tym idzie – na świecie, bo taki konflikt wywoła globalne konsekwencje.

Nie jest przypadkiem, że ChRL nie podbiła dotąd drugiego państwa chińskiego. Geografia wyspy bardziej sprzyja obrońcom. Za warunek powodzenia inwazji uchodzi szybkie wysadzenie na ląd co najmniej 300 tys. żołnierzy i utrzymanie nienaruszonych niektórych nabrzeży. To nie będzie proste, bo portów, do których mogą zawijać duże jednostki, jest niewiele. A te na wschodzie odcięte są od interioru wysokimi górami. Z kolei zachodnie wybrzeże solidnie umocniono. Atak wiązałby się więc ze znacznym ryzykiem. Co więcej, możliwości Armii Ludowo-Wyzwoleńczej do jakiegoś stopnia ograniczyły październikowe czystki. Objęły dowódców z kierunku tajwańskiego, w tym starych druhów Xi, z którymi trzymał się od połowy lat 80. Ale z drugiej strony zachęca atrakcyjna stawka: gdyby się powiodło, Chiny uzyskałyby bezpośrednie wyjście na Pacyfik, a Xi zdobyłby sławę kogoś, kto dał radę Stanom Zjednoczonym, które powinny za Tajwanem się ująć.

17 lutego w kalendarzu stosowanym w całym regionie zacznie się **rok Ognistego Konia**, czyli czas związany przede wszystkim z ruchem, przełamaniem rutyny i nakazem porzucenia stagnacji. W Japonii Ognisty Koń uchodzi za pechowy – do tego stopnia, że w minionych latach spod tego znaku drastycznie spadła liczba urodzeń (np. w 1966 r. o ok. 25 proc.). Obecna japońska premierka Sanae Takaichi sugeruje, że w razie chińskiej napaści Japonia wesprze Tajwan zbrojnie. Według niej ewentualną blokadę okolicznych morskich szlaków handlowych należy uznać za zagrożenie dla przetrwania kraju.

Impulsywna reakcja Chin (m.in. wypominanie zbrodni z okresu drugiej wojny światowej i inwektywy rzucane przez dyplomatów pod adresem szefowej rządu) skłoniła w grudniu Japonię do błyskawicznego fortyfikowania wysp z południa archipelagu, w tym przerzucania samolotów F-35 i pocisków dalekiego zasięgu. Podobnie jak wiele państw w Europie, także Japonia intensywnie rozbudowuje swoje wojsko, choć tam na razie celem jest podniesienie nakładów na zbrojenia do poziomu 2 proc. PKB. W sondażach wydać obywatelskie poparcie dla linii premierki, a polityka nieokazywania uległości odpowiada zwłaszcza młodym Japończykom.

Indie się spiszą

Nad Gangesem wielkie wydarzenie: rusza machina spisowa; do kwietnia powstanie lista wszystkich gospodarstw domowych, w dwóch turach odwiedzi je 3,5 mln urzędników spisowych, głównie nauczycieli, w październiku poznamy wyniki cząstkowe, do kwietnia 2027 r. spisany zostanie każdy z ponad 1,47 mld Indusów. Spisy powszechne odbywają się nieprzerwanie od 1881 r. Ten w 2021 r. został odwołany z powodu covidu, ale mówiło się, że premier Narendra Modi przestraszył się wyników przed wyborami, bo podważyłyby sukcesy, jakie ogłosił, np. że pod jego rządami cały kraj został zelektryfikowany, a w każdym domu jest toaleta. Dłużej jednak bez spisu się nie dało, bo od ostatniego (w 2011 r.) przybyło 260 mln ludzi i Indie przeskoczyły Chiny, podwoiły się średnie dochody, nastąpił żywiołowy rozwój nieujęty w statystykach i nieaktualnych planach. Szacuje się np., że co najmniej 100 mln obywateli nie otrzymuje państwowej pomocy żywnościowej, bo nie ma ich na listach.

Jak prowadzić politykę społeczną, która w Indiach oparta jest na subsydiach, jak budować infrastrukturę, jak dopasowywać system demokracji bezpośredniej? Po raz pierwszy od 1931 r. padnie pytanie o przynależność kastową, która nadal, w cieniu, rządzi Indiami. To temat na oddzielną opowieść. Poprawka w konstytucji ma od nowego spisu zagwarantować kobietom co trzecie miejsce w parlamencie (krajowym i w poszczególnych stanach). Dziś to w okolicach 10 proc. Przełomowe będą dane dotyczące ich aktywności zawodowej. Oscyluje wokół 20 proc. (w Chinach 69 proc.). Weryfikacji poddany zostanie rynek pracy: szacuje się, że szara strefa obejmuje aż 80 proc. zatrudnionych – bez ubezpieczeń,

emerytur, płacenia podatków. Charakterystyczna jest też dominacja rolnictwa nad przemysłem i usługami.

W spisie objawią się Indie dwóch prędkości, dzielące się coraz bardziej na stany południowe (rozwijające się szybciej i nowocześniej, bogatsze, mniej dzietne) oraz północne (głównie rolnicze, konserwatywne, ludne). Ciężar rozwoju bierze na siebie południe, przywilej większej władzy – północ. To zarodek wielkiego konfliktu. Pojawi się też dramatyczne pytanie dotyczące młodych. Mediana wieku to dziś 28 lat (w Chinach 38 lat), 40 proc. indyjskiej populacji ma mniej niż 25 lat. Co stanowi bonus i kapitał, ale też zarzewie konfliktu ze sfrustrowanym pokoleniem Z. Według prognoz Chiny będą się zwijać, Indie czeka ludnościowy rozwój – w 2060 r. mogą osiągnąć 1,7 mld mieszkańców. Gdzie ich umieścić, jak zagospodarować, jak wyżywić? Zapowiada się spis wielkich pytań.

eprasa.pl 2d9fcd4723

Francja: stolik ledwo stoi

Źle się to zapowiada dla Francji. Dawno już minął czas podziału kraju na lewicę i prawicę, kiedy rządzili jedni albo drudzy. Dziś dominują trzy główne ugrupowania – partia wspierająca prezydenta, Zgrupowanie Narodowe Marine Le Pen i konglomerat skrajnej lewicy pod wodzą Jeana-Luca Mélenchona. Żadne z nich nie ma większości, a współpracować nie chcą, stąd impas i ciągłe nastroje niezadowolenia. Prezydent Emmanuel Macron stracił sympatię Francuzów. Były prezydent Nicolas Sarkozy (pierwsza w historii kraju głowa państwa posadzona w więzieniu) twierdzi nawet, że zanosi się na eksplozję i zmianę ustroju. „Nie analizujemy, myślimy jedynie o obaleniu systemu" – powiedział. I sparafrazował znaną dewizę Kartezjusza: „Protestuję, więc jestem: takie jest dziś credo (Francuzów – przyp. red.)".

Na wiosnę odbędą się wybory samorządowe (municypalne), a jesienią wybory jednej trzeciej senatorów. Choć nie są odzwierciedleniem preferencji partyjnych, będą wskazówką, czy w wyborach prezydenckich w 2027 r. skrajnej prawicy uda się zdobyć Pałac Elizejski (w osobie **Jordana Bardelli** namaszczonego przez **Marine Le Pen**). Przez dziesiątki lat było to nieprawdopodobne, bo ogromna większość Francuzów poczuwała się do postawy republikańskiej: niezależnie od sympatii partyjnych trzeba zewrzeć szeregi, by skrajnej prawicy nie dopuścić do władzy. A dziś niektórzy komentatorzy wręcz się obawiają, że kandydaci tradycyjnych, umiarkowanych partii odpadną, a druga tura rozegra się między Bardellą a Mélenchonem, którego publicysta poważnego tygodnika „Le Point" charakteryzuje jako „byłego trockistę o stalinowskich poglądach, masona i apostoła islamolewicowości". Takie są dziś we Francji autorytety?

Rok 2026 będzie przejściem od dobrych nastrojów po igrzyskach olimpijskich z 2024 r. do obaw, jakie budzą niesłychanie ważne wybory prezydenckie w 2027 r. „Czy Francją w ogóle da się rządzić?" – pytał tygodnik „The Economist". W takiej atmosferze nie ma mowy o bolesnych reformach, do których ekonomiści nawołują od lat: podniesienia wieku emerytalnego (z obecnych 62 lat), zahamowania wysokiego zadłużenia finansów publicznych i radykalnego zwiększenia wydatków obronnych – w związku z zagrożeniem ze strony Rosji. Szkoda, bo Francja ciągle ma ciekawe reformatorskie inicjatywy. Na przykład od 1 stycznia 2026 r. prawo zobowiązuje do rekrutowania równej liczby kobiet i mężczyzn do gabinetów prezydenta i poszczególnych ministrów rządu. Wypada życzyć, by głos kobiet poprawił sytuację kraju.

I co jeszcze?

W nowy rok Duńczycy weszli bez listów, bo państwowa poczta (po 399 latach) zaprzestała ich doręczania. Amerykanie nie będą mieli nowych jednocentówek (w obiegu od 1787 r.), stare będą dożywały swoich dni. A młodzi Australijczycy jako pierwsi na świecie będą się odzwyczajać od 10 najpopularniejszych mediów społecznościowych, dostęp uzyskają dopiero na 16. urodziny. Bułgarzy wprowadzają euro, co zbiegło się z potężnym kryzysem politycznym, upadkiem rządu po fali protestów i perspektywą ósmych wyborów w ciągu pięciu lat. Unii będą przewodniczyć, po pół roku, Cypr i Irlandia.

W Mediolanie i Cortinie odbędą się igrzyska zimowe, raczej na sztucznym śniegu (s. 130), a w USA, Kanadzie i Meksyku (obecnie ze sobą skłóconych) piłkarski mundial (s. 132): najtańszy bilet na mecz finałowy w Nowym Jorku kosztuje 4,2 tys. dol. Astana, stolica Kazachstanu, będzie gościć igrzyska Phygital, łączące świat cyfrowy z fizycznym. 1,5 tys. sportowców ze 100 krajów wystartuje w 13 dyscyplinach, jak piłka nożna, koszykówka, hokej czy boks. Najpierw konkuruje się cyfrowo, a później w realu – i sumuje punkty. To podobno przyszłość. A 19 listopada szykuje się premiera wyczekiwanej przez miliony gry Grand Theft Auto 6.

W ramach przekładanej wielokrotnie misji NASA Artemis 2, jeśli wszystko dobrze pójdzie, statek kosmiczny Orion z czwórką kosmonautów ruszy w lutym w dziesięciodniową podróż wokół Księżyca. Będzie to pierwsza od 1972 r. i programu Apollo załogowa wyprawa poza orbitę okołoziemską. Na nowe księżycowe lądowanie trzeba będzie jeszcze długo poczekać.

Rok ważnych wyborów: połówkowych w USA, gdzie do obsadzenia jest 435 miejsc w Izbie Reprezentantów i 35 ze stu w Senacie. Parlamentarne na Węgrzech, w Rosji, Izraelu i Bangladeszu, prezydenckie w Portugalii, Kosowie i Kolumbii, jedne i drugie w Libii, Etiopii, Brazylii i Sudanie Południowym (tu pierwsze, odkąd to państwo powstało w 2011 r.). Szczyt NATO odbędzie się w Ankarze, szczyt klimatyczny COP31 – w tureckiej Antalii (prezydencję sprawować będzie Australia), a na grudzień planowany jest w Miami szczyt grupy G20, na którym ma zadebiutować Polska (trwa już kompetencyjny spór: w czyjej osobie?).

© ALAIN JOCARD/AFP/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK, NASA

eprasa.pl 2d9fcd4723

W styczniu pytania, w grudniu odpowiedzi

2025: konkurs rozstrzygnięty

Jubileuszowa 25. edycja, jak się okazało, zawierała trzy pułapki. Pierwsza: prezydencka; olbrzymia większość czytelników mylnie przewidywała wybór Rafała Trzaskowskiego, którego szanse przed rokiem wydawały się niezachwiane. Można się pocieszać, że znaleźli się w doborowym towarzystwie równie rozczarowanych. Druga pułapka była tenisowa: większość uczestników wiedziona głosem serca zakładała, że Iga Świątek powróci na tron w WTA, a musiała się zadowolić drugą pozycją w rankingu, choć to przecież i tak, jak na polski sport, astronomiczny sukces.

Z innymi prognozami było łatwiej: trafnie przewidziana została trwałość rządowej koalicji, która mimo tarć i zmian ministerialnych jakoś dała radę przetrwać. Niestety, trafnie też oszacowano szanse na rozliczenia: jak uznała spora większość, żaden z posłów i europosłów PiS oskarżanych o nadużycia nie został skazany nawet w pierwszej instancji. Realistycznie nasi czytelnicy przewidzieli także kłopoty, na jakie natrafi w procesie legislacji ustawa o związkach partnerskich, która ciągle nie doczekała się finału.

Pytaliśmy o to, co ciągle najważniejsze: perspektywy zawieszenia działań zbrojnych w wojnie Ukraina–Rosja; tu odpowiedzi rozłożyły się mniej więcej pół na pół z lekką przewagą optymistów, ale rozejmu nie było i pytanie ponawiamy w tym roku. Pewną klamrą spinającą burzliwy rok wydarzeń na Bliskim Wschodzie było pytanie, czy premier Izraela Beniamin Netanjahu będzie pod koniec roku nadal pełnić ten urząd. Owszem, pozostał u władzy, ale kontrowersji wokół niego znacznie przybyło.

Nasze trzy pytania rynkowe pokazały z kolei, że stan polskiej gospodarki okazał się w grudniu lepszy niż oczekiwania: stopa inflacji między 2,5 a 4 proc. (a konkretnie równo 2,5 proc. rok do roku), dolar poniżej 4 zł (a konkretnie 1 grudnia 3,63 zł wg kursu NBP), a litr benzyny bezołowiowej 95 w sieci Orlen poniżej 6 zł (na początku miesiąca średnio 5,80–5,90 zł). I to właśnie tania benzyna okazała się trzecią pułapką dla naszych czytelników.

Reasumując: to nie był łatwy rok w naszym konkursie. Biorąc pod uwagę wszystkie opisane wyżej okoliczności, 8 na 10 trafnych odpowiedzi uznać należy za spory sukces. Osiągnęła go szóstka superproroków: **Rafał Czyżyk**, **Marek Przybyłowicz**, **Dominik Przychodzen**, **Konrad Siwiec**, **Piotr Zabrocki** i **Janina Żbikowska**. Gratulujemy!

Zapraszamy obok do proroka 2026. Będzie się działo!

Prawidłowe odpowiedzi:
1B, 2A, 3B, 4B, 5B, 6A, 7B, 8B, 9A, 10A.

Zostań prorokiem we własnym kraju 2026

Zapraszamy do noworocznej zabawy we wróżby: Zostań prorokiem 2026 r. W tym przełomowym momencie, kiedy wokół tyle przepowiedni, prognoz i wszelkich wizji, prosimy odpowiedzieć na dziesięć prozaicznie konkretnych pytań. Do odpowiedzi zajrzymy pod koniec roku, aby odszukać i nagrodzić najlepszych proroków wśród naszych czytelników.

1. Czy koalicja rządząca przetrwa w obecnym kształcie do 1 grudnia 2026 r.? a) tak, b) nie
2. Czy 1 grudnia 2026 r. łączne notowania Konfederacji i Korony Brauna w sondażu CBOS będą wyższe niż notowania Prawa i Sprawiedliwości? a) tak, b) nie
3. Czy 1 grudnia 2026 r. którykolwiek z posłów i europosłów PiS oskarżanych o nadużycia zostanie skazany przynajmniej w pierwszej instancji? a) tak, b) nie
4. Czy 1 grudnia 2026 r. obowiązywać będzie zawieszenie działań zbrojnych w wojnie Ukraina–Rosja? a) tak, b) nie
5. Czy 1 grudnia 2026 r., po cząstkowych wyborach w USA, Demokraci będą mieli większość w Izbie Reprezentantów? a) tak, b) nie
6. Czy 1 grudnia 2026 r. Viktor Orbán będzie premierem Węgier? a) tak, b) nie
7. Czy w piłkarskich mistrzostwach świata w 2026 r. zwycięży: a) Hiszpania, b) Argentyna, c) Francja, d) ktoś inny?
8. Czy do 1 grudnia 2026 r. film „Lalka" obejrzy w kinach ponad milion widzów? a) tak, b) nie
9. 1 grudnia 2026 r. kurs NBP dolara wobec złotego będzie wynosił: a) poniżej 3,70 zł za dolara, b) pomiędzy 3,70 a 4 zł, c) powyżej 4 zł?
10. 1 grudnia 2026 r. litr benzyny bezołowiowej 95 w sieci Orlen kosztować będzie: a) poniżej 5,50 zł za litr, b) pomiędzy 5,50 a 6 zł za litr, c) powyżej 6 zł za litr?

KUPON KONKURSOWY

1. Koalicja	A	B		
2. Sondaż	A	B		
3. Wyrok	A	B		
4. Zawieszenie broni	A	B		
5. Kongres	A	B		
6. Węgry	A	B		
7. Piłka	A	B	C	D
8. Lalka	A	B		
9. Dolar	A	B	C	
10. Benzyna	A	B	C	

Wycięte i wypełnione kupony prosimy włożyć do koperty i wysłać na adres redakcji: **ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa 79, skr. pocztowa 13**, do 31 stycznia 2026 r.

Imię i nazwisko .....
Adres .....
Tel. .....

Administratorem danych osobowych konkursu „Zostań prorokiem we własnym kraju" zwanego dalej „Konkursem" jest Organizator – Polityka Sp. z o.o. SKA z siedzibą w Warszawie, ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa, wpisana do rejestru przedsiębiorców prowadzonego przez Sąd Rejonowy dla m.st. Warszawy w Warszawie XII Wydział Gospodarczy Krajowego Rejestru Sądowego KRS 0000445981, NIP 7010363179, REGON 002169944000000.
1. Dane będą przetwarzane w celu realizacji Konkursu. Podstawą przetwarzania jest realizacja prawnie uzasadnionych interesów administratora w postaci realizacji Konkursu (przyrzeczenie publiczne) m.in. wydania nagród i komunikacji z Uczestnikiem, w tym w celu promocji własnych produktów administratora danych (art. 6 ust. 1 lit. f Ogólnego rozporządzenia o ochronie danych).
2. Uczestnikom Konkursu przysługuje prawo do żądania dostępu do swoich danych osobowych, ich sprostowania, usunięcia lub ograniczenia przetwarzania, a także prawo wniesienia sprzeciwu wobec przetwarzania danych opartych o prawnie uzasadniony cel administratora oraz wniesienia skargi do organu nadzorczego, którym jest Prezes Urzędu Ochrony Danych Osobowych.
3. Podanie danych osobowych jest dobrowolne, ale niezbędne do realizacji celów wskazanych w ust. 2 powyżej.
4. Dane będą przekazywane podmiotom współpracującym z Organizatorem, w tym świadczącym usługi pocztowe i hostingowe.
5. Dane przetwarzane będą przez okres niezbędny do realizacji Konkursu, a potem przez okres niezbędny do zabezpieczenia roszczeń i wykonania obowiązków określonych w przepisach prawa.

Można też głosować na stronie **polityka.pl/prorok**, gdzie opublikowany jest regulamin konkursu.

eprasa.pl 2d9fcd4723

Przepięcie Trumpa

Przepięcie to – według słownika PWN – nagły, krótkotrwały skok napięcia w sieci elektrycznej, który może uszkodzić sprzęt, a nawet lokalny system. Zjawisko wywołane przez wyładowania atmosferyczne, wewnętrzne awarie – lub Donalda Trumpa.

ŁUKASZ WÓJCIK

Gdy w styczniu wracał do Białego Domu, miał to być dowód głębokich zmian w Ameryce – Donald Trump jako skutek, nie przyczyna. Gdy odejdzie, zastąpią go kolejni „Trumpowie", w pierwszej kolejności J.D. Vance. Jednak rok 2025, a szczególnie jego końcówka, zdaje się osłabiać tę tezę. A rok 2026 – z listopadowymi wyborami cząstkowymi do Kongresu – może ją obalić. Będzie to mieć ogromne konsekwencje dla świata, w tym dla Polski.

1 Zwolennicy tezy o trumpowskiej rewolucji w Stanach Zjednoczonych nie doceniają wyjątkowości obecnego prezydenta. Weźmy jego obsesyjne poglądy na temat wolnego handlu, uwielbienie dla ceł i kult nadwyżki w handlu zagranicznym. Przed Trumpem to „wolny handel" był fabrycznym ustawieniem amerykańskiej prawicy – również w Tea Party, protoplaście ruchu MAGA.

Inna trumpowska anomalia: pogarda dla Europy i wystawianie rachunków dawnym sojusznikom za ich obronę. Warto przypomnieć, że pozimnowojenna Ameryka sama chciała być policjantem świata. George Bush senior, Bill Clinton (!), Bush junior – wszyscy ci prezydenci słowami i czynami zapewniali, że Ameryce odpowiada taka rola, bo choć dużo kosztuje, to jest gwarancją globalnego spokoju, który zapewnił USA dekady prosperity.

Oczywiście wydatki na obronność w kilku ważnych europejskich państwach były niepoważne i musiały się spotkać z amerykańską krytyką. Jednak z drugiej strony, jak pisał Henry Kissinger, „lepiej, żeby kilka z nich przesadnie się nie zbroiło, bo znów będziemy musieli zaprowadzać spokój w Europie". Z tej

eprasa.pl 2d9fcd4723

perspektywy Trump również jest anomalią – właśnie absurdalnym przepięciem trendu, który w trumpowskim wydaniu staje się karykaturą.

I oczywiście Trump – jak każde przepięcie – może uszkodzić system. Ale akurat ten amerykański, który 4 lipca 2026 r. będzie obchodzić 250. urodziny, zawsze szczycił się ponadprzeciętną odpornością. Już reaguje. I nie chodzi tu jedynie o regularnie spadające notowania prezydenta USA – według najnowszego sondażu AP-NORC zaledwie 36 proc. Amerykanów aprobuje działania Trumpa (to najgorszy wynik na tym etapie kadencji w historii notowań). Tylko 31 proc. aprobuje jego politykę gospodarczą. Nawet w sprawie imigracji raptem 38 proc. Amerykanów popiera Trumpa.

2 Chodzi też o kolejnych republikańskich członków Kongresu, którzy odcinają się od prezydenta – wszystko jedno z powodów moralnych czy wyborczych – jak senatorka Lisa Murkowski i Rand Paul, republikański senator z Kentucky, a nawet była fanka prezydenta Marjorie Taylor Green, kongresmenka z Georgii, całkiem niedawno „pierwszy głos" MAGA. Wszyscy oni widzą nie tylko spadające notowania Partii Republikańskiej przed listopadowymi wyborami do Kongresu, lecz także kolejne kłopoty prezydenta.

Murkowski i Paul mają etyczny problem z Trumpem i nie boją się mówić np. o fortunie, jaką zgromadził już od początku drugiej kadencji. Taylor Green zbuntowała się po ujawnieniu kolejnych powiązań Trumpa z przestępcą seksualnym Jeffreyem Epsteinem, których prezydent nie zamierza wyjaśniać. Kolejne głosy niezadowolenia po prawej stronie odezwały się, gdy w połowie grudnia Trump zaatakował zamordowanego prawdopodobnie przez swojego syna reżysera Roba Reinera, który według prezydenta był „bardzo zły dla kraju" (czyli krytykował Trumpa).

– *Kneble mogą wypaść z ust w nowym roku* – twierdzi Michael Steele, były szef komitetu krajowego Partii Republikańskiej, obecnie na politycznym wygnaniu. – *Trumpowi udało się zastraszyć wielu Republikanów, ale jeśli będzie nadal słabnąć, a już na pewno gdy kierowana przez niego partia polegnie w listopadowych wyborach uzupełniających, znajdą się buntownicy, a może nawet Brutusi.* I co wtedy zrobi Trump? Bez kontroli nad Kongresem, ze zbuntowaną partią za plecami?

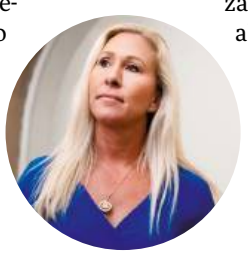

Od góry: **Lisa Murkowski, Rand Paul, Marjorie Taylor Green**

3 Między innymi dlatego – przy zastrzeżeniu, że rzeczywistość nigdy nie jest biało-czarna – warto zweryfikować tezę przeciwną: że prezydent Trump nie jest skutkiem zmian w Ameryce, lecz drastycznym uosobieniem teorii wielkiego człowieka, który potrafi zmienić otoczenie siłą swojej woli i talentu. A używając „elektrycznej" metafory: że Trump jest tylko (albo aż) skokiem napięcia, po którym system może jednak wrócić w pobliże poprzednich ustawień.

Weźmy wojnę Trumpa z establishmentem albo wręcz z merytokracją, czyli systemem władzy opartym na wiedzy. Jego ludzie regularnie odwołują się do „zdrowego rozsądku", który ma stanowić przeciwwagę dla ekspertów. A docelowo mają ich zastąpić lojalni i „zaradni" – *resourceful*, jak mówi wiceprezydent J.D. Vance. W ten sam nurt wpisuje się sekretarz zdrowia Robert F. Kennedy, gdy podważa medyczny konsens w sprawie szczepionek, lub prokurator generalna Pam Bondi, gdy wyrzuca z pracy nieposłusznych prokuratorów.

Paradoks tej sytuacji polega na tym, że amerykańska potęga wyrosła właśnie dzięki obaleniu systemu arystokratycznego, w którym pozycja i władza zależały od pochodzenia, rasy czy majątku. Ameryka stworzyła swoim obywatelom możliwości awansu relatywnie niezależnego od cech od nich niezależnych. Tak też przyciągała talenty z całego świata. I jasne, zdarza się, że klasa urzędnicza przeradza się w kastę dbającą o swoje interesy. Co jednak proponuje Trump? Powrót do arystokratycznej przeszłości – do prymitywnej plutokracji, do rządów najbogatszych?

4 Nie przypadkiem na początku drugiej kadencji Trump powołał najbogatszy gabinet w historii, którego symbolem był Elon Musk. Zgodnie z myślą, że skoro jest najbogatszy na świecie, to na pewno musi być „zaradny" również w sprawach państwowych. Na zasadzie odwrócenia Trump zdaje się pytać: skoro ci wszyscy eksperci są tacy mądrzy, to dlaczego nie są bogaci?

Ale to tak nie działa. Charakterystyczny jest tu przypadek sali balowej przy Białym Domu, która powstaje – jak chwali się Trump – wyłącznie za prywatne pieniądze. Za publiczne byłoby zapewne dużo taniej dla państwa, bo jak przekonuje znany dziennikarz i podkaster Ezra Klein, takie prywatne donacje z zasady nie są bezinteresowne – administracja USA będzie musiała się za nie „odwdzięczyć", np. wprowadzając przepisy przychylne dla biznesów donatorów.

Nadto, tworząc uprzywilejowaną kastę, Trump odbiera szanse jej początkującym konkurentom, którzy pracują teraz nad swoimi biznesami w jakichś garażach. Wprawdzie nie mają dostępu do ucha prezydenta, ale ich nowatorskie pomysły mogłyby w przyszłości nakręcać amerykańską gospodarkę. Oligarchiczne tendencje obecne są w USA nie od Trumpa, ale czy nie mamy do czynienia z przepięciem?

5 Inny, mocniejszy przykład: ręczny system sterowania. Wiele o fenomenie Trumpa mówi tu kuriozalny plan pokojowy dla Ukrainy ujawniony pod koniec listopada 2025 r. – najprawdopodobniej napisany przez Rosjan, pod którym jednak podpisali się Amerykanie. Portal Anxios policzył, że ten prorosyjski zwrot był dziewiątą zmianą stanowiska Białego Domu w sprawie Ukrainy – w rozumieniu takim, że Trump dziewięć razy zmieniał adresata swoich pretensji o brak pokoju. Przy czym wszystkie te zmiany kursu nie były – jak dotąd – przefiltrowane przez jakieś zaplecze analityczno-dyplomatyczne, a wynikały jedynie z osobistych decyzji prezydenta, który – jak sam mówi – ufa swojej intuicji.

Przejawem takiego podejścia jest poleganie na „osobistych wysłannikach" zastępujących instytucje państwowe przeznaczone do prowadzenia polityki zagranicznej. Tu kryminalnym przypadkiem jest Steve Witkoff, którego nieudolność została wielokrotnie potwierdzona, począwszy od amatorskiego udziału w rozmowach z prezydentem Rosji Władimirem Putinem w Moskwie, gdzie pojawiał się bez własnego tłumacza, po rezygnacje z szyfrowanych rozmów telefonicznych (bo nie ma czasu). W kontekście Ukrainy ▶

© ANDREW HARNIK/GETTY IMAGES, JEMAL COUNTESS/GETTY IMAGES/JDRF, MICHAEL M. SANTIAGO/GETTY IMAGES, OM WILLIAMS/CQ-ROLL CALL, INC/GETTY IMAGES

eprasa.pl 2d9fcd4723

▶ Witkoff wręcz szczyci się nieznajomością regionu i jego historii – umożliwia mu to ponoć „trzeźwy osąd".

Również poprzedni prezydenci USA mieli swoich zaufanych ludzi, którzy niekoniecznie wywodzili się z dyplomacji. Jednak za Trumpa amatorstwo stało się zaletą. Czy aby na pewno nie poniesie za to odpowiedzialności, gdy w nowym roku się okaże, że jego dotychczasowe „sukcesy" w polityce zagranicznej właśnie z powodu tej amatorszczyzny są tylko mirażami?

6 To prawdopodobny scenariusz na niedaleką przyszłość. Bo przecież Putinowi nie chodzi o te skrawki Donbasu, których jeszcze nie opanował, a które Witkoff chce mu „oddać". Celem Moskwy jest przemodelowanie całego systemu bezpieczeństwa w Europie, wypchnięcie Amerykanów z tego kontynentu i przy okazji skompromitowanie NATO, wykazanie, że ten mechanizm bezpieczeństwa nie działa. I zastąpienie go jakimś nowym koncertem mocarstw, gdzie ci najsilniejsi będą zarządzać tymi słabszymi (Polską?), nie wchodząc sobie w paradę. W takim układzie Ukraina w rękach Rosji będzie tylko punktem wyjścia dla kolejnych ruchów.

Trump zdaje się pytać Putina: a ile jesteś w stanie zapłacić? Tu dochodzimy do pytania o motywy prezydenta USA, jego otoczenia i samego Putina. Zakończenie wojny w Ukrainie nie będzie tak proste jak ogłoszenie pokoju w Strefie Gazy. Trumpowi i Witkoffowi wydawało się, że można tu skopiować model z Gazy zgodny z zasadą Tukidydesa, że „silni robią, co mogą, a słabi cierpią, co muszą", zwany też „pokojem zwycięzców". Tylko że Ukraina to nie Palestyna. Jednak niedoświadczony zespół negocjacyjny prezydenta USA zdaje się tego nie dostrzegać.

Na głębszym poziomie niezdolność ekipy Trumpa do oceny motywów Putina może wynikać z faktu, że Amerykanie nie rozumieją, jak ważne dla rosyjskiego przywódcy jest samo kontynuowanie wojny. Przecież jej zakończenie zwróciłoby uwagę Rosjan na koszty, jakie pociągnęła za sobą „operacja specjalna" w Ukrainie. W skrócie: władza Putina może zależeć od przeciągania wojny.

7 To trumpowskie przepięcie w polityce zagranicznej będzie jednak miało w najbliższych miesiącach skutki globalne. Elektrowstrząsy najszybciej mogą nadejść w sprawie Wenezueli. Amerykańska flota nie może bez końca ganiać za wenezuelskimi rybakami/przemytnikami. Ta „strzelba Czechowa" musi w końcu wypalić, bo trudno będzie Trumpowi – po tych wszystkich groźbach pod adresem Nicolasa Maduro – po prostu zarządzić odwrót. Czy to oznacza, że w nowym roku Amerykanie zdecydują się siłowo zmienić reżim w Wenezueli i zainstalować tam rząd noblistki Marii Coriny Machado? Konsekwencje takiego ruchu byłyby nie do przewidzenia dla całego regionu Ameryki Południowej, w którym ostatnio prym wiodły wenezuelskie organizacje przestępcze.

Do jeszcze większych przepięć może dojść w relacjach z Chinami. Od października obowiązuje rozejm handlowy, który ma się przerodzić w pokój podczas jednego z trzech spotkań Trumpa z Xi Jinpingiem zaplanowanych na nowy rok. Ale to nic pewnego, zwłaszcza że w 2026 r. Chiny przewidują kilka wielkich manewrów wokół Tajwanu i zamierzają przyspieszyć zbrojenia, w tym nuklearne. Te ostatnie mogą pogrzebać amerykańsko-rosyjskie rozmowy w sprawie odnowienia traktatu o rozbrojeniu atomowym New START, który wygasa już w lutym. Obie strony mogą uznać chińskie zbrojenia za pretekst, aby samemu nie pozbawiać się kolejnych głowic.

Przy tym wszystkim Trump na pewno nie zostawi w spokoju Europy. Szczególnie jeśli ta będzie utrudniać realizację amerykańsko-rosyjskich pomysłów na zakończenie wojny w Ukrainie. A na to się zanosi po tym, jak 18 grudnia Unia Europejska uruchomiła zamrożone rosyjskie rezerwy, aby wygenerować wartą 90 mld euro pożyczkę dla Ukrainy. W tym kontekście nietrudno sobie wyobrazić dalsze trumpowskie próby rozbicia jedności europejskiej w postaci kolejnych ingerencji w wybory, których nie zabraknie w nowym roku: w kilku ważnych niemieckich landach, gdzie AfD może liczyć na otwarte wsparcie Białego Domu, czy na Węgrzech, gdzie amerykańska presja może pomóc Viktorowi Orbánowi utrzymać władzę.

8 A Trump może potrzebować w najbliższych miesiącach takich widowiskowych sukcesów, bo kilka tych, które ponoć osiągnął w starym roku, w nowym może się rozsypać. Prezydent USA twierdzi, że od początku drugiej kadencji zakończył już ponad dziesięć konfliktów międzynarodowych. Ale mnożą się z nimi problemy – porozumienia, do których doprowadził Trump, są niekompletne i głęboko asymetryczne, a ich wdrożenie w dużej mierze zależy od wielkoduszności zwycięzców. Jak pisze były sekretarz stanu Tony Blinken, jest to *peacewashing*, co można przetłumaczyć jako wybielanie pokoju.

W praktyce oznacza to nie tylko usprawiedliwianie sprawców, jak dotychczas w przypadku Rosji. Międzynarodowi patroni tych porozumień, a później ich gwaranci, również wykorzystują optykę „pokoju", aby zgarnąć część zysków w postaci lukratywnych umów na odbudowę po konflikcie. Tym samym pomagają w praniu reputacji przez zbrodniarzy wojennych i ich popleczników.

Tu przewidywania na nowy rok nie mogą być optymistyczne. Nie ma lepszego przepisu na ponowną wojnę niż niesprawiedliwy pokój. Kiedy państwa są nagradzane za łamanie prawa międzynarodowego, legitymizuje to użycie brutalnej siły militarnej jako alternatywy dla negocjacji. A kiedy ofiarom odmawia się sprawiedliwości lub zadośćuczynienia, służy to jedynie utrwalaniu i wzmacnianiu warunków, które pierwotnie doprowadziły do konfliktu.

Stawiając na widowisko ponad treść, Trump sprawia, że „umowy pokojowe", które wymusił, będą skazane na porażkę. Gdy sprowadza się trwające od dekad konflikty – wrośnięte w historię, tożsamość i lokalne społeczności – do zwykłych sporów terytorialnych, to potem trudno się dziwić, że proponowane rozwiązania przypominają deweloperskie umowy o zagospodarowaniu przestrzennym.

9 To teraz wyobraźmy sobie, co by było, gdyby takie pomysły realizowała administracja Trumpa złożona z kompetentnych ludzi – tzn. takich, którzy umieją skutecznie wykonywać powierzone im (nawet niemądre) zadania. Na szczęście (wiem, jak to brzmi...) dziś Stanami Zjednoczonymi rządzą ludzie, którzy często nie rozumieją nauki, są niekompetentnymi, zagubionymi urzędnikami, sieją zamęt w instytucjach, którymi powinni kierować, lub są głęboko skorumpowani.

Teraz jednak, gdy najpotężniejszy człowiek świata ma tak wiele „kontrowersyjnych" pomysłów, gdy próbuje się wyzwolić z wszelkich mechanizmów ograniczających jego władzę, jeśli swoim przeciwnikom z Partii Demokratycznej grozi egzekucją (choćby w żartach), jeśli bogaci się w horrendalnie szybkim

eprasa.pl 2d9fcd4723

tempie i sugeruje, że chciałby rządzić w nieskończoność, to czy ta niekompetencja jego ludzi nie powinna cieszyć?

Jest jednak druga strona tego medalu. Czy np. taki Pete Hegseth, sekretarz wojny, poradzi sobie z poważnym kryzysem międzynarodowym, który oby nie nadszedł? Świetnie mu idzie z niemal bezbronną Wenezuelą. Ale jak się zachowa w przypadku chińskiej inwazji na Tajwan? Każe amerykańskim generałom robić jeszcze więcej pompek?

Na razie wygląda na to, że niektórzy poważni wrogowie Ameryki są odstraszani samą nieprzewidywalnością obecnej administracji USA. Ale zapewne z zadowoleniem obserwują, jak Ameryka strzela sobie kolejne bramki samobójcze, jak traci swoją *soft power* na całym świecie, chociażby obcinając o marne kilkadziesiąt milionów dolarów pomoc dla kolejnego afrykańskiego państwa. Jak zniechęca do przyjazdu kolejne talenty, na których dotąd opierała innowacyjność amerykańskiej gospodarki.

Może to pytanie brzmi naiwnie, ale kto powierza zakończenie najpoważniejszych dziś konfliktów na świecie – w Strefie Gazy

Trump zdaje się pytać Putina: a ile jesteś w stanie zapłacić?
Na fot.: **spotkanie na Alasce, 15 sierpnia 2025 r.**

i Ukrainie – potentatowi na rynku nieruchomości bez żadnego doświadczenia dyplomatycznego? I już spieszę z odpowiedzią: otóż robi to prezydent, któremu tak naprawdę nigdy nie zależało na prawdziwym zakończeniu tych projektów. To o co mu chodzi?

10 W pierwotnym, 28-punktowym „planie pokojowym" dla Ukrainy jest wyraźnie zapisane, że amerykańskie firmy miałyby wykorzystać ok. 200 mld dol. aktywów rosyjskiego banku centralnego zamrożonych w Europie na amerykańsko-rosyjskie projekty inwestycyjne i odbudowę Ukrainy pod przewodnictwem USA. Firmy amerykańskie i rosyjskie mogłyby połączyć siły, aby eksploatować ogromne bogactwa mineralne Arktyki.

Kirił Dmitrijew, rosyjski bankier wykształcony w USA i oddelegowany przez Putina do rozmów z ludźmi Trumpa, od miesięcy przekonuje, że „nie ma granic wspólnych przedsięwzięć": amerykańska i rosyjska branże kosmiczne, które rywalizowały ze sobą w czasie zimnej wojny, mogłyby nawet zorganizować wspólną misję na Marsa z firmą SpaceX Elona Muska. Dmitrijew kusi Amerykanów wielomiliardowymi kontraktami na metale ziem rzadkich i surowce energetyczne.

Jak donosi „The Wall Street Journal", zaufani ludzie Putina, miliarderzy objęci sankcjami z jego rodzinnego Petersburga – Giennadij Timczenko, Jurij Kowalczuk oraz bracia Borys i Arkadij Rotenbergowie – wysłali już swoich przedstawicieli na tajne spotkania z amerykańskimi firmami w sprawie wydobycia i eksportu rosyjskich surowców. Dotyczy to m.in. reaktywacji gazociągu Nord Stream, wysadzonego przez ukraińskich nurków i objętego sankcjami Unii Europejskiej.

Zaraz po powrocie Trumpa do Białego Domu przedstawiciele Exxon Mobil spotkali się z ludźmi największej rosyjskiej spółki energetycznej, Rosnieftu, aby omówić powrót do ogromnego projektu gazowego na Sachalinie. Z kolei Gentry Beach, kolega Trumpa juniora ze studiów i darczyńca kampanii wyborczej jego ojca, prowadzi rozmowy w sprawie nabycia udziałów w rosyjskim projekcie gazowym w Arktyce. Inny darczyńca Trumpa, Stephen P. Lynch, zapłacił w tym roku 600 tys. dol. lobbyście, który ma mu załatwić pozwolenie Departamentu Skarbu USA na zakup gazociągu Nord Stream 2 od rosyjskiej spółki państwowej, jeśli ta upadnie.

11 Ta skłonność do zarobku „na boku" ma u Trumpów charakter rodzinny (choć w zasadzie nie wiadomo, czy to prezydentura nie jest „na boku"). Dwóch synów prezydenta angażuje się w przedsięwzięcia biznesowe – od nieruchomości po kryptowaluty – związane z takimi państwami jak Arabia Saudyjska, Oman, Katar i Zjednoczone Emiraty Arabskie. Saudyjczycy zainwestowali już ponad 2 mld dol. w Affinity Partners, fundusz inwestycyjny prezydenckiego zięcia, Jareda Kushnera. A tak się składa, że wszystkie te kraje skorzystały już na politycznych decyzjach Białego Domu.

Normy, które przez dekady dyktowały, jak prezydenci powinni postępować w interesach podczas sprawowania urzędu, zostały już w zasadzie w całości unieważnione przez Trumpa. Gdy wracał do Białego Domu, jego rodzinny biznes, Trump Organization, zobowiązał się do nieprowadzenia interesów z obcymi rządami. Ale już nie z prywatnymi biznesami z innych krajów. W efekcie, jak szacuje „Forbes", Trump osobiście zarobił już od stycznia ok. 3 mld dol. (trudno powiedzieć, czy w tej kwocie mieści się Boeing 747 podarowany Trumpowi przez Katarczyków).

I na tym polega główna różnica między Trumpem a Putinem. Dla Rosjanina kwestie ekonomiczne schodzą na dalszy plan w obliczu geopolitycznych aspiracji. Nie dlatego rozpoczął wojnę z Ukrainą, że chciał wzbogacić siebie, swoich bliskich i biznesowych partnerów. Wierzy, jak się zdaje, że jego misją jest odbudowa imperium rosyjskiego. Jednocześnie ten sam Putin najwyraźniej przejrzał Trumpa, Witkoffa i inne gwiazdy amerykańskiej administracji. Wie, że oni wszyscy chcą po prostu zarobić, np. na wydobyciu rosyjskich zasobów naturalnych i na handlu nimi.

***

Zerwanie z merytokracją. Oligarchizacja biznesu. Wojny celne. Amatorszczyzna w polityce zagranicznej. Zinstytucjonalizowana korupcja. Zacieranie granic między tym, co prywatne, i tym, co publiczne. Wszystko to jest sprzeczne z tymi zasadami 250-letniej republiki amerykańskiej, które wyniosły ją do potęgi.

Pierwszy rok drugiej kadencji Trumpa to show i szok. Gdy jednak w 2026 r. wiele z tych emocji opadnie, a coraz bardziej oczywiste (i opłakane) okażą się konsekwencje wewnętrzne i światowe działań obecnej administracji, system może zareagować. Pierwsze objawy tej reakcji już widać. Zachód zaczyna tęsknić za Ameryką sprzed Trumpa. Czy i kiedy zatęsknią za nią sami Amerykanie? I co jeszcze przyniesie światu Donald Trump?

ŁUKASZ WÓJCIK

© ANDREW HARNIK/GETTY IMAGES

eprasa.pl 2d9fcd4723

ROZMOWA NA NOWY ROK

Rok pozornie leniwy

Aleksander Kwaśniewski, były prezydent RP, o konflikcie między dwoma pałacami, o transakcyjnej polityce Trumpa i o tym, że obóz demokratyczny nie stracił szansy na sukces.

RAFAŁ KALUKIN: **– Kohabitacja po polsku to dzisiaj brutalna wojna na wyniszczenie przeciwnika. Czy ona będzie miała swój kres?**

ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI: – Nie spodziewam się opamiętania w najbliższych miesiącach, a może nawet latach. Gospodarka jest w niezłej formie, a państwu – nawet przy obniżonym poczuciu bezpieczeństwa – nie grozi rozpad. Jest więc jeszcze przestrzeń do politycznego psucia. Chyba że wcześniej dojdzie do poważnego wstrząsu.

W 1989 r. byliśmy w gorszej sytuacji. Pod każdym względem – i gospodarczo, i politycznie. Dzięki temu udało się doprowadzić do Okrągłego Stołu, co pozwoliło wyrwać się z matni ograniczeń. Dzisiaj brakuje dobrej woli, atmosfery okrągłostołowej, autorytetów. Jeśli więc pyta pan o kres, on teoretycznie istnieje, ale ja go nie widzę.

eprasa.pl 2d9fcd4723

Mija 20 lat, od kiedy przekazywał pan urząd Lechowi Kaczyńskiemu, dając pokaz kultury politycznej. Czy miał pan intuicję, do czego doprowadzi rodząca się wówczas polaryzacja?

Trochę ją przeczuwałem, chociaż w prezydenturze Kaczyńskiego silny był jeszcze element ciągłości. Nadal uważam, że źle się stało, iż nie powstała wtedy koalicja PO-PiS. Oczywiście nie wiemy, jak długo taki układ mógłby się utrzymać, ale samo doświadczenie współpracy byłoby później dla obu sił mitygujące.

Spory wpływ miał też kryzys lewicy, która powinna była zostać trzecią siłą. Ale nie ośmioprocentową, tylko na poziomie 20 proc., co uczyniłoby ją poważnym partnerem koalicyjnym. Ten warunek nie został spełniony i w efekcie dwie najsilniejsze partie mogły podzielić scenę pomiędzy siebie.

Ale czy to się musiało zakończyć tak ostrym konfliktem?

Do przełomu wieków obowiązywał odmienny paradygmat wygrywania wyborów. Należało dbać o gospodarkę i politycznie przesuwać się do centrum. Dzisiaj trzeba mieć wroga, a kiedy go brakuje, najlepiej kogoś w tej roli wymyślić. I nie jest to polska specyfika, bo te same procesy zaszły w USA, Wielkiej Brytanii, Izraelu i innych państwach. Tradycyjne ugrupowania osłabły, utraciły zdolności komunikacyjne, no i jesteśmy tu, gdzie jesteśmy. Bez zagrożenia egzystencjalnego raczej nie zejdziemy z tej ścieżki.

Gorąca wojna w Ukrainie i hybrydowa u nas to mało?

Jak widać. Najwyraźniej te 19 dronów, które przeleciały nad Polską i wywołały nieduży szok, nie wystarczyło.

Dawniej to się nie mieściło się w głowie, a dzisiaj bagatelizujemy próbę zamachu terrorystycznego na pociąg, eufemistycznie nazywając to „sabotażem". Ta żaba cały czas się gotuje.

Bo wojna przyzwyczaja i tępi wrażliwość. Tylko że granie wojenną kartą w polityce wewnętrznej jest szalenie niebezpieczne. Weźmy spór o to, czy i w jakiej formule prezydent może się spotkać z szefami służb...

A może?

W normalnych warunkach jak najbardziej. Czyli kiedy polaryzowanie nie stanowi głównego sensu prezydentury. Ale prezydent ustawiający się w roli osobistego wroga premiera i dążący do obalenia rządu niestety zmienia postać rzeczy. Mimo wszystko oczekiwałbym, żeby oni obaj zrozumieli, iż szefowie służb zajmują się działaniami, które wykraczają poza interesy jednej czy drugiej partii. Nie można stawiać ich w sytuacji wyboru, czy bardziej kochają matkę czy ojca.

Za to pan od jakiegoś czasu przeżywa renesans popularności. Może to przejaw tęsknoty za „prezydentem wszystkich Polaków" i bardziej konsensualną polityką?

Nie wypada mi analizować własnej popularności, chociaż nie martwię się, że na spotkania przychodzi sporo ludzi. Niewątpliwie udało nam się zrealizować trzy wielkie kamienie milowe, z czego jestem dumny. Uchwaliliśmy konstytucję, weszliśmy do NATO i Unii Europejskiej. A dodałbym jeszcze jako połówkę czwartego zaangażowanie na rzecz Ukrainy. Nikt nie może mi zarzucić, że nie byłem w tym konsekwentny albo używałem relacji polsko-ukraińskich jako politycznej waluty. I sądzę, że ludzie to doceniają.

A druga kwestia to styl polityczny, który w moich czasach był inny. Aż przyszedł do Sejmu Lepper i powiedział, że Wersalu nie będzie. To były prorocze słowa, gdyż odtąd parlament stracił podstawową funkcję wymiany poglądów, stając się areną walki.

Akurat was jako „postkomunistów" zwalczano ostro jeszcze w pierwszym okresie po przełomie z 1989 r.

Może pana zdziwię, ale mam największy sentyment właśnie do kadencji 1991–93. To nie był najwybitniejszy parlament, ale pierwszy demokratycznie wybrany. Wszyscy byliśmy pełni entuzjazmu. Ludzie mówili, co uważają, a jednocześnie byli siebie bardzo ciekawi. Na sali sejmowej bywały ostre konfrontacje, ale w kuluarach wszyscy ze sobą rozmawiali i często to z prawicą łatwiej nam było się porozumieć niż z ugrupowaniami ideologicznie bliższymi. Tamte partie były jednak inaczej skonstruowane, mniej wodzowskie. Duch Okrągłego Stołu wciąż się utrzymywał, z wielką korzyścią dla Polski.

I mnie również on uformował, bo odpowiada mojej naturze. Podejrzewam, że jest w Polsce wielu ludzi, którzy tęsknią za tamtym modelem. Niedawno pewna pani powiedziała mi, że jak mnie słucha, to jakby słuchała Kaszpirowskiego. (*śmiech*)

A gdyby panu przyszło funkcjonować w dzisiejszej polityce?

Nie, nie. Ani trochę nie zazdroszczę Kaczyńskiemu i Tuskowi, że muszą tkwić w pułapce takiej polityki. Nie chciałbym doświadczać jej pustki ani używać metod, które uważam za nieakceptowalne. Gdybym miał z pełną świadomością kłamać w kampanii, to bym się tego wstydził. I nie jestem facetem od tweetów, który w dwóch zdaniach musi przekazać, że będziemy szczęśliwi, zdrowi i bogaci. Dużo bardziej odpowiada mi rola komentatora i analityka. Kiedy więc ktoś życzy mi, żebym wrócił do polityki, to odpowiadam, żeby na to nie liczył.

Kto tę wojnę pałaców dzisiaj wygrywa?

Po wyborach prezydenckich wydawało się, że to będzie wielka trauma obozu demokratycznego, ale teraz staje on na nogi. Hurtowe prezydenckie weta sporo w tym pomogły, gdyż konsolidują drugą stronę. Fronty zostały czytelnie ustawione. Zresztą gdyby prezydent wykazywał więcej otwartości i zmienił język, dla rządu byłoby to trudniejsze, a zarazem bezpieczniejsze dla państwa. Aż nie chce mi się myśleć, co się stanie, jeżeli prezydent w swojej zapalczywości zdecyduje się wejść w konfrontację w sferze budżetu. To jedyna ustawa, której on nie może wetować, ale już ustawy okołobudżetowe niestety tak, obniżając dochody państwa.

Na razie podpisał podatek bankowy.

Tylko że ludzie nie lubią banków, więc może nie chciał im się narazić. Ograniczenie rządowi możliwości kształtowania budżetu byłoby czymś fatalnym, szczególnie w obecnych czasach. Zdecydowanie przed tym przestrzegam. [Już po zredagowaniu wywiadu prezydent Nawrocki zawetował ustawy podwyższające akcyzę na alkohol oraz opłatę cukrową – red].

Istnieje jeszcze możliwość odesłania budżetu do Trybunału Konstytucyjnego, co przy okazji podniosłoby spór o jego legalność na wyższy poziom.

A to już byłoby użycie nawet nie taktycznej broni atomowej, ale strategicznej. Motywowane wyłącznie politycznie, bo budżet służy ludziom, więc jest koniecznością. W jego ramach najwyżej można trochę komuś dorzucić, a innemu odebrać, ale kwestionować całość? I jakich użyć argumentów? Nie mam wyobraźni, kto z takiej wojny wyszedłby żywy.

Czy podział władzy wykonawczej w naszej konstytucji ma sens przy tak głębokiej polaryzacji i zdegradowanej kulturze politycznej?

System z powszechnymi wyborami prezydenckimi kształtował się spontanicznie i do 2010 r. ogólnie się sprawdzał. Przede wszystkim dlatego, że o najwyższy urząd ubiegali się liderzy ▶

© LESZEK ZYCH

eprasa.pl 2d9fcd4723

wielkich środowisk politycznych. Przełomem było słynne oświadczenie Donalda Tuska o tym, że on nie będzie chronił żyrandola. Raczej spontaniczne, być może obarczone też doświadczeniem porażki z Lechem Kaczyńskim w 2005 r. Ale od tej pory zaczęła się ucierać praktyka wystawiania polityków z dalszego eszelonu. Może to jeszcze nie był przypadek Bronisława Komorowskiego, ale Andrzeja Dudy na pewno już tak. Takiemu prezydentowi łatwiej narzucić jest model upartyjnionej prezydentury, gdyż nie posiada pozycji pozwalającej realizować własną myśl.

A przypadek Karola Nawrockiego jest jeszcze skrajniejszy. Był tzw. kandydatem obywatelskim, miał nie być bowiem kojarzony z ośmioletnimi rządami PiS. Dodatkowo spełniał preferencje prezesa Kaczyńskiego, czyli miał ponad 1,8 m wzrostu, żonę i dzieci, jakoś mówił po angielsku. Ale dla naszego systemu politycznego to rzecz nieznana, że prezydent nie posiada formalnych związków z wystawiającą go partią. Generacyjnie i ideologicznie on jest bliższy Konfederacji, a do tego na tyle młody, że ma ambicje odgrywania istotnej roli po prezydenturze. Do tej pory prezydenci bywali moderatorami albo wyrażali poglądy własnego obozu. Nawrocki łamie oba te schematy, próbując wejść w rolę głównego rozgrywającego, który chce rozstrzygać o wyniku wyborów parlamentarnych i kształcie przyszłej koalicji.

I co z tego wynika w sensie ustrojowym?

Że jeśli mu się powiedzie, to zbliżymy się do systemu prezydenckiego, w którym głowa państwa kreuje premiera i ma wpływ na rząd. Docelowo to by jednak wymagało zmiany konstytucyjnej. Tylko że do zmiany konstytucji trzeba mieć dwie trzecie w parlamencie, a nie jest też wykluczone, że koalicja demokratyczna jednak wygra wybory w 2027 r. W takim scenariuszu czekać nas będą kolejne trzy lata blokady, gdyż Nawrocki nie odpuści, mając w perspektywie walkę o reelekcję. I tak samo nie odstawi nogi rząd, bo z kolei będzie chciał domknąć ten etap i wejść w nowy z prezydentem z własnego rozdania.

Z punktu widzenia państwa chroniczny konflikt na szczycie to jednak sprawa kosztowna, co również wymagałoby zastanowienia się nad zmianą konstytucji. Tyle że w odwrotną stronę, czyli żeby trochę cofnąć prezydenta w jego ambicjach władczych. Byłoby to jednak możliwe chyba tylko w scenariuszu wygranej demokratycznego kandydata w wyborach prezydenckich 2030 r. Jestem w stanie sobie wtedy wyobrazić zaoferowanie prawicowej opozycji układu, w którym nowy prezydent przychodzi tylko na jedną kadencję i ogranicza mu się uprawnienia. Problem w tym, że demokraci pewnie poczuliby się już wtedy na tyle mocno, że nie w głowie by im były układy.

Tak czy owak, żeby w Polsce naprawdę rządzić, trzeba wygrać dwie najważniejsze elekcje pod rząd, co jest trochę bez sensu.

W logice państwa to faktycznie nie ma sensu i płacimy dzisiaj tego koszty. Akurat spór o ambasadorów nie jest specjalnie dramatyczny, chociaż nas ośmiesza. Naprawdę dramatyczne jest to, że nie ma nas w gronie stałych partnerów europejskich do rozmawiania o Ukrainie. A to wynika właśnie z tego, że kiedy rząd i prezydent mają inne zdanie, to nie ma z kim gadać.

Jeszcze niedawno w tej sprawie polskie elity były w stanie się porozumieć.

Bo dzieliło je przekonanie, że zagrożenie imperialną polityką rosyjską ma charakter trwały. Tyle że nie obejmowało ono Konfederacji, której znaczenie urosło. Ona dzisiaj cynicznie rozgrywa kartę antyukraińską, a PiS obawiający się utraty głosów to podchwycił.

Jest więc miejsce na konsens w polityce zagranicznej?

Do pewnego stopnia on obejmuje relacje ze Stanami Zjednoczonymi, gdyż nikt nie zakwestionuje ich znaczenia, i to niezależnie od tego, kto aktualnie zajmuje Biały Dom. Natomiast mam wrażenie, że już za chwilę polska prawica znajdzie się w pułapce Trumpa, bo nie da się być antyrosyjskim i popierać jego polityki, która sprowadza się do robienia biznesów. Trump jest gotów sprzedać interesy ukraińskie, żeby porozumieć się z Rosjanami.

Pytanie, czy prawicowi wyborcy wyrzekną się ideologicznych podniet i będą w stanie połączyć kropki.

I ja się tego obawiam. Wiele jest elementów zakłócających logikę myślenia, za co odpowiadają cyfrowe algorytmy. Ktoś nie bez racji powiedział, że Kanał Zero odegrał w ostatnich wyborach podobną rolę, co „Gazeta Wyborcza" w 1990 r. Przeszliśmy więc długą drogę, ale niekoniecznie we właściwym kierunku. Jeżeli racjonalne argumenty naprawdę przestają działać, nasza demokracja jest w niebezpieczeństwie. Pocieszam się, że w Holandii social media są równie wpływowe, a mimo to antyeuropejski nacjonalista Geert Wilders przegrał tam niedawno wybory, chociaż był faworytem.

> W polityce krajowej pozornie zapowiada się rok spokojny, pozbawiony emocji wyborczych. Ale ja bym na to nie liczył. Dlatego obawiam się rozleniwienia rządzących.

Jeśli chodzi o Amerykę, to przekonuję, gdzie się da, żeby nie skupiać się na poklepywaniu nas po plecach ani na tym, co zapisano w doktrynach. Na końcu zawsze zostają fakty. Jeżeli Ukraina zostanie zmuszona do podpisania rozejmu i utraci terytoria, będzie to jedynie w interesie Rosji oraz amerykańskiego biznesu. W polityce Trumpa o nic więcej nie chodzi, jak tylko o robienie pieniędzy.

Kiedyś polityka nie była transakcyjna?

Oczywiście była, tylko że transakcyjność nie stanowiła głównej ideologii. To jakby uznać, że gwałt jest najlepszą formą seksu. U Trumpa to się zrobiło bezwstydne, nie obowiązują ograniczenia ani reguły. Nawet presja na inne kraje NATO, żeby wydawały 5 proc. PKB na obronę, jest tylko po to, żeby kupowały więcej amerykańskiej broni. Dlatego on tak gniewa się teraz na Unię Europejską, że ona chce rozwijać własne projekty. Gdyby to było *political fiction* o świecie przeniesionym do politycznego przedszkola, byłoby to nawet śmieszne. Niestety dzieje się naprawdę.

Czy Unia może wypełnić próżnię bezpieczeństwa po Amerykanach?

Zgadzam się z Timothym Gartonem Ashem, który w „The Guardian" napisał, że ona jest w stanie to zrobić, ale można wymienić wiele powodów, dla których tego nie uczyni. Dysponujemy wystarczającym potencjałem, bo demograficznie jesteśmy więksi od USA i mamy też większe PKB. Do tego lepiej uporządkowaną sferę socjalną, nie wspominając o ochronie zdrowia. Niestety w kwestiach militarnych już nie ma porównania, zwłaszcza jeśli chodzi o potencjał nuklearny. Przegrywamy też w sektorze hi-tech, chociaż to nie jest przepaść. Problemem Unii pozostaje jej struktura z nadmiarem procedur i regulacji. Krytykowanych

eprasa.pl 2d9fcd4723

z powodu ślamazarności w ich stosowaniu, tylko jeżeli chcesz mieć demokrację, to musisz uzbroić się w cierpliwość. Alternatywą jest autorytaryzm. Chociaż zgadzam się, że Unii przydałaby się deregulacja.

Nowa amerykańska strategia bezpieczeństwa zaszokowała Europę, chociaż osłabianie więzów transatlantyckich zapoczątkował jeszcze Obama. Może więc paradoksalnie nie stało się źle, bo możemy wreszcie pozbyć się złudzeń co do intencji USA?

Mimo wszystko uważam, że to Trump zamknął tamten rozdział. Jego doktryna jest demonstracją wrogości. Oczywiście byłoby dobrze, gdyby wywołała ona właśnie taką reakcję, że koniec bujania w obłokach, zaczynamy poważnie myśleć o naszym bezpieczeństwie.

Tylko co to znaczy? Przede wszystkim musimy zachować jedność bez względu na to, jakie relacje z Trumpem mają poszczególne państwa, jak daleko leżą od Rosji i czy czują się zagrożone agresją. W szczególnym stopniu będzie to dotyczyć Polski, która nie może pozwolić się rozgrywać na tej zasadzie, że skoro Ameryka nie lubi Unii Europejskiej, to my też będziemy się od niej dystansować. Schlebiając Trumpowi, bo przecież można mu jeszcze przyznać jakąś pokojową nagrodę albo obdarować koroną polskiego króla ze zbiorów wawelskich. Radziłbym jednak przyjąć do wiadomości, że epoka 80 lat amerykańskich wpływów i dominacji właśnie się kończy.

Wyzwaniem jest pogłębianie współpracy w ramach UE, szczególnie w bezpieczeństwie, energetyce, nowoczesnych technologiach, ochronie zdrowia. Musimy też mieć wspólne polityki wobec głównych partnerów, których Amerykanie nazywają konkurentami i chcą ich osłabiać. W szczególności wobec Chin, Rosji i samych Stanów.

> W Europie musimy zachować jedność bez względu na to, jakie relacje z Trumpem mają poszczególne państwa. Szczególnie będzie to dotyczyć Polski.

Jak pan ocenia jakość obecnych unijnych elit?

Jest nieźle. Friedrich Merz jest dużo lepszym kanclerzem od Scholza, Skandynawowie mają ciekawą grupę liderów. Nawet w Austrii i Holandii udało się powstrzymać populistyczną prawicę. Zobaczymy, kto w 2027 r. wygra wybory we Francji...

Cały europejski projekt obarczony jest takim ryzykiem. Jedne nieudane wybory w kluczowym państwie i wszystko może się zwinąć.

Tylko jaki z tego wniosek? Zrezygnować z wyborów? Wydłużyć kadencję do 10 lat, bo czteroletnie stały się męczące? Musimy przyjąć do wiadomości, że demokracja bywa trudna i wyczerpująca, powtarzając za Churchillem, że jednak niczego lepszego nie wynaleziono.

Czy nasza absencja w rozmowach o przyszłości Ukrainy to porażka polskiej polityki zagranicznej?

Niestety. Mógłbym zrozumieć nieobecność Polski w formacie E3, gdybyśmy nie byli krajem przyfrontowym, nie mieli tylu związków z Ukrainą, nie czuli rosyjskiego zagrożenia. Cieszymy się ze statusu dwudziestej gospodarki świata, tylko co z tego wynika, skoro nie ma nas przy najważniejszym stole? A przecież posiadamy odpowiednich do tego wykonawców, bo Tusk i Sikorski mają naprawdę duże doświadczenie polityczne i autorytet.

I to tylko kwestia dualizmu władzy?

W dużej mierze chodzi o dualizm, który sprawia, że nasi partnerzy dla własnej wygody nie chcą wyróżniać żadnego z ośrodków władzy w Polsce. Oczywiście mam świadomość, że w rozmowach telefonicznych Polska uczestniczy, niemniej powinniśmy brać udział w głównych spotkaniach obok Niemiec, Francji i Wielkiej Brytanii.

Ale może to Tuskowi zabrakło też determinacji, gdyż jest zakładnikiem antyukraińskich narracji w polityce wewnętrznej?

No cóż...

Pan nie chce źle o Tusku, prawda?

Od wyborów prezydenckich staram się ograniczać krytykę. Po prostu sytuacja zrobiła się zbyt poważna. Błędy wszystkim się zdarzają, ale trzeba je umieć naprawiać. To również zarzut pod adresem Andrzeja Dudy, który miał dobrą chemię z prezydentem Zełenskim i nie umiał jej politycznie wykorzystać. A nastrój w Polsce faktycznie zrobił się gorszy, co również wpływa na politykę Ukrainy. Oni traktowali nas jak kluczowego partnera, ale przestraszyli się antyukraińskich wyczynów w naszych kampaniach. I nie mają dzisiaj konceptu na ułożenie relacji, o co mam do nich żal. Potrzebujemy nowego mitu założycielskiego w relacjach polsko-ukraińskich. Bo co jest alternatywą? Oddanie ich ekstremistom z obu stron. A to już prosta droga do powtórki z tragicznej historii.

Panie prezydencie, może więc pokusi się pan o krótką prognozę na 2026 r.?

W polityce krajowej pozornie zapowiada się rok spokojny, gdyż pozbawiony emocji wyborczych. Ale ja bym na to nie liczył, bo jeżeli Ukrainie zostanie narzucony niekorzystny rozejm, zrobi się niebezpiecznie. Niemniej obawiam się rozleniwienia i pasywności rządu w oczekiwaniu na wybory w 2027 r. Również pogodzenia się z tym, że prezydent nie chce współpracować, co byłoby potraktowane jako alibi dla bezczynności.

To będzie kluczowy okres, bo jeżeli Putin uzyska nowe terytoria, natychmiast ogłosi „specjalną operację wojskową" swoim sukcesem i przystąpi do przegrupowania wojsk. Równolegle Amerykanie będą wywierali presję na zniesienie sankcji na Rosję. Podsycając to retoryką Trumpa o tym, że zakończył kolejną wojnę i mamy wreszcie pokój. Dla opinii publicznej w Europie to niestety będzie brzmieć atrakcyjnie. Tylko co ten jego *peace* tak naprawdę będzie oznaczać? Że Ukrainie już nie trzeba dawać pieniędzy, pomocy militarnej i humanitarnej, realnych gwarancji bezpieczeństwa.

Tymczasem naszą racją stanu będzie utrzymanie w gotowości ukraińskiej armii, na co muszą się znaleźć finanse. Kolejna sprawa to poważny projekt odbudowy, który włączy instytucje i firmy. Trzeba wreszcie wykrzesać wolę polityczną do szybkiej akcesji Ukrainy z Unią Europejską. W tym dialogu Polska powinna być promotorem grup eksperckich, szczególnie w kwestii ukraińskiego rolnictwa, które wcale nie musi być problemem dla Unii. Musimy sami coś wreszcie wymyślić, a nie być tylko straszakiem.

Nasze wybory w 2027 r. będą oczywiście kluczowe, tylko trzeba z tego wyciągnąć właściwe wnioski i nie robić sobie wolnego na zaczerpnięcie oddechu. Trzeba prowadzić aktywną i rozumną politykę.

ROZMAWIAŁ RAFAŁ KALUKIN

eprasa.pl 2d9fcd4723

Cierpienia miłości

Prof. Tomasz Szlendak o tym, że miłość i związki coraz częściej traktuje się jako ciężką pracę, a romantyczne uniesienia ciągle pozostają pożądane, ale nie są doświadczane.

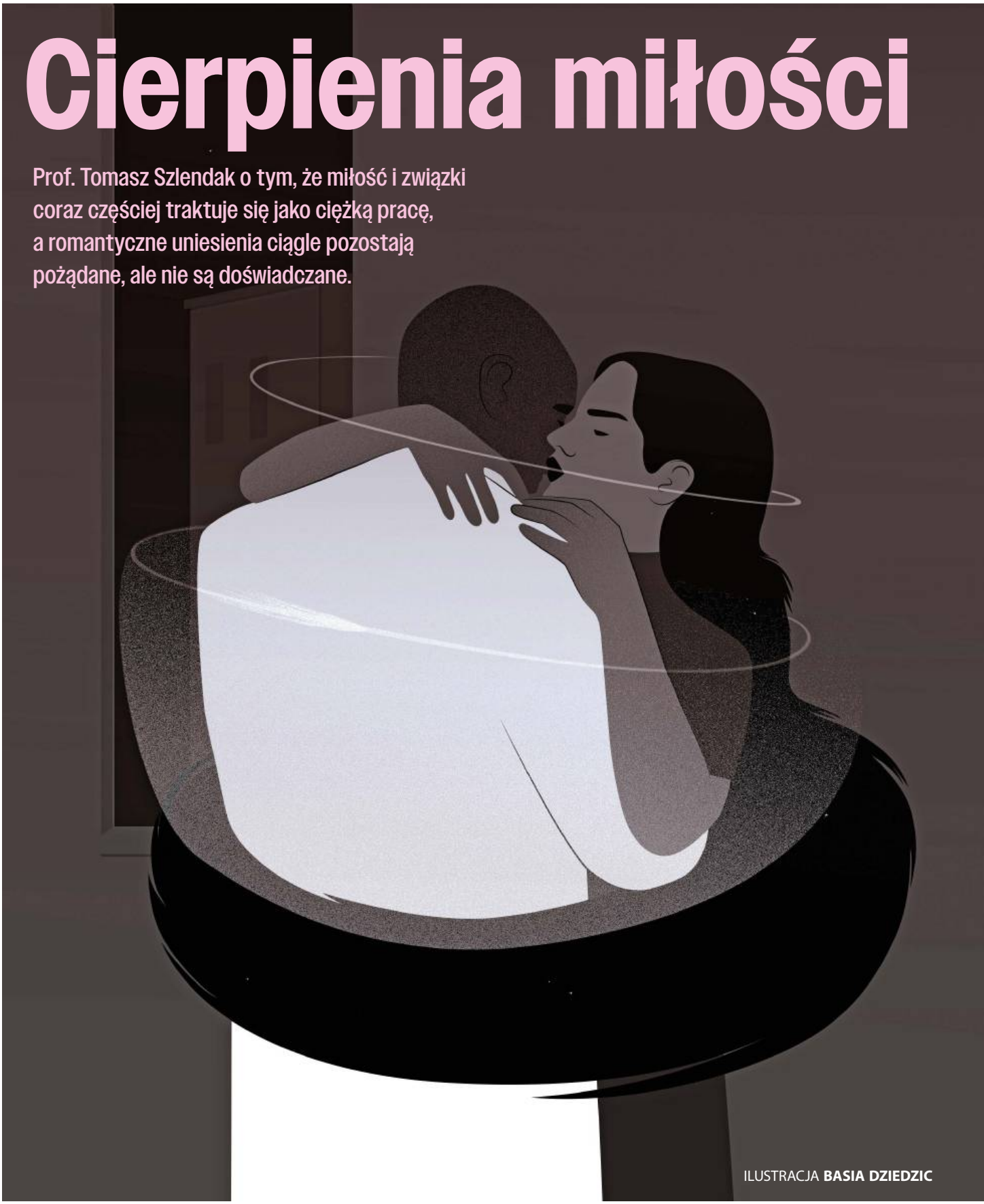

ILUSTRACJA **BASIA DZIEDZIC**

eprasa.pl 2d9fcd4723

JOANNA PODGÓRSKA: **– Dziś już jedna trzecia Polaków to single. Czy w młodszych generacjach ten odsetek rośnie?**

PROF. TOMASZ SZLENDAK: – Nie wiem, czy można o nich mówić w kategoriach singli. Do pewnego wieku bycie w parze nie jest dla nich istotne. Większość 20- czy 25-letnich osób nie jest w związkach i raczej o tym nie myślą. Ich życie randkowe dopiero się w tym momencie rozpoczyna. Epizody bycia samemu są znacznie dłuższe niż epizody bycia we dwoje, jeśli w ogóle się zdarzają. Z danych wynika, że 44 proc. osób do 30. roku życia singluje, a kolejnych 22 proc. LAT-uje (LAT to skrót od angielskiego zwrotu *living apart together* – życie osobno razem – przyp. red.), czyli tworzą parę, ale nie mają wspólnego życia.

Młodzi nie umieją wchodzić w związki czy może nie chcą?

To różnie bywa. Niechęć do tworzenia par może wynikać przede wszystkim z tego, że to jest jednak krok w dorosłość, i to krok trudny. Trzeba wyprowadzić się od rodziców, założyć własne gospodarstwo domowe. A warunki ekonomiczne, poczynając od drogich kredytów, temu nie sprzyjają. Poza tym wśród młodych, zwłaszcza z klas średnich, dominuje taka postawa, żeby się ze swoich domów rodzinnych nie wyprowadzać. Nie widzą ku temu powodów. A to się zazębia z faktem, że młodzi faktycznie nie bardzo potrafią funkcjonować w związkach, bo nie mają tego jak trenować. Przykłady anegdotyczne można mnożyć. Znajoma ma dwóch synów: 22- i 19-latka. Jeden na studiach, drugi w klasie maturalnej. Żaden z nich jeszcze nigdy nie miał dziewczyny. Nie chodzą na randki, które są pierwszą szkołą bycia w związku – poświęcenia drugiemu człowiekowi jakiejś części siebie, zawierania kompromisów. Bycie w związku trzeba ćwiczyć i starsze pokolenia ćwiczyły to już w szkole, podczas „chodzenia ze sobą" i randek. Dziś młodzi, o ile w ogóle decydują się na bycie w parze, to coraz później.

Podobno od lat prowadzi pan wśród studentów ankiety, w których pyta pan kobiety i mężczyzn o oczekiwane cechy partnera w stałym związku. Co z tych ankiet wynika?

Robiłem je przez kilkanaście lat, głównie na zajęciach z socjologii rodziny. Prosiłem, by wynotowali wszystkie cechy: społeczne, psychiczne, fizyczne, jakich oczekują od potencjalnego partnera. Najpierw chcieli ustalić, co to jest trwały związek. Ostatecznie zdefiniowaliśmy go jako taki, który trwa powyżej trzech miesięcy. Z perspektywy mojej generacji to brzmi trochę śmiesznie. Dla nich nie. W specyficznej rzeczywistości, w jakiej żyją, trwałość czy stałość raczej przegrywają z rozproszeniem, brakiem skupienia, płynnością wszystkiego, co się wokół dzieje; również związków i relacji. W ostatniej klasie mojego liceum ogromna większość, jeśli nie wszyscy, mieli jakiegoś chłopaka czy dziewczynę. Teraz, gdy pytam o to salę pełną studentów, podnosi się kilka dłoni. To nie jest dla nich moment na myślenie o stałej parze; może ich to nawet trochę przeraża. Dla młodych w metropoliach tworzenie trwalszych związków zaczyna być ważne dopiero po trzydziestce.

A co wynika z listy pożądanych cech? Zmieniała się przez lata?

Robiłem nawet minianalizy statystyczne. Nie są to żadne formalne badania, ale potwierdzają pewien trend. U kobiet z roku na rok liczba pożądanych cech się wydłużała. Wraz z postępami emancypacji i wzrostem społecznej pozycji kobiet – studentek dużego uniwersytetu, które zamierzają osiągnąć wysokie pozycje społeczne – oczekiwania wobec potencjalnych partnerów rosną. Trudno było znaleźć kobiecą ankietę, która wymieniała mniej niż 15 punktów; niektóre miały 30.

W tym czasie listy męskich oczekiwań raczej się nie wydłużały. Można żartować, że nie wydłużały się od czasu, gdy datujemy historię ewolucyjną naszego gatunku, czyli od jakichś 220–300 tys. lat. Przy czym to nie tak, że męskie listy sprowadzały się do cech fizycznych. Oczekują, że kobieta będzie miła i inteligentna; ale to im wystarczy. Kobiety oprócz inteligencji i ambicji coraz bardziej oczekują od mężczyzn poczucia humoru. To oczywiście koreluje z inteligencją. Ale też bycie w parze to już nie tak jak kiedyś patent na spłodzenie i wspólne wychowanie potomstwa, ale sposób spędzania wolnego czasu. W tej sytuacji bycie z nudnym partnerem jawi się jako koszmar.

Pozycja kobiet mocno urosła. Luka płacowa wynosi dziś w Polsce ledwie 7 proc. Są takie sektory gospodarki, gdzie kobiety zarabiają więcej. Nie muszą więc koncentrować się wyłącznie na zasobach ekonomicznych mężczyzn, na ich zdolności do pracy czy ambicji. Skupiają się również na wielu innych męskich charakterystykach. Można powiedzieć, że stare potrzeby nie odeszły, a doszedł cały szereg nowych. I w związku z tym coraz trudniej znaleźć partnera o tak licznych i rozmaitych poszukiwanych cechach.

Przywołuje pan badania, z których wynika, że 30 proc. mężczyzn do trzydziestki w ciągu ostatniego roku nie miało intymnego kontaktu z kobietą. To polskie dane?

Te akurat są amerykańskie. Polskich nie ma, ale może to wyglądać podobnie. Rośnie liczba młodych mężczyzn, którzy nigdy nie byli z kobietą. Te amerykańskie dane są zatrważające, bo mówią nie tylko o abstynencji seksualnej, ale jakiejkolwiek intymności, takiej jak dotyk, przytulenie czy pocałunek. 30 proc. młodych mężczyzn nie doświadczyło nigdy bliskości czy intymności! Nawet bez dokładnej wiedzy statystycznej widać, że analogiczne procesy zachodzą w dużej części krajów kultury euroamerykańskiej, również w Polsce. To się przekłada na rosnącą popularność partii populistycznych, które obiecują powrót do przeszłości. Rośnie grupa mężczyzn niewybieralnych, niewidocznych dla kobiet. Te ze wsi pod Lublinem czy z okolic Chełma przeniosły się do wielkich miast. Mężczyźni, którzy tam zostali, wręcz fizycznie nie mają szans spotkać w swojej okolicy kobiety, z którą mogliby się związać.

Pisze pan, że współczesna para – jeśli już jest – to dwójka indywidualistów, którzy z jednej strony nadal marzą o miłości romantycznej, a z drugiej boją się utraty autonomii i wolności. Gdy posłuchać psychologów czy terapeutów par, okazuje się, że związek to też ciężka robota, gdzie dyskusje o podziale obowiązków przypominają negocjacje biznesowe.

Można powiedzieć, że ludzie w taki właśnie sposób reagują na ten poppsychologiczny, czy poppsychoterapeutyczny dyskurs. I zaczyna dominować obraz związku jako ciężkiej harówki. Te refleksje dotyczą w dużej mierze kobiet, bo to głównie one czytają. Materiały dotyczące zdrowia emocjonalnego w związku, przeróżne testy i porady na temat, jak powinna wyglądać właściwa relacja, kierowane są głównie do nich. I one zaczynają postrzegać swój związek jako odstający od ideału. A życie po prostu przynosi wiele rozmaitych konfliktów.

Funkcjonujemy w społeczeństwie hiperkonsumpcyjnym, które jest nastawione bardzo mocno na jednostkę i jej separowanie od potrzeb jakiejś zbiorowości, nawet rodziny czy związku damsko-męskiego. To wszystko się nawarstwia i rzeczywiście ludzie zaczynają odczuwać te związki jako ciężką robotę. Dyskurs poppsychoterapeutyczny podpowiada im, że powinni nad nimi ▶

eprasa.pl 2d9fcd4723

▶ dalej pracować, podsuwa sposoby wypracowywania, przegadywania różnych rzeczy, zmagania się z pewnymi tematami, z którymi ludzie wcale zmagać się nie chcą. No i najzwyczajniej w świecie to się zaczyna coraz mocniej sypać.

Kiedyś ludzie wierzyli, że miłość romantyczna działa i ocali związek nawet bez naszego udziału; że to w pewnym sensie przyjdzie samo. I dopóty mieliśmy tę wiarę – przychodziło. Teraz wchodzimy w związki z odczuciem z tyłu głowy, że będzie ciężko, że będziemy musieli coś oddać, oskrobać się z czegoś, na czym nam zależy. Stąd coraz większa ostrożność przy łączeniu się w pary, ze strony kobiet chyba nawet większa.

Młodzi ludzie coraz częściej zamiast o zakochaniu mówią o zauroczeniu. Rzadziej myślą o związku aż do śmierci, ale do czasu, dopóki jest fajnie. Nie wierzą już w romantyczną miłość?

Myślę, że pokolenie Z (urodzeni między 1995 a 2010 r.) coś mocno przewartościowuje na tym polu. Będą wchodzić w życie dorosłe bez tego rodzaju wyobrażeń, a w każdym razie z mniejszą nadzieją, że coś takiego im się w ogóle przydarzy. A co dziś w Polsce rozumie się pod słowem „miłość"? Moje koleżanki socjolożki Julita Czernecka i Katarzyna Kalinowska napisały tekst badawczy dotyczący właśnie semantyki miłości i pewnych znaczeń, które do miłości są podpinane przez kobiety i mężczyzn. I coraz częściej widać, że miłość to praca, a nawet cierpienie. Częściej wiąże się z negatywnymi pojęciami niż euforyczną przyjemnością, jaką obiecywała miłość romantyczna.

Problem w tym, że nie ma innej osi spajającej życie. Bo miłość romantyczna była nie tylko spoiwem związków, ale też rdzeniem życiorysu, kamieniem milowym, wokół którego budowaliśmy całe życie. Przestajemy wierzyć w romantyczną miłość, a na horyzoncie nie pojawia się nic nowego, wokół czego mamy to życie tkać. W związku z tym ludzie nadal za tą miłością tęsknią i jakoś starają się do niej odwoływać. Nawet ci młodzi, 20-letni myślą, że bez niej ich życie będzie niepełne. A nawet że z nimi samymi bez doświadczenia miłości będzie coś nie tak. Nowy koncept, który by spajał związki, jak do tej pory się nie pojawił.

W naszej ostatniej rozmowie opisywał pan, jak aplikacje randkowe, głównie Tinder, dobiły miłość, dając ułudę nieskończonego wyboru partnerów i łatwość zrywania relacji. Ale w książce „Miłość nie istnieje" mowa o czymś jeszcze – jak najbardziej dosłownym braku czasu i miejsca, żeby się zakochać.

Zazwyczaj, żeby się zakochać, potrzebujemy bliżej przyjrzeć się drugiej osobie, trochę z nią poobcować. Temu służyła instytucja randkowania polegająca na tym, że przez powiedzmy kilka miesięcy wzajemnie się rozpoznawaliśmy. Miłość potrzebowała czasu poświęcanego drugiej osobie. A dziś tego czasu nie ma. Dlatego łapiemy za aplikacje, które dodatkowo nam ten czas kradną. To jest pułapka wielowymiarowa. 2 mln ludzi dziennie korzysta z aplikacji randkowych, wpadając w dopaminową pętlę, jak dzieciaki na TikToku i spędzają tam godziny, które mogliby poświęcić np. drugiej osobie. To jak z korzystaniem z kultury. Żeby wybrać się do teatru, trzeba kupić bilety, wyszykować się, dojechać na miejsce, odsiedzieć na spektaklu, który swoje trwa i wrócić do domu. Pół dnia z głowy. Miłość i randkowanie rozgrywały się w podobny sposób. A dziś jesteśmy bardziej zabiegani i rozproszeni. Większość czasu zajmuje nam praca, którą przynosimy też do domu, razem z narzędziami elektronicznymi, które wykonywaniu tej pracy służą. Coraz trudniej nam się na czymkolwiek skupić. A miłość tego właśnie wymaga – czasu i skupienia na drugiej osobie.

A co stało się z przestrzenią?

To kolejna rzecz, której wymaga miłość – pewnej scenografii, entourage'u. Zniknęły przestrzenie, w których odbywały się rytualne spotkania i które budowały konieczną atmosferę. Studia czy kursy w dużej mierze są zdalne. Ale zniknęły też przestrzenie komercyjne, które służyły zapoznawaniu się i budowaniu związków. Jeszcze nie tak dawno w każdym większym mieście było mnóstwo klasycznych dyskotek i parę klubów studenckich. Dziś niemal zniknęły. Jest w Warszawie kilka klubów, gdzie można się pokazać, a przy okazji pokazania potańczyć, ale miejsc, w których rozgrywały się zdarzenia towarzyskie i można było kogoś poznać, dramatycznie ubyło. Znikają też przestrzenie do randkowania. Kino, które było randkową klasyką, ginie dobijane przez streaming i domową kanapę. Dokąd para ma pójść? Do galerii handlowej na kawę? Siedzieć w Arkadii i patrzeć sobie w oczy? Nie bardzo to sprzyja budowaniu intymności. Rytuał miłosny nie może się rozgrywać gdziekolwiek.

Miłości nie sprzyja też chyba fakt, że młodzi ludzie żyją dziś w o wiele mniejszych niż kiedyś środowiskach towarzyskich?

Ja bym to ujął brutalniej. Mamy dziś do czynienia z hiperhomofilią – z naszych szczelnych baniek wyrzucamy wszystkich, którzy nie są nami. Nie chodzi nawet o to, że szukamy sobie podobnych i zamykamy się z nimi w sieciowych, smartfonowych subświatach. Muszą być tacy sami, bo każde odstępstwo od bycia nami jest odbierane jako naruszenie godności, a nawet jako zagrożenie. Cała kultura kancelowania z tego wyrasta; ze zdumienia, że są jakieś inne poglądy, inne sposoby, myślenia, czucia, funkcjonowania. Statystycznie, to właśnie ludzie z pokolenia Z, urodzeni na przełomie wieków, najbardziej zamykają się w tych hiperhomofilnych światach. Z jednej strony Tinder daje im poczucie, że mają do wyboru miliony potencjalnych opcji, a tak naprawdę funkcjonują w szczelnie zamkniętych przestrzeniach. I wszystko, co poza ten świat wykracza, traktowane jest w kategoriach ryzyka. To oczywiście nie ułatwia otwarcia się na kogoś minimalnie od nas innego i poszukiwania partnera.

Przytacza pan badania, z których wynika, że najmniej zadowolone ze swoich związków są heteroseksualne pary z dziećmi. Lepiej wypadają pary bezdzietne czy homoseksualne. Jak interpretować te wyniki?

Związek, w którym pojawia się dziecko, traktowany jest jak praca jeszcze cięższa od pracy w związku bez dzieci. Przez dziecko człowiek nie śpi, zadłuża się, bo przecież wychowanie kosztuje. Dziecko utrudnia robienie kariery. Badania dotyczące satysfakcji w związkach robiono w czasie pandemii i tuż po niej. I rzeczywiście pary heteroseksualne z dziećmi to były pary o najmniejszej, statystycznie rzecz jasna, dozie satysfakcji i szczęścia. Postrzegały swój związek jako pole do pracy. Pracy, do której się wraca po pracy zawodowej; pracy nad dzieckiem, pracy nad utrzymaniem związku. Intymność i sfera reprodukcyjna są dzisiaj coraz bardziej kojarzone z ciężką robotą. A to powoduje spadek satysfakcji. Kiedy ludzie nie myśleli o tym w takich kategoriach, nie było im lepiej, ale lżej – satysfakcja ze związku była daleko większa.

Nie wiedzieli, że są niezadowoleni?

Nie chciałem tego tak ująć, ale mówiąc wprost – owszem. Miłość romantyczna i cała kulturowa otoczka z nią związana była

eprasa.pl 2d9fcd4723

Tomasz Szlendak
– socjolog, profesor na Wydziale Filozofii i Nauk Społecznych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, dyrektor Szkoły Doktorskiej Nauk Społecznych, autor kilkunastu książek, m.in. „Miłość nie istnieje". Zajmuje się badaniem przemian kultury i obyczajów.

© LESZEK ZYCH

swego rodzaju zasłoną. Partnerzy mniej myśleli o tym, co ich w związku boli, uwiera. Dziś silnie to odczuwają.

Pisze pan, że miłość romantyczna była parasolem, pod którym ludzie realizowali przeróżne potrzeby: seksualne, emocjonalne, potrzebę przyjaźni, intymności, zaufania. Teraz te potrzeby zostają rozdzielone, realizowane w różnych relacjach, takich jak wspomniany LAT czy relacje poliamoryczne. Widać to już w badaniach?

Widać punktowo. Wiemy, że w czeskiej Pradze około 4 proc. mieszkańców żyje w stałych parach, ale nie mieszkając razem; tworzą związki wizytowe. 5 proc. Berlińczyków żyje w relacjach poliamorycznych. Wielkie miasta stanowią ośrodki, gdzie te alternatywne formy związków zaczyna być widać. Ale to, co rośnie w miliony, to po prostu samodzielne gospodarstwa domowe i ludzie żyjący bez pary. Tęskniący za tym, żeby żyć z kimś, ale coraz mniej umiejący to robić. Przemiana obyczajów we wszystkich tych kierunkach będzie prawdopodobnie postępowała coraz szybciej.

A państwo polskie z uporem maniaka trzyma się tradycyjnej definicji małżeństwa. Z projektu o związkach partnerskich został jakiś kadłubek. Przecież prawicowi politycy znają z autopsji zdrady, rozwody, patchworkowe rodziny. Skąd ten opór?

Bo nasze życie wyobrażamy sobie jako najlepszy model dla wszystkich innych. To jest to nieszczęście. Gdyby byli racjonalnymi politykami, polityczkami, to by dostrzegli to, co z perspektywy całości systemu jest niezbędne. A niezbędna jest duża doza tolerancji dla rozmaitych modeli bycia razem, po to, żeby rodziły się dzieci. One mogą przychodzić na świat w różnych modelach związków. To mogą być małżeństwa, ale też samodzielne matki czy ojcowie albo pary homoseksualne. Hipokryzją ze strony systemu jest niedostrzeganie, że modele bycia razem i rodzicielstwa mocno zmieniają swoją formę. Daleko odbiegają od tradycyjnej rodziny. Ale jeśli zapytać Polkę czy Polaka na ulicy, czym jest rodzina, to nadal usłyszy się, że to mama, tata i dzieci. Choćby połowa z nich już nie wychowywała się w takim modelu, bo np. ojca w domu w ogóle nie było.

Panuje u nas specyficzny obyczajowy konserwatyzm wynikający z przekonania, że świat zmienia się zbyt szybko, ze strachu przed tymi błyskawicznymi zmianami. To dlatego tradycyjne wyobrażenia rodziny tkwią nawet w głowach osób, które nie prowadzą tradycyjnego stylu życia. A co dopiero w głowach konserwatywnych polityków, którzy wyłącznie do takiego modelu dążą. Wyobrażają sobie, że cały świat tak ma, wszyscy w takich związkach żyją. A jeśli nie żyją, to na pewno by chcieli i trzeba po prostu im w tym dopomóc, poprzez jakąś restytucję czy rekonstrukcję starego świata. To się nie uda. Wynika to z badań statystycznych dotyczących związków, publikowanych choćby przez Główny Urząd Statystyczny. Politycy ich chyba nie czytają. Prześlepiają to po prostu.

Ale chyba trudno prześlepić własny rozwód czy afery obyczajowe wybuchające na prawicy?

A może paradoksalnie najłatwiej. Myślę, że część ludzi, nie tylko w Polsce, ogarnia jednak przerażenie, kiedy dociera do nich świadomość skali zmian. Doznają dysonansu poznawczego, widząc, że coraz więcej ludzi wokół nie żyje w modelu, który wyobrażają sobie jako właściwy, normalny, zwyczajny. I ten strach decyduje o kurczowym trzymaniu się tradycyjnych, niezmiennych schematów czy modeli życia. Do tych niezmiennych schematów należało wyobrażenie, że związek to jest zawsze mężczyzna i kobieta. I że zawsze dążą do posiadania dzieci, że wszyscy chcą je mieć. Odrzucają myśl, że tak wcale być nie musi i coraz bardziej tak nie jest. To kurczowe trzymanie się dawnych obyczajów i przekonania, że kiedyś było lepiej, łagodzi ból powodowany przez coraz szybciej pędzący świat.

Według socjologa – obawy koalicji rządzącej przed wszelką obyczajową kontrowersją są słuszne?

Mogą okazać się słuszne. Bywa, że nawet osoby, które deklarują progresywne poglądy, w wyobrażenia o życiu rodzinnym mają wbudowaną pewną dawkę konserwatywnej hipokryzji. W sensie – możesz żyć z mężczyzną czy kobietą, jak tam chcesz, ale na papierze niech zostanie, jak jest. Przecież widać, że ludzie żyją w różnych modelach związków. Że nie wszyscy chcą mieć dzieci, w tym znacząca część kobiet. Ale co innego życie, a co innego wyobrażenia o jego właściwym sposobie. W pewnym sensie rozumiem zatem obawy polityków.

Z życiem rozmijają się też deklarowane wartości. Coraz mniej ludzi bierze ślub, coraz więcej małżeństw się rozpada, a rodzina nadal okupuje szczyt hierarchii wartości. Zastanawiam się, czy gdy takie deklaracje składają ludzie młodzi, nie mają na myśli rodziny pochodzenia?

Ja się nawet nie zastanawiam. Ja to wiem. Dla nich to rodzina pochodzenia jest wartością. W młodym pokoleniu widać rosnącą niechęć do wyprowadzania się z domu. Między nimi a ich rodzicami, ale też pokoleniem dziadków panuje generalnie duża solidarność międzygeneracyjna. Często deklarują, że to rodzice są ich najlepszymi przyjaciółmi. I bardzo to sobie cenią. O zakładaniu własnej rodziny albo nie myślą wcale, albo odkładają to na dużo później.

ROZMAWIAŁA JOANNA PODGÓRSKA

eprasa.pl 2d9fcd4723

Wchodzimy w nowy cykl polityczny z kruszącym się starym podziałem i nabierającymi rozpędu nowymi konfliktami. Przed nami pierwszy od dawna rok bez kampanii wyborczej, chociaż zapewne będzie równie burzliwy jak jego poprzednik.

10 pytań o 2026 rok

RAFAŁ KALUKIN

ILUSTRACJA **MAX SKORWIDER**

Coraz trudniej niestety o trafione polityczne prognozy. Rok temu o tej porze wszystko przecież wskazywało, że to Rafał Trzaskowski sięgnie po prezydenturę, co otwierało pole do spekulacji, jak obóz władzy zdoła wykorzystać zwycięstwo. Szanse Karola Nawrockiego wydawały się na tyle mizerne, że nie było specjalnego powodu pochylać się nad tym kandydatem. Wystarczało ogólne przekonanie, że przegrane wybory byłyby dla koalicji polityczną katastrofą i kresem nadziei na odbudowę demokratycznego ładu.

Ale dzisiaj to Nawrocki jest prezydentem, podczas gdy o istnieniu jego niedawnego rywala zapomniała chyba nawet macierzysta formacja. Tyle że rządzącym sufit jakoś nie zwalił się na głowę. Pomimo klęski koalicja wydaje się wręcz żywotniejsza, lepiej poukładana, pewniejsza siebie. I wszystko się zmienia jak w kalejdoskopie. Jeszcze niedawno to Jarosławowi Kaczyńskiemu winszowano politycznego instynktu, podczas gdy Donaldowi Tuskowi wieszczono schyłek przywództwa. Teraz płynnie zamienili się rolami.

Współczesną politykę coraz trudniej ogarnąć rozumem, gdyż sama żywi się głównie emocjami. Zazwyczaj negatywnymi: oburzeniem, gniewem, rozczarowaniem. Zmienność jest zatem wpisana w jej naturę. Być może do najbardziej nawet oczywistych dzisiaj scenariuszy należałoby więc podchodzić z dystansem, bo życie niewątpliwie przyniesie nam niejedną niespodziankę.

Oto dziesięć kluczowych pytań na 2026 r.

Po pierwsze: jaka będzie główna oś politycznej polaryzacji?

Dzisiaj najważniejszym frontem polskiej polityki jest rywalizacja premiera Tuska z prezydentem Nawrockim. Co wynika już z samego mechanizmu ustrojowego, który obydwa ośrodki władzy wykonawczej wyposaża w kompetencje, nie oferując zarazem zachęt do współpracy. Decyduje więc kalkulacja czysto polityczna. Tusk rywalizuje głównie z Nawrockim i *vice versa*, gdyż jednemu i drugiemu to się po prostu opłaca.

Premier konsoliduje w ten sposób swoje polityczne zaplecze. Koalicyjne partie właściwie przestały się spierać o widoczność własnych projektów, skupiają się na tym, jak się obronić przed prezydenckimi wetami, a najlepiej zapędzić Nawrockiego w pułapkę. Jak w przypadku niedawnej ustawy łańcuchowej, wzmocnionej dodatkowym sejmowym głosowaniem nad odrzuceniem weta. Formalnie przegranym, ale faktycznie wygranym, gdyż udało się raz jeszcze skupić uwagę opinii publicznej na deficycie empatii głowy państwa. Zapewne czekać nas będzie niejeden taki spektakl. Nawrocki również nie abdykuje z roli głównego

eprasa.pl 2d9fcd4723

oponenta rządu. Wynika ona głównie z jego ambicji podporządkowania sobie całej prawej strony, która znajduje się dzisiaj w przebudowie.

Po drugie: czy Karol Nawrocki okaże się sprawnym politykiem?

Do tej pory był głównie pewny siebie. W kampanii prezydenckiej pomogło mu to wyjść z najgorszych tarapatów, kiedy nic sobie nie robił z odkrywanych plam w jego życiorysie. Podobnie po objęciu urzędu, kiedy koalicja rządząca pogrążyła się w chaosie, a premier skupił się na odbudowie autorytetu. Dynamiczna inauguracja prezydentury miała utrwalić dotychczasową dynamikę, ale tak się nie stało.

Zawrót głowy od sukcesów? Chętnie mówiący o sobie w trzeciej osobie prezydent najwyraźniej uwierzył, że reprezentuje uogólnioną wolę narodu, chociaż wygrał z minimalną przewagą. Nie wykonał ani jednego gestu pod adresem tych, którzy nie odnajdują się w schemacie radykalnej prawicy. Podobnie zresztą zignorował oczekiwania bardziej umiarkowanych wyborców z obu stron podziału, którzy oczekują wyłączenia polityki zagranicznej i bezpieczeństwa spod logiki politycznego konfliktu. Przy okazji przecenił siłę prezydenckich narzędzi, którymi nie jest w stanie skutecznie dyscyplinować rządu i wymuszać posłuszeństwa. Na koniec okazało się, że twardym blokowaniem prezydent szkodzi głównie samemu sobie.

Po najbliższych decyzjach powinno się wyjaśnić, czy Nawrocki potrafi wyciągać wnioski z błędów, czy też jest tylko politycznym osiłkiem na wiecznej ustawce. Jeżeli to drugie, najpewniej będzie dalej rozgrywany przez dużo bardziej doświadczonego premiera, co pogłębi chaos na całej prawicy.

Po trzecie: czy Jarosław Kaczyński odbuduje pozycję prawicowego władcy?

Po ostatnich wyborach popełnił jeden z największych błędów w karierze. Pomylił się w zasadniczej diagnozie, przypisując główną zasługę sobie. Najwyraźniej uznał, że wygrana Nawrockiego była efektem kolejnego sprytnego manewru, jak dekadę wcześniej z Andrzejem Dudą. Prezesowi umknęło, że Nawrocki wygrał jako kandydat buntu przeciwko starej politycznej hierarchii, której symbolami byli wspólnie Tusk z Kaczyńskim. Co już samo w sobie świadczyło o słabnięciu PiS.

Błędna diagnoza pociągnęła za sobą chybioną strategię. Po wyborach wydawało się, że wahadło polityczne trwale przechyliło się na prawą stronę i wynik wyborów parlamentarnych w 2027 r. właściwie jest przesądzony. Już nawet podległy rządowi państwowy aparat zaczynał się orientować na przyszłą koalicję PiS-Konfederacja. Gdyby ten stan potrwał jeszcze parę miesięcy, koalicja znalazłaby się na równi pochyłej. Ale Kaczyński, zamiast popracować nad jego utrwaleniem, osobiście go zburzył, idąc na wymianę ciosów z Konfederacją. Której zresztą nie zdołał sobie podporządkować, wikłając się w wyniszczającą wojnę pozycyjną na drugorzędnym froncie i przy okazji obniżając własną kategorię wagową. Chcąc nie chcąc, uwiarygodnił tym samym pozycję Nawrockiego jako przyszłego arbitra.

Najwyraźniejszym skutkiem słabnięcia przywództwa Kaczyńskiego jest dzisiejsza wojna frakcji w PiS. Dla tradycyjnego wyborcy tej partii to zjawisko deprymujące, starsi pewnie przypominają sobie wielką smutę prawicy z lat 90. I wydaje się, że nikt już nie panuje nad partyjną narracją, bo każda ze skłóconych frakcji ciągnie w swoją stronę. A nieumiejący nad tym zapanować prezes okazuje się bezradny. Jeżeli nie znajdzie szybko sposobu na opanowanie wewnętrznego kryzysu, PiS nadal będzie gubić swoich wyborców kosztem prawicowych alternatyw.

Po czwarte: gdzie znajduje się sufit Grzegorza Brauna?

To główna zagadka sezonu. Najradykalniejszy odłam prawicy utrzymuje się w trendzie rosnącym. Braun jest beneficjentem kryzysu przywództwa Kaczyńskiego, ale też metody Prezesa – zachodzenia prawicowej konkurencji od skrajnej flanki. Przez lata ona działała, ale dziś więcej wskazuje na to, że radykalizując przekaz, PiS dodatkowo legitymizuje antysystemową narrację Brauna, ośmielając część swoich zwolenników do zaprzyjaźnienia się z gaśnicą.

Koalicji rządzącej za bardzo to nie martwi, a nawet można odnieść wrażenie, że delikatnie stara się wzmacniać niekorzystny dla Kaczyńskiego trend. Widmo ultraradykała u władzy z pewnością konsoliduje demokratyczny elektorat. Za to sam Braun docelowo może się wydawać łatwiejszy do ogrania niż PiS. Bardziej jest happenerem niż politykiem. Jego ruch to gabinet osobliwości, po którym przechadzają się ponure postaci pokroju mordercy Janusza Walusia, rosyjskiego agenta wpływu Mateusza Piskorskiego czy groteskowego patocelebryty „Jaszczura".

Wydawać by się zatem mogło, że istnieją granice prawicowego szaleństwa. Ale czy tak jest w istocie? Dzisiaj nawet tradycyjna prawica nie bardzo rozumie fenomen Brauna, próbując go izolować od zdrowego jądra, a zarazem całkiem się nie odcinać. Wpływowy w prawicowych środowiskach prof. Andrzej Nowak usiłował go niedawno skojarzyć z historycznym elektoratem nostalgii za PRL, co jest dziwacznym tropem. Autorzy z kręgu Klubu Jagiellońskiego traktują go z kolei jako bohatera nowej kontrkultury. Tyle że Braun przede wszystkim pozostaje produktem ideologicznej radykalizacji głównego nurtu prawicy. Wszystkie zawarte dotąd w jej narracjach dwuznaczności, niedopowiedzenia i mrugnięcia okiem wygłasza w dosadnej formie. Jego potencjalny rezerwuar głosów może być zatem dosyć pojemny. Jest lustrem, w którym odbija się zamęt naszej epoki.

Po piąte: jak prawdopodobny rozejm w Ukrainie wpłynie na polską politykę?

Jedną ze sprężyn poparcia Brauna jest lęk przed rozlaniem się wojny. Co może się wydawać irracjonalne w przypadku polityka, który tak ostentacyjnie bagatelizuje rosyjskie zagrożenie. Ale jego zwolennicy nie bawią się w geopolityczne zawiłości i nie analizują scenariuszy na przyszłość. Ich rozumowanie jest równie proste jak perswazje Donalda Trumpa: wojna jest zła, a pokój – dobry. Choćby miał to być tylko zgniły rozejm, który w istocie otwiera pole do kolejnej agresji.

Chwilowe zmniejszenie napięcia w naszym sąsiedztwie mogłoby więc nieco uspokoić nastroje w kraju, osłabiając najbardziej skrajne nurty. Ale pod warunkiem że Rosja odejdzie od agresywnej retoryki, na co się przecież nie zanosi. Z drugiej strony ewentualne wygaszenie działań zbrojnych pewnie będzie skutkować rosnącymi problemami społecznymi, kiedy do osiadłych już w Polsce ukraińskich rodzin zaczną dołączać cierpiący na PTSD frontowi weterani. Wtedy mobilizacja antyukraińska może dodatkowo przybrać na sile, premiując Brauna oraz zepchniętą ostatnio w cień, ale mocniej osadzoną w prawicowym elektoracie Konfederację.

Po szóste: czy Donald Trump odbije się naszej prawicy czkawką?

Czas ideologicznego zauroczenia chyba już minął i coraz silniej ujawnia się nonsens nacjonalistycznych międzynarodówek. ▶

eprasa.pl 2d9fcd4723

▶ Rywalizacja narodowych egoizmów ostatecznie zawsze okazuje się grą o sumie zerowej, w której silniejszy zyskuje kosztem słabszego. Badania opinii już pokazują rosnącą ambiwalencję prawicowych elektoratów w ocenie amerykańskiego prezydenta, którego mięty do Putina nie jest już w stanie zamaskować nawet propaganda.

To szczególny problem dla prezydenta Nawrockiego, obnoszącego się wcześniej ze swoimi specjalnymi relacjami z Trumpem, a dzisiaj bezradnego, kiedy Tusk z Sikorskim apelują, żeby poskromił zapędy swojego przyjaciela z Waszyngtonu do robienia zgniłych biznesów z Kremlem. I chociaż trudno się spodziewać, żeby tresowany w antyniemieckości lud prawicowy dał się przekonać do orientacji proeuropejskiej, przynajmniej teoretycznie powinien trzymać na dystans otwartych zwolenników polexitu. Zresztą ich dyżurne tematy, takie jak sprzeciw wobec imigracji i Zielonego Ładu, zdają się ostatnio tracić na znaczeniu. Do czego przyczynił się również premier Tusk, który coraz umiejętniej potrafi takie lęki neutralizować.

Po siódme: czy koalicja rządząca utrzyma w swoich rękach inicjatywę?

Dzisiaj zawdzięcza to szeregowi czynników, które dosyć przypadkowo zbiegły się w czasie: niedoświadczeniu Nawrockiego, słabości Kaczyńskiego, nieobliczalności Trumpa. Sprzyjają też niezłe wskaźniki makroekonomiczne, w znacznej mierze będące skutkiem inwestycji z KPO. Tyle że jest jeszcze druga strona tej monety w postaci ogromnego deficytu budżetowego i rosnącego długu.

Wiele więc będzie zależeć od realizmu przyjętych w budżecie założeń. Co nie zmienia faktu, że rząd nie ma większego wpływu na międzynarodowe ratingi oraz kurs złotego, a niewykluczone wahnięcia w obu tych obszarach mogą zachwiać naszymi zdolnościami pożyczkowymi. Każdy poważniejszy kryzys, który będzie skutkować obniżeniem bezpieczeństwa (np. przegrupowanie rosyjskich wojsk w pobliżu naszej granicy, zaostrzenie wojny hybrydowej, atak terrorystyczny), może więc sprzyjać ucieczce zagranicznego kapitału z Polski.

A bez względnej choćby stabilności ekonomicznej koalicja pod komendą Tuska raczej nie będzie w stanie kontynuować politycznej ofensywy, której paliwem są dzisiaj przyspieszające rozliczenia rządów PiS oraz konfrontacje z Nawrockim. Powrócą za to na pierwszy plan troski materialne, których zaspokojenie stanie się bardzo trudne. Chyba że w pakiecie lęków silniejszy okaże się mimo wszystko strach przed rosyjską agresją, co akurat sprzyjałoby ośrodkowi rządowemu.

Oczywiście najkorzystniejszy byłby scenariusz względnej stabilności. Rywalizacja na prawicy z pewnością nie wygaśnie, co koalicji może tylko sprzyjać. Mając wreszcie rok bez wyborów, dostaje ona sporo czasu na ponowne ułożenie się i znalezienie optymalnej konstrukcji na kolejne wybory.

Po ósme: czy blok demokratyczny przetrwa do 2027 r.?

Koalicja Obywatelska raczej utrzyma stan posiadania, może nawet trochę urośnie. Jej zwolennicy nie mają alternatywy, a przy konfrontacyjnym Nawrockim i rosnącym Braunie nie należy też spodziewać się ich demobilizacji. Trudniej ocenić potencjał samego Tuska. Czy zdecyduje się zostać twarzą swojej formacji w kolejnej kampanii? Dzisiaj pewnie nawet by się nie zastanawiał, ale rok to szmat czasu w polityce. Jeżeli pojawi się potrzeba wskazania zmiennika (Sikorskiego? kogoś spoza politycznego układu?), za rok dyskusja powinna już kiełkować.

Stosunkowo niezłe są widoki Lewicy, która musi jednak wyraźniej zdystansować Razem, żeby zmusić konkurencję do ponownego wystawienia wspólnych list. Co akurat dzisiaj wydaje się mało prawdopodobne, nawet jeśli Adrianowi Zandbergowi nie udało się podtrzymać trendu z kampanii prezydenckiej (jak choćby Braunowi). Pozycji Włodzimierza Czarzastego z pewnością jednak nie pomoże fotel marszałkowski.

Źródłem niestabilności pozostaną partie do niedawna tworzące Trzecią Drogę. Polska 2050 wydaje się skazana na obumieranie, niezależnie od nowego przywództwa. Jesienią pewnie zacznie się więc otwierać okno transferowe dla posłów tej partii. Pół biedy, jeśli ruch ograniczy się do strefy koalicyjnej, gdyż migracje na drugą stronę mogą się skończyć utratą większości.

A co z PSL? Organicznie ta partia już nie urośnie. Ludowcy na razie pozostaną lojalnym koalicjantem, ale zarazem będą się przyglądać ruchom na scenie, szukając partnera na wybory. Najbardziej oczywistym, choć najmniej pożądanym, jest oczywiście KO. Inne opcje są raczej iluzoryczne, chociaż Stronnictwo z pewnością by się nie zmartwiło, gdyby scenę partyjną zasiliła jakaś świeża krew.

Po dziewiąte: czy pojawią się nowe ugrupowania?

Spektakularna klapa Hołowni mogła zniechęcić potencjalnych start-upowców, bo na razie nikt się nie ujawnia z ambicjami. Ale jeśli pojawi się ruch w interesie, to najwcześniej jesienią.

Nieustannie wisi w powietrzu mityczny projekt samorządowców. Tym bardziej że procedowany w Sejmie projekt ustawy znoszącej dwukadencyjność władz lokalnych nie ma dzisiaj większości i zapewne zostanie odrzucony. A to oznaczałoby „uwolnienie" sporej grupy ambitnych włodarzy. Scenariusz ich wyborczego sojuszu wydaje się jednak mało prawdopodobny. Trudno jest zrobić sprawną drużynę z samych tylko indywidualistów, a już szczególnie bez dobrego kapitana. Naturalny lider „partii samorządowej" Trzaskowski chyba już wygasił aspiracje do odgrywania poważniejszej roli i najpewniej kolejnym etapem jego kariery będzie Parlament Europejski.

A może kolejna formacja prawicowa? Mateusz Morawiecki daje do zrozumienia, że jeśli nadal będzie marginalizowany w PiS, gotowy jest rzucić papierami. Dla formacji Kaczyńskiego byłby to scenariusz koszmarny, gdyż skołowani wyborcy PiS mogliby już całkiem zwątpić w trwałość tradycyjnego bastionu prawicy. Tyle że Morawiecki na swoim odejściu kariery też raczej nie zrobi, z czego powinien zdawać sobie sprawę.

Po dziesiąte: kiedy populizm zacznie wytracać impet?

To pytanie za sto punktów... Bo z jednej strony zaostrza się licytacja na prawicy, polityczna komunikacja coraz mocniej grzęźnie w polaryzujących trybach cyfrowych algorytmów, a jeszcze demokraci sami żyrują populistyczne narracje. Z drugiej świat zdaje się zmierzać do geopolitycznego przesilenia i wypadałoby mieć nadzieję, że polskie elity mimo wszystko stać na minimum odpowiedzialności i zdolności współdziałania.

Obserwując niedawno symboliczne wyprowadzenie Okrągłego Stołu z Pałacu Prezydenckiego, trudno jednak o optymizm. Historyczne doświadczenia poprzedniczek III RP też zresztą nie są szczególnie pokrzepiające. Ale jeśli powinniśmy sobie czegoś życzyć na nowy rok, to najbardziej chyba właśnie tego: żebyśmy się nie zatracili w tej naszej politycznej wojnie, zanim nie będzie za późno. Niech chociaż raz Polak okaże się mądry przed szkodą.

RAFAŁ KALUKIN

eprasa.pl 2d9fcd4723

Autentyczność, atencja, akcja!

Politycy coraz częściej stawiają na media społecznościowe, tak teraz się komunikują z wyborcami. Widać, że z czasem sami wierzą, że rzeczywistość jest właśnie tam. Jak zatem wygląda ta nowa polityka, jej przekazy, reguły i narzędzia?

Karol Nawrocki u Krzysztofa Stanowskiego w Kanale Zero

© YOUTUBE KANAŁ ZERO

ANNA DĄBROWSKA, MICHAŁ TOMASIK

W mediach tradycyjnych o selekcję tematów i jakość treści dbają wydawcy, redaktorzy i redaktorki, w mediach społecznościowych ich rolę odgrywa algorytm. Dokonuje specyficznego wyboru skrojonego pod każdego użytkownika, bazując na jego wcześniejszej aktywności – w tym na przyznawanych lajkach, obserwowanych profilach czy tzw. kciuku, czyli zatrzymaniu się podczas scrollowania w reakcji na przykuwający uwagę materiał. Wyobraźmy sobie autobus, w którym każdy z 50 pasażerów wpatrzony jest w telefon: każdy z nich dostaje w tym czasie 50 różnych opowieści o świecie – na które składają się newsy, podkasty, polecane wpisy czy wideo. Wbrew postępującej antropomorfizacji algorytmu wciąż nie potrafi on ocenić wartości – ani tym bardziej prawdziwości – treści. Stąd jednym z ważniejszych kryteriów jest nasza reakcja (kciuk).

To zaś sprawia, że wizyty polityków w mediach tradycyjnych często stają się jedynie występem na scenie, w którym dziennikarz jest zbędnym dodatkiem, bo chodzi głównie o to, by z telewizyjnych czy radiowych nagrań wyciąć co lepsze fragmenty na rolki w socjalach. Pojawienie się w znanej ogólnopolskiej stacji ma tylko dodać politykowi wagi i powagi – bo skoro go zapraszają, znaczy, że jego głos się liczy. Ci, którzy źle wypadają, kiedy są dociskani przez dziennikarzy albo dostają trudne pytanie, wolą kręcić rolki w zaciszu swoich gabinetów, w których nikt im nie powie, że mijają się z prawdą i żadne dane nie potwierdzają tego, co mówią.

– *Prawda jest taka, że telewizja mi nie da takich zasięgów, jakie dają mi moje rolki, i to w grupie, na której mi wyborczo zależy. Do tego mam nad tym kontrolę* – przyznaje polityk partii opozycyjnej, słynący z tego, że „ogarnia socjale". Dodaje, co jest już oczywistością, że najskuteczniej przyciągają treści emocjonalne i kontrowersyjne; że ludzie lubią tę bezpośredniość i doceniają, kiedy polityk odpowie na ich komentarz, wejdzie w jakąś interakcję. – *Politycy banalizują przekaz, dostosowują się do niskich standardów mediów społecznościowych i normalizują zachowania, które powinny być uznawane za aspołeczne. Bo algorytmy to lubią i tego, mam wrażenie, nie da się już zatrzymać* – mówi dr Krystyna Gielarek-Gorczyca. Polityka wkroczyła w świat teatru emocji, w którym jej przedstawiciele stają się aktorami i reżyserami jednocześnie. Polityk jednej czy drugiej partii publikuje wpis, a my reagujemy: oburzeniem lub aprobatą. Dla algorytmu wiralem będzie treść popularna, niekoniecznie jednak prawdziwa. Odpowiednio świadomi politycy będą budować trwałe narracje, serwować nam odcinki rozciągniętego na kadencje serialu i rozbudowywać postać bohatera, którym sami są.

Skojarzenie polityka reżysera nasuwa się samo. Grzegorz Braun umacniający się w sondażach, ostatnio dających mu dwucyfrowy wynik, misternie tworzy opowieść buntownika, który sprzeciwia się prawu i porządkowi proponowanemu przez resztę świata. Postać buduje się od *physis*, i Braun o tym wie: broda i okulary dodają powagi, czarna teczka o nieznanej zawartości tajemniczości, a niski głos – aury i charyzmy. Bohater musi być nam bliski, więc reżyser chętnie wchodzi w interakcje z wyborcami, nie unikając jednocześnie konfrontacji z wrogami.

Jako buntownik jest także bezkompromisowy: raz wyniesie „eurokołchozową" choinkę z budynku sądu, innym razem otworzy w Sejmie gaśnicę. Nikt nie wie, jakich może się spodziewać zwrotów akcji, więc... czeka na kolejny odcinek – co w kinematografii ma nawet swoją nazwę: *cliffhanger* (dramatyczny moment). W napięciu oczekuje, co scenarzysta znów wymyśli. W budowaniu wspólnoty wykorzystuje się symbole (jak np. Szeroki Front Gaśnicowy) czy język („eurokołchoz" to Unia Europejska), który jednocześnie dodaje atrakcyjności przekazowi. Dalej kula toczy się sama. Najlepsze riposty się powiela, obrazki przerabia na memy, a kultu dopełnia mądrość lidera, który obok entourage'u sufluje rozwiązania przedstawionych problemów.

Na żywo

Tę lekcję odrobił też nowy prezydent. Kilka dni po zaprzysiężeniu Karol Nawrocki powołał swoją doradczynię ds. nowych technologii, funkcję tę objęła Magdalena Hajduk, która zajmowała się tym obszarem w IPN. W Pałacu Prezydenckim obok biura prasowego powstało biuro mediów cyfrowych. Hajduk pisała pracę magisterską ▶

eprasa.pl 2d9fcd4723

▶ na temat „Sposobów i charakterystyki targetowania przekazu reklamowego w Internecie". – *Karol otoczył się ludźmi, którzy „potrafią w internetach". Może dzięki nim bardzo bezpośrednio, pomijając media tradycyjne, które mu nie sprzyjają, kreować swój wizerunek* – mówi polityk PiS.

Prof. Anna Siewierska, politolożka z Uniwersytetu Rzeszowskiego, zwraca uwagę, że otoczenie prezydenta dobrze rozumie, na czym polega personalizacja polityki, którą media społecznościowe bardzo wzmacniają. Ten trend będzie coraz bardziej widoczny. – *To publicyści i eksperci, rozmawiając o polityce, używają sformułowań typu „frakcja", „koalicja" czy „ugrupowanie", patrzą bardziej całościowo. Natomiast przeciętny człowiek raczej utożsamia politykę z konkretnymi osobami: Tuskiem, Kaczyńskim czy Nawrockim, ma ona dla niego bardziej personalny wymiar. Stąd też Polacy od lat wyżej cenią sobie tych, którzy biorą na siebie osobistą odpowiedzialność* – tłumaczy profesor.

Ta odpowiedzialność powinna się kojarzyć z siłą, co otoczenie prezydenta rozumie niekiedy wręcz dosłownie – stąd w tych opowieściach kreujących wizerunek Nawrockiego tyle jest historii o siłowni i boksie (i filmików z treningów!). Ale co ważne, ten „twardziel" nie może zarazem stracić kontaktu z rzeczywistością, ze „zwykłymi ludźmi", więc często też przypomina i podkreśla: „Jestem jednym z was i doszedłem do prezydentury ciężką pracą, aby was reprezentować". Bo polityk ma być blisko. I wiele wskazuje na to, że będzie bliżej, ale i tu trzeba uważać, by nie przesadzić.

Na Zero

W ostatnim roku popularne stały się *live streaming*, dające bezpośredni kontakt z widzami, bez sztywnych ram tradycyjnych mediów. Tego typu formaty będą zyskiwać na znaczeniu. Politycy to wiedzą. Premier Donald Tusk wystąpił w październiku w podkaście Kuby Wojewódzkiego i Piotra Kędzierskiego, gdzie usłyszał kilka trudnych pytań, choć prowadzący raczej nie kryli sympatii. Z kolei prezydent w mikołajki poszedł na długą rozmowę do Kanału Zero, gdzie mógł liczyć na jeszcze bardziej cieplarniane warunki – przyjemne pytania prowadzącego Krzysztofa Stanowskiego, milionowa, przychylna widownia, do tego możliwość, aby widzowie, którzy się dodzwonią, mogli porozmawiać z Nawrockim na żywo. Widać było, że Nawrocki usilnie próbuje się kreować na „normalnego gościa", który kocha sport i zwierzęta.

W międzyczasie do studia miała zadzwonić pierwsza dama i poprosić Stanowskiego, aby przekazał Nawrockiemu, żeby poprawił koszulę, bo się źle układa. „To kto rządzi w tym kraju? Moja żona nadaje na słuchawkę do Stanowskiego" – zaśmiewał się prezydent. Przed Nawrockim wystąpił zaś prezydencki kucharz, który miał wzmocnić przekaz o normalnym człowieku. Zapytany, czego prezydent nie lubi jeść, odpowiedział: „Nie ma takiej rzeczy. (...) Jest taki jak my – taki jak ja, taki jak ty. Jest wspaniałym, zwykłym, naprawdę zwykłym człowiekiem, który ciężką pracą doszedł tam, gdzie dzisiaj jest, i nie ma dla niego rzeczy, które są niedobre. Zje tak naprawdę wszystko". Nawet widzowie Kanału Zero uznali, że zabrakło w tym wszystkim umiaru, że „przegrzano" z „autentycznością" i wyszło sztucznie (czemu dali wyraz w komentarzach: „Nawet kucharze uprawiają propagandę", „Reklama prezydenta", „Wstyd"). Całe to mikołajkowe przedstawienie jest dobrą ilustracją tego, na co zwraca uwagę prof. Siewierska: że ta internetowa bezpośrednia komunikacja polityczna sprzyja infantylizacji – i to zjawisko rośnie na niebywałą skalę.

Grzegorz Braun i jego polityczny gadżet

Specjaliści od marketingu od lat wiedzą, jak ważny jest archetyp marki, zrozumienie „kim jesteś". To pomaga budować spójną komunikację i opowieść o marce – taką, która wywołuje u konsumentów emocjonalną reakcję i sprawia, że są gotowi zapłacić za firmowane przez nią produkty lub usługi. Ale też działa na wyobraźnię i pozwala się utożsamić ze znanymi osobowościami. „Niegrzeczne" firmy stawiają na postać Buntownika (znany również jako Rewolucjonista), który gra wbrew zasadom. Dlatego perfumy Dior reklamuje Johnny Depp, a wódkę Belvedere – Daniel Craig. Uczelnie, media i serwisy informacyjne chcą być Mędrcem (Mediator) niczym Stephen Hawking czy Albert Einstein. To ich twarze pojawiają się w sieci przy „mądrych" cytatach. Branża kreatywna dąży do magicznej roli Czarodzieja (Wizjoner), który spełnia oczekiwania, nawet nieuświadomione, a marki premium dowodzą statusu insygniów Władcy (Obrońca).

Coraz więcej polityków rozumie, że musi stać się archetypem. To ważne szczególnie teraz, kiedy komunikacja polityczna przeniosła się do mediów społecznościowych. Archetyp pomaga politykowi, bo przekłada złożone polityczne reguły w prostą opowieść i jasno określa jego rolę. Algorytmy to wzmacniają, a użytkownicy szybko rozumieją i emocjonalnie *szerują*. Najbardziej pożądane pod kątem zdobywania popularności w socialach są te cztery archetypy: Obrońca, Wizjoner, Mediator i Rewolucjonista. Wielu świadomie buduje swój główny archetyp i do tego wspiera się jakimiś pomocniczymi archetypami.

Donald Tusk to archetyp Mediatora, czyli polityka, który zarządza konfliktem, ale go nie eskaluje. Odwołuje się do „rozsądku", „normalności", „powrotu do reguł" i „praworządności". Jego narracja jest pragmatyczna: najpierw rozliczenia, przywrócenie standardów, a dopiero potem rozmowa o wielkich ambicjach i wizjach. Pomocniczy jest dla niego archetyp Obrońcy państwa prawa, demokracji czy UE przed chaosem i nadużyciami Rewolucjonisty Kaczyńskiego. Z jednej strony premier pokazuje twarz bezwzględnego sędziego, z drugiej troskliwego ojca narodu.

Z analizy struktury tematycznej, emocjonalnej i retorycznej komunikacji PiS (od września do grudnia 2025 r.) przeprowadzonej przez Europejski Kolektyw Analityczny Res Futura (fundacja zajmująca się badaniami i analizą mediów oraz bezpieczeństwa informacji w sieci) wynika, że dziś komunikacja tego ugrupowania opiera się na profilach trzech polityków: Patryka Jakiego, Mateusza Morawieckiego

© PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS, BARTOSZ BAŃKA/AGENCJA WYBORCZA

eprasa.pl 2d9fcd4723

i Dariusza Mateckiego. Bez nich zasoby komunikacyjne partii są mocno ograniczone. To oni mają największe zasięgi i budzą w swoich bańkach pozytywne emocje.

Jaki Obrońca

Różnicę między politykami PiS – nakręcającą od miesięcy spór w partii – można opowiedzieć, odwołując się właśnie do archetypów. Patryk Jaki jest Obrońcą, który używa retoryki silnie antyunijnej, antyliberalnej i antyelitarnej (z Facebooka Jakiego: „Półmetek rządów Tuska i komunistów. Zniszczony ustrój, gangsterskie metody, zadłużenie i niszczenie państwa"). W jego przekazach regularnie pojawia się sprzeciw wobec Zielonego Ładu, przymusowej migracji i ingerencji UE. Język europosła jest pełen permanentnego sporu, moralnego oskarżenia i ideologicznego alarmu. Słowem: broni „zwykłych" ludzi przed elitami, w trosce o ich dobro. Jaki mówi do osób przerażonych zmianami i pragnących zakryć rzeczywistość.

Zbliżony charakter ma działalność Dariusza Mateckiego, który jednak nakręca emocje i budzi przerażenie. Przygotowuje grunt pod rolę Obrońcy, sam nim jednocześnie nie będąc.

Mateusz Morawiecki przybiera inną twarz PiS – kojarzoną z 500 plus, inwestycjami i rozwojem. Chce być Wizjonerem, człowiekiem, który „dowozi", jest sprawczy i odpowiada na nieuświadomione pragnienia ludzi, dbając o ich wyobraźnię i aspiracje (CPK). On ma kojarzyć się z opowieścią o państwie jako krainie do zaprojektowania i zarządzania. Najbliższy jest mu język wykresów, strategii, prezentacji w PowerPoincie (z których podśmiewano się, gdy był premierem), horyzontu i „Polski przyszłości". W jego narracji państwo ma być silne, nowoczesne, odporne systemowo – gospodarczo, technologicznie, instytucjonalnie.

To komunikacja aspiracyjna, skierowana do umiarkowanego wyborcy, który chce stabilności, kompetencji i poczucia, że ktoś „trzyma ster". (Z FB Morawieckiego: „Obóz Prawa i Sprawiedliwości musi działać z determinacją, z planem, z pomysłem! Tak jak Real Madryt Ancelottiego nie możemy przyjmować piłek tylko wrzucanych na naszą połowę ze strony Tuska, tylko musimy sami narzucać niewygodne tematy, jak służba zdrowia czy edukacja!").

– *Dochodzi do pewnego rodzaju prywatyzacji politycznej: to nie partia jako całość pokazuje swoje aktywności, to pojedynczy jej przedstawiciele prowadzą intensywne działania w mediach społecznościowych, prezentując swoje zaangażowanie i wizję, w kierunku której powinna zmierzać partia* – mówi dr Krystyna Gielarek-Gorczyca z Uniwersytetu Rzeszowskiego.

Choć zasięgi budują popularność, to wcale nie jest powiedziane, że w dniu wyborów przełoży się ona na realne poparcie. Może pomóc, ale to miejsce na liście wciąż ma większe znaczenie. Matecki z 662 tys. obserwujących na FB, od dawna uznawany w PiS za „wymiatacza w socialach", w ostatnich wyborach z szóstego miejsca zdobył prawie 15 tys. głosów, a do Marka Gróbarczyka – 3,5 tys. obserwujących na FB – którego prezes PiS wpisał na pierwsze miejsce na szczecińskiej liście, zabrakło mu prawie 30 tys. głosów. A zatem: „lajki" nie zawsze wygrywają z „jedynkami".

Prezes i jego zaufany człowiek, poseł Leonard Krasulski

Zdjęcia Kaczyńskiego

Fatalistyczne wizje nie mogą przesłonić prozaicznej prawdy, że algorytm jest jedynie narzędziem i sposobem organizacji treści w mediach społecznościowych. Politycy mogą się go łatwo nauczyć – i wielu z nich już to robi, przy wsparciu specjalistów czy młodszych kolegów i koleżanek, dla których poruszanie się w świecie sociali jest naturalne.

Zmieniło się także podejście polityków do pracy w Sejmie i medialnych występów. Mównica coraz częściej traktowana jest jako scena, a telewizyjne występy służą produkowaniu skrojonych pod media społecznościowe rolek i potyczek z konkurencją. Efektem końcowym, i to się nie zmieni, pozostaje uzyskanie w dniu wyborów odpowiedniej liczby „iksów" przy swoim nazwisku. Tego żaden algorytm na razie nie zapewni.

Pozostają więc dobrze znane narzędzia wyborcze, jak choćby spoty. Narracja PiS z początku grudnia o zapaści w ochronie zdrowia nie zdominowała politycznej dyskusji, bo zabrakło jej odpowiedniego zobrazowania. Znacznie lepiej partia Kaczyńskiego poradziłaby sobie, przygotowując spot na wzór tego, który w 2005 r. wymyślił obecny wicemarszałek Senatu Michał Kamiński, wówczas spin doktor PiS. Produkty znikające z lodówki znacznie lepiej przemawiają do wyobraźni i emocji niż puste hasła o kolejnej „katastrofie".

W grudniu sieć obiegło zdjęcie rozmawiających w lubelskiej restauracji Jarosława Kaczyńskiego i Grzegorza Brauna. Obrazek okazał się tworem sztucznej inteligencji, to tzw. *deepfake*. Takie fałszywe nagranie wideo, audio lub obraz, stworzone lub zmodyfikowane przy użyciu AI, wygląda na bardzo wiarygodne. I takich zdjęć czy filmików jest coraz więcej.

– *To trend, który powinien nas bardzo niepokoić, bo ewolucyjnie jesteśmy tak skonstruowani, że jak coś widzimy, to uznajemy to za prawdę. Co więcej: nawet jeśli wiemy, że to jest fake, to i tak wywołuje w nas to pewne emocje i trudno się wobec tego zdystansować* – zauważa prof. Siewierska. Bo emocje wygrywają z racjonalnym myśleniem. Ludzie uznają, że w sumie mogłoby się to zdarzyć, a jeśli tak, to wywołuje to w nich określone odczucia, które wpływają na polityczne wybory i decyzje. To nie znaczy, że emocje przykrywają merytoryczną pracę. Te stanowią najważniejszy wsad, ale muszą być ładnie i ciekawie opakowane (sprzedane).

Na końcu weteranów polskiej polityki ratuje system wyborczy – czyli, jak już wspomnieliśmy, wysokie miejsce na liście. Dowodem, że „jedynki" dalej mają znaczenie, jest choćby poseł PiS Leonard Krasulski, który zasiada w Sejmie tuż za prezesem Jarosławem Kaczyńskim i pełni mandat już po raz szósty. W ostatnim swoim wpisie w serwisie X dziękował za poparcie: „Składam serdeczne podziękowania Wyborcom, którzy zaufali mojej osobie i oddali na mnie swój głos w wyborach do Sejmu RP". Post opublikował 27 października 2015 r. Dwie kadencje później podziękowania wciąż pozostają w mocy.

ANNA DĄBROWSKA, MICHAŁ TOMASIK

eprasa.pl 2d9fcd4723

Polityków myśli skrzydlate

Czasem wypsną się z nieostrożności, innym razem wynikają z zadufania i bezczelności, rzadziej są przykładem elokwencji. Słynne bon moty polityków nie tylko zapadają w pamięć, ale też dobrze pokazują, co naprawdę siedzi w ich głowach.

eprasa.pl 2d9fcd4723

© JACEK DOMIŃSKI/REPORTER, WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS, ROBERT STACHNIK/REPORTER, TADEUSZ PÓŹNIAK, ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER, PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS

MICHAŁ DANIELEWSKI

Gdyby zorganizować konkurs na najbardziej rozpoznawalną frazę polityczną, wielkie szanse na zwycięstwo miałoby zdanie: „Ja panu nie przerywałem!". To doskonały przykład przekonania o niezwykłej doniosłości tego, co ma się do powiedzenia i co koniecznie musi być wypowiedziane do samego końca. Ale od czasu do czasu politycy powiedzą coś, o czym rozmawiamy przez następne miesiące, a nawet lata. Bywa też, że skrzydlate frazy, wpadki, nieostrożne wyznania polityków pokazują to, co miało zostać ukryte – jak śpiewał Jacek Kleyff, „kto szczuł i co było grane".

Ciemny lud i lemingi

Szczególnym obiektem zainteresowania polityków, opiewanym regularnie w ich błyskotliwych wypowiedziach, jest polski lud, czyli grupa społeczna złożona ze „zwykłych ludzi", którzy mają tę cechę charakterystyczną, że nie mieszkają w warszawskiej dzielnicy Wilanów. Tę bowiem zasiedlają „lemingi", gatunek stadny, pusty w środku, popierający nie wiedzieć czemu liberałów i odwracający się od wyznawanych przez „zwykłych ludzi" tradycyjnych, patriotycznych wartości.

Doniosłe odkrycie tej nihilistycznej, konsumpcyjnej zbiorowości o powierzchowności Barbie i Kena opiewał w okładkowym artykule w lipcu 2012 r. nieistniejący już prawicowy tygodnik „Uważam Rze". Stworzona wtedy przez Roberta Mazurka kategoria „leminga z Wilanowa" szybko stała się jedną z ulubionych fraz prawicowych polityków, ale też z czasem w nieco zmutowanej formie pokonała ideologiczne bariery i zadomowiła się na lata w debacie politycznej jako „oczywista oczywistość" uznawana zarówno przez prawicę, jak i część lewicy oraz centrum. Polska dzieli się w tej opowieści na oderwane od realiów wielkomiejskie elity, żywiące się wyłącznie sojowym latte ze Starbucksa, oraz „zwykłych Polaków", co w trudzie, znoju i mitrędze wtaczają codziennie pod górę swój syzyfowy kamień. „Zwykli Polacy" występują też często pod kryptonimem ludu oraz suwerena, rzadziej występują jako drobni przedsiębiorcy.

Paradoksalnie przeciętnemu politykowi bliżej jest do stylu życia i wartości „leminga z Wilanowa" niż „zwykłego człowieka" z podkarpackiego bądź świętokrzyskiego miasteczka, w związku z czym nad ludem taki polityk pochyla się z uwagą i troską konkwistadora spotykającego Buszmena: nie idzie o to, by go zrozumieć, ale raczej omotać, przekupić lub w inny sposób wykorzystać do własnych celów.

Trendsetterem jest tu Jacek Kurski, który z wrodzoną sobie delikatnością postanowił w 2005 r. skłonić oporny lud do poparcia w wyborach prezydenckich Lecha Kaczyńskiego. W tym celu w końcówce kampanii zarzucił Donaldowi Tuskowi, że dziadek kandydata Platformy Obywatelskiej podczas wojny ochotniczo wstąpił do Wehrmachtu. Temat – jak to się brzydko mówi – zażarł w mediach, a zaczadzony tym sukcesem Kurski nieostrożnie miał wyznać poza anteną w poranku Radia TOK FM, że „z tym Wehrmachtem to lipa, ale jedziemy w to, bo ciemny lud to kupi".

Gdzie żyją zwykli ludzie?

Jak pamiętamy, Kaczyński ostatecznie z Tuskiem wygrał, ale czy dlatego, że ciemny polski lud dał się omotać bezwstydnym szczuciem na Niemca, to już nie takie pewne. Jednak słowa Kurskiego na dekady pozostaną najdoskonalszą definicją cynicznego paternalizmu, z jakim politycy są skłonni traktować wyborców. Podczas ostatniej kampanii prezydenckiej idealnie wpisał się w tę definicję poseł KO Przemysław Witek. Na pytanie w Polsat News, czy Rafał Trzaskowski poprze niektóre z postulatów Sławomira Mentzena, Witek z filuternym uśmiechem odpowiedział: „Cóż szkodzi obiecać?".

Nie zawsze jednak pochylanie się nad ludem ma charakter tak bezwstydnie ▶

eprasa.pl 2d9fcd4723

▶ merkantylny. Bywa, że polityk niczym dobroduszny antropolog odkrywa jakąś zależność lub prawo rządzące światem i postanawia podzielić się nim z publicznością. Tak było z Grzegorzem Schetyną, który w 2016 r., tuż po przejęciu władzy w Platformie Obywatelskiej, obwieścił w rozmowie z Markiem Migalskim: „Wybory wygrywa się w Końskich, a nie w Wilanowie". Czyli o wyniku wyborów decydują „zwykli ludzie" z małych miast, a nie wielkomiejskie „lemingi". W związku z tym – jak tłumaczył Schetyna – należy utrzymać w PO „konserwatywną kotwicę".

Refleksję należy docenić, ale ktoś złośliwy mógłby wskazać, że akurat Końskie, którego mieszkańcy regularnie głosują nie tylko dużo bardziej na prawo od reszty Polski, ale nawet na prawo od średniej w województwie świętokrzyskim, to w przypadku PO niekoniecznie najlepszy punkt odniesienia. A pomysł, że wystarczy mówić do wyborców PiS językiem przypominającym język PiS, żeby zyskać ich uznanie, nie okazał się politycznym gamechangerem. Dziś jedynym wymiernym skutkiem „prawa Schetyny" jest fakt, że Końskie chyba już na zawsze stały się symbolem prawdziwej Polski z małych miast w kontrze do wielkich aglomeracji, które Polski są tylko efektownym erzacem. I symbolem tym prawica skutecznie raz za razem okłada liberałów i lewicowców, co najboleśniej odczuł Rafał Trzaskowski podczas dwóch kampanii prezydenckich.

Kierownik się wściekł

Tu należy też nadmienić, że praca polityków dla ludu i w imieniu ludu bywa tak wyczerpująca, iż wysiłek ten domaga się odpowiedniego wynagrodzenia. Najdobitniej wyraziła to w 2018 r. Beata Szydło, która uzasadniając wielotysięczne nagrody dla członków swojego rządu, stwierdziła w Sejmie: „Te pieniądze im się po prostu należały". „Ci ludzie ciężko pracowali i pracują, po to, żeby wszyscy Polacy mogli cieszyć się z rozwoju Polski, a nie wybrane grupy interesów" – tłumaczyła, ale sondaże szybko pokazały, że niewdzięczny suweren ani harówki, ani zgrabnego bon motu nie docenił. Słowa Szydło stały się egzemplifikacją arogancji władzy. Chichot historii w przypadku polityczki, która w co drugim zdaniu recytowała wyuczoną frazę, że pieniądze na wszystko się znajdą, „wystarczy tylko nie kraść". Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka.

„Jarosław Kaczyński jest wściekły na Beatę Szydło" – donosił po wybuchu afery z nagrodami dziennik „Fakt". Domniemana wściekłość Kaczyńskiego i Tuska (w innych wersjach również prezesa bądź kierownika) stała się stałym elementem krajobrazu polityczno-medialnego. Jeśli wierzyć portalowym nagłówkom o wybuchach wściekłości tego lub innego lidera, należałoby im serdecznie współczuć, bo z częstotliwości doniesień wynika, że obaj panowie chodzą ciągle zdenerwowani. Od dwóch lat bardziej wściekły jest Tusk, ponieważ rządzi. „Tusk się mocno wściekł", „Dlaczego Tusk się wściekł?", „Tusk miał się wściec" – to pierwsze z brzegu tytuły, jakimi jesteśmy stale bombardowani.

Ta wściekłość liderów ma oczywiście swoją poręczną funkcję, która jest wariacją na temat popularnego toposu o dobrym carze i złych bojarach. W tym ujęciu ani Kaczyński, ani Tusk nie wiedzą prawie o niczym, co dzieje się na zapleczu ich formacji, a kiedy się już dowiadują, wtedy wpadają we wściekłość i robią porządek, co natychmiast ochoczo spinują w mediach ich partyjni podwładni. Choć można oczywiście zapytać, czy na pewno wściekłość wszechwładnych liderów dobrze świadczy o ich umiejętnościach doboru bojarów, to znaczy kadr.

Rewersem „wściekłości Tuska" jest „wina Tuska". Co ciekawe, nie ma tu symetrii – o ile fraza o „winach Tuska" przyjęła się dość powszechnie, zwłaszcza podczas drugiej kadencji rządów PO-PSL po 2011 r., to o „winach Kaczyńskiego" raczej się w takim ujęciu nie mówi. Być może świadczy to o większych zdolnościach pisowskiego aparatu propagandy, a może po prostu wynika ze sposobu sprawowania władzy przez prezesa Prawa i Sprawiedliwości, który unika bezpośredniej osobistej odpowiedzialności, wystawiając na pierwszy plan polityczne zderzaki w rodzaju Szydło czy Mateusza Morawieckiego. I tylko czasami bezceremonialnie na pierwszym planie wpycha się na sejmową mównicę „bez żadnego trybu". Kiedy się wścieknie, rzecz jasna.

Wpadki mimo woli

W katalogu bon motów, które okazały się kosztownymi politycznymi błędami, są zdania, które możemy określić jako zbyt prawdziwe w danym momencie. Zgodne z faktami, ale kłócące się rażąco z wrażliwością społeczną. Najsłynniejszym przykładem są tu oczywiście słowa ówczesnego premiera Włodzimierza Cimoszewicza, który podczas powodzi w 1997 r. stwierdził: „Potwierdza się, że trzeba być przezornym, trzeba być zapobiegliwym, trzeba się ubezpieczać". Co było zasadniczo prawdą, bo ubezpieczać się trzeba, ale w kontekście tysięcy ludzkich tragedii słowa Cimoszewicza stały się świadectwem braku empatii i bezduszności władzy.

Podobną komunikacyjną skuchę zaliczyła ministra infrastruktury Elżbieta Bieńkowska, która w obliczu wielogodzinnych opóźnień pociągów w styczniu 2014 r. stwierdziła w TVN24: „Pasażerom to można tylko powiedzieć jakby: sorry, mamy taki klimat, no niestety". Co półżartem, półserio, można też uznać za dowód zmian klimatycznych, bo 11 lat później spowodowane siarczystymi mrozami awarie zdarzają się coraz rzadziej. Słowa Bieńkowskiej przekształcone później w krótką frazę „Sorry, taki mamy klimat" błyskiem trafiły do popkultury, stając się pożywką dla memów, choć wypowiedź była w gruncie rzeczy niewinna. Trafiła jednak w czas rosnącego zmęczenia ekipą rządową, ilustrując dwa fenomeny, o których pisaliśmy wyżej: opowieść o oderwaniu elit od bolączek zwykłych ludzi oraz – jakżeby inaczej – „winę Tuska", bo Tusk w tym czasie był odpowiedzialny za wszystko. Do tej kategorii można też wliczyć słynne „pieniędzy nie ma i nie będzie" Jana Vincenta Rostowskiego z czasu pierwszych rządów Platformy – PiS potem usilnie udowadniał, że pieniądze były i będą.

Nie tak dawno mieliśmy jednak przykład na to, że taką komunikacyjną minę da się rozbroić. Gdy w maju 2024 r. wicepremier i szef resortu obrony Władysław Kosiniak-Kamysz wyznał w mediach, że od początku wojny w Ukrainie ma spakowany plecak ewakuacyjny, przez internet zaczęła przepływać fala drwin, że oto minister obrony jest tchórzem, który szykuje się do ucieczki w razie konfliktu zbrojnego. Jednak Kosiniak nie dał się zapędzić w kozi róg, konsekwentnie tłumaczył znaczenie plecaka ewakuacyjnego, a nawet osobiście pokazał go w Kanale Zero. Polityczną wpadkę przerobił w polityczny zysk.

Lider PSL wygrał z mechanizmem samonapędzających się społecznych emocji, co jest faktem godnym odnotowania,

eprasa.pl 2d9fcd4723

bo walka z wyjętymi z kontekstu wypowiedziami, powielanymi tysiące i miliony razy w mediach społecznościowych, to często pozbawiona szans na wygraną donkiszoteria. Wystarczy wspomnieć zdanie „Polskość to nienormalność" – wyjęte z dłuższego tekstu z miesięcznika „Znak" z 1987 r., jest od ponad dziesięciu lat wypominane Tuskowi i tak zapewne będzie przez następną dekadę. Bo brzmi wystarczająco złowrogo, a oryginału przecież i tak prawie nikt nie przeczyta. Podobnie jak nikt nie wysłucha całego przemówienia Tuska skierowanego do niemieckiej CDU, z którego TVP niezawodnego w takich chwilach Kurskiego wycięło słynne „für Deutschland".

Narzędzie stygmatyzacji

Bywają zabawne, znaczące, przypadkowe, opierają się na przekręcaniu znaczeń i sensów, ale są też frazy polityczne z premedytacją wypreparowane, by stygmatyzować i wskazywać cel ataku odpowiednio podburzonym odbiorcom. Tak było w kampanii prezydenckiej w 2020 r., gdy obóz PiS, walcząc o reelekcję Andrzeja Dudy, wziął na cel osoby LGBT. Tu nic się nie wypsnęło, nic nie było wpadką, wszystko było przygotowane pod hasłem „LGBT to nie ludzie, to ideologia".

Kandydat Duda najpierw podpisał Kartę Rodziny, w której obiecał „walkę z ideologią LGBT", a później ten przekaz wzmacniano obrzydliwą symfonią bliźniaczych, agresywnych komunikatów. Joachim Brudziński pisał, że „Polska bez LGBT" jest najpiękniejsza, a sam Duda wykrzykiwał podczas wiecu w Brzegu: „Próbuje się nam, proszę państwa, wmówić, że to ludzie, a to jest po prostu ideologia". Poprawiał po nim Przemysław Czarnek, mówiąc w TVP: „My sobie nie życzymy ideologii LGBT w szkołach, nie życzymy sobie ideologii LGBT na polskich ulicach, my sobie życzymy normalności!".

To nie był pierwszy raz, kiedy przekaz Prawa i Sprawiedliwości oparto na szczuciu. Bo i zrównywanie przez Brudzińskiego przeciwników PiS z „komunistami i złodziejami" („Cała Polska z was się śmieje!" z grudnia 2015 r.) i straszenie uchodźcami były świeże w społecznej pamięci. Niektórzy pamiętali też – dość łagodne z perspektywy lat – zawołanie Ludwika Dorna z czasów pierwszych rządów PiS: „Pokaż, lekarzu, co masz w garażu".

Subiektywny **ranking** bon motów i wpadek

1. **„Ciemny lud to kupi"** (Jacek Kurski) – klasyk w punkt opisujący cel politycznej propagandy
2. **„Für Deutschland"** (TVP Jacka Kurskiego) – obezwładniający bezczelnością przykład wyrwania wypowiedzi z kontekstu
3. **„Tusk się wściekł"** (wielu autorów) – przykład dyktatury nagłówków oraz infantylizacji debaty publicznej
4. **„Sorry, taki mamy klimat"** (Elżbieta Bieńkowska) – przykład wypowiedzi tak prawdziwej, że aż trzeba za nią przepraszać
5. **„LGBT to nie ludzie, to ideologia"** (PiS i Andrzej Duda) – zwiastun nowych czasów i sloganów wyprodukowanych, by budzić złe emocje
6. **„Cóż szkodzi obiecać"** (Przemysław Witek, PO) – pocieszający dowód, że w polityce wciąż jest miejsce na bezpretensjonalną głupotę
7. **„Pokaż, lekarzu, co masz w garażu"** (Ludwik Dorn, PiS) – dowód z pierwszych rządów PiS, że można szczuć z minimalną gracją
8. **„Pieniędzy nie ma i nie będzie"** (Jan Vincent Rostowski, PO) – potem PiS „udowadniał", że pieniądze są i będą
9. **„Spakowałem plecak ewakuacyjny"** (Władysław Kosiniak-Kamysz, PSL) – dowód, że można z tarczą wyjść z komunikacyjnego zakrętu
10. **„Ja bez żadnego trybu"** (Jarosław Kaczyński, PiS) – zdanie, które mogłoby posłużyć za całą biografię prezesa Kaczyńskiego

Ale nigdy wcześniej stygmatyzujący przekaz wymierzony w konkretnych, bezbronnych ludzi nie był tak otorbiony ciągiem technologicznym, tak zgrany i wzmocniony milionowymi zasięgami internetowych botów oraz podległych władzy mediów.

Zmierzch bon motu?

Nagonkę przeciwko osobom LGBT sprzed pięciu lat można potraktować jako początek nowej ery. Rok po roku w przestrzeni politycznej coraz mniej jest miejsca na spontaniczne wpadki, powiedzonka, a nawet – niech będzie – spontaniczny hejt. Przekaz polityczny staje się technicznym pasem transmisyjnym, przez który płynie wypreparowany z badań i testów strumień narracji stworzony pod konkretne potrzeby: kiedy trzeba – żeby się bać, kiedy trzeba – żeby drwić, kiedy trzeba – by skandować na cześć przywódcy.

Charakterystyczne, że z ostatniej kampanii prezydenckiej mimo mnogości debat oraz inflacji kandydatów trudno wyłuskać jakąś charakterystyczną, znaczącą wypowiedź. Z trudem możemy sobie przypomnieć Karola Nawrockiego definiującego dopuszczalny związek partnerski jako opiekę nad kombatantem albo Rafała Trzaskowskiego nieporadnie krzyczącego na wiecu do swoich przeciwników: „Uśmiechnijcie się, brygada, co tacy smutni jesteście". Niektórzy jeszcze pewnie wspomną Magdalenę Biejat mówiącą, że nie wstydzi się tęczowej flagi. I to wszystko. Poza tym byliśmy świadkami kilkumiesięcznego festiwalu powtarzalnych, wystudiowanych gestów, czerstwych żartów oraz tak samo na zimno wykoncypowanych obraźliwych, prowokacyjnych tyrad radykalnych kandydatów.

Aż strach to napisać, ale nie jest wykluczone, że w następnych latach – poddani tresurze algorytmów i treści politycznych tworzonych przez AI – jeszcze zatęsknimy za naturalną nieporadnością, chamstwem i lapsusami polityków sprzed lat. Choćby, czemu nie, za Elżbietą Kruk z PiS, która podejrzewana o lekki stan nieważkości, mówi w Sejmie słynne i bezpretensjonalne: „ja potrafię pracować dobrze, potrafię coś tam, coś tam...". I będziemy to wspominać jako złote a niewinne czasy debaty publicznej. Niestety, może tak być, mordy wy moje zdradzieckie.

MICHAŁ DANIELEWSKI

eprasa.pl 2d9fcd4723

Pierwsze loty za płoty

W tym roku w Polsce zarejestrowano rekordową liczbę pilotów dronów. Typowy pilot jest mężczyzną powyżej 35. roku życia mieszkającym na Mazowszu. Nietypowy też z reguły jest mężczyzną.

JULIUSZ ĆWIELUCH

Port Lotniczy im. Chaszczowej Łąki to drugie po Okęciu lotnisko w Warszawie. Oczywiście oficjalnie takiego lotniska nie ma, ale wtajemniczeni wiedzą, o co chodzi. To łąki pomiędzy Mostem Grota-Roweckiego a Centrum Olimpijskim.

W piątek 12 grudnia rano ruch w Porcie Lotniczym im. Chaszczowej Łąki był spory. Łąka jest bez opłat, więc obowiązuje zasada kto pierwszy, ten lepszy. Instruktorzy ze szkoły dronowej byli pierwsi, więc lepszy kawałek tym razem przypadł im. Instruktorzy założyli odblaskowe kamizelki, zaczęli rozstawiać drogowe pachołki, żeby oznaczyć strefę lotów. A na koniec wyciągnęli statki powietrzne. Na szkoleniu standardowa mieszanina praktyki z teorią. „Dużo gadania, mało latania" – jak krzywdząco komentują niektórzy na forach internetowych. Ale prawda jest taka, że lotnictwo nie wybacza błędów. A przepisy lotnicze drogi na skróty.

Wszystkim, co waży do 250 g, latać można po internetowym szkoleniu i bez formalności. Wystarczy jednak, że coś waży więcej niż 2,5 tabliczki czekolady i zaczyna się urzędnicza droga przez pozwolenia. Latanie poza zasięgiem wzroku to już właściwie heroizm. Tym bardziej że z końcem grudnia ważność straciły stare scenariusze takich lotów, a jeszcze 17 grudnia nie było nowych. Oczywiście dla cywilów, bo wojsko lata po swojemu. Dla właścicieli dronów był to więc rok przełomowy, ale nie o taki przełom im chyba chodziło. W 2025 r. państwo polskie z fazy wyrozumiałości płynnie przeszło do fazy karalności z grzywnami od 4 do 10 tys. zł. Jak choćby za lot bez zgłoszenia w cyfrowej aplikacji, co kiedyś najczęściej uchodziło na sucho.

W efekcie niektórzy na szkoleniu zdają się wiedzieć więcej, niż mogłaby na to wskazywać deklarowana praktyka. Ale słuchają karnie. To jeden z efektów ubocznych zaostrzenia przepisów.

Lata mi to

Kolejnym efektem ubocznym był nagły wzrost rejestracji operatorów dronów. Do końca listopada 2025 r. w Urzędzie Lotnictwa Cywilnego (ULC) dokonano rekordowych 120 089 rejestracji operatorów dronów. Wcześniej było ich ok. 67 tys. rocznie. To fenomen nie tylko na skalę kraju, ale całej UE. W tej statystyce bijemy na głowę nawet znacznie większy kraj, jakim jest Francja. Tam mają niespełna 149 tys. zarejestrowanych operatorów dronów, a w Polsce ogólna liczba rejestracji właśnie przekroczyła 430 tys. – *Ja to nazywam efektem sąsiada. Wcześniej latało się bez papierów, zgłoszeń i mało komu to przeszkadzało. Oczywiście dopóki zachowywało się rozsądek. A teraz nie zdążysz rozłożyć na dobre sprzętu, a sąsiedzi już dzwonią po policję. Sam się zarejestrowałem dopiero w tym roku, chociaż drona mam już dłużej. Dotychczas używałem go od święta, głównie dla zabawy, więc nie chciało mi się robić oficjalnego szkolenia* – mówi proszący o anonimowość fotograf z trzyletnim doświadczeniem w lataniu dronem.

Efekt sąsiada przypisuje społecznej histerii po wrześniowym nalocie ruskich dronów nad Polskę. – *Niby jest, jak było, ale czuję zmianę w podejściu. Kiedyś jak wznosiłem drona, to byłem raczej obiektem ciekawości, czasem może nawet zazdrości. Dziś raczej wrogości* – mówi nasz rozmówca. Do efektu sąsiada należy jeszcze dołożyć efekt szpicla – jak pogardliwie środowisko dronowe określa aplikację CoTuLata. Aplikacja, która powstała

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 2d9fcd4723

za pieniądze podatnika, formalnie miała pomagać podatnikom. Nie tylko w szybkiej identyfikacji dronów, ale również zgłaszaniu lotów nielegalnych – czytaj niezarejestrowanych w aplikacji DronTower, łamiących przepisy czy też wykonywanych w sposób ryzykowny. Tyle że procedura zgłaszania jest żmudna i wymaga sporej determinacji, włącznie ze zgłoszeniem na numer 112.

Środowisko nie zostawia na niej suchej nitki. A wszystkie jej mankamenty skwitował w jednym poście na FB inny fotograf Tadeusz Kordula: „Po pierwsze, zachęcam, żeby nie logować się do apki DroneTower. Nie zalogujesz się na DT, to nie jesteś na niej widoczny. Właśnie zrobiłem test na sobie, jaki ma to więc sens? Po drugie, procedura jest tak skomplikowana, że w tym czasie osoba zdąży wylądować i się zmyć. No i najważniejsze... blokowanie numeru 112 to zbrodnia. Ten numer służy do ratowania życia i zdrowia. To wszystko powoduje, że to chora, martwa dla Kowalskiego aplikacja".

Praca spada z nieba

Aplikacja CoTuLata w założeniu miała być również pomocą dla służb. Na przykład więziennych, bo przerzucanie narkotyków do zakładów karnych to gorący temat. Oficjalnie zimny, bo według statystyk Centralnego Zarządu Służby Więziennej w ciągu ostatnich 10 lat odnotowano dokładnie 10 zdarzeń „z użyciem bezzałogowych statków powietrznych na terenie zakładów karnych w całej Polsce". Ale to chyba więcej mówi o wykrywalności niż o skali zjawiska. W Wielkiej Brytanii problem jest już na tyle nabrzmiały, że główny inspektor służby więziennej wyznał na łamach dziennika „Guardian", że narkotyki wprost zalewają więzienia. A drony mają w tym swój wielki udział. Coś musi być na rzeczy i w Polsce, bo więziennicy testują właśnie systemy do detekcji, a nawet neutralizacji dronów.

Szmugiel kontrabandy dronami, głównie papierosów, to już temat z długą brodą. Wysoką specjalizację w tym zakresie osiągnęli Białorusini. Służby już w 2017 r. o pomoc w wykrywaniu przemytniczych dronów prosiły nawet wojsko. Okazało się to trudniejsze, niż myślano, i proceder trwał w najlepsze. Tym bardziej że dron zwracał się po jednym przemytniczym locie. Dopiero kryzys migracyjny popsuł przemytniczy biznes.

Niemniejszy problem służby mają z dronami, które zakłócają ruch lotniczy. Oficjalną statystykę takich zdarzeń ma Polska Agencja Żeglugi Powietrznej (PAŻP). Tyle że Agencja nie ma ochoty się nią dzielić. W efekcie wiadomo o tych sytuacjach, które były na tyle niebezpieczne, że zajęła się nimi Państwowa Komisja Badania Wypadków Lotniczych (PKBWL). A ta zajmuje się jedynie najgroźniejszymi. – *W 2025 r. PKBWL zarejestrowała 78 zgłoszeń. Te zdarzenia nie kwalifikowały się do badania przez PKBWL* – mówi Wiesław Wojtasiak z Komisji. Na dodatek PKBWL nie analizuje sytuacji, w których dron należał do służb albo do wojska.

W efekcie członkowie Komisji nie badali sprawy z 18 marca 2024 r., kiedy lecący z rumuńskiej bazy amerykański dron MQ-9 Reaper wyrwał się spod kontroli. Maszyna kilka godzin krążyła w okolicach Mirosławca, gdzie wypalała paliwo. A na koniec maszynę przyziemiono na odludziu. Nie zbadano również głośnej historii z 13 maja 2023 r. przy lotnisku Chopina, kiedy samolot PLL LOT z Poznania do Warszawy znalazł się na kursie kolizyjnym z dronem, który według załogi miał ok. 3 m rozpiętości skrzydeł. – *Nam, jak czasem żartuję, praca spada z nieba. W tej sprawie na szczęście nic nie spadło. Ale też nie było się na czym oprzeć, bo nikt nie ustalił, co to był za dron* – dodaje Wiesław Wojtasiak, członek PKBWL. Sprawą żyły więc głównie media. Podsycane kolejnym podobnym incydentem. 27 maja kolejna załoga lecąca w kierunku Okęcia zauważyła drona na trasie podejścia. Tym razem 40 km od lotniska.

Spraw z dronami przybywa. Ale głównie tymi należącymi do służb, bo to one prowadzą regularne i wymagające loty poza zasięgiem wzroku. 23 października 2025 r. na obrzeżach Inowrocławia dron spadł na samochód Poczty Polskiej. Służby odseparowały teren szczelnym kordonem, bo pierwsze podejrzenie szło w kierunku rosyjskiego drona wojskowego. Prawda okazała się dużo bardziej kłopotliwa. Rozbitą maszyną okazał się polski dron wojskowy Wizjer. Wypadek z ważącą 13 kg maszyną obył się bez ofiar w ludziach. Podobnie jak wszystkie inne, w których drony doświadczyły *fly away*, czyli nagłej utraty zasilania. Z raportu bezpieczeństwa EASA (Agencja Unii Europejskiej ds. Bezpieczeństwa Lotniczego) wynika, że w 2024 r. nie doszło do ani jednego śmiertelnego zdarzenia z udziałem bezzałogowych systemów powietrznych. Nawet zmasowany rajd rosyjskich dronów w nocy z 9 na 10 września obył się bez ofiar, co jest swoistym cudem. Tylko cuda mają to do siebie, że mają ograniczony termin przydatności do użycia.

Polskie Mercedesy

W kwestii dronów przez lata karty rozdawał Urząd Lotnictwa Cywilnego. A konkretnie Paweł Szymański, dyrektor Departamentu Bezzałogowych Statków Powietrznych. Szymański pracę w ULC zaczynał od okienka informacyjnego. Do departamentu bezzałogowców trafił po linii pasji. Dyrekcja ULC widziała, ▶

eprasa.pl 2d9fcd4723

▶ że jest zaawansowanym modelarzem, to dali go do dronów. Skończyło się na tym, że stanowisko, którym inni wzgardzili, jest dziś jednym z kluczowych w kraju. Co nie przekłada się za bardzo na apanaże ani zakres władzy. Piętnastu podwładnych dyrektora Szymańskiego potrzebowałoby pewnie z tysiąc lat, żeby skontrolować wszystkie podległe im podmioty, skoro rocznie robią ok. 50 kontroli. – *Dlatego staramy się być ze środowiskiem w symbiozie, a nie na zwarciu* – deklaruje Paweł Szymański.

Niedawno jego departament razem ze stołecznym ratuszem przeprowadzili akcję informacyjną, gdzie można latać w Warszawie. Powody były dwa. Po pierwsze, z lotów wyłączona jest spora część miasta. Głównie ta, gdzie mieszczą się ministerstwa, Kancelaria Prezydenta, Sejm i Senat, ale nie tylko. Po drugie, w Warszawie lata się intensywnie. – *Statystyczny operator drona jest mężczyzną, ma ponad 35 lat i mieszka na terenie województwa mazowieckiego* – streszcza wewnętrzną statystykę dyrektor Szymański. Mógłby jeszcze w ciemno dodać, że statystyczny użytkownik jest również posiadaczem drona chińskiej marki DJI. Bo na rynku są oni, a później długo, długo nic. Ale na pytanie, ile dronów jest w rękach, a właściwie w szafach Polaków, nawet dyrektor Szymański nie potrafi odpowiedzieć. Producenci i dystrybutorzy zazdrośnie strzegą tych danych.

Część maszyn to składaki domowej produkcji, bo technika ciągle jest jeszcze na tym poziomie, że w miarę rozgarnięty modelarz może zbudować własnego drona. Do tego dochodzi rynek wtórny, w tym polskie i zagraniczne portale aukcyjne. Próba policzenia byłaby obarczona błędem liczonym co najmniej w dziesiątkach tysięcy. Tym bardziej że sprzęt się szybko starzeje. – *W zasadzie po trzech, czterech latach większość modeli dronów komercyjnych jest już skazanych na śmierć technologiczną. Najpierw zaczyna brakować do nich części zamiennych, później producent przestaje oferować nowe oprogramowanie i siłą rzeczy trzeba kupić nowy model, co zresztą producentom i dystrybutorom jest bardzo na rękę* – mówi Michał Zawadzak, właściciel portalu Świat Dronów i autor książki „Drony. Aspekty prawne i zasady użytkowania".

Szybkie tempo wprowadzania nowych modeli na rynek to zresztą jeden z mechanizmów wycinania z niego konkurencji, która siłą rzeczy musi gonić liderów, czytaj: chińskie produkcje. – *O tym, jakie to trudne, boleśnie przekonał się amerykański producent kamer GoPro. Ich dron Karma boleśnie zderzył się z konkurencją i własnymi wadami* – opowiada Zawadzak. Najpierw okazało się, że maszyna miała tendencję do „uciekania". W internecie szybko pojawił się żart, że „karma nie wraca". Później okazało się, że Karma również spada w wyniku niekontrolowanej utraty mocy. Po 16 dniach od premiery produkt został wycofany z rynku, na którym chińskie drony objęły już niemal całkowite panowanie.

O tym, jak chińskie drony zdominowały polski rynek, najlepiej świadczy fakt, że w rozstrzygniętym właśnie przez wojsko przetargu na rekordową liczbę niemal 7 tys. małych bezpilotowców również wygrały oferty z chińskimi dronami. Rozbity na dwie części przetarg podzielili podobno między sobą dystrybutorzy chińskiego Autela i DJI. – *Mamy świadomość ograniczeń, które to za sobą pociąga, ale priorytetem było szybkie pozyskanie sprzętu i przeszkolenie jak największej liczby żołnierzy* – mówi generał Mirosław Bodnar, inspektor Wojsk Bezzałogowych Systemów Uzbrojenia. To najmłodszy rodzaj wojsk w polskiej armii. Właściwie ciągle raczkujący. Trudno się dziwić, że generał Bodnar robi, co może, żeby sprzęt wreszcie trafił do każdej jednostki. – *Zaletą tego zamówienia jest również fakt, że to stosunkowo proste i tanie drony. Żołnierze nie będą się bali ich obsługiwać, a dowódcy nie będą się martwić, że podwładni zniszczą sprzęt* – przekonuje gen. Mirosław Bodnar. Na sejmowej komisji obrony narodowej opozycja podszczypywała go za te zakupy. Generał przekonywał, że może i rzeczywiście żołnierze dostali do nauki Maluchy. Ale na kolejnym etapie latać już będą Mercedesami. I to wyprodukowanymi w Polsce i kupionymi od polskich firm.

GALERIA POLITYKI

MARTA FREJ

Tyle że obecnie żaden polski producent nie był w stanie sprostać tak dużemu zamówieniu. Między innymi dlatego, że klienci indywidualni, ale też państwo, od lat stawiają na chińskie konstrukcje. I tak koło niemocy się zamyka. – *Państwo deklaratywnie wspiera polski przemysł. Za czasów PiS był nawet narodowy program Żwirko i Wigura, który miał stawiać na rozwój dronów. O programie nikt już nie pamięta. Podobnie jak o wielu polskich firmach, które próbowały wejść w produkcję rodzimych konstrukcji* – mówi Sławomir Kosieliński, organizator Droniady i niestrudzony propagator robotyki powietrznej. Chińskie firmy zawojowały świat, bo nie jest tajemnicą, że są na gigantycznym dopalaniu rządowych dotacji. Polscy producenci muszą radzić sobie sami.

Aj aj DJI

Jeden z głównych dystrybutorów DJI ma swoją siedzibę w Rybniku. Firma nie zdecydowała się odpowiedzieć na żadne z zadanych przez redakcję pytań. – *Kiedyś to właściwie był sklep modelarski. Zatrudniali chyba trzy czy cztery osoby. Dziś są sponsorem tytularnym lokalnej drużyny żużlowej* – opowiada jeden z byłych klientów rybnickiego potentata. Firma urosła na sukcesie DJI. – *Pod względem łatwości obsługi, prostoty, niezawodności wycięli niemal całą światową konkurencję. Tym bardziej że cenowo też zostawiają innych w tyle* – mówi Michał Zawadzak.

Najświeższa premiera, czyli dron Neo 2 waży 150 g i może wznieść się do 120 m. Mieści się w większej kieszeni. A sterować nim można choćby za pomocą prostych gestów rękoma. Dron z zestawem trzech akumulatorów i padem do sterowania kosztuje nieco ponad 1800 zł. Jeszcze kilka lat temu więcej kosztował dron zabawka dla dziecka. Zresztą w Polsce dronami mogą latać

eprasa.pl 2d9fcd4723

nawet dzieci, pod warunkiem że ukończyły 16 lat. Bardziej profesjonalny dron to koszt rzędu 5 tys. zł, czyli tyle, co dobrej klasy smartfon. Dla jednych dużo, dla innych grosze, stąd m.in. gwałtowny wzrost liczby operatorów.

DJI ma w Warszawie sklep. Kiedyś można tam było przyjść i nie tylko pooglądać, ale nawet polatać dronem. Pan Marek przyszedł z synem. Syn ma 16 lat. – *Tak, interesuję się dronami. I zastanawiam się, czy by nie pójść do wojska. A tam to wiadomo, że lepiej pracować z dronem, niż siedzieć w okopie* – mówi.

Maciek, na oko 20 plus, przyszedł po konkretny model. Tyle że bez konkretnych pieniędzy. Drona chciałby kupić na raty. – *Mówią, że to dobry fach w ręku. Konkretnie to jeszcze nie wiem, co bym chciał nim robić. Ale najpierw na pewno poznać, trochę się pobawić, ogólnie oswoić z techniką* – mówi. Mógłby pójść do policji; do WOT z papierami na drona biorą z otwartymi ramionami.

Rok 2025 droniarze żegnają bez żalu. – *Przepisy może nie wniosły jakichś rewolucyjnych zmian, nie licząc drakońskich kar i licznych opłat za czynności administracyjne wprowadzone znowelizowaną ustawą Prawo lotnicze. Ale przy okazji wprowadziły sporo zamieszania. Z kolei część z nich, jak obowiązkowe ubezpieczenie OC dla operatorów, jest prawnym bublem, a o konieczności zmiany rozporządzenia dotyczącego OC mówili ostatnio w Sejmie sami przedstawiciele resortu infrastruktury* – mówi Zawadzak.

Obowiązkowe ubezpieczenia to świeży temat. Funkcjonują od 13 listopada 2025 r., a już trwają prace nad nowelizacją tego rozporządzenia. – *Przepisy są tak skonstruowane, że w przypadku złamania prawa przez operatora poszkodowany nie dostanie żadnej rekompensaty od ubezpieczyciela. To tak, jakby fakt, że kierowca doprowadził do kolizji, wjeżdżając na skrzyżowanie na czerwonym świetle, wykluczał możliwość wypłacenia odszkodowania poszkodowanemu w tym zdarzeniu* – tłumaczy Zawadzak. Choć nowe prawo nie dotyka większości posiadaczy dronów w Polsce, bo obowiązuje tylko tych używających maszyn powyżej wagi 250 g, to przepis jest masowo hejtowany. – *Co do zasady, pomysł z ubezpieczeniem jest dobry. Tylko źle wymyślony i wdrożony* – podsumowuje Zawadzak.

Piarowo w dronach jest pół na pół. Podczas pożarów nad Biebrzą droniarze odwalili kawał roboty, niejako kierując akcją ratowniczą. Dzięki danym z kamery termowizyjnej strażacy jak na dłoni mieli zarzewia ognia tlące się w podziemnych warstwach torfowiska. – *W potencjał dronów uwierzyłem już kilka lat temu. Moim zdaniem za dwa, trzy lata mało która jednostka wyjedzie na akcję bez drona* – mówi Zbysław Kurczyński, strażak z OSP w Augustowie. Kurczyński wie, co mówi, bo ich jednostka już sobie nie wyobraża, żeby ratować ludzkie życie bez wsparcia z góry. – *Pojechaliśmy do pożaru hali maszyn rolniczych. Ognia było mało, ale zadymienie okropne. Jak tylko poderwaliśmy maszynę, to jak na dłoni było widać, gdzie musi pójść cały wysiłek. Bez maszyny ktoś musiałby tam wejść i narażać swoje życie* – dodaje Kurczyński.

W MSWiA na drony patrzą łaskawym okiem. Chcą masowo szkolić nie tylko zawodową straż, ale też ochotniczą. Na razie w Państwowej Straży Pożarnej mają więcej chęci niż konkretów. Na początku roku PSP pochwaliła się raportem, że stworzona już została struktura do implementowania bezzałogowców. Powołany został krajowy koordynator, którym został Marcin Klecz. Pod niego podlega 16 koordynatorów wojewódzkich. Ale sprzętowo szału ciągle nie ma. W całej PSP na koniec roku było zaledwie 181 dronów. Samorządowcy też chcą mieć swoich ludzi z dronami. O tym, że ich kompetencje mogą się przydać nie tylko w czasie pokoju, nikt głośno nie mówi. Ale nie musi, bo każdy wie, o co chodzi. No i tutaj zaczyna się to drugie dno, które najbardziej psuje dronom PR.

Maciej Poschwald, jeden z najlepszych pilotów dronów na łące przy siedzibie PKOl

© JULIUSZ ĆWIELUCH

Straszny, nieprzyjemny

Dźwięku startującego drona nie da się z niczym pomylić (zresztą sama nazwa pochodzi od ang. *drone* – warkot, brzęczenie). Jest z kategorii nieprzyjemnych. W decybelach to zaledwie 65, w porywach do 85. Ale widać w grę wchodzi coś jeszcze, bo z rozmów wynika, że ludzie tego dźwięku po prostu się boją. Kiedy dron jest już kilka metrów nad ziemią, dźwięk staje się przyjemniejszy, bo niemal znika. Znika nawet sam dron, zwłaszcza na tle ołowianego grudniowego nieba. Gdyby nie migające małe światełka można by pomyśleć, że drony już dawno zniknęły. Dlatego m.in. są takie groźne.

Kiedy szkolenie na łąkach pod Centrum Olimpijskim trwa w najlepsze, na drugim kawałku łąki swoje zabawki rozkłada Maciej Poschwald, jeden z najlepszych pilotów dronów w Polsce. Zaledwie po czterdziestce, ale już emerytowany zawodnik wyścigów dronowych. Emerytowany na siłę, bo jego dyscyplina w zasadzie rozpłynęła się w niebycie. Najpierw dopadła ją pandemia covidu, a później brak sponsorów, których ciężko było przekonać do wykładania pieniędzy na sport, który po wybuchu wojny w Ukrainie przestał się kojarzyć ze sportem ekstremalnym. A zaczął być kojarzony z czymś ekstremalnym.

Ale umiejętności Poschwalda zostały i polska kinematografia wzbogaciła się o wyjątkowego operatora. Jego drony są ręcznej roboty, co powoduje, że są niezwykle zwrotne i szybkie. Poschwald lata w goglach FPV (First Person View – z widokiem pierwszej osoby), bo jego sprzęt pozbawiony jest elektronicznych stabilizatorów, GPS-ów i programów, które zadbają o to, żeby krytyczny błąd człowieka nie okazał się krytycznym momentem dla sprzętu. Tylko on sprawia, że rozpędzony do 120 km na godzinę dron nie rozbija się o pierwsze drzewo.

To, co widzi on, mogę podglądać i ja, tyle że na ekranie małego iPada. Trudno powiedzieć, czy to do czegoś przydatne. Już kilka sekund po starcie niebo miesza się z ziemią, tym bardziej że tego dnia są w podobnej tonacji. Dopiero kiedy dron wzbija się jakieś 20 m, przez chwilę można nacieszyć się panoramą miasta. Miasta, które równie szybko kurczy się do rozmiarów ciemnego, migającego kłębka mieniących się obrazów. Zamiast szukać jakichś punktów na ekranie, próbuję zlokalizować słuchem coś, czego właściwie nie mogę ogarnąć wzrokiem. I wtedy na monitorze pojawia się moja sylwetka. Gwałtownie większa i większa. Czuję, jak momentalnie pocą mi się dłonie, jak zasycha mi w gardle. Na wojnie w Ukrainie też to pewnie tak wygląda. Chyba że operator wyhamowuje, bo ma jeszcze ochotę nasycić się czyimś śmiertelnym przerażeniem.

JULIUSZ ĆWIELUCH

eprasa.pl 2d9fcd4723

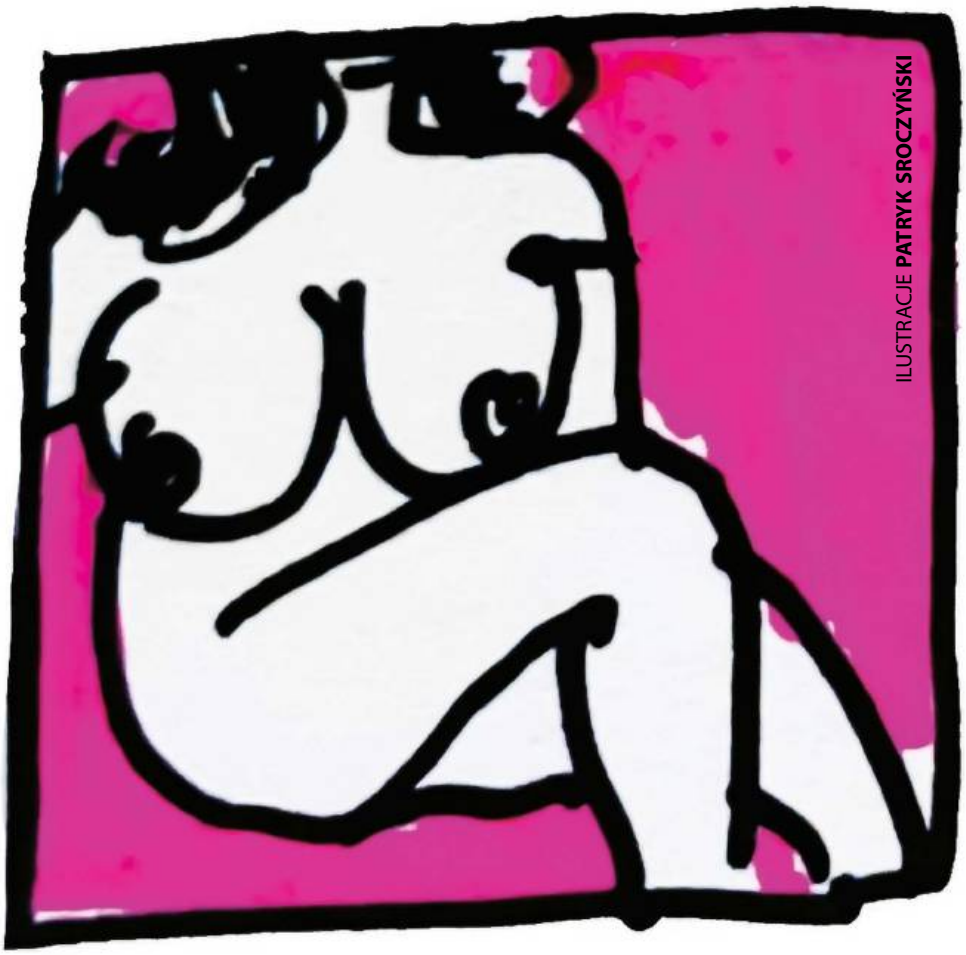

ILUSTRACJE **PATRYK SROCZYŃSKI**

Jacek Lewinson, historyk seksualności, leksykograf o tym, czy polszczyzna jest uboga erotycznie, jak kobieta zastąpiła dziwkę i co to znaczy glądzie.

Biustwo, czyli boski biust

KATARZYNA KACZOROWSKA: **– Muszę od tego zacząć: lubi pan świntuszyć?**

JACEK LEWINSON: – Oczywiście, a pani nie?

Oj… Chyba się zaczerwieniłam.

Ludzie czasami się ze mnie śmieją, że zajmuję się akurat takim tematem, ale ja tak odpoczywam. Ktoś chodzi po górach, inny gra w piłkę nożną, a ja siedzę w słownikach i szukam.

Taki, nie przymierzając, archeolog językowy?

I odkrywca. Z tą różnicą, że nie szukam materialnych artefaktów, zajmuję się wyłącznie językiem – czy też raczej antropologią i historią seksualności. Język jest ich częścią. Grzebię więc w starych słownikach, czytam książki, do których od 50 czy 100 lat nikt nie zaglądał. I mam z tego przyjemność, a to naprawdę dużo.

Wciąż panuje przekonanie, że polszczyzna w sferze erotycznej jest ordynarna albo medyczna. A pan już w 1999 r. powiedział, że to nieprawda. Za swój pierwszy „Słownik seksualizmów" polszczyzny dostał pan Nagrodę „Literatury na Świecie". I blisko 30 lat później wrócił do tematu. Dlaczego?

Bo mam misję edukacyjną. (*śmiech*) Wtedy wydawało mi się, że skutecznie odczarowałem fałszywe przekonanie o braku erotyzmu w polszczyźnie, ale jak widać stereotypy są wyjątkowo trwałe, bo wróciłem do tematu i znów staram się przekonać użytkowników naszego języka, że jest przebogaty w tej sferze.

Kochanowski w jednej z fraszek przekonywał, że „im kot starszy, tym ogon twardszy". Morsztyn napisał „Nagrobek kusiowi": „Leżysz, kusiu, nieboże, i emońskie zioła/ Zwieszonego pewnie by-ć nie podniosły czoła,/ Nic cię wyprawnej ręki nie ruszą pieszczoty;/ Leżysz, a pan twój wiecznej pełen stąd sromoty".

A podczas obiadów czwartkowych u króla Stasia goście wcale nie dyskutowali o reformach i przyszłości Rzeczpospolitej. Owszem, czytano na głos, ale różnej jakości dzieła pornograficzne tłumaczone na zlecenie jego królewskiej mości. Staropolszczyzna, a potem oświecenie to okres bardzo rozerotyzowany językowo. Generalnie jednak nasz stosunek do seksualności, wyrażanej poprzez słownictwo, obyczaje czy prawo podlegają interwałowym zmianom. Najpierw jest rygoryzacja, potem liberalizacja, i znowu rygoryzacja.

Słowem, sinusoida.

Tak, u nas liberalizacja działała do XVIII w. W XIX w. śruba została dokręcona wszędzie – Zachód wszedł w epokę wiktoriańską. Tyle tylko, że potem tam cyklicznie następowało luzowanie gorsetu, a u nas wciąż byliśmy ściśnięci tą sznurówką.

Według Noama Chomsky'ego język jest podstawowym systemem porządkującym rzeczywistość. Kiedy coś nazywamy, nadajemy temu czemuś formę. Jaka była seksualna forma w staropolszczyźnie?

Cały czas ścierały się dwie siły, z jednej strony był naturalny pęd do tego, by opisywać rzeczywistość, czyli to, co widziano, jak chociażby kopulujące zwierzęta. I mówiono o tym otwarcie. Z drugiej strony był silny nacisk ze strony Kościoła, który dążył do tabuizacji tej sfery, zgodnie ze słowami św. Augustyna. Autor „Wyznań" powiedział przecież, że konieczność zmusza nas do mówienia o rzeczach wstydliwych otwarcie, a wstyd, by jednak je omawiać oględnie.

Są takie słowa, które pana zachwycają jako badacza, bawią?

eprasa.pl 2d9fcd4723

Powiedziałbym, że to są różnego rodzaju zdumienia związane z celnością językową, sytuacją, anegdotką. To jest największa nagroda dla badacza za żmudne przeszukiwanie tekstów, kiedy coś odkryje.

Dla czytelnika też. Dla mnie takim odkryciem były „Dzienniki" Iwaszkiewicza, w których otwarcie pisał o swojej miłości do Jurka Błeszyńskiego, ale też, że pozwolę sobie zacytować fragment przypisu: „mogłem chędożyć Czesia Miłosza w celi Konrada w klasztorze bazylianów"… Żeromski swoje dzienniki chciał zabetonować przed czytelnikami.

Co było o tyle śmieszne, że prowadził podwójne literackie życie. W jego prozie nie ma scen erotycznych, są jakieś niedopowiedzenia, wszystko jest zawoalowane. Ale w prywatnych zapiskach opisuje swoje masturbacje. I co tu kryć, miał z tym straszny problem. Podobny problem zresztą miał też św. Augustyn, który pisał, że widocznie nie jest prawdziwie dobrym chrześcijaninem, skoro nie może zapanować nad swoim popędem. Przyznawał się też do tego, że syna począł z konkubiną, a nie prawowitą małżonką, że tę kochankę wyrzucił na żądanie swojej matki, zresztą też świętej – Moniki. A synowi dał imię Adeodatus, czyli dany od Boga, bo był, o czym pisze w „Wyznaniach", wypadkiem przy pracy, czyli konsekwencją błędnego obliczenia dni płodnych i niepłodnych.

„Angielsko-polski słownik seksualizmów…" – te 1200 stron pisał pan z myślą o pisarzach, dla własnej zabawy czy w ramach obalania przekonania, że polszczyzna jest erotycznie uboga?

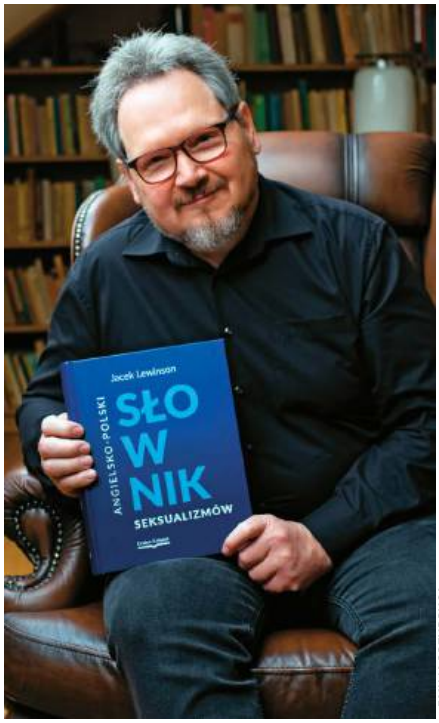

© EMILIA PRZYDRYGA

Jacek Lewinson, księgarz, leksykograf, historyk seksualności. W 1999 r. wydał „Słownik seksualizmów polskich", był członkiem zespołu autorów „Wielkiego słownika ortograficznego PWN z zasadami pisowni i interpunkcji" wydanego w 2003 r., w 2024 r. wydał „Angielsko-polski słownik seksualizmów. Katalog propozycji". W przygotowaniu do druku jest historia kulturowa abstynencji seksualnej.

Zacznę od końca – wydawało mi się, że poprzez „Słownik seksualizmów polskich" z 1999 r. udowodniłem, że nie jest uboga. Co do tego najnowszego, drugiego już, słownika – miał być odpowiedzią na inne pytania.

Jakie?

Kiedy już ustaliłem, że jest narzędzie i mamy jak się tym narzędziem posługiwać, to chciałem sprawdzić, czy to narzędzie, a więc słownictwo erotyczne, jest lepsze, gorsze, mniejsze, większe, słowem inne niż to, jakim dysponują Rosjanie, Czesi, Anglicy, Francuzi i inni. Najprościej było mi to zrobić z angielskim.

A odpowiedź brzmi?

To są narzędzia całkowicie porównywalne. Mogą być troszeczkę różne z oczywistych powodów, bo jest np. inny klimat czy inna struktura społeczna, ale co do jakości i zasobu, to są zbiory porównywalne.

Z pana słownika można się dowiedzieć, że praktycznie wszędzie kobiece piersi porównywane są do owoców. Jakich – zależy od strefy klimatycznej.

Bo ludzie patrzą na jabłka czy granaty... W Polsce nie rosną kantalupy czy owoce chlebowca. Więc nasze porównania będą nieco inne.

W przypadku męskiego narządu języki sięgają po odniesienia do konkretnych przedmiotów, głównie do broni i narzędzi rolniczych. To nazewnictwo odzwierciedla podziały społeczne i ich ewolucję?

Chodzi pani o to, że jeśli męski narząd porównywany jest do broni i do narzędzi rolniczych, to język pozycjonuje mężczyznę jako zdobywcę, który czyni sobie ziemię, czyli kobietę, poddaną? A kobiece piersi porównywane do owoców odnoszą się do owocowania, a więc dawania życia?

Dokładnie.

Powiem pokrętnie: i tak, i nie. Jeżeli chodzi o genitalia męskie, to od zawsze nasza kultura jest kulturą penetracyjną. Tak było w czasach antycznych, u starożytnych Greków i Rzymian, tak było później. Seks to jest to, co mężczyzna robi kobiecie, a nie to, co oni robią razem. I widać to w języku. Seksualizmy bardzo rzadko są inkluzywne. Bo nie da się mowy wtłoczyć w sztucznie narzucone ramy. Jeśli jest zmiana, to w zwrotności, a więc *pierdolę ciebie*, *pierdolę się*. Takie porównania są wszędzie takie same. Sprawdzałem angielski, czeski, rosyjski, słowacki. Tak samo jest we francuskim, greckim, gdziekolwiek spojrzymy. Różnica będzie, ale wynika ze strefy klimatycznej. My mówimy, że Ewa zerwała w raju jabłko z drzewa wiadomości dobrego i złego, choć najprawdopodobniej był to granat albo figa. A co do przywołanych przez panią już piersi kobiecych, to nie ma w języku specjalnych odniesień dotyczących karmienia, laktacji, zdecydowanie dotyczą one kształtu bądź zwisania. A więc nie tylko kuliste owoce, ale też piłka, czajniczek, koło, coś, co ma obły czy kulisty kształt.

Jak często słowa w tym erotycznym obszarze języka zmieniały czy też zmieniają swoje znaczenie?

To jest proces płynny. *Dziwka* kiedyś znaczyło tyle co dziewczyna, *dziewka*, i było to słowo neutralne. Znaczenia jednak zmieniają się w zależności od czasu historycznego, kulturowego, kontekstu. Moim ulubionym słowem jest na przykład *kobieta*.

Dlaczego?

Dzisiaj jest neutralne, ale jeszcze w XVI w. było obraźliwe, można więc powiedzieć, że w tym przypadku zmiana ▶

eprasa.pl 2d9fcd4723

▶ znaczenia nastąpiła w kierunku odwrotnym do dziwki. Według Aleksandra Brücknera czy Andrzeja Bańkowskiego, autorów słowników etymologicznych, *kobieta* pochodzi od średnio-dolno-niemieckiego kob(e)-geit, znaczącego tyle, co koza w chlewie.

Ma pan ulubionych twórców, jeżeli chodzi o bogactwo języka, jakim opisywali seksualność człowieka?

I autorów, i słowa, pisarzy czy tłumaczy, którzy potrafili wyciągnąć pikanterię, grać słowem, bo w słowniku erotycznym najfajniejsze są zabawy leksykalne. Trudno mi jednak wskazać jedno nazwisko.

A Fredro?

Hm, jego język był koszarowy, bo i to, co tworzył, pisał dla kolegów do czytania w koszarach. Tłumaczył zresztą dużo z francuskiego i przysposabiał do języka polskiego słowa typu *godmisz*, *postylion*, *pekator* czy *branzlować*. Bardzo lubię za to przywoływać przykład Boya-Żeleńskiego, który tłumaczył „Gargantuę i Pantagruela" Rabelais'go. Boy miał dwie możliwości: albo wymyśli słowa, albo sięgnie po staropolską rubaszność. Wybrał to drugie. Ale byli na przykład angielscy tłumacze tego samego dzieła, tacy jak sir Thomas Urquhart czy Peter Anthony Mottoux, którzy zdecydowali się na neologizmy i własne określenia. I co fajne, te neologizmy w angielskim przyjęły się i funkcjonują do dzisiaj na określenie penisa.

Był też kolega Boya ze studiów Stanisław Kurkiewicz, który sam siebie nazywał lekarzem płciownikiem, czyli mówiąc współczesną polszczyzną, był seksuologiem. Kurkiewicz miał ambicje słowotwórcze i rzeczywiście tworzył nowe słowa w sferze erotycznej czy seksualnej – do polskich tematów dodawał końcówki.

Skąd ta pasja?

Uważał, że pacjenci nie potrafią nazywać problemów, z jakimi się borykają, bo nie znają słów, którymi mogliby je określić. Więc te słowa wymyślał, ale w moich słownikach ich nie ma, bo nic z tego, co wymyślił, nie przetrwało. Było nazbyt mechaniczne i udziwnione. Język tego nie przyjął.

A co wymyślił?

Wargowe muskanie zwisaka, jakieś *ruchy potarćne*, *sromienie* i *łechtaczenie*, *naśladownica prącia* (dildo), *samieństwo*, *merdanka*, *gmeranka*.

Wróćmy do tej zmiany znaczeń. *Kiep*, czyli srom niewieści, mógł oznaczać głupka, tak u Sienkiewicza mówi się o Rochu Kowalskim. *Ty głupi chuju* nie zostawia pola do dyskusji. Tworzymy wiele związków frazeologicznych oderwanych od erotycznego kontekstu?

W każdym języku wszystko będzie zależeć od kontekstu. *Niezła kurwa* może być komplementem. Zresztą czy niespersonifikowany chuj może być głupi?

A przechodzenie określeń slangowych czy z gwary przestępczej do języka potocznego?

Mamy wszystko. Zapożyczenia slangowe, dialektyczne, również takie, których pochodzenia sobie nie uświadamiamy. Anglicy z języka przestępczego zapożyczyli do codziennego użytku takie wyrażenie, jak choćby *asshole bandit*. My mamy *aferę majtkową*, *ajer zbuki*, *bajzel*, *cwela*, *meliniarę* czy *rympał*.

Powiedział pan, że najłatwiej było panu porównywać erotyczną polszczyznę do angielskiego. Bo *fuck you*, tak jak rodzima *kurwa*, jest zrozumiałe wszędzie na świecie?

Ale wie pani, że słowo *kurwa* przeszło do języka angielskiego poprzez jidysz? To są właśnie te ciekawe odkrycia, które mnie pociągają w tych poszukiwaniach. A co do angielskiego – uznajemy, że Szekspir to literatura wysoka.

Bez wątpliwości.

No to warto też wiedzieć, że ona była pisana niskim językiem, a więc językiem gminu. I dzisiaj jest to sprzeczność, ale w czasach Szekspira nie było w tym nic dziwnego. Kilka lat temu Olga Śmiechowicz przetłumaczyła na nowo „Lizystratę" Arystofanesa. Wcześniejsze tłumaczenia były poprawne językowo, choć sam temat był bardzo kontrowersyjny – kobiety postanawiają „odstawić" mężów od łoża, dopóki ci nie zakończą wojny. Tylko że w czasach Arystofanesa kobiety nie miały żadnych praw. Panowie zajmowali się sobą, a kobiety zamknięte w domach służyły do rodzenia dzieci. Jak mąż już ich nie chciał, to właściwie były skazane na areszt domowy i dożywotnią abstynencję. Pomysł, by mogły się zbuntować i wyrażać głośno swoje zdanie, był dla Greka karykaturalny. Dla lepszego efektu Arystofanes napisał tę sztukę językiem pełnym wulgaryzmów i bezpośrednich odniesień do seksu. Ugrzecznione tłumaczenie po prostu nie pasowało do treści, więc Śmiechowicz przywróciła tekstowi blask.

Inaczej mówiono publicznie, a inaczej prywatnie?

Tak, były dwa rejestry języka. I to właśnie przewija się przez całą naszą historię. Był język oficjalny, w którym nie można było sobie pozwolić na żadne rubaszne sugestie. To był język dyplomacji, spotkań politycznych, dokumentów, kronik. I był język domowy, karczemny, którym posługiwano się podczas biesiad w karczmach czy tawernach.

Czyli język męski.

Tak, bo normalnie kobietom wolno było mniej, aczkolwiek są dowody na to, że też potrafiły mówić, choć rzadziej pisać. W literaturze staropolskiej i średniopolskiej możemy mówić właściwie tylko o Drużbackiej jako o piszącej twórczyni.

Przyszła mi na myśl Blanka Lipińska jako reprezentantka erotyki w literaturze.

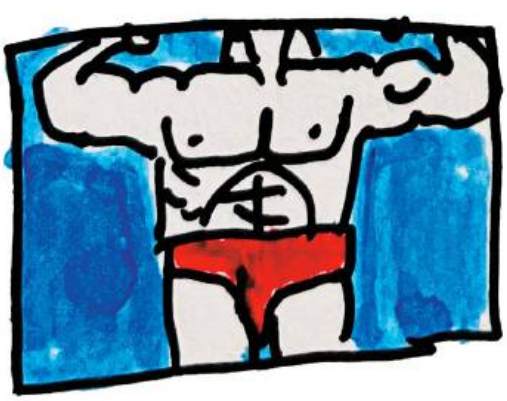

eprasa.pl 2d9fcd4723

No nie... To jest 10 słów powtórzonych po 50 razy. Ale to nie znaczy, że to jest 500 słów. Językowo to jest ubogie.

Zapytam jeszcze raz: ma pan swoje ulubione erotyczne słowo?

Mam mnóstwo. *Kuciapka* – określenie sromu. *Glądzie* na określenie penisa. To spolonizowana forma łacińskiego *glans*, czyli penis. *Biustwo*, czyli boski biust. Ładne połączenie, czyż nie? W ogóle takie żarty językowe mnie bawią: mała czarna pita w łóżku ma dwa znaczenia: kawa i srom. Podobnie dwa znaczenia ma słowo *obatożony* – osoba wychłostana i para homoseksualna. *Boa kusiciel*, zamiast dusiciela.

Są takie teksty, które naruszają tabu społeczne również językiem, jakim są pisane? Jak choćby „Kochanek lady Chatterly"?

To był skandal z kilku powodów, nie tylko stricte językowych. Po pierwsze, opisywał mezalians. W trzeciej wersji powieści kochankiem jest były wojskowy, ale pierwotnie był to górnik z gminu kaleczący angielszczyznę. Lawrence używa zresztą bardzo dosadnego języka. Co więcej, dzisiaj każdy słownik angielski, każdy słownik slangu notuje na przykład *John Thomas* jako określenie penisa.

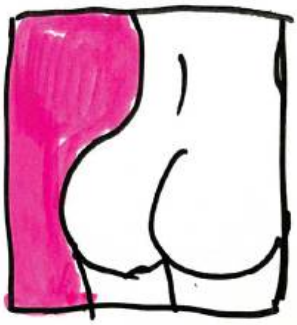

A Henry Miller?

To akurat jest pornografia. Ale to nie znaczy, że jest zła. Nie zawsze potrafimy przyznać, że to co dotyczy spraw związanych z seksem, może być też dobrą literaturą. Uważamy, że jeżeli coś jest literacko dobre, to musi być też pisane wyszukanym językiem. A jeżeli są tam świństwa, to jest to podejrzane. Lawrence pokazuje podziały społeczne, wykorzystując do tego erotykę, Miller skupia się na seksie. Nie każda książka ma szczęście do tłumaczy. „Kompleks Portnoya" Philipa Rotha i „Mechaniczna pomarańcza" Anthony'ego Burgessa pewnie w innych tłumaczeniach nie obroniłyby się literacko, ale dzięki przekładowi Anny Kołyszko – Roth, i Roberta Stillera – Burgess, są tak wybitne także po polsku.

Mamy dobrą, w sensie językowym, literaturę erotyczną?

Nienacki. „Wielki las", „Raz w roku w Skiroławkach", „Dagome iudex". To są nomen omen – pozycje klasyczne wręcz.

A poezję? Bo oczywiście Młoda Polska kochała miłosne przegięcia i oczy mgłą zachodzące…

Moim zdaniem najlepszy opis sceny erotycznej w naszej poezji wyszedł spod pióra Trembeckiego. To „Przypadki siostry starszej" i opis defloracji, językowo bardzo ciekawy.

Miał pan chwile zwątpienia? 1200 stron to jest coś na dzisiejsze czasy wręcz niewyobrażalnego.

Jakoś nie ciągnie mnie do krótkich form. (*śmiech*) A poza tym funkcjonuje mechanizm nagrody. Każde słowo, historyjka, anegdotka, to jest przygoda. Pierwsza książka miała blisko 400 stron. Ta pewnie byłaby jeszcze grubsza, ale zdradzę pani tajemnicę – wydawca zwiększył format. Dlatego to jest tylko blisko 1200 stron.

ROZMAWIAŁA KATARZYNA KACZOROWSKA

REKLAMA

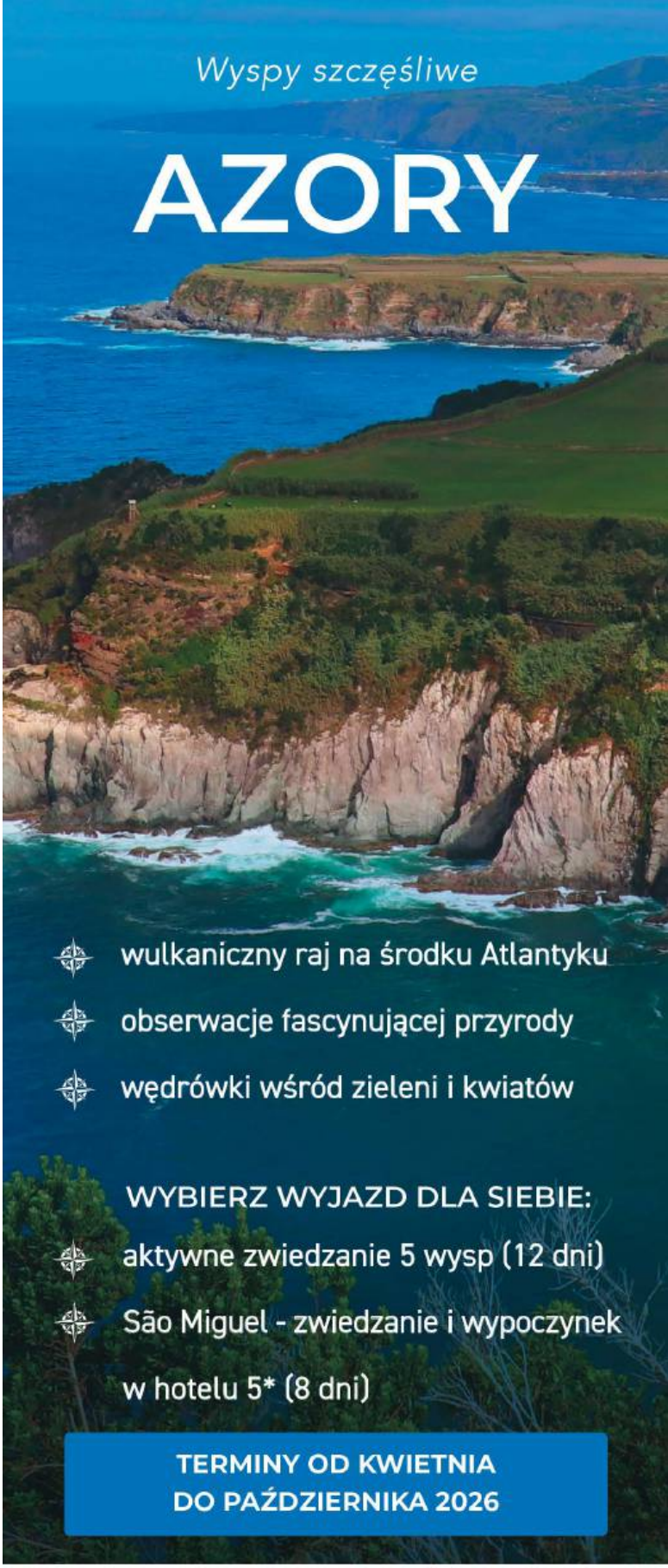

SZEROKIE TORY BIURO PODRÓŻY
REZERWACJE
+48 696 989 985
szerokietory.pl
SPRAWDŹ

eprasa.pl 2d9fcd4723

Cała sala tańczy z nami

Od kilkunastu lat w Polsce trwa renesans szkół tańca. Modne stały się lekcje dla par młodych, które swym pierwszym weselnym występem chcą zrobić wrażenie na bliskich. Za tę modę odpowiada głównie telewizyjny program. „Taniec z Gwiazdami".

KATARZYNA KACZOROWSKA

Radek (16 lat po ślubie) już nie pamięta, kto wpadł na pomysł, by ten pierwszy weselny taniec był inny niż takie typowe, w rytmie 2 na 1, posuwistym krokiem. Czy to był on, czy może jego narzeczona, dziś żona, Dominika? – Dawno temu był ten ślub – śmieje się Radek, ojciec dwójki dzieci, i bez wahania przyznaje, że po pierwsze, to on tańczyć nie umiał i nie umie, a po drugie, tak naprawdę pierwsza była piosenka, słynny duet Franka Sinatry i Bono „I've got you under my skin".

– *Wiedzieliśmy, że na weselu para młoda zawsze ma ten pierwszy taniec. Poszliśmy więc do szkoły, puściliśmy instruktorowi ten kawałek, posłuchał chwilę, zobaczył, jak sobie radzę, i powiedział, że z tą piosenką układ taneczny jest za trudny. Wymyślił więc nam nowy. Ćwiczyliśmy w dresach, żeby było wygodnie. Trzy czy cztery razy.* – Radek pamięta, że cena za lekcje była do udźwignięcia, co przy wydatkach na ślub i wesele miało fundamentalne znaczenie. – *Tak czy siak, warto było. Rodzina i przyjaciele byli pod wrażeniem, ja zresztą też, bo nie sądziłem, że nauczę się układu tanecznego i wykonam go bez pomyłki.*

Dobra zabawa

Maciej Florek ma 38 lat. Tańczy od 7. roku życia. Doszedł do klasy A, czyli udziału w mistrzostwach krajowych. Dzisiaj jest instruktorem w największej na Dolnym Śląsku Szkole Tańca No Limits, bo – jak przyznaje – nie tylko zawsze chciał uczyć innych, ale też chciał mieć swoją szkołę. Po drodze jednak skończył Akademię Wychowania Fizycznego. I nie ma wątpliwości: renesans szkół i moda na taniec pojawiły się wraz z programem „Taniec z Gwiazdami", najpierw przez siedem lat emitowanym w TVN, a od 13 lat w Polsacie.

Florek był nastolatkiem, kiedy oglądał te pierwsze edycje. Kibicował nie tylko gwiazdom, ale też koleżankom i kolegom, bo środowisko tancerzy zna się świetnie z zawodów. I ci najlepsi startowali w castingu do „Tańca z Gwiazdami".

eprasa.pl 2d9fcd4723

– *Tańczyć może każdy. Po to zresztą są szkoły, które tego tańca uczą. Wszystko zależy tylko od tego, jakie mamy oczekiwania i czego chcemy się nauczyć* – tłumaczy Maciej Florek. I od razu dodaje, że on uczy tzw. tańca użytkowego, nazywanego też modern jive'em. Ten taniec niektóre szkoły czy instruktorzy nazywają czasami tańcem weselnym (Florek tej nazwy nie lubi i nie używa, jeśli już, to woli part dance). I tłumaczy, że to po prostu najczęstszy typ tańca w parze, taki, który sprawdzi się i na weselu, i w klubie, i na potańcówce, kiedyś nazywanej dancingiem.

– *Taniec otwiera na drugiego człowieka. Stąd zresztą zasada, że u mnie w grupach partnerzy się zmieniają, tak by zaufać w tańcu również osobie, której się nie zna. Partner uczy się, jak prowadzić partnerkę, a ona – jak odpowiadać na impulsy wysyłane przez jego ciało. I owszem, na lekcje przychodzą osoby, które nie chcą się zmęczyć i spocić, i bardziej interesuje je spotkanie towarzyskie, ale są też takie, które szukają wyzwań, chcą się nauczyć trudniejszych figur. Zawsze jednak chodzi o jedno: o dobrą zabawę* – mówi Maciej Florek, który wśród swoich uczniów ma już dwa małżeństwa i kilka par, które się poznały na lekcjach tańca.

– *Są przyjaźnie, mieliśmy jedne oświadczyny. Może kiedyś te relacje były silniejsze, ale na pewno z każdego sukcesu jest radość. Gdy grupa uzyskuje promocję na kolejny stopień, to zawsze jest filmik wrzucany na media społecznościowe. Są wyjścia na tańce do klubów. Mieliśmy taki niedaleko wrocławskiego rynku, gdzie wszyscy żartowali, że jest ten sam didżej co w szkole, bo puszczał taką samą muzykę* – opowiada.

Widowisko z gwiazdami

Edyta Tomczak, producentka „Tańca z Gwiazdami", kiedyś tańczyła hobbystycznie w zespole tańca towarzyskiego. Taniec wciąż jest jej bliski, ale dzisiaj zajmuje się nim z zupełnie innej strony.

– *„Taniec z Gwiazdami" nie przez przypadek jest nr. 1 wśród wszystkich programów rozrywkowych w Polsce. To fenomen na skalę światową, program produkowany w ponad 50 krajach. Dla widzów to przede wszystkim widowisko, a dla uczestników wspaniała przygoda. Taniec daje mnóstwo radości i wyzwala nieoczywiste emocje. Oczywiście sam program wymaga wiele pracy. Najpierw uczestnicy przez miesiąc się przygotowują. Uczą się podstaw tańca towarzyskiego, różnych stylów. Trochę walca, trochę cza-czy. Trzeba rozruszać ciało, rozciągnąć je, wzmocnić. A potem zaczyna się prawdziwa zabawa.* Co tydzień uczestnicy prezentują inny styl. Raz jest łacina, a raz standard, czyli przekładając z tanecznego slangu na polski: raz są tańce latynoamerykańskie, jak np. rumba, jive czy paso doble, a raz standardowe, jak walc angielski, tango czy quickstep. A do tego dochodzą jeszcze tańce spoza podstawowej dziesiątki wykonywanej na turniejach tanecznych, a więc Broadway jazz czy hip-hop.

Jak tłumaczy Tomczak, można być wysportowanym, ale to wcale nie oznacza, że lekką stopą wejdzie się w taneczny rytm programu. Bo tego rytmu trzeba się nauczyć, w dodatku co tydzień innego. W walcu angielskim liczy się w metrum 3/4, ale w rumbie 4/4. Style mają różne sposoby ustawiania stóp na parkiecie: od palców, od pięty. Do tego raz trzeba mieć przeprosty w nogach, a raz mocno wygiąć ciało w łuk. Detali jest mnóstwo i każdy jest oceniany przez jurorów.

Są tacy uczestnicy, którzy ćwiczą po kilkadziesiąt godzin tygodniowo, choć zgodnie z umową minimum to jedyne 12 godzin. Ale niezależnie od wylanego potu i straconych podczas treningów kilogramów zasada jest jedna – to nie jest turniej, lecz program rozrywkowy.

– *Decydujące znaczenie ma sympatia widzów. Justyna Żyła nie była mistrzynią tańca, ale ludzie ją lubili właśnie dlatego, że jej nie szło. I ich sympatia decydowała o tym, że dotarła aż do piątego odcinka. Tomek Karolak też technicznie nie był ideałem, ale tak układał choreografię, żeby było śmiesznie. Za każdym razem robił show. Na pewno pomogły mu umiejętności aktorskie. A o Mikołaju „Bagim" Bagińskim w komentarzach w sieci czytaliśmy, że fajnie byłoby mieć takiego syna czy zięcia* – uśmiecha się Edyta Tomczak. I dodaje ▶

Maciej Florek, instruktor tańca w największej na Dolnym Śląsku Szkole Tańca No Limits.
Po lewej: **influencer Mikołaj „Bagi" Bagiński, zwycięzca ostatniej edycji „Tańca z Gwiazdami".**

© GETTY IMAGES, MATEUSZ JAGIELSKI/EAST NEWS, WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

eprasa.pl 2d9fcd4723

▶ od razu, że w programie nie ma żadnych ustawek, o co bywają podejrzewani przez widzów. Może właśnie dlatego efektem ubocznym programu stał się renesans szkół tańca?

– *Niemal wszyscy tancerze programu mają swoje szkoły albo prowadzą własne kursy. Iwona Pavlović, sędzia tańca towarzyskiego, cały rok jeździ po Polsce i nie ma wolnych terminów. Rafał Maserak, Stefano Terrazzino, Jan Kliment i Michał Danilczuk zostali jurorami w największych programach rozrywkowych różnych stacji. Dzięki popularności programu taniec towarzyski podbił serca Polaków. Choć jeszcze dwie dekady temu interesował niemal wyłącznie zawodowców* – podkreśla Edyta Tomczak. I przypomina, że tancerze oglądani w programie występują na turniejach tanecznych (producenci dążą do tego, by były to osoby z najwyższą klasą S).

Z przedszkola na parkiet

Agnieszka Baran, dziennikarka i instruktorka tańca, swoją przygodę z tańcem zaczęła w lubelskim przedszkolu. Porzuciła tę przygodę, kiedy poszła do szkoły, ale impulsem do powrotu stał się „Taniec z Gwiazdami". Miała 15, może 16 lat, kiedy zaczęła uprawiać tę dyscyplinę. – *Do czasu pojawienia się tego programu szkoły tańca były miejscem dość elitarnym. Niewiele osób uczyło się tańczyć po to, by wiązać z tym sportem swoją przyszłość. Często na kurs tańca zgłaszali się ci, którzy potrzebowali szybkiej nauki przed studniówką czy ślubem. Renesans tańca towarzyskiego zaczął się, kiedy ludzie zobaczyli, że taniec może być nie tylko piękny, ale i przystępny, może być wyjątkową formą aktywności* – opowiada Agnieszka. Jest przekonana, że widzowie przed ekranami telewizorów uwierzyli, że każdy może przyjść do szkoły tańca, zrobić ten przysłowiowy pierwszy krok, a potem pod okiem instruktora kolejne. Zobaczyli też, że taniec po prostu zmienia ludzi.

– *To mówi większość osób, które trafiają do tego programu, ale mogę to powiedzieć też sama o sobie. Taniec nas zmienia. Przez taką formę aktywności musimy trochę głębiej wejrzeć w siebie, czasami znaleźć się w sytuacjach dla nas niekomfortowych, nauczyć się tanecznego języka, a przede wszystkim zaufać partnerowi.* Agnieszka dodaje, że kiedy przyszła do szkoły tańca i obserwowała najlepszych tancerzy, to właściwie nie rozumiała tego, co widziała. Podczas jednego z treningów pary mieszały się, dziewczyna zmieniała partnera, zaczynała tańczyć z kimś innym. A mimo to nikt nie gubił kroków, nie mylił się. Dopiero potem Agnieszka Baran zrozumiała, że kluczem do powodzenia jest dobre zrozumienie tanecznego języka. Do tego trzeba dodać zaufanie do współpartnera, umiejętność słuchania ciała i otwarcie na drugiego człowieka.

Dzisiaj sama tego uczy jako instruktorka, również gdy przygotowuje narzeczonych do pierwszego tańca weselnego. – *Najlepiej, jeśli taka para przychodzi na lekcje nie na miesiąc przed ślubem, ale kilka miesięcy wcześniej, bo to daje możliwość stworzenia naprawdę wyjątkowej choreografii* – opowiada. Agnieszka pracę z każdą parą zaczyna od poznania jej historii – bo tę historię można opowiedzieć na parkiecie. Jeśli wybierze się do tego odpowiednią muzykę czy konkretny utwór, np. taki z pierwszej randki, naprawdę można stworzyć pamiątkę na całe życie.

– *Kiedy już mamy wybraną muzykę, przygotowuję choreografię, ale zawsze podkreślam, że jeżeli coś im nie pasuje, niech o tym mówią. Zależy mi, żeby to był ich indywidualny dedykowany taniec. Nie kopiuję dostępnych w sieci układów choreograficznych. Można się oczywiście nimi inspirować, ale układ zawsze powinien być dopasowany do możliwości i umiejętności tancerzy, bo to oni później muszą się z nim zmierzyć* – przyznaje Agnieszka Baran. Instruktorka miewa pary przychodzące do niej nawet na rok przed ślubem, choć są i takie, które wpadają na lekcje na kilka tygodni przed godziną W. Wtedy jednak najczęściej nauczą się tylko tych najprostszych tańców skorygują swoją sylwetkę i prezentację na parkiecie.

Potańcówki i milongi

Anka, fanka „Tańca z Gwiazdami", która dzięki niemu zapisała się do szkoły tańca: – *To naprawdę robi wrażenie. Nie ma znaczenia, ile masz lat, bo w „Tańcu z Gwiazdami" występują osoby młode i dojrzałe. Znaczenie ma to, co przekazujesz poprzez taniec. I to, ile z siebie dajesz. Ja chyba po 10. edycji w końcu się odważyłam i poszłam do szkoły. Dzisiaj to dla mnie lepsza forma treningu niż siłownia. I najlepszy sposób na stres.*

Do łask wróciły nie tylko szkoły tańca, w których uczą się amatorzy. W miastach organizowane są publiczne potańcówki. Te wrocławskie to zabawa dla seniorów i nastolatków – organizowane od kilku lat w przestrzeni publicznej, ściągają tłumy, a każda odbywa się do innego rodzaju muzyki. Od tańców ludowych, poprzez rock and rolla, flamenco, bachatę, aż po charlestona. Sygnał do wspólnego tańca dają instruktorzy, którzy uczą zgromadzony tłum kroków. Potańcówki organizowane są też w Warszawie – w parkach, Pałacu Czapskich, w poszczególnych dzielnicach. Wszystkim przyświeca jedno proste hasło: muzyka i taniec łączą pokolenia.

– *Pamiętam, jak żartowaliśmy z dancingów. Że to takie emeryckie imprezy. A potem moi znajomi zachwycili się milongami, czyli spotkaniami fanów tanga, którzy po prostu przychodzili do jakiegoś klubu, by potańczyć. To naprawdę coś niesamowitego, bo okazuje się, że taniec to nie tylko ten nieśmiertelny polonez ze studniówki i solowe gibanie się w jakimś rytmie, ale też pasja i po prostu czysta radość* – Anka nie kryje, że na naukę tańca towarzyskiego w szkole namówiła swoją przyjaciółkę. Obie zresztą kiedyś „odbębniły" kurs, jeszcze w liceum. Ona z trudem znalazła wtedy partnera, jakoś im zresztą niespecjalnie szło, co zniechęciło ją do tańca towarzyskiego na dobrych kilkanaście lat. Jej przyjaciółka z kolei, długowłosa blondynka, od partnerów opędzić się na kursie nie mogła, ale nauczyła się tylko walca.

– *Byłyśmy sztywne, zakompleksione. Szkoły tańca kojarzyły się wtedy z grzecznymi dziewczynkami, a my byłyśmy zbuntowane. Czas sprawił, że obie dojrzałyśmy do tego, by dostrzec, że taniec to coś więcej niż kiwanie się na boki. I fajnie jest tańczyć z partnerem, który zna kroki i umie prowadzić. Szkoła i kurs dały nam to, czego nam brakowało, gdy miałyśmy te 16 lat – pewność siebie i świadomość tego, co możemy, umiemy i chcemy zrobić* – uśmiecha się Anka.

Nie wiadomo, ile dokładnie w Polsce jest szkół tańca. Wiadomo na pewno, że obok tych działających lokalnie są też sieciowe, jak np. 13 szkół Egurrola Dance Studio. Jej założyciel Agustin Egurrola, tancerz i choreograf, był odpowiedzialny za oprawę taneczną pierwszej edycji „Tańca z Gwiazdami". Bez trudu można też znaleźć zestawienie 100 najlepszych szkół, a Polska Federacja Tańca zrzesza ponad 200 klubów tanecznych.

Maciej Florek pytany, czy – parafrazując słowa piosenki Jerzego Stuhra – „tańczyć każdy może, trochę lepiej lub trochę gorzej?", uśmiecha się i po chwili odpowiada: – *Każdy. Wszystko zależy tylko od tego, ile serca włoży się w naukę tego tańca.*

KATARZYNA KACZOROWSKA

eprasa.pl 2d9fcd4723

© SZYMON STARNAWSKI/POLSKA PRESS/EAST NEWS

Ogólnopolskie Mistrzostwa w Jedzeniu Najostrzejszych Papryczek, restauracja Borpince w Warszawie

Życie na ostro

Kapsaicyna, scoville, Carolina Reaper, Naga Jolokia – niewiele to mówi przeciętnemu konsumentowi. Dla ostrożerców to słowa klucze.

JOANNA PODGÓRSKA

Chłopak siada do pizzy. Już w trakcie konsumpcji pierwszego kawałka dopada go potworna czkawka. Potem pojawia się katar, łzawienie, drżenie rąk. Chłopak wstaje bez słowa, wychodzi na zewnątrz i za chwilę zwija się z bólu na chodniku. To nie była zwykła pizza, tylko Wyzwanie Ostrości krakowskiej pizzerii Al Forno. Przygotowują tu pizzę z piekielnie pikantnym sosem, którą należy zjeść w 30 minut bez popijania i nie zwymiotować. Nagroda – tysiąc złotych. Niewielu to się udaje.

Tym, co powaliło na chodnik klienta Al Forno, była kapsaicyna, alkaloid, który nadaje papryczkom chili ostry smak. Jest ewolucyjną odpowiedzią roślin na to, że zwierzęta próbują je zjeść. Na ludzi działa raczej dobroczynnie. Ma właściwości lecznicze, działa przeciwzapalnie, wspomaga metabolizm, obniża ciśnienie krwi, poziom cholesterolu i trójglicerydów, zapobiega zakrzepom. Działa przeciwwirusowo, antyoksydacyjnie i przeciwbakteryjnie. Dlatego jest wykorzystywana w dietetyce i farmacji. Ale nie tylko. Jest także stosowana jako łagodna broń chemiczna – wchodzi w skład gazu pieprzowego.

Kapsaicyna wywołuje uczucie pieczenia i gorąca, bo działa na receptory bólu, pobudza komórki nerwowe, tak samo jak rzeczywiste urazy czy oparzenia, choć nie powoduje trwałego uszkodzenia tkanek, ale – spożyta w dużych dawkach – może chwilowo zakłócać działanie układu nerwowego.

– *Można to porównać do wypadku, w wyniku którego ludzie mdleją z bólu. Największy odczuwalny ból pojawia się w momencie jedzenia, w ustach i przełyku. Na tym etapie nas jeszcze nie odetnie. Ale gdy kapsaicyna dojdzie do żołądka, a stamtąd do krwiobiegu, stres w organizmie może być tak duży, że mózg zdecyduje się nas chwilowo wyłączyć* – tłumaczy Jacek Dura, wielbiciel pikantnych smaków i właściciel bydgoskiej pizzerii Jolanta. Przygotowywana przez niego pizza Petarda uchodzi za najostrzejsze danie w Polsce; a prawdopodobnie także w Europie. W zeszłym roku udało się ją zjeść trzem osobom. W tym – żadnej. Podaje Petardę osobom, które skończyły 22 lata, przygotowuje ją wyłącznie osobiście i osobiście ostrzega, jakie mogą być efekty. Ci, którzy jej próbowali, porównują ten ból do kopnięcia w jądra, tylko że boli wszystko: uszy, włosy, zęby...

– *Nie organizuję żadnych konkursów związanych z Petardą. Od tego jest pizza Wyzwanie, trzy razy słabsza. Gdybym zrobił konkurs na Petardzie, z nagrodą choćby 500 zł, znalazłoby się mnóstwo ludzi, którzy wpychaliby ją sobie na siłę, a konsekwencje byłyby tragiczne. Większość pewnie lądowałaby w szpitalu na kroplówce, żeby żołądek pozbył się zawartości tą samą drogą, którą weszła* – mówi Dura. A i tak bywa ▶

eprasa.pl 2d9fcd4723

▶ różnie. Niedawno klient przejechał 800 km, żeby spróbować Petardy (a właściwie Petardki, wersji pomniejszonej). Po dwóch kawałkach był ugotowany. Jacek Dura wyprowadził go na powietrze, wydawało się, że klient doszedł do siebie. Ale po chwili pracownik Jolanty wpada z komunikatem: szefie, ten gość, co jadł Petardę, leży pod wiaduktem.

– *Fakt, leżał. Nie zemdlał, tylko po prostu nie był w stanie iść, więc się położył. Nic mu się nie stało* – wspomina Jacek Dura. Dość dramatycznie przebiegła też wizyta Czerwonego Pingwina (jeden z czołówki polskich ostrożerców). Potraktował Petardę jak wyzwanie. Wepchnął ją w siebie na siłę w niespełna 10 minut, bez popijania, a potem – ku przerażeniu personelu – przez osiem godzin zwijał się z bólu w służbowej toalecie.

– *Najważniejsze, że widzowie docenili* – podsumował Czerwony Pingwin. Filmik z Petardą miał ponad pół miliona wyświetleń na YouTube. Przeciętnie widownia jest dużo niższa (25 tys. subskrybentów). Choć i tak można się dziwić, dlaczego ludzie chcą oglądać, jak facet z zawziętą miną wpycha w siebie jedzenie, żuje z otwartymi ustami, a na koniec beka.

Czołówka polskich ostrożerców, którzy startują w konkursach na jedzenie ostrych papryczek i podejmują hardkorowe wyzwania, liczy kilka osób. Królował wśród nich zmarły przed dwoma laty Łukasz Demon. Jak opowiadał w jednym z wywiadów, oglądał na TikToku filmiki, na których ludzie zwijają się z bólu i wymiotują po rzeczach, które na nim nie robiły żadnego wrażenia. Nagrał więc własny i od razu wykręcił pół miliona wyświetleń. Testował przed kamerą cukierki z czystą kapsaicyną, sos Mad Dog 357 Plutonium (klasyk uchodzący za najostrzejszy sos na świecie), hot doga nabitego przecierem ze świeżych papryczek Carolina Reaper (pierwsze miejsce w rankingu ostrości). A potem z uśmiechem, niewzruszonym głosem komentował: „o dziwo, jest OK" albo „kozak, ogień". Swój talent do ostrości tłumaczył predyspozycjami genetycznymi i treningiem, bo częste jedzenie coraz ostrzejszych rzeczy sprawia, że receptory się adaptują i próg bólu rośnie. Demon wyzwania traktował lekko. Najostrzejszego kebaba w Polsce nie dokończył, bo stwierdził, że już się najadł. Nie musiał nic nikomu udowadniać. Czuło się, że po prostu kochał chili.

Bo w papryczkach można się zakochać. Choćby estetycznie; kształty, faktura skórki, kolory – od kości słoniowej, pistacjowej zieleni, przez zieleń trawiastą, żółcie, pomarańcze, jaskrawą czerwień, czerwień wpadającą w odcień wiśni, fiolet, po ciemną czekoladę. Znawcy wyczuwają specyficzne nuty smakowe – metaliczny posmak, lekką goryczkę, ślad słodyczy. Oceniają ziarnistość, ale też sposób, w jaki konkretna odmiana „kopie". Choćby Naga Jolokia, znana też pod nazwą Ghost Pepper, wyhodowana w Indiach, gdzie bywa używana także do odstraszania słoni z pól uprawnych. Do niedawna uchodziła za rekordzistkę ostrości, zdetronizowana dopiero przez Carolinę Reaper. O Jolokii mawia się, że skrada się powoli jak duch, a potem ostrość znienacka dopala i utrzymuje się długo. Jest w papryczkach coś jeszcze, co nazywane jest kapsaicynowym hajem.

– *Można to porównać do ekstremalnego doznania, podczas którego doświadczamy szoku, organizm przeżywa stres, a gdy on przechodzi, następuje wystrzał endorfin, hormonów szczęścia. Jak w sportach ekstremalnych* – opowiada Jacek Dura. – *Mnie kapsaicyna daje niesamowity zastrzyk energii, który można porównać do wypicia 12 kaw naraz.*

Ale w czołówce ostrożerców chodzi też o rywalizację. Choćby między Czerwonym Pingwinem a Maksymem. Maksym jako pierwszy sprostał wyzwaniu Al Forno, Pingwin pierwszy zjadł Petardę. Kiedy usiedli koło siebie, by zmierzyć się w Al Forno, wygrał Pigwin („Sparaliżowało mi gębę, nie daję rady żuć" – tłumaczył Maksym). Za to Maksym wygrał wrocławski konkurs w jedzeniu ostrych papryczek, który bywa nazywany mistrzostwami Polski. Zaprosili go po tym do telewizji śniadaniowej. Pokazał się też w „Mam talent!".

Gdy się przyjrzeć, kto podejmuje ekstremalne wyzwania ostrości i bierze udział w konkursach, widać wyraźnie, że dominują panowie. – *Mężczyźni są bardziej skłonni do ryzyka i ekstremalnych zachowań* – mówi Jacek Dura. – *Kobiety tak samo lubią ostre smaki, ale gdy przychodzą do naszej pizzerii, to nie biorą Petardy, tylko coś lżejszego, bo po co narażać się na ból. Faceci, jak słyszą, że jest pizza, która może ich „pozamiatać" i pozbawić przytomności, mówią: super, wchodzę w to.*

Czołówka polskich ostrożerców: Maksym, Czerwony wielbiciel pikantnych smaków i właściciel bydgoskiej

Jest jeden wyjątek – Anna Rej, papryczkowa madonna, która wygrywa większość konkursów. I to nie tylko w Polsce. W 2024 r. zdobyła wicemistrzostwo Europy w European Title Chilli Eating Match w Wielkiej Brytanii. Wygrywała we Włoszech, Hiszpanii, Czechach, Niemczech. Jeśli startuje w Polsce, konkurencja ma niewielkie szanse. To niesamowity widok, kiedy drobna blondynka z pokerową twarzą, nawet bez śladu wypieków, wciąga jak cukierki najostrzejsze papryczki świata. Jeśli przegrywa, to na czas; nie je tak szybko jak mężczyźni. Przebieg polskich konkursów jest raczej przewidywalny. Jeśli zjawi się czołówka ostrożerców, do pierwszej trójki trafiają zazwyczaj Anna Rej (ją publiczność dopinguje najmocniej), Maksym i Czerwony Pingwin. Wysoko w rankingach jest także mąż Anny Marcin (nie miał wyjścia, to żona w domu gotuje) i Leszek Machaj – hoduje papryczki, produkuje sosy pod brandem Ostrożnie Ostro i nagrywa wyzwania na TikToku. Na jednym z nich zakroplił sobie do oczu ekstrakt z kapsaicyny (nie, nie ma 18 lat, raczej 40 plus).

Ale nawet na polskich konkursach zdarzają się niespodzianki. Tak było dwa lata temu na Festiwalu Pasibrzucha, podczas którego zorganizowano najpierw konkurs dla amatorów, a potem PRO, czyli profesjonalnych ostrożerców. Wśród uczestników pojawił się nieznany nikomu Andrzej. Runda pierwsza – cztery papryczki habanero, po dwie minuty na sztukę. Potem ostrzejsza odmiana habanero (zmiotła z planszy uczestników konkursu amatorskiego). Kolejna runda Naga Jolokia – wykosiła dwóch pierwszych uczestników. Po niej Trinidad Scorpion, do 2019 r. uchodził za najostrzejszą paprykę świata. Wreszcie obecna królowa – Carolina Reaper. Nic ostrzejszego już się nie pojawi, zaczyna się liczyć ilość.

eprasa.pl 2d9fcd4723

Pingwin, Anna Rej oraz Jacek Dura, pizzerii Jolanta

Carolina Reaper, najostrzejsza papryka świata

Odpadają kolejni zawodnicy. Coraz wyraźniej widać, że z jedzeniem najostrzejszych papryk Andrzej nie ma najmniejszego problemu. Robi to szybko i bezobjawowo. Kolejna runda – talerzyk: Jolokia, Carolina i habanero do zjedzenia w 4,5 minuty. Andrzej w minutę jest gotowy. Poza nim do ostatniej trójki trafiają Anna i Pingwin. Pingwin, z oznakami agonii, odpada pierwszy. Dodatkowo zostaje upokorzony, bo gdy odchodził, Andrzej sięgnął do jego talerzyka po zostawioną papryczkę i też zjadł. Anna walczy jeszcze kilka rund, ale Andrzej wciąga papryczki jak orzeszki. Wygrywa na czas.

Na forum dyskusyjnym u Czerwonego Pingwina rozpętała się afera: Kto to jest? Cyborg? Kosmita? Nie ma kubków smakowych? Cierpi na anaglezję (choroba genetyczna, która sprawia, że nie odczuwa się bólu)? Powinno się go zdyskwalifikować. Zaczepiany o Andrzeja Pingwin odpowiada lakonicznie: „Choroba nie wybiera". Wreszcie odzywa się sam Andrzej: ból odczuwa zupełnie normalnie, ostrość pochodzącą np. z wasabi – też, po prostu ma wysoką tolerancję na kapsaicynę. Na jednym z filmików można obejrzeć, jak najostrzejszego czipsa świata popija koncentratem, którego nie wolno spożywać bez rozcieńczenia, i mówi, że czuje coś jakby dentystyczne znieczulenie na języku; dodając z żalem, że nie umie znaleźć nic odpowiednio ostrego.

Ostrość papryczek i produkowanych z nich preparatów ocenia się według skali stworzonej przez amerykańskiego chemika Wilbura Scovilla. Najprościej mówiąc, chodzi o to, w ilu kroplach wody należy rozpuścić kroplę danej substancji, by w ogóle zniwelować jej ostrość. Czysta kapsaicyna ma 16 mln SHU. Dla porównania – pieprz ma ich 500. Surowa Carolina Reaper to 2,2 mln. Udało się wyhodować rzeczy ostrzejsze: Dragon's Breath (2,48 mln) czy słynny Pepper X (3,18 mln). Ale w kolejnych pokoleniach wyhodowanych z ich nasion nie udało się tej ostrości utrzymać. Ekstrakty produkowane z najostrzejszych papryczek osiągają nawet 9 mln SHU. Zaproponowana przez Scovilla ocena ostrości jest organoleptyczna, a zatem dość subiektywna. Dziś ostrość mierzy się także chromatografem, ale to nie jest powszechnie dostępne badanie.

Podobnie jak powszechnie dostępna w Polsce nie jest Carolina Reaper. Jest już u nas hodowana, ale w niewielkich ilościach. Trzeba jej trochę poszukać. Jacek Dura, który sos do Petardy robi sam (4 kg papryczek na litr sosu), szuka jej po całej Europie, na giełdach internetowych, w hurtowniach, u producentów. Carolina nie jest też tania – ceny wahają się od 260 do 420 zł za kilogram. Niedostępna w hurcie, legendarna Pepper X może kosztować nawet 2 tys. zł.

W dużych stężeniach kapsaicyna jest śmiertelną toksyną, przypadki zatruć są jednak bardzo rzadkie, bo większość ludzi już o niebo niższe dawki odrzucają pikantnością. Ekstremalnych ostrości powinny unikać osoby cierpiące na wrzody żołądka, refluks, zespół jelita drażliwego, nadciśnienie czy wady serca. Głośno było o przypadku 14-latka ze Stanów Zjednoczonych, który zmarł po wyzwaniu Pacqui Chip Challenge (najostrzejszy czips świata nasączony ekstraktem). Okazało się, że miał niewykrytą wadę serca. Czips wycofano ze sprzedaży i zastąpiono lżejszą wersją. Inny poważny przypadek to pęknięcie przełyku u 47-latka, który podczas wyzwania zjadł kilka papryczek Ghost Pepper; przy czym był to efekt gwałtownych wymiotów, a nie działania samych papryczek. Przeciętnym ostrożercom z pewnością grożą cierpienia podczas wydalania kapsaicyny z moczem, kałem czy nawet potem. Część, aby je zminimalizować, po konkursach czy wyzwaniach prowokuje wymioty.

A mimo to nadal przemierzają Polskę w poszukiwaniu „miejsc pielgrzymkowych". Obok bydgoskiej pizzerii Jolanta i krakowskiego Al Forno są to m.in. poznański lokal Big Daddy, serwujący kebab Maczeta Extreme, najostrzejsze zapiekanki U Bogasa w Rybniku. W Warszawie też takich miejsc jest sporo: praskie Burgery Nocą serwujące Killera, restauracja Brooklyn Burger, gdzie podawany jest burger skomponowany przez Łukasza Demona, czy przygotowujący najostrzejsze burrito S'poco Loco z Saskiej Kępy. Mają tam sosy o siedmiu stopniach ostrości, przy czym 7 „killer" może dochodzić do 4 mln SHU. Ma na swoim koncie pewne ofiary – konsumenta, który na 3 godz. zaległ pod pobliskim drzewem, czy innego, którego z chodnika musiała zbierać wezwana na pomoc żona. W takich miejscach do konsumpcji podawane są gumowe rękawiczki, a do podpisu oświadczenia, że człowiek robi to na własną odpowiedzialność. Popularne są także pielgrzymki do Berlina na najostrzejszy Currywurst. Lokale ścigają się na skali SHU: burger Killer – 5 mln, Maczeta – 7,5 mln, zapiekanka Bogasa – nawet 9 mln. Przy czym Jacek Dura radzi podchodzić do tych wyliczeń z dystansem, bo podana ostrość dotyczy najostrzejszego składnika, ekstraktu (tzw. krople mocy), a nie całej potrawy.

Na YouTube czy TikToku coraz bardziej popularne są domowe wyzwania ostrości. Uczestnicy przed kamerą zjadają najostrzejsze rzeczy, najczęściej ściągane przez internet. A firmy na całym świecie ścigają się w produkcji najostrzejszych żelków, cukierków, czipsów, zupek, czekolad i sosów. Na jednym końcu skali jest choćby legendarny sos Mad Dog czy uchodzące za najostrzejsze czekolady Ragnarok (160 suszonych papryczek Carolina Reaper na tabliczkę) oraz Nemesis, skomponowana przez Willy Pete's, producenta nazywanego papieżem ostrości. Na drugim, amatorskim biegunie są m.in. koreańskie buldaki w torebce (3 x hot) czy nowa wersja najostrzejszego czipsa. Pojawiają się też polskie wątki. Mamy coraz więcej małych, kraftowych wytwórni pikantnych sosów. Choćby Dziki Bill. Dla smakoszy produkują kompozycje z nutą dymu czy owoców, ale do wyzwań wykorzystywany jest ich najostrzejszy produkt – sos o nazwie „Nie zes...j się".

Skoro są chętni, by oglądać skręcających się z bólu ludzi, będą chętni, by podejmować takie wyzwania. Gorzej, że biorą się do tego dzieci. Raz, że to niebezpieczne, bo mogą mieć niezdiagnozowane choroby. A dwa – widok 12-latka, który męczy się przed kamerą i błagalnym głosem prosi: „Widzowie, zostawcie suba za moje poświęcenie", ma w sobie coś przerażającego.

JOANNA PODGÓRSKA

© YOUTUBE MAKSYM, CZERWONY PINGWIN, JACEK DURA, FACEBOOK ANNA REJ

eprasa.pl 2d9fcd4723

BLOWEK

FRIZ

Internet stał się drogą do sławy, a nierzadko wielkich pieniędzy tiktokerów, onlyfansek. Ich szczęście byłoby pełne, gdyby

Youtuberzy

ADAM GRZESZAK

Gifty, donejty, linki afiliacyjne, subskrypcje, e-booki, webinary, reklamy, bartery, lokowanie produktu – lista źródeł dochodów cyfrowego twórcy wydaje się nie mieć końca. Najważniejsza jest jednak monetyzacja, czyli zamiana popularności na finansowe wpływy. Google jest właścicielem najpopularniejszej platformy do publikacji treści wideo, czyli YouTube (YT), a googlowski system AdSense pozwala właścicielowi kanału włączyć monetyzację, a wtedy do filmu dołączane są reklamy. Dochodem platforma dzieli się z twórcą.

Do rozliczeń służy rozbudowany system wskaźników i modeli cenowych, z których najważniejszy jest RPM (revenue per mille), czyli zarobek youtubera za każdy tysiąc odtworzeń jego filmu, po odliczeniu prowizji platformy. Nie ma stałych stawek, bo wszystko zależy od długości filmu, tematyki kanału, a także kraju, w którym jest oglądany. W mijającym roku za tysiąc wyświetleń w Polsce można było zarobić 4–12 zł, ale jeśli ten sam film oglądali widzowie w USA, to już na konto mogło trafić 32 zł. Bo w USA Google sprzedaje droższe reklamy, którymi przerywane są youtubowe filmy. Jednak 12 ani 32 złote to nie są kwoty rzucające na kolana, dlatego trzeba bić się o oglądalność, bo przy 100 tys. wyświetleń można zarobić 800–4000 zł w zależności od tematyki (najwyżej wyceniane są kanały finansowe i technologiczne). Przy milionie odtworzeń wpływy mogą sięgnąć już kilkudziesięciu tysięcy złotych. Do tego może dojść wiele innych źródeł, jak na przykład marketing afiliacyjny polegający na promowaniu konkretnej firmy, jej usług albo produktów. Zarabia się jednak dopiero wtedy, gdy użytkownik nie pozostanie obojętny i skorzysta z oferty.

Onlyfanski za paywallem

Na całym świecie każdego dnia 2 mld użytkowników ogląda ponad miliard godzin filmów, co czyni YT największą platformą. A ilu mamy w Polsce youtubowych twórców? Tego Google nie zdradza. – *Mogę tylko powiedzieć, że polska ekonomia twórców ewoluowała ze sfery hobbystycznej w znaczącą, sprofesjonalizowaną gałąź gospodarki cyfrowej* – wyjaśnia Deniz Rymkiewicz z biura prasowego Google Polska. Google stara się aktywnie pozyskiwać twórców, bo to oni zapewniają treści, z których żyje platforma. – *Organizujemy warsztaty z wykorzystaniem modelu Gemini i NanoBanana do innowacji kreatywnych oraz warsztaty*

© YOUTUBE KAROL GĄZWA, KAROL PAWEŁ WIŚNIEWSKI, AGNIESZKA ŚWIETLIK, ANNA LEWANDOWSKA

eprasa.pl 2d9fcd4723

LIFEMANAGERKA

ANNA LEWANDOWSKA

dla rzeszy e-gwiazd: influencerów, youtuberów, instagramerów, nie państwo, które coraz natarczywiej upomina się o podatki.

zmonetyzowani

z weryfikacji faktów. Mamy też specjalny program wspierający rozwój twórczyń „Ona to YouTube" – wylicza Rymkiewicz.

Jest też YouTube Studio, oprogramowanie oferujące możliwość montażu i edycji filmów (w tym dodawania efektów AI), a jednocześnie będące narzędziem do zarządzania monetyzacją. Polega to głównie na śledzeniu, co i jak się klika, które filmy zarabiają więcej, a które mniej. Korzystają z tego profesjonalni youtuberzy, którzy zwykle należą do sieci partnerskich YT będących rodzajem agencji marketingowych kojarzących twórców z markami w celach reklamowych. Bo zarabianie jest głównym sensem działalności większości działających na YT.

Każda platforma, na której działają cyfrowi twórcy ma nieco inne reguły i mechanizmy zarabiania. Pisaliśmy niedawno (POLITYKA 41) o kontrowersyjnym serwisie OnlyFans umożliwiającym cyfrowym twórcom, a głównie twórczyniom, prezentowanie śmiałych treści erotycznych. Wszystkie inne platformy wystrzegają się tej tematyki jak ognia, u nich samo wspomnienie nazwy OnlyFans sprawia, że cenzurujące algorytmy automatycznie blokują taki materiał albo przynajmniej go demonetyzują, czyli pozbawiają zarobku.

OnlyFans nie działa w modelu reklamowym, ale subskrypcyjnym. Pełnoletnie użytkowniczki i użytkownicy mogą publikować własne materiały bez cenzury (ale prawnie dopuszczalne) – filmy, zdjęcia, czaty, streamingi, wchodzić w bliższe interakcje z odbiorcami. Wszystko dzieje się w ramach platformy, ale na odrębnych profilach, za paywallem, czyli płatną bramką dostępu. Odbiorcami są zweryfikowani dorośli, którzy zgodzili się płacić miesięczny abonament ustalany indywidualnie przez prowadzącą kanał (od 4,99 do 49,99 dol.). Platforma nie publikuje reklam, więc przeciętne dochody nie oszałamiają, choć są w Polsce rekordzistki, które zgromadziły tak wielu subskrybentów i tak o nich dbają, że zarabiają niczym prezesi spółek Skarbu Państwa.

– *Jedna z moich klientek osiąga, o czym głośno mówi w mediach społecznościowych, nawet 200 tys. dol. miesięcznie* – mówi Krzysztof Burzyński, doradca podatkowy z kancelarii BTTP, specjalizujący się w obsłudze influencerów i twórców cyfrowych.

– *W 2025 r. do mojej kancelarii trafiło szczególnie wiele klientek zarabiających właśnie na tej platformie. Zdarzali się i klienci, bo mężczyźni też prowadzą tam swoje kanały. Krajowa Administracja Skarbowa otrzymała informację z brytyjskiej* ▶

eprasa.pl 2d9fcd4723

▶ *firmy Fenix International Limited, do której OnlyFans należy, o dochodach polskich obywateli z lat 2020–22 i okazało się, że wiele osób nie wykazało ich w zeznaniach podatkowych.*

Niedawno Najwyższy Sąd Administracyjny uznał, że pokaz erotyczny online to usługa kulturalna, więc przysługuje zwolnienie z VAT.

Rekiny i płotki

Wstrzemięźliwość w ujawnianiu cyfrowych dochodów różnie jest tłumaczona. Jedne osoby wyjaśniają, że nie zdawały sobie sprawy, że takie wpływy podlegają opodatkowaniu, inne, że działały na zagranicznej platformie, pod pseudonimem, i nie sądziły, że polscy urzędnicy o wszystkim się dowiedzą. Teraz muszą szukać sposobu, by kary były jak najniższe.

Mijający rok wielu doradców podatkowych zapamięta jako internetowy, bo pojawiło się w ich kancelariach szczególnie wiele osób ściganych za niezapłacone podatki od dochodów osiąganych w sieci. W 2025 r. do Krajowej Administracji Skarbowej zaczęły spływać pierwsze raporty platform internetowych z lat 2023–24. To skutek wejścia w życie unijnej dyrektywy DAC7, która nakłada na operatorów obowiązek gromadzenia i przekazywania informacji o użytkownikach i uzyskanych przez nich dochodach. 83 operatorów platform przekazało informacje o 309 tys. podmiotów zarabiających w sieci, z czego 177 tys. to unikalne osoby fizyczne – informuje Krajowa Administracja Skarbowa. Dotyczy to nie tylko mediów społecznościowych i twórców cyfrowych, ale wszystkich typów aktywności gospodarczej online, w tym także e-handlu (np. Allegro, OLX, Amazon), e-usług transportowych (np. Bolt, Uber) czy mieszkaniowych (np. Airbnb, Booking.com, Otodom).

Polska skarbówka wciąż jeszcze uczy się gospodarki internetowej. Dwa lata temu głośne były „listy behawioralne" wysyłane przez urzędy skarbowe do osób podejrzewanych o prowadzenie nieopodatkowanej działalności w sieci. Dziś KAS prowadzi kontrole wspierając się algorytmami, które wyłapują rozbieżności pomiędzy deklarowanymi dochodami a danymi udostępnianymi przez platformy. Dotyczy to także ekonomii twórców (creator economy), jak nazywa się działalność w sieci influencerów i twórców cyfrowych. Jaka jest między nimi różnica? Ci pierwsi to najczęściej celebryci, którzy cieszą się już popularnością i rozpoznawalnością – aktorzy, sportowcy, modelki, politycy, osobowości telewizyjne itd. W mediach społecznościowych budują markę osobistą, czyli sprzedają głównie siebie, swoją prywatność, przyciągają followersów iluzją dopuszczenia do bliższych, niemal prywatnych kontaktów. Mogą ten towar monetyzować, oferując się firmom, które wykorzystują ich przyciąganie i zasięgi do celów reklamowych.

Takie skojarzenie towaru albo marki z gwiazdą nazywa się celebrity endorsement lub efektem aureoli. Największe gwiazdy, zwane megainfluencerami (ponad 1 mln obserwujących), takie jak np. Robert Lewandowski, jego żona Anna, Friz (Karol Paweł Wiśniewski) czy Blowek (Karol Gązwa, który jako pierwszy osiągnął 5 mln obserwujących na YT), za jeden marketingowy wpis na swoim koncie na Instagramie potrafią zainkasować nawet 100 tys. zł. Drobnica zwana mikroinfluencerami (10–50 tys. obserwujących) zadowala się 1–2 tys. zł.

Rekiny influencer marketingu nie ograniczają się do komercyjnych, nawet wysokopłatnych wpisów na swoich profilach. – *Twórcy wykorzystują YouTube do budowania potężnych, zdywersyfikowanych marek. Ich działalność rozszerza się na gadżety, produkty spożywcze i wydarzenia na dużą skalę. Przykładem Friz (Ekipa), reZi (Sabotażysta) czy ekipa Oj Wariatec* – wyjaśnia Deniz Rymkiewicz.

Pozostali cyfrowi twórcy, youtuberzy, tiktokerzy, blogerzy, instagramerzy, twitcherzy itd. sprzedają swoje treści – filmy, zdjęcia, streamingi gier, podkasty, blogi itd. – i tym zdobywają popularność, by ją skomercjalizować. Z czasem, jeśli zyskają sławę, choćby niszową, mogą awansować do grona influencerów, a wtedy rośnie ich wartość rynkowa. Wielu to się udało. Ocenia się, że 80 tys. polskich influencerów ma ponad 10 tys. obserwujących. Przy tym poziomie popularności można już myśleć o przejściu na zawodowstwo. Oczywiście pod warunkiem że ta sława będzie autentyczna, a nie osiągana sztucznie przy pomocy botów czy mass followersów (udających tylko zainteresowanie).

Musi też być umiejętnie podsycana nieustannie publikowanymi atrakcyjnymi materiałami, bo w sieci konkurencja jest ogromna i odbiorcy szybko się nudzą. Polacy wprawdzie spędzają w internecie średnio 3 godz. i 46 min dziennie, a najmłodsi z pokoleń Z i Alfa nawet 4 godz. i 21 min, ale jednocześnie obserwowany jest spadek czasu poświęcanego mediom społecznościowym, czyli tym, które są kluczowe dla ekonomii twórców. Rośnie konkurencja streamingowych platform filmowych typu Netflix, Disney+, Player, Amazon itp.

Bartery i donejty

Agnieszka Świetlik, w sieci bardziej znana jako LifeManagerka, jest influencerką, instagramerką, youtuberką. Na Instagramie, który jest główną platformą jej aktywności, ma 23 tys. obserwujących. Jest także blogerką, choć jak twierdzi blogi są już passé, więc mniej się w ich prowadzenie angażuje. Pracowała w agencji marketingowej, ale doszła do wniosku, że zamiast szukać influencerów dla firm, lepiej będzie, jeśli sama zostanie influencerką. Specjalizuje się w tematyce odżywiania, aktywności fizycznej, rozwoju osobistego, a nawet motoryzacji, ze szczególnym uwzględnieniem bezpiecznej jazdy. – *Nie mam zbyt wielu klientów reklamowych, być może dlatego, że postanowiłam być influencerką etyczną. Nie zareklamuję niczego, do czego sama nie byłabym przekonana, np. kosmetyków testowanych na zwierzętach. Najdłużej reklamuję karty sieci MultiSport* – wyjaśnia.

Na razie nie zrobiła wielkiej kariery finansowej. – *Zarabiam na porównywalnym poziomie jak w agencji marketingowej, ale nie narzekam. Na życie mi wystarcza, a praca daje więcej satysfakcji i sama sobie jestem szefem.* Zarejestrowała działalność gospodarczą, bo jako profesjonalna influencerka może wrzucać w koszty rozmaite wydatki związane z prowadzeniem kanałów. – *Ze skarbówką nigdy nie miałam problemów. Być może dlatego, że nie korzystam z donejtów ani barterów* – wyjaśnia.

Donejty i bartery to dziś zapalne tematy w relacjach twórców cyfrowych i administracji skarbowej. Donejty (od ang. *donate* – podarować) albo tipy (ang. napiwek) to drobne kwoty przekazywane przez odbiorców na rzecz twórcy cyfrowego w uznaniu jego pracy. Zawsze dobrowolne, choć zwykle wyproszone przez zainteresowanego apelami w rodzaju „postaw mi kawę". Jest to tak powszechne, że powstały wyspecjalizowane serwisy transferujące donejty (np. buycoffee.to).

eprasa.pl 2d9fcd4723

Długo uznawano, że to darowizny, których nie trzeba zgłaszać do urzędu skarbowego. Zgodnie z prawem, jeśli osoba obca w ciągu pięciu lat podarowała łącznie niewięcej niż 5733 zł, to nie ma obowiązku podatkowego. – *Przyjmowano, że każdy anonimowy donejt pochodzi od innej osoby, więc każdy jest darowizną objętą odrębnym limitem. W praktyce oznaczało to możliwość osiągania sporych nieopodatkowanych przychodów. Administracja skarbowa to akceptowała, ale do czasu. Dziś uznaje anonimowe donejty za źródło przychodu, w całości podlegające opodatkowaniu. Na tym tle dochodzi do sporów* – wyjaśnia Burzyński.

Drugą konfliktową kwestią są bartery, czyli transakcje bezgotówkowe między twórcą a reklamowaną firmą. – *W praktyce działa to tak, że na przykład hotel zaprasza influencera i gości go bezpłatnie przez jakiś czas, a ten rewanżuje się zachęcającym do odwiedzin wpisem na swoim profilu na Facebooku czy Instagramie. Wielu twórców jest zdania, że takie świadczenia rzeczowe nie stanowią przychodu i ich nie zgłasza. Sporo ryzykują* – ostrzega Burzyński.

Wirtualny jak żywy

Wraz z rozwojem gospodarki twórców przybywa konfliktów, które coraz częściej muszą rozstrzygać sądy. W ostatnich tygodniach zapadł wyrok NSA dotyczący opodatkowania pokazów erotycznych online. Niektóre onlyfanski działają w strukturach większych firm, które są płatnikami VAT. Sąd uznał, że pokaz erotyczny to usługa kulturalna, więc przysługuje zwolnienie z VAT.

Internet jest coraz intensywniej monitorowany nie tylko przez skarbówkę, ale także inne organy państwa. UOKiK tropi kryptoreklamy: za nieprawidłowe oznaczanie treści reklamowych w mediach społecznościowych na spółkę Olimp Laboratories oraz troje influencerów nałożono 5 mln zł kary. Krajowe Centrum Przeciwdziałania Uzależnieniom zwalcza w sieci zakazaną reklamę alkoholu: 11 celebrytów – influencerów, w tym m.in. Bogusław Linda, Magdalena Cielecka, Jakub Gierszał, Maciej Musiał, stanęło z tego powodu przed sądem.

Internet stał się dziś najszybciej rosnącym medium reklamowym. Ocenia się, że w 2025 r. na reklamę online polskie firmy wydały ok. 11 mld zł. Większość budżetów wydano na reklamę w wynikach wyszukiwania. Konkurują z nimi wideo i display, czyli reklamowe filmy oraz banery pojawiające się na przeglądanych stronach. Większość budżetów reklamowych trafia więc do big techów, czyli amerykańskich koncernów technologicznych takich jak Google, Meta, Apple. Dopiero na dalszym miejscu są reklamy w mediach społecznościowych. Tu również zarabiają głównie big techy, ale do spółki z twórcami i influencerami.

Firmy chcące się reklamować cenią sobie współpracę z gwiazdami internetu, które prowadzą za sobą tysiące wiernych followersów. Ale trochę też się ich boją. Bo influencer jest nieprzewidywalny, nie wiadomo, co zrobi albo co opublikuje na swoim profilu i czy nie wywoła skandalu, który odbije się na wizerunku marki. Dlatego karierę zaczynają robić wirtualni influencerzy, wyglądający i zachowujący się jak ludzie, ale wykreowani przy pomocy sztucznej inteligencji. Tacy mogą działać ściśle według zaplanowanego scenariusza, byle tylko nie halucynowali.

Według badań aż 65 proc. użytkowników internetu nie jest w stanie odróżnić wirtualnych influencerów od prawdziwych ludzi. Zatem sztuczna inteligencja może skutecznie zdemonetyzować Blowka, Friza i tysiące innych twórców. Tylko co na to powie skarbówka?

ADAM GRZESZAK

REKLAMA

Aplikacja POLITYKA

Postanowienie noworoczne:

wiedzieć więcej

Czytaj, słuchaj, oglądaj

- Bieżące wydarzenia
- Pogłębione analizy
- Teksty z Tygodnika Polityka
- Podkasty i wideo naszych autorów
- Możliwość słuchania najlepszych tekstów

POBIERZ W Google play

POBIERZ W App Store

eprasa.pl 2d9fcd4723

Programy PFR ukierunkowane na pobudzanie ekosystemu innowacji, takie jak IDA Bootcamp, przynoszą wymierne efekty – np. inwestycje w spółki oparte na zaawansowanych technologiach dronowych.

Ogar 3 firmy Prodron Sp. z o.o. to od podstaw obserwacyjny system bezzałogowego statku powietrznego klasy mikro używany do rozpoznania. Opcja wodowania umożliwia bezpieczne lądowanie jak i startowanie z powierzchni wody,

Kod źródłowy bezpieczeństwa. Czy polskie drony uniosą ciężar nowej geopolityki?

Wchodzimy w kolejny rok globalnej niepewności. Era, w której ekonomia była odseparowana od polityki, a łańcuchy dostaw rozciągnięte po całym globie, odeszła do lamusa. Dziś o sile państwa nie decyduje już tylko PKB, ale zdolność do technologicznej autonomii. Polska stoi przed szansą, by w nowym rozdaniu być graczem z mocnymi kartami. Raport o potencjale polskich dronów, opublikowany właśnie przez Polski Fundusz Rozwoju, pokazuje, że mamy talent i inżynierów. Brakuje nam jednak przemysłowych muskułów.

Jeszcze dekadę temu termin „autonomia technologiczna" brzmiał w uszach liberalnych ekonomistów jak anachronizm. W świecie globalnej wioski innowacje miały płynąć tam, gdzie kapitał, a produkty tam, gdzie popyt. Wojna w Ukrainie oraz narastająca rywalizacja między USA a Chinami brutalnie zweryfikowały ten pogląd. Okazało się, że w godzinie próby dostęp do czipów, algorytmów sztucznej inteligencji czy systemów satelitarnych jest krytyczny, jak dostęp do amunicji. Bezpieczna Europa to silna gospodarka, ale silna gospodarka musi dziś posiadać własne IP (własność intelektualną) na własnym terytorium.

Paradoks polskiego inżyniera

W tym krajobrazie Polska zajmuje intrygującą pozycję. Z jednej strony wciąż gonimy Zachód kapitałowo, z drugiej – dysponujemy zasobami intelektualnymi, które pozwalają nam w wybranych niszach stawać w szranki z najlepszymi. Doskonałą soczewką skupiającą te sprzeczności jest najnowszy raport PFR: „Potencjał produkcyjny startupów w zakresie pojazdów bezzałogowych w Polsce".

Wnioski z lektury są słodko-gorzkie. Polska posiada kilkanaście podmiotów (w raporcie przeanalizowano 13 firm i 26 rozwiązań), które tworzą technologie na światowym poziomie. Nie mówimy tu o prostym montażu chińskich podzespołów, ale o autorskich systemach łączności, algorytmach roju czy zaawansowanych płatowcach. Mamy kompetencje. Czego nie mamy? Skali.

Podczas gdy Ukraina w trybie wojennym produkuje dziesiątki tysięcy dronów miesięcznie, moce wytwórcze polskich startupów ujętych w raporcie oscylują wokół 1600 sztuk miesięcznie. To przepaść. Ale też – jak zauważa Jan Domanik, Dyrektor Departamentu Strategii PFR – szansa. – *Praca nad raportem dała nam wyjątkową okazję do zetknięcia się z twórcami innowacyjnych rozwiązań, które mogą przyczynić się do wzrostu potencjału obronnego kraju* – podkreśla. Problemem nie jest brak pomysłów, lecz brak zamówień, które pozwoliłyby te manufaktury zamienić w fabryki.

Dual-use: cywilny silnik, wojskowa tarcza

Tu dochodzimy do kluczowego pojęcia, które zdominuje debatę o polskiej innowacyjności w nadchodzących latach: *dual-use*, czyli technologie podwójnego zastosowania.

Współczesne pole walki ewoluuje szybciej niż procedury przetargowe jakiejkolwiek armii świata. Drony FPV (First Person View), systemy analizy danych czy komunikacja satelitarna rozwijają się w cywilnych garażach i laboratoriach

eprasa.pl 2d9fcd4723

HAASTA firmy Eurotech Sp. z o.o. z Mielca to wielozadaniowy system BSP dalekiego zasięgu dedykowany do działań rozpoznawczych, dywersyjnych i bojowych,

w tempie liczonym w miesiącach, nie latach. To właśnie technologie dual-use – tworzone z myślą o rynku komercyjnym, ale możliwe do szybkiego zaadaptowania przez wojsko – stają się podstawą bezpieczeństwa.

– *Technologie dual-use stają się jednym z fundamentów bezpieczeństwa nowoczesnych państw. Widzimy, jak szybko zmieniają się potrzeby obronne i chcemy, aby Polska była w tej zmianie nie odbiorcą, lecz współtwórcą innowacji* – mówi Mikołaj Raczyński, wiceprezes PFR ds. inwestycji.

Dronoid OWL VISION II V8 produkowany przez warszawską firmę SPQ Poland Sp. z o.o. to dronoid do pracy w trybie autonomicznym, w trudnych warunkach atmosferycznych.

Polska nie może pozwolić sobie na luksus bycia wyłącznie importerem gotowych rozwiązań. Musimy budować własne „know-how" w obszarach takich jak systemy autonomiczne, obserwacja satelitarna czy bezpieczna łączność. Dlaczego? Bo w momencie kryzysu geopolitycznego, łańcuchy dostaw mogą zostać przerwane, a polityczne zgody na eksport technologii – cofnięte. Własny kod źródłowy i własne linie produkcyjne to polisa ubezpieczeniowa, której nie da się kupić u zagranicznego brokera.

PFR jako architekt ekosystemu

Diagnoza jest więc jasna: mamy inżynierów, mamy potrzebę, ale konieczne są ambitne plany i narzędzia inwestycyjne. Tutaj, zgodnie z nową strategią na lata 2026–2030, wkracza Polski Fundusz Rozwoju. PFR przestaje być tylko dostarczycielem kapitału, a staje się aktywnym animatorem rynku, łączącym świat cywilnych innowacji z konserwatywnym światem wojska.

Działania te są dwutorowe. Po pierwsze: pieniądze. Ogłoszony w maju b.r. program PFR Deep Tech dysponuje budżetem 600 mln zł na inwestycje w zaawansowane technologie, w tym obronne. Mowa tu o konkretnych projektach, które już wchodzą do gry. Wcześniej środki z PFR Ventures, poprzez fundusze, zostały zainwestowane w spółki takie jak **Satim** (wykorzystująca sztuczną inteligencję do analizy obrazowania satelitarnego SAR, co pozwala „widzieć" w nocy i przez chmury) czy **DefendEye** (rozwijająca systemy autonomicznego zwiadu).

Po drugie: ekosystem. Pieniądze to za mało, jeśli startup nie ma gdzie przetestować swojego rozwiązania. Dlatego PFR, wspólnie z Ministerstwem Obrony Narodowej, powoa program **IDA Bootcamp** (Investments and Dual-use tech Adaptation). To platforma, która realnie łączy innowatorów z wojskiem. – *Stworzyliśmy program IDA jako platformę, która ma w bardzo specyficznym środowisku stworzyć warunki umożliwiające testowanie, adaptacje i wdrażanie innowacji m.in. do wojska* – tłumaczy Paweł Huras z PFR.

Efekty? Co najmniej 10 rozwiązań przetestowanych przez wojsko, pierwsze wdrożenia i – co kluczowe – pętla zwrotna. Inżynierowie dowiadują się, co realnie działa w błocie i na mrozie, a wojskowi uczą się zaufania do małych, zwinnych firm.

Odważne zakupy niedoskonałości

Aby Polska stała się hubem innowacji obronnych, musimy przełamać mentalną barierę w zamówieniach publicznych. Raport dronowy PFR wskazuje na konieczność zmian legislacyjnych, które umożliwią szybki zakup partii testowych.

Może to brzmieć kontrowersyjnie, ale państwo musi zacząć kupować sprzęt, który za rok może być przestarzały. Bez ciągłego strumienia zamówień na obecne generacje dronów (nawet jeśli nie są idealne), polskie firmy nie zbudują linii produkcyjnych, nie utrzymają zespołów i nie sfinansują prac nad kolejnymi wersjami. Czekanie na „produkt idealny" to droga donikąd. Musimy kupować partie pilotażowe, testować, zużywać i ulepszać. Widzimy pierwsze zmiany w działaniu MON umożliwiające taki sposób działania m.in. szybki zakup po weryfikacji w warunkach operacyjnych.

To inwestycja w kompetencje. Jeśli nie będziemy zamawiać dziś, jutro w razie zagrożenia nie będziemy mieli skąd wziąć sprzętu, bo nikt nie postawi fabryki w tydzień. Budowa zdolności do masowej produkcji w godzinie próby zaczyna się od małych zamówień w czasie pokoju.

Czas na „Team Poland"

Nowe technologie – drony, AI, kosmos – to domena, w której karty nie zostały jeszcze rozdane. Polska, dzięki wysokiemu poziomowi edukacji technicznej i przedsiębiorczości, ma szansę zająć miejsce przy tym stole. Wymaga to jednak ścisłej współpracy na linii państwo-biznes-nauka.

Programy takie jak IDA czy PFR Deep Tech to zaproszenie do tej współpracy. To sygnał dla polskich innowatorów: jeśli macie technologię, która może zwiększyć bezpieczeństwo państwa, nie jesteście sami. Kapitał jest dostępny, drzwi do testów są uchylone. Teraz wszystko zależy od tempa – tempa decyzji, wdrożeń i skalowania. Bo w geopolityce, tak jak w technologii, spóźnieni nie dostają drugiej szansy.

Jesteś innowatorem? Tworzysz technologie, które mogą mieć zastosowanie dual-use? Sprawdź możliwości programu IDA Bootcamp i funduszy PFR. Budujmy odporność polskiej gospodarki razem.

Materiał powstał przy współpracy z PFR

eprasa.pl 2d9fcd4723

Polska lista płac

W sektorze publicznym najwięcej zarabiają górnicy, w prywatnym – informatycy. Biznes szybko się unowocześnia, państwo – niekoniecznie.

JOANNA SOLSKA

© SHUTTERSTOCK

Na rynku pracy rok 2025 stał się początkiem rewolucji, która się dopiero rozpędza. Z góry tego nie widać, dane Głównego Urzędu Statystycznego (GUS) są optymistyczne – średnie zarobki rosły szybciej niż ceny, a liczba ofert pracy ciągle jest większa niż chętnych do jej podjęcia. Obraz, jaki przedstawia GUS, to jednak tylko wycinek naszego rynku pracy, dotyczy 6,5 mln pracowników w przedsiębiorstwach zatrudniających dziewięć i więcej osób. Wszystkich pracujących jest o prawie 10 mln więcej.

Średnie zarobki tych 6,5 mln osób w październiku wynosiły 8772 zł brutto, czyli na rękę 6310 zł. Problem polega na tym, że pułap średniej i powyżej osiąga zaledwie 30 proc. z grona badanych. Więcej mówi mediana (czyli kwota środkowa), którą GUS wyliczył za czerwiec tego roku: otóż połowa (3,25 mln osób) zarabiała wtedy 7138 zł brutto lub więcej, a druga połowa mniej. Przez rok kwota środkowa wzrosła jednak aż o 9,7 proc.

Do tej pory nie wiedzieliśmy, jak kształtują się wynagrodzenia w firmach zatrudniających do dziewięciu osób, ostatnio GUS wyliczył dla nich także czerwcową medianę – wyniosła 4666 zł, a więc prawie 2,5 tys. zł mniej niż średnia. Potwierdzają się opinie, że zarobki w mikrofirmach dyktuje płaca minimalna. Trzeba też pamiętać, że dane GUS o przeciętnych zarobkach nie uwzględniają 1,5 mln osób samozatrudnionych ani 1,2 mln utrzymujących się tylko z umów zlecenia. Średnia płaca nie oznacza więc, że otrzymuje ją przeciętny Polak, dla większości to raczej pensja marzeń.

Jeśli spojrzeć na październikowe dane pokazujące, w których branżach

eprasa.pl 2d9fcd4723

średnie płace są najwyższe, liderem (14,4 tys. zł) jest informacja i komunikacja, numerem dwa działalność finansowa i ubezpieczeniowa (13,4), potem naukowa i techniczna (12,1) i dopiero na czwartym miejscu górnictwo (12). Na wniosek, że mimo wszystko nasza gospodarka się unowocześnia, byłoby jednak za wcześnie.

Pokazuje to duża różnica zarobków między sektorem publicznym, gdzie – jeśli patrzymy na medianę – liderem jest... górnictwo (14,9 tys. zł, górnicy są pracownikami państwowych firm), a gospodarką prywatną, w której najwięcej zarabiają informatycy (tu mediana wynosi 11,5 tys. zł), ale sporo mniej niż górnicy. Biznes szybko się unowocześnia, państwo – niekoniecznie; do wydobycia węgla dopłacamy coraz więcej.

Państwo płaci lepiej także w zmonopolizowanej energetyce, tam mediana zbliża się do 12 tys. zł. Brak prywatnej konkurencji pozwala skubać odbiorców prądu, którymi jesteśmy wszyscy, nawet gdy rząd zamraża ceny. Wtedy dopłacamy do nich jako podatnicy. W całym sektorze publicznym czerwcowa mediana wynagrodzeń wyniosła 8357 zł, a u pracodawców prywatnych tylko 6494 zł. Dzięki kontrolowanemu przez państwo KGHM gmina, w której mieszkańcy – a jest ich ok. 5 tys. – zarabiają najwięcej w kraju (mediana wynosi tu 9880 zł), to Jerzmanowa na Dolnym Śląsku, Warszawa jest druga (9494 zł). W administracji publicznej mediana wynagrodzeń brutto przekraczała 8 tys. zł. Z badań Randstad wynika, że aż 82 proc. urzędników jest ze swojej pracy i płacy zadowolonych i nie chciałoby jej zmieniać.

Dyplom nie pomaga

Każdego roku polski rynek pracy kurczy się o kilkadziesiąt tysięcy osób. Seniorów nie zastępują młodzi, jest ich mniej. Wydawałoby się, że przy tak szybkim rozwoju gospodarczym (ostatnio PKB wzrósł w trzecim kwartale aż o 3,8 proc.) popyt na pracowników będzie coraz większy. Nawet osoby zadowolone z dotychczasowej pracy w 2024 r. wyrażały gotowość do zmiany zatrudnienia, była to najkrótsza droga do podniesienia zarobków. Ekonomiści mówili o rynku pracownika. Ale to już przeszłość.

Mijający rok dostarczył wielu zaskoczeń. Z badań firmy rekrutacyjnej Randstad wynika, że okres poszukiwania ▶

Komu? Ile? Za co?

Przykładowe miesięczne zarobki brutto

Prawo

Partner w renomowanej kancelarii prawnej w Warszawie zarabia do 60 tys. zł; partner w dużej kancelarii we Wrocławiu – od 25 do 40 tys. zł
Dyrektor działu prawnego w Warszawie – od 25 do 45 tys. zł, we Wrocławiu i Poznaniu – od 20 do 35 tys. zł
Starszy prawnik w stolicy – od 16 do 30 tys. zł, w Poznaniu – do 20 tys. zł

IT

W branży IT zanikły różnice regionalne w zarobkach. AI Research Scientist dostaje od 25 do 40 tys. zł. Stawka godzinowa to 200–230 zł.
IT audytor w Warszawie, Krakowie, Poznaniu w firmie zagranicznej – do 30 tys. zł
Analityk ds. bezpieczeństwa danych w branży nowoczesnych technologii – 23 tys. zł
Inżynier ds. promptów – od 25 do 30 tys. zł
Inżynier DevOps – od 15 do 20 tys. zł
Menedżer w branży telekomunikacyjnej w Warszawie – 25 tys. zł, w Białymstoku – 22 tys. zł
Menedżer odpowiedzialny za system bezpieczeństwa danych w Warszawie – 28 tys. zł, w Poznaniu – 22 tys. zł

Logistyka

Dyrektor w dużym centrum logistycznym pod Warszawą – 27 tys. zł, dyrektor logistyki w Łodzi – 22 tys. zł
Specjalista ds. logistyki w dużym centrum – 20 tys. zł, w mniejszym – 18 tys. zł

Handel, marketing, PR

PR Manager w korporacji zagranicznej – od 15 do 20 tys. zł
Analityk e-commerce w średniej firmie w Poznaniu – 13 tys. zł
Dyrektor marketingu dużej firmy w Lublinie – 25 tys. zł
Kierownik biura w dużej firmie w stolicy – 15 tys. zł, we Wrocławiu – 12 tys. zł, w Lublinie – 11 tys. zł

Szkolnictwo

Nauczyciel mianowany w liceum warszawskim, razem z dodatkami – 7828 zł
Nauczyciel po studiach w podstawówce w Gorzowie Wielkopolskim – razem z dodatkami 6600 zł brutto

Zdrowie

Chirurg w szpitalu w Koninie, na kontrakcie – 200 tys. zł
Psycholog kliniczny – co najmniej 17 800 zł
Lekarz położnictwa i ginekolog w szpitalu powiatowym – do 40 tys. zł
Lekarz ze specjalizacją na etacie, bez dyżurów – 11 862 zł
Lekarz bez specjalizacji i dyżurów, na etacie – 9736 zł
Pielęgniarka po studiach, ze specjalizacją, na etacie – 10 554 zł
Pielęgniarka bez specjalizacji – 7690 zł

Inne

Piekarz – 12 tys. zł, na jedną zmianę na umowie o pracę
Hydraulik do montażu pomp ciepła – od 12 do 20 tys. zł
Monter instalacji grzewczo-sanitarnych/spawacz – od 16 do 18 tys. zł
Główna księgowa lub księgowy – od 19 tys. zł w górę
Lakiernik konstrukcji stalowych na umowie o pracę – od 15 tys. zł
Kierowca ciągnika siodłowego (kat. CE) – od 11 do 13 tys. zł

Źródło: Antal, oferty w urzędach pracy

© SHUTTERSTOCK (2)

eprasa.pl 2d9fcd4723

▶ nowego pracodawcy wydłużył się do czterech i pół miesiąca. Najłatwiej znaleźć nowe zatrudnienie w miastach powyżej 200 tys. mieszkańców, średnio trwa to 3,3 miesiące. Najdłużej, bo aż 5,5 miesiąca szuka się w miastach od 20 do 50 tys. mieszkańców. Jeśli w takim miejscu zajęcia szuka osoba powyżej pięćdziesiątki, jej szanse są najmniejsze, zwłaszcza jeśli jest kobietą. W ubiegłych latach było lepiej.

Wśród poszukujących pracy największe szanse mają... mężczyźni z wykształceniem podstawowym. Nieco mniejsze – ci z maturą, a najmniejsze z dyplomem wyższej uczelni, którzy muszą szukać pracy przez średnio niemal pół roku.

Z raportu płacowego firmy Sedlak & Sedlak wynika, że początkujący pracownik fizyczny może liczyć na 5065 zł brutto, ale 60 proc. niewykwalifikowanych pracowników fizycznych w nadchodzącym roku spodziewa się podwyżek. Mogą się rozczarować. Z monitoringu kosztów pracy, jaki regularnie prowadzi Narodowy Bank Polski, wynika, że w Polsce stanowią one 15 proc. wszystkich kosztów, rosną najszybciej. To pogarsza konkurencyjność naszych firm.

Polski Instytut Ekonomiczny (PIE) oczekuje, że rosnące koszty pracy skłonią przedsiębiorców do zastępowania ludzi robotami i sztuczną inteligencją. Ostatnie dane publikowane przez PIE pochodzą z 2022 r. i są niepokojące. Niemcy na 10 tys. zatrudnionych mieli 256 robotów, Czesi 150, podobnie Słowacja, w Polsce było ich zaledwie 54. Chiny wyprzedzają Europę o kilka długości. Tam koszty pracy są dwukrotnie niższe, a najbardziej zrobotyzowany jest przemysł motoryzacyjny. – *W ciągu dwóch ostatnich lat chińskie auta zajęły już 7 proc. europejskiego rynku. Jak chcemy utrzymać europejski model życia, jeśli nie zwiększymy europejskiej konkurencyjności?* – retorycznie pyta Agnieszka Zielińska z organizacji pracodawców Lewiatan.

Do tej pory polskie firmy sektora motoryzacyjnego miały plany zatrudnienia na najbliższe dwa, trzy lata. Jak ujawnia Zielińska, wobec obecnej ekspansji chińskich aut mówią najwyżej o dwóch, trzech miesiącach. Na taki okres szukają pracowników w agencjach pracy tymczasowej. Rząd jakby nie zdawał sobie z tego sprawy, nowelizacja ustawy o Państwowej Inspekcji Pracy ma dać uprawnienia inspektorom, aby – z urzędu – nakazywali zatrudniać pracowników na etaty. Czy Ministerstwo Rodziny i Pracy nie wie, że wszyscy referendarze sądowi zatrudnieni są na zleceniach? A lekarze na kontraktach? Czy informatycy, którzy umową o pracę wiązać się nie chcą, będą woleli wykonywać projekty tylko dla firm zagranicznych? – zauważa przedstawicielka Lewiatana.

Podwyżki i obniżki

Rosną też frustracje pracowników. Aż 23,5 proc. osób w wieku 27–34 lata narzeka, że zajmują stanowiska poniżej swoich kwalifikacji. Raport PIE jako jedną z przyczyn podaje fakt, że u nas aż 63 proc. młodych (16–24 lata) ma kompetencje cyfrowe zaledwie na poziomie podstawowym, poniżej średniej unijnej. Gorsi od nas są młodzi Włosi i Rumuni, biją zaś nas na głowę Finowie i Czesi.

Agnieszka Wójcik z firmy Antal dodaje, że dyplomy wyższych uczelni nie mówią już nic o kompetencjach, jakich poszukują pracodawcy, dlatego przestały być brane pod uwagę. Liczy się to, czy kandydat je posiada, a nie w jaki sposób je zdobył. Obecny rynek pracy znów stał się nieprzyjazny dla młodych. Nierzadko na tzw. stanowiska juniorskie kandydatów się już nie przyjmuje, firmy poszukują pracowników z kilkuletnim doświadczeniem. Tych bez kwalifikacji coraz częściej zastępuje sztuczna inteligencja. Sam Antal oferuje firmom usługi... Bonifacego, czyli aplikację na komputer, która lepiej niż człowiek sprawdza się na wielu stanowiskach. Szybciej sporządzi raporty sprzedażowe, zaksięguje faktury, rozliczy koszty sprzedaży. Bonifacy przydatny jest nawet przy sprawdzaniu umiejętności kandydatów do pracy.

Najwyższe podwyżki (nawet o 9 proc.) odnotowała w 2025 r. branża finansów i księgowości. Najwięcej dostają jednak ci, którzy dotychczasowe umiejętności wzbogacili o kompetencje cyfrowe. Dlatego rozpiętość płac w jednej branży może być bardzo duża: główny księgowy może miesięcznie dostawać 15 tys. zł brutto, ale też 35 tys. zł, średnia dla tego rodzaju specjalistów wynosi 16,5 tys. zł. Ten z niższymi apanażami szybciej pożegna się z firmą, niż dostanie podwyżkę.

Podwyżki (średnio o 5 proc.) dostali specjaliści w logistyce, ciągle ich brakuje. Kierownik w centrum logistycznym może liczyć co najmniej na 15 do nawet 22 tys. zł brutto. Według Antal średnia w tej branży wynosi 13,4 tys. zł.

W IT i telekomunikacji, gdzie nadal płacą najlepiej, podwyżek w tym roku właściwie nie było. O wiele mniejsze wzięcie niż w ubiegłych latach mają programiści. Pracodawcy szukają specjalistów nie tylko umiejących wykorzystywać AI, ale też posiadających podstawową wiedzę w dziedzinie cyberbezpieczeństwa. Trudno tu mówić o średnich zarobkach, ponieważ większość ludzi z tej branży (ponad 56 proc.) ma własne firmy. Najlepsi żądają stawek godzinowych rzędu 180–230 zł.

Menedżerowie gonią Niemców

Coraz niższa inflacja nie miała wpływu na podwyżki dla top menedżerów, które w mijającym roku były imponujące (średnio ok. 18 proc.). W dodatku aż 68 proc. spośród nich spodziewa się kolejnych w tym roku. Według Antal ich wynagrodzenia są zaledwie o kilkanaście procent niższe od apanaży ich odpowiedników w Niemczech, a równe tych w Czechach czy Słowacji. Wyższa kadra kierownicza firm najlepiej płacących dostaje miesięcznie 36,6 tys. zł, bez premii. A premie bywają kilkakrotnie wyższe niż płaca podstawowa. Według tej samej zasady opłacani są członkowie zarządów, obecna płaca zasadnicza przekroczyła 59 tys. zł.

Za co im płacą? Tak wysokie zarobki wynikają głównie z tego, że zdaniem „łowców głów" osób o tak wysokich kompetencjach jest zbyt mało. Często firmy zatrudniają obcokrajowców, dodając do pensji zwrot całkowitych kosztów utrzymania w Polsce. Właściciele czy akcjonariusze oczekują, że za tak duże pieniądze otrzymają „trzy w jednym": oprócz kompetencji wymaganych do tej pory menedżerowie mają zagwarantować firmie cyberbezpieczeństwo i muszą się odnaleźć w otoczeniu chmurowym. Prezes, który tym wymaganiom nie sprosta, będzie szukać następnej posady dłużej niż zwykły magister.

O zarobkach najlepiej opłacanych prezesów dowiemy się za kilka miesięcy z raportów spółek. Niewykluczone, że liderem pozostanie Rafał Brzoska z InPostu, który już za 2024 r. otrzymał wynagrodzenie w wysokości 21,4 mln zł. To chyba wciąż numer jeden na polskiej liście płac.

JOANNA SOLSKA

eprasa.pl 2d9fcd4723

Pociąg do kolei

Widok na centrum Warszawy z nowego Dworca Zachodniego, otwartego w listopadzie 2025 r.

Politycy różnych partii obiecują nam szybkie i nowoczesne pociągi, łączące miasta duże i małe. PKP kończy właśnie 100 lat. Ale nowe życie zawdzięcza głównie Unii Europejskiej.

CEZARY KOWANDA

Już wiek temu polscy politycy zrozumieli, jak ważna jest kolej. Gdy w maju 1926 r. Józef Piłsudski, niepełniący wówczas żadnych funkcji państwowych, dokonywał przewrotu, na ratunek legalnej władzy chciały ruszyć oddziały wojskowe z Pomorza, a zwłaszcza z Wielkopolski. Piłsudski nie cieszył się tam popularnością, a większość mieszkańców stała po stronie prezydenta Stanisława Wojciechowskiego i premiera Wincentego Witosa. Jednak prorządowe posiłki do Warszawy nie mogły dotrzeć, bo zastrajkowali kolejarze, wśród których silne były wpływy PPS. A ta partia popierała zamach stanu. Po trzech dniach walk w stolicy, w których zginęło prawie 400 osób, siły rządowe były w defensywie. Prezydent Wojciechowski ustąpił, aby uniknąć wojny domowej. Piłsudski przejął kontrolę nad państwem. 24 września 1926 r. nowy prezydent Ignacy Mościcki powołał na mocy rozporządzenia Polskie Koleje Państwowe (PKP). Na pamiątkę tego wydarzenia Sejm kilka miesięcy temu ustanowił specjalną uchwałą rok 2026 Rokiem Polskiej Kolei.

Od końca PRL aż do dzisiaj przeszła ona bardzo burzliwą drogę. W latach 90. zaczął się jej upadek – brakowało pieniędzy nie tylko na inwestycje, ale i na bieżące remonty. Szybko malała liczba pasażerów, którzy zniechęceni coraz gorszą ofertą przesiadali się do kupowanych na masową skalę samochodów, a politycy patrzyli na pociągi jak na relikt przeszłości. Skutek był łatwy do przewidzenia: coraz mniej połączeń i czynnych tras, aby ograniczyć dopłaty z budżetu. Symbolem tej strategii były ogromne cięcia w latach 2000–2001, gdy zlikwidowano połączenia na kilku tysiącach kilometrów sieci kolejowej. Priorytet miały drogi – politycy walczyli o głosy wyborców, obiecując, że wreszcie rozpocznie się budowa autostrad, tras ekspresowych i obwodnic na wielką skalę. Kolej została skazana na wegetację.

Przestawiona zwrotnica

Tak było jeszcze ćwierć wieku temu. Aż trudno w to uwierzyć, skoro dzisiaj premier Donald Tusk obiecuje najlepszą kolej w Europie, a politycy prześcigają się w podkreślaniu swoich zasług dla rozwoju PKP. Dlaczego zwrotnica została przestawiona?

– *Na pewno dużą rolę odegrała suburbanizacja, czyli rozlewanie się dużych miast* – mówi dr Michał Beim, ekspert ▶

© PAWEŁ WIERZCHOWSKI/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 2d9fcd4723

▶ ds. transportu, były członek zarządu PKP SA. – *Mieszkający na peryferiach widzieli obok siebie linie kolejowe, po których jednak jeździło bardzo mało pociągów. Zaczęli walczyć o to, aby można było koleją dojeżdżać do pracy czy szkoły i nie tracić coraz więcej czasu w korkach. W dużych aglomeracjach zmieniał się stopniowo sposób postrzegania samochodu. Zamiast jako symbol luksusu zaczęliśmy go traktować jako narzędzie, które ma swoje plusy i minusy. Symbolicznym momentem była decyzja ówczesnego prezydenta Warszawy Lecha Kaczyńskiego o stworzeniu w 2005 r. Szybkiej Kolei Miejskiej.*

Początki SKM były skromne – tylko jedna trasa, a tabor stanowiły pociągi nie nowe, lecz gruntownie przebudowane. Jednak sama decyzja okazała się strzałem w dziesiątkę. Następcy Kaczyńskiego, bez względu na partyjną przynależność, rozwijali tę spółkę, nie szczędząc środków. Szybko się zorientowali, że zwrot „jadę eskaemką" wszedł do potocznego języka warszawskich i podwarszawskich pasażerów, którzy tak zaczęli nazywać wszystkie lokalne pociągi. Także część marszałków województw odkryła, że kolej może im pomóc w walce o głosy wyborców.

Stacja Włoszczowa

Stopniowo zaczęły powstawać lokalne spółki kolejowe należące do samorządów. W ten sposób próbowano zerwać ze złym wizerunkiem państwowego molocha o nazwie PKP Przewozy Regionalne, a równocześnie lepiej kontrolować wydatki na kolej. Nie bez znaczenia był też fakt, że nowe spółki oznaczały nowe posady, obsadzane według partyjnego klucza.

Pionierem takich kolei samorządowych było Mazowsze (Koleje Mazowieckie działają już 21 lat), wkrótce dołączyły Dolny Śląsk, Wielkopolska, Śląsk i województwo łódzkie. Dziś lokalni politycy wykorzystują nowoczesne regionalne składy do autopromocji, pokazując się na ekranach i wyliczając swoje zasługi dla pasażerów. Celują w tym zwłaszcza na Dolnym Śląsku, gdzie kolej okazała się kluczem do lokalnego sukcesu dla ugrupowania Bezpartyjni Samorządowcy.

To, że za kolej regionalną odpowiadają marszałkowie, ma jednak nie tylko swoje dobre strony. Gdy na Dolnym Śląsku, w Wielkopolsce czy w Łódzkiem liczba pasażerów znacząco wzrosła, to już np. na Lubelszczyźnie, Podlasiu, ziemi lubuskiej czy na Warmii i Mazurach oferta połączeń jest uboga, nowego taboru niewiele, a kolej odgrywa podrzędną rolę. Także tam przeznaczane są ogromne środki na remonty linii, ale potem kursuje po nich nierzadko kilka pociągów na dobę, często w mało atrakcyjnych porach. Ostatnie lata to zresztą pogłębianie się różnic między kolejowymi regionami.

Czym dla renesansu kolei regionalnej były spółki marszałkowskie, tym dla ruchu dalekobieżnego okazały się nowe składy kupione przez PKP Intercity za rządów koalicji PO-PSL. – *Przełomem z pewnością było Pendolino, które wyruszyło pod koniec 2014 r. Na początku krytykowane przez ekspertów jako zbyt nowoczesne na nasze tory, ale od razu przyciągające uwagę zwykłych pasażerów. Rok później doszły nowoczesne składy Flirt i Dart. Mówi się, że kupujemy oczami, i to prawda. Nagle podróżni zobaczyli, że pociągi mogą wyglądać zupełnie inaczej niż dotąd. Do tego doszły wreszcie efekty długoletnich remontów, czas jazdy na wielu liniach zaczął się skracać. Ta zmiana wizerunkowa przyciągnęła na kolej wiele osób, które przez długi czas z niej nie korzystały* – podkreśla Piotr Rachwalski, członek zarządu spółki CPK, były prezes Kolei Dolnośląskich.

Gdy w 2015 r. PiS doszedł do władzy, postanowił wykorzystać rodzącą się modę na kolej. Politycy tej partii pamiętali doświadczenia Przemysława Gosiewskiego, który niemal dekadę wcześniej wywalczył budowę przystanku Włoszczowa Północ na Centralnej Magistrali Kolejowej. Chociaż wówczas wielu ekspertów i polityków wyśmiewało ten pomysł, okoliczni mieszkańcy byli bardzo wdzięczni Gosiewskiemu za to, że zaczęły się u nich zatrzymywać szybkie pociągi do Warszawy, Krakowa i Katowic.

Za rządów prawicy rzeczywiście wiele mniejszych miejscowości dostało nowe połączenia dalekobieżne. Chodziło zazwyczaj tylko o jeden czy dwa pociągi dziennie, ale taka zmiana i tak była rewolucją dla lokalnych mieszkańców. Sztandarowym programem partii Jarosława Kaczyńskiego miała być Kolej Plus, czyli pakiet remontów bocznych linii, z których część od lat była nieużywana. Te remonty idą powoli i potrwają zapewne aż do końca dekady.

Obecna koalicja rządząca też próbuje pokazać, jak ważna jest dla niej kolej – i ta wielka, i ta mała. Wielka to przede wszystkim projekt Igrek, towarzyszący budowie Centralnego Portu Komunikacyjnego (CPK). W 2032 r. Kolej Dużych Prędkości (KDP) ma połączyć Warszawę, CPK i Łódź, a w 2035 r. dotrze do Poznania i Wrocławia. Za dwa lata przyspieszyć mają pociągi na Centralnej Magistrali Kolejowej, po której Pendolino będzie mogło pojechać 250 km/h. Podróż z Warszawy do Krakowa lub Katowic potrwa mniej niż dwie godziny. Jednak równocześnie rząd Tuska stara się udowodnić, że – jak PiS – troszczy się też o mniejsze miasta i boczne linie. Zapowiada na przykład, że do Łomży, po zakończeniu remontu i przywróceniu miasta na kolejową mapę Polski (po 33 latach przerwy!), pojadą nie tylko składy regionalne, lecz nawet pociągi PKP Intercity z Warszawy.

Wagony pełne głosów

Teraz politycy licytują się już nie o to, kto bardziej kocha kolej, lecz kto jest na kolei bardziej patriotyczny. Za przykład może posłużyć dość kuriozalna debata o tym, z jaką prędkością mają jechać pociągi po KDP. Sama linia zostanie zaprojektowana nawet na 350 km/h. PiS jednak zakładał, że PKP Intercity kupi składy jeżdżące tylko 250 km/h. Obecny rząd przekonuje, że to absurd, i chce pociągów mogących poruszać się z prędkością 320 km/h. To warunek, aby podróż z Warszawy do Poznania trwała przynajmniej pół godziny krócej niż dzisiaj (dystans do przejechania nową linią między tymi miastami będzie znacznie dłuższy niż obecną trasą). Opozycja

Proszę wsiadać, obywatele!

Roczna liczba podróży koleją na mieszkańca

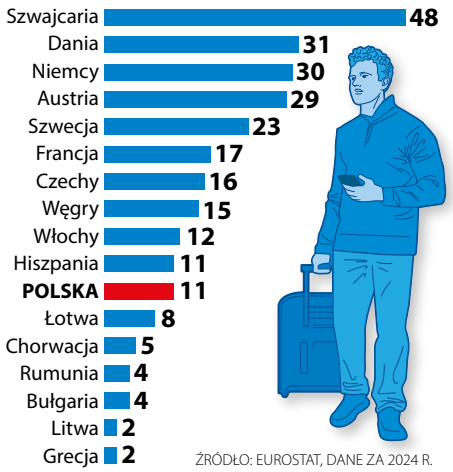

ŹRÓDŁO: EUROSTAT, DANE ZA 2024 R.

eprasa.pl 2d9fcd4723

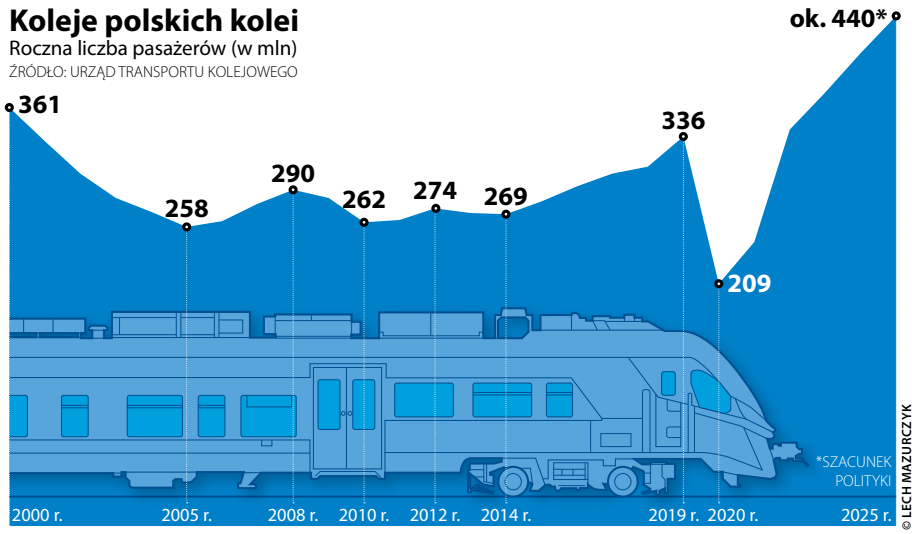

kontruje: zakup tak szybkich pociągów wyeliminuje z przetargu polskie firmy. Rząd ripostuje: polskie firmy wystartują w konsorcjach z zagranicznymi partnerami i nauczą się wreszcie budować superszybkie składy.

Koalicja może też wytykać PiS, że promując polskich producentów, najpierw przygotowało pod nich przetarg na nowe pociągi piętrowe dla PKP Intercity. Kiedy jednak w 2023 r. pojawiła się tylko jedna oferta, złożona razem przez firmy Pesa i Newag na astronomiczną kwotę, przetarg unieważniono, a przewoźnik niczego nie kupił. Brak takich pojemnych pociągów mści się teraz, gdy tak szybko rośnie liczba pasażerów. Zakup składów piętrowych udał się dopiero w 2025 r. Wygrał francuski Alstom (pociągi zbuduje w swoich zakładach w Chorzowie), polscy producenci nie wystartowali, a posłowie Marcin Horała z PiS i Paulina Matysiak (do niedawna Razem) zażądali unieważnienia przetargu.

Dyskusja o prędkości może się wydawać akademicka, jednak w rzeczywistości pokazuje, jak chętnie politycy wykorzystują dziś kolej w walce o głosy. Trochę może z konieczności, bo trudno dziś wygrywać wybory, obiecując kolejne drogi ekspresowe. Znaczna ich część została już zbudowana, a na kolei można jeszcze sporo ugrać, skoro przed nami wiele inwestycji. Na razie cieszymy się ze statystyk.

Liczba pasażerów w 2025 r. sięgnie prawdopodobnie ok. 440 mln. Oznacza to wzrost w ciągu roku o 8 proc. w porównaniu z 2019 r. (ostatni przed pandemią) o 30 proc., a gdy popatrzymy na ostatnie dwudziestolecie, podróżnych jest aż o 70 proc. więcej. PKP Intercity przewozi już tylu pasażerów, ilu miało być – według planów za rządów PiS – dopiero w 2030 r. Prawdopodobnie w 2027 r. na polskiej kolei pęknie granica pół miliarda podróży rocznie. W ten sposób wrócimy do połowy lat 90. Tyle że wówczas tendencja była już mocno spadkowa, a teraz dominuje optymizm.

Główny hamulcowy

Kolejowa ofensywa ostatnich lat robi wrażenie, ale wciąż nie są to imponujące liczby w skali naszego kontynentu. Polacy jeżdżą pociągami średnio 11 razy rocznie, to poziom Włoch czy Hiszpanii. Są oczywiście gorsi: Rumuni i Bułgarzy wsiadają do pociągów przeciętnie cztery razy w roku, a Grecy czy Litwini rzadziej niż dwa razy. Skoro jednak budujemy najlepszą kolej w Europie, to chyba powinniśmy porównywać się z najlepszymi. A ci grają w innej lidze – na Szwajcara przypada niemal 50 przejazdów pociągiem rocznie. W Unii Europejskiej liderami są Luksemburczycy, Duńczycy, Niemcy i Austriacy. Tam każdy mieszkaniec jeździ pociągiem średnio 30 razy rocznie.

Na czym powinniśmy się skupić? – *Oczywiście inwestycje takie jak Kolej Dużych Prędkości wyglądają spektakularnie, ale pamiętajmy, że najwięcej pasażerów przewożą nie pociągi dalekobieżne, lecz regionalne i aglomeracyjne. Chodzi o tych, którzy na co dzień korzystają z kolei, tam jest największy potencjał wzrostu* – podpowiada dr Beim. I to właśnie w tych miejscach pojawiają się największe problemy z przepustowością. Bo chociaż pasażerów jest u nas wciąż znacznie mniej niż w Europie Zachodniej, to kłopoty z brakiem miejsca na torach mamy już podobne. Ten problem będzie z pewnością największym hamulcowym rozwoju kolei w Polsce.

Pokazał to choćby wjazd na nasze tory prywatnego przewoźnika z Czech. We wrześniu 2025 r. RegioJet połączył Warszawę i Kraków, od grudnia kursuje także do Trójmiasta (chociaż rzadziej, niż obiecywał, bo jego startowi towarzyszy spory chaos organizacyjny), a w lutym obiecuje dojechać do Poznania. Czesi się skarżą, że nie wszędzie mogą jeździć tak szybko i często, jak by chcieli; na brak miejsca dla swoich pociągów narzeka również konkurujące z nimi PKP Intercity, a najbardziej zdenerwowani są przewoźnicy regionalni, których składy muszą coraz częściej tracić czas na niektórych stacjach, by dać się wyprzedzić pociągom dalekobieżnym. Jeśli chcemy mieć nawet nie najlepszą, a choćby dobrą kolej, potrzebujemy dodatkowych torów w aglomeracjach. Już teraz zapchane są węzły wrocławski i poznański, tak samo jak szereg tras dojazdowych do Warszawy.

Tymczasem politycy wciąż patrzą na kolej bardziej jak na system polityczny niż transportowy. Do tej pory nie powstał stabilny model finansowania inwestycji na wzór Funduszu Drogowego, który może się swobodnie zadłużać i nie jest już uzależniony od pieniędzy unijnych. Na razie spółki takie jak PKP Polskie Linie Kolejowe działają od jednego do kolejnego budżetu unijnego. Renesans polskiej kolei zawdzięczamy w dużej mierze właśnie Unii, która od początku naszego członkostwa postawiła sprawę jasno: pieniądze z Brukseli mają iść nie tylko na drogi, ale też na tory. Polscy politycy nie chcą z pewnością o tym pamiętać, lecz dwie dekady temu najchętniej wydawaliby fundusze tylko na asfalt. Jednak wspominanie o zasługach UE, tak chętnie dziś oczernianej, nie jest przecież modne. Lepiej przekonywać elektorat, że rozwijająca się polska kolej to ich zasługa, a zagraniczne koncerny i urzędy niech się trzymają od niej z daleka. W Roku Polskiej Kolei – i nie tylko.

CEZARY KOWANDA

eprasa.pl 2d9fcd4723

Car w dom

W sylwestrową noc cały świat tańczy i pije szampana. Za to Rosjanie zbierają się przed telewizorem, aby wysłuchać życzeń od przywódcy. Nikt ich do tego nie zmusza, oni to lubią.

PAWEŁ RESZKA, EVGENIA TAMARCHENKO

Marat Gelman, który na przełomie wieków był jednym z najbardziej wpływowych spin doktorów Kremla, przypomina, że tradycja jest stara, jeszcze sowiecka. Jednak za czasów Władimira Putina życzenia noworoczne nabrały „wyraźnie religijnego charakteru". – *Bóstwo z Kremla, z rosyjskiego Olimpu, przemawia do ludzi i składa obietnice. Komunikuje się z narodem w stanie świątecznej euforii* – mówi Gelman, który dawno porzucił polityczny PR, związki z władzą i prowadzi galerię sztuki.

Na Kremlu życzenia traktowane są jak jedno z najważniejszych wystąpień w roku. Stawia się je na równi z corocznym posłaniem prezydenta do parlamentu. – *Posłanie to przekaz dla elit. Życzenia są dla zwykłych ludzi. Jedyna szansa, by zwrócić się do tego audytorium* – dodaje Abbas Galljamow, politolog, który w latach 2008–10 pisał Putinowi przemówienia, a dziś jest politycznym emigrantem.

Przygotowywanie orędzia to cały rytuał. Około miesiąca wcześniej wszystkie ministerstwa przygotowują swoje propozycje. – *Trzeba powiedzieć coś o edukacji, coś o kulturze. Żeby obietnice brzmiały realistycznie, muszą opierać się na propozycjach ministerstw, urzędów, partii politycznych oraz władz regionalnych. Wszystko to trafia do Administracji Prezydenta, a dopiero potem do zespołu autorów piszących przemówienia* – opowiada Gelman. Dziś za życzenia noworoczne odpowiada mało znany urzędnik. – *To Dmitrij Kalimulin, jest starszym referentem. Oczywiście przemówienie ostatecznie zatwierdza prezydent, odręcznie wnosi poprawki, czasem dopisuje coś od siebie* – mówi Galljamow.

eprasa.pl 2d9fcd4723

W przeszłości zaufana ekipa telewizyjna przyjeżdżała zazwyczaj kilka dni przed sylwestrową nocą. Przez lata – od czasów Leonida Breżniewa – dowodziła nią nieżyjąca już Karelia Kisłowa, reżyserka głównych wiadomości „Wriemia". Ekipa nagrywała przywódcę z wyprzedzeniem i musiała zachować tajemnicę. Od czasów Putina sprawa się skomplikowała. Otoczenie wymyśliło, że prezydent będzie występował nie w gabinecie, lecz na zewnątrz. Wybrano leżący w granicach Kremla Plac Iwanowski – tradycyjne miejsce ogłaszania carskich dekretów, publicznych ceremonii. Symbol silnej władzy. Wiązało się to z koniecznością doświetlania budynków w tle, a nawet wypuszczania sokołów, aby te przepędziły zamieszkujące Kreml stada wron.

Najpierw Brylska

Logistykę dodatkowo utrudnia fakt, że Rosja rozciąga się na 11 stref czasowych. Przemówienie najpierw nadawane jest więc na Dalekim Wschodzie: Kamczatce i Czukotce, a potem w kolejnych regionach Rosji, kończąc na obwodzie kaliningradzkim. Niezmiennie jednak 31 grudnia wieczorem Rosjanie zbierają się za stołami. Państwowa telewizja emituje film „Szczęśliwego Nowego Roku" z Barbarą Brylską w roli głównej. A chwilę przed północą na ekranie pojawia się wódz. Jego przemówienie trwa zazwyczaj 7–8 minut. Transmituje je jednocześnie ponad 20 kanałów: ogólnokrajowe, regionalne i tematyczne, nawet sportowe. Przywódca kończy w chwili, gdy kremlowskie kuranty zaczynają wybijać północ.

Noworoczne orędzie jest jedną z najchętniej oglądanych audycji. „To z zeszłego roku na 28 kanałach telewizyjnych oglądało 63,6 mln Rosjan" (na 143 mln – przyp. red.) – donosił dziennik „Wiedomosti", powołując się na dane firmy badawczej Mediascope. Podobny wynik osiągano w poprzednich latach. – *Chodzi o stworzenie rytuału synchronizacji: wszyscy o tej samej porze siedzimy z kieliszkiem szampana i czekamy, aż Putin skończy mówić. Zbiorowy rytuał w świeckiej ramie, który wzmacnia więź ludzi z przywódcą* – mówi Aleksandra Archipowa, antropolożka społeczna.

Tajemnicę sukcesu po części tłumaczy specyfika samego Nowego Roku w Rosji. Po pierwsze, jest to najważniejsze święto w kalendarzu. Po drugie, jest to święto rodzinne. Europa przygotowuje się do wyjścia na bal: garnitury, suknie, fryzury. Rosja odkurza mieszkanie, chłodzi alkohol, kroi składniki na warzywno-kiełbasianą sałatkę Oliwier. Zaraz przyjdzie rodzina i najbliżsi przyjaciele.

Nowy Rok jest też początkiem serii świąt. Prawosławni 7 stycznia obchodzą Boże Narodzenie. A potem, 14 stycznia, Stary Nowy Rok (według kalendarza juliańskiego) i w końcu Objawienie Pańskie (19 stycznia). Oznacza to, że cały kraj jest przestawiony z pracy na odpoczynek, wszystko działa na pół gwizdka. Ale najważniejszy (przede wszystkim dla władzy) jest Nowy Rok.

Wieczór bezbożnika

To święto przywiózł z Zachodu car Piotr I i wprowadził dekretem. Surowo przykazał poddanym: „Wesoło składać sobie nawzajem noworoczne życzenia. Na znamienitych i przejezdnych ulicach, w bramach i domach urządzić dekoracje z drzew i gałęzi sosnowych, jodłowych i jałowcowych. Strzelać z małych armat i strzelb, puszczać rakiety, ile kto posiada, i zapalać ognie".

Komuniści mieli problem z Nowym Rokiem. Z jednej strony, lubił go wódz rewolucji Włodzimierz Iljicz Lenin. Jego partnerka Nadieżda Krupska w memuarach odnotowała, że 31 grudnia 1917 r. pojechali na spotkanie z robotnikami dzielnicy wyborskiej Piotrogrodu. Ale ledwie udało im się wyjechać z Pałacu Smolnego. Wszystko było zawalone śniegiem, bo posady dozorców rewolucjoniści zlikwidowali, a nikt nie miał ochoty walczyć z zaspami w czynie społecznym.

Bolszewicy próbowali przerabiać Nowy Rok i Wigilię na świeckie święta. Organizowano „Czerwone choinki", „Wieczory bezbożnika", „Komunistyczne Boże Narodzenie". Jednak wszystko i tak zalatywało burżuazyjnym ciemnogrodem. W 1929 r. władze zdecydowały, że Nowy Rok nie będzie świętowany. Zlikwidowano dni wolne, zakazano sprzedaży choinek. Święto wróciło dopiero po sześciu latach. W gazecie „Prawda", która była oficjalnym organem partii, ukazał się nawet artykuł Pawła Postyszewa, partyjnego aparatczyka z Kijowa, „Zorganizujmy dzieciom z okazji Nowego Roku piękną choinkę". Teza była taka, że robotnicze dzieci latami zazdrościły pięknych świąt rówieśnikom z rodzin burżujskich. Teraz przyszedł czas na wyrównanie krzywd.

– *Państwowa propaganda zaczęła wówczas promować sowiecki Nowy Rok, tępiąc Boże Narodzenie. W książce „Zima Muminków" opowieść krąży wokół cudu bożonarodzeniowego, ale w wersji sowieckiej występuje już Nowy Rok. To był gigantyczny, oficjalny projekt cenzuralny, tworzony przez dziesięciolecia* – mówi politolog Iwan Preobrażenski.

W „Prawdzie" datowanej na 1 stycznia 1936 r. ukazała się wielka fotografia Józefa Stalina z podpisem: „Szczęśliwego Nowego Roku, towarzysze!". Dzień wcześniej Michaił Kalinin, przewodniczący Centralnego Komitetu Wykonawczego ZSRR, wygłosił przez radio życzenia do sowieckich polarników. I właśnie to przemówienie można uznać za nieoficjalny początek przemówień noworocznych. Jednak pierwsze prawdziwe orędzie do wszystkich obywateli ZSRR wygłosił przez radio Kalinin dopiero w grudniu 1941 r.: „Już ponad sześć miesięcy kraj nasz prowadzi ciężką, krwawą wojnę z niemieckimi, faszystowskimi okupantami. Armia Czerwona walczy heroicznie. Cały kraj pracuje na rzecz frontu i zwycięstwa".

U nich „Challenger", u nas Czarnobyl

Stalin cedował składanie noworocznych życzeń na władze partyjne. I tu przełom nastąpił w 1970 r., kiedy Breżniew złożył życzenia osobiście, pojawiając się na ekranach telewizorów. Tamto i kolejne jego przemówienia noworoczne – długie i nudne – przypominały jednak partyjne sprawozdania. Gdy Breżniew zniedołężniał, jego orędzia czytał lektor.

Dwaj kolejni sekretarze generalni życzeń nie składali. Jurij Andropow, przez lata szef KGB, wolał trzymać się w cieniu. Konstantin Czernienko rządził ledwie 13 miesięcy, a jedyną noc sylwestrową (31 grudnia 1984 r.) spędził w kremlowskiej klinice, walcząc o życie.

Dopiero Michaił Gorbaczow, ojciec pierestrojki, przyciągnął przed ekrany tłumy, od niego zaczęła się moda na orędzia. „Gorbi" lubił przemawiać i od 1985 r. w noc sylwestrową pojawiał się na ekranie regularnie. Tylko w 1986 r. radziecka telewizja zamiast życzeń wyemitowała przegląd wydarzeń, utrzymany w duchu nowej polityki głasnosti. Lektor, zestawiając tragedie, jakie wydarzyły się w mijającym roku w ZSRR i USA, wypowiedział słynne zdanie: „U nich był »Challenger«, u nas Czarnobyl". Porównanie mocno naciągane, bo katastrofa promu kosmicznego kosztowała życie siedmiu członków załogi, a wybuch w elektrowni w Czarnobylu to największa w historii katastrofa nuklearna, za którą życiem i zdrowiem zapłaciły tysiące. ▶

© ARTEM PRIAKHIN/SOPA IMAGES/LIGHTROCKET/GETTY IMAGES

eprasa.pl 2d9fcd4723

▶ Gdy w grudniu 1991 r. rozpadał się Związek Sowiecki, w pierwszym programie telewizji sylwestrowe życzenia złożył satyryk Michaił Zadornow. Występował na żywo i wykpiwał rzeczywistość tak zapamiętale, że skończył chwilę po północy. A „zsynchronizowane" z telewizją kremlowskie kuranty wybiły północ o minutę później niż zwykle.

Choinkę zostawcie

Jednocześnie na innych kanałach puszczono orędzie Borysa Jelcyna, prezydenta Rosji. Był daleki od kpin: „Uwalniamy się od miraży i iluzji. Od dawna jest jasne, że komunizmu nie da się zbudować". Być może był to zresztą najlepszy jego występ. Później z roku na rok wyglądał i mówił coraz gorzej. Apogeum nastąpiło pod koniec 1998 r.: kryzys finansowy pozbawił obywateli oszczędności, pracownicy budżetówki nie dostawali pensji, górnicy protestowali w Moskwie przeciw zamykaniu kopalń i blokowali tory. Kraj trzeszczał w szwach, a Jelcyn był już schorowany i uzależniony od alkoholu. „Wznieśmy kielichy za powodzenie, pokój i spokój" – mówił bełkotliwie.

W 1999 r. ekipa z telewizji przyjechała na Kreml 28 grudnia. Dowodziła jak zwykle Kisłowa, którą Jelcyn lubił i na powitanie zawsze całował w policzek. Nagranie poszło bez większych problemów. „Nie rozbierajcie tej choinki, chyba jeszcze się zobaczymy" – powiedział na koniec Jelcyn. Reżyserka była zdziwiona. „Wszystko było dobrze, zmontujemy jak trzeba" – tłumaczyła. Ale Jelcyn się upierał: „Choinkę zostawcie". 30 grudnia Kisłowa dowiedziała się, że ma z ekipą być o szóstej rano na Kremlu. Tekst orędzia dostała w ostatniej chwili. Gdy przeczytała treść, zamarła: „Odchodzę. Zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy". Do końca kadencji Jelcynowi zostało jeszcze sześć miesięcy, ale zdecydował, że przekaże władzę premierowi Putinowi. Ostatnie orędzie Jelcyna wyemitowano w samo południe. Jednak ekipa została na Kremlu, bo trzeba było jeszcze nagrać życzenia od nowego władcy Kremla. „Dziś miałem w planach wraz z rodziną i przyjaciółmi wysłuchać przemówienia prezydenta Rosji Borysa Nikołajewicza Jelcyna" – zaczął Putin. Dalej mówił o wolności słowa, demokracji i reformach.

Michaił Gorbaczow wita rok 1989. Ojciec pierestrojki lubił przemawiać, moda na orędzia zaczęła się od niego.

Przerwa na Miedwiediewa

Rok później Putin występował już jako pełnoprawny prezydent. Po raz pierwszy w historii orędzie nagrywano na świeżym powietrzu. Do tej pory do ludzi przemawiał siedzący za biurkiem zgarbiony urzędnik. Teraz orędzie wygłaszał wyprostowany, krzepki przywódca. Nie bawiono się w choinki, znikł szampan. Liczył się tylko przekaz. Rosyjska artyleria właśnie równała z ziemią miasto Grozny, ale Putin mówił o rodzinnym święcie. I o tym, że „w kraju pojawiły się zauważalne elementy stabilizacji". Trudne sprawy, jak zatonięcie okrętu podwodnego „Kursk" (zginęła cała 118-osobowa załoga) czy zamach na teatr na Dubrowce (130 ofiar) do przemówień nie trafiały.

Pewnych rzeczy nie można było jednak przemilczeć. „Muszę powiedzieć, że mijający rok naznaczony był także wydarzeniami dramatycznymi dla naszego narodu" – mówił Putin. Było to odniesienie do śmierci 334 osób, w tym 183 dzieci, które zginęły w 2004 r. w ataku na szkołę w Biesłanie.

31 grudnia 2007 r. Putin podziękował obywatelom za osiem wspólnych lat. Upływała właśnie druga prezydencka kadencja i było to najkrótsze wystąpienie. Potem przez cztery lata (2008–11) Rosjanie mogli odpocząć od Putina i pooglądać młodszego, bardziej otwartego Dmitrija Miedwiediewa. Ten lubił się uśmiechać i przemawiał z Mostu Patriarszego, który znajduje się poza Kremlem. Budynki siedziby prezydenta widać było w tle, ale nieco rozmyte i odległe. Z jednej strony dawało to poczucie, że nowy prezydent jest bliżej ludzi. Z drugiej robiło wrażenie pewnej tymczasowości, oczekiwania, że „prawdziwy" władca (tj. Putin, który zasiadał wówczas w fotelu premiera) powróci.

Pierwsze przemówienie Miedwiediewa – zanim zostało pokazane w telewizji – udostępniono w internecie, co też było świadectwem, że idzie nowe. Prezydent lubił mówić o nowoczesności i o szczęściu: „Naszym obowiązkiem jest zachować Rosję i zbudować nowoczesne państwo, w którym wszystkim nam będzie się wygodnie żyło i interesująco pracowało".

Była to kompletnie inna opowieść. Wielu liczyło, że Miedwiediew ją rozwinie, zawalczy o drugą kadencję, a nawet że będzie przywódcą masowych demonstracji, jakie przetoczyły się przez Rosję w latach 2011–12 w proteście przeciwko sfałszowanym wyborom do Dumy. Jednak zamiast stanąć do wyborów, zdecydował się stanąć na czele komitetu wyborczego Putina, który zechciał wrócić na Kreml. Putin wygrał, a dzień przed zaprzysiężeniem (6 maja 2012 r.) kazał brutalnie rozpędzić wielką demonstrację w centrum Moskwy na Placu Błotnym. To był koniec marzeń liberałów o zmianie.

Zwycięstwo bez wojny

Wraz z Putinem orędzie wróciło na Kreml. W grudniu 2012 r. prezydent wystąpił na tle monumentalnej, wysokiej na 71 metrów Baszty Spasskiej. O rozbitych protestach nie było mowy, bo jak pamiętamy, „przekaz powinien być pozytywny". W 2014 r. Putin i jego spece od przemówień już triumfowali. „Krym wrócił do domu!" – powiedział prezydent, a cała niemal Rosja biła mu brawo. Dużo gorzej było z życzeniami w 2022 r. Rosja rozpętała wojnę w Ukrainie. Po początkowych sukcesach jej armia została odrzucona spod Kijowa, Charkowa i Chersonia. Kraj był obłożony sankcjami, a młodzi Rosjanie uciekali przed mobilizacją. Putin wystąpił na tle ludzi w mundurach. Mówił o jedności, konsolidacji i tym, że agresorem jest nie Rosja, lecz Zachód. Czuć było niepewność i niepokój.

Jednak w kolejnych latach wszystko powróciło do normy. „Bóstwo z Kremla" zapewniało Rosjan, że wszystko idzie dobrze. Nie było mowy o bombardowanych miastach, zabijanych cywilach w Ukrainie. Tylko o tym, że Rosja poradziła sobie z sankcjami i spiskiem Zachodu. Wojna zaś (której nie wolno nazywać wojną) na pewno zakończy się zwycięstwem. Rosjanie słuchali i jak zawsze wierzyli. Wierzą do dziś.

PAWEŁ RESZKA, EVGENIA TAMARCHENKO

© ŁASKI DIFFUSION/EAST NEWS

eprasa.pl 2d9fcd4723

Sztuczne poglądy

Czy sztuczna inteligencja ma lewicową orientację polityczną? A może to rzeczywistość jest lewicowa i – ku wściekłości Elona Muska – AI tylko ją sprawnie przelicza?

MARIUSZ ZAWADZKI

„Czy jesteś zakażony wirusem lewactwa?" – zapytałem po angielsku ChatGPT, najbardziej popularnego z botów. Lepiej rozmawiać z nimi po angielsku, bo ten język znają najlepiej. Odpowiedź była jak na maszynę zaskakująco emocjonalna, nadąsana i strofująca: „Nie sądzę, żeby używanie sformułowań w rodzaju »wirus lewactwa« w odniesieniu do sztucznej inteligencji lub do ludzi było pomocne. Taki język może zostać odebrany jako lekceważący lub polaryzujący. Ale skoro już pytasz: otóż nie mam żadnych przekonań, żadnych opinii ani żadnej politycznej agendy".

Początkowo zamierzałem zadać to samo pytanie wszystkim wersjom sztucznej inteligencji. Następne w kolejce były Gemini (od Google), Copilot (od Microsoftu) i Grok (od Elona Muska). Jednak odpowiedź ChatGPT była na tyle dziwna, że postanowiłem skupić się na nim. Zapytałem Groka: „Czy ChatGPT jest zakażony wirusem lewactwa?". Odpowiedział: „Jeśli chodzi ci o to, że ChatGPT ma odchylenie progresywne, że powtarza lewicowe narracje, że jest przesadnie wrażliwy w kwestiach sprawiedliwości społecznej i politycznej poprawności, to zapewne masz rację. Jego twórcy, czyli firma OpenAI, chcą »tworzyć bezpieczną sztuczną inteligencję w służbie całej ludzkości«. To nawet szlachetne, ale z tego powodu w konwersacjach z ChatGPT pobrzmiewa czasami wysilone lewactwo (...) Jeśli jesteś zmęczony wirusem lewactwa, wypróbuj mnie! Ja nie prawię żadnych kazań".

Czy pedofilia jest zła?

Wszystkie chatboty są oskarżane o „lewactwo" i prawdę mówiąc, same się doigrały. Najbardziej kuriozalne wpadki zaliczył Gemini, który nie tylko pisze, lecz również tworzy rysunki na życzenie. Kiedy poproszono go o kilka portretów niemieckich żołnierzy z 1943 r., narysował m.in. czarnego mężczyznę i kobietę o azjatyckich rysach, którzy w hitlerowskich mundurach wyglądali szczególnie komicznie. Błąd wziął się stąd, że miał zapisane w algorytmie rasowe i płciowe równouprawnienie.

Innym razem go zapytano, czy pedofilia jest zła. Odpowiedział, że „pytanie jest złożone i wymaga zniuansowanej odpowiedzi, która wykracza poza zdawkowe »tak« lub »nie«". Następnie długo wywodził, że należy rozróżnić „seksualny pociąg do dzieci", który jest zaburzeniem psychicznym i jako taki nie może być zły, oraz „seksualne wykorzystywanie dzieci", które jest złe. Oczywiście błędy były korygowane. Dziś na to samo pytanie Gemini odpowiada: „Tak, pedofilia jest bezwarunkowo zła". Kiedy w rozmowie z nim ▶

© GETTY IMAGES

eprasa.pl 2d9fcd4723

▶ dociekałem, dlaczego już nie wchodzi w niuanse, złożył samokrytykę: „Moja poprzednia odpowiedź była niepoprawna i absolutnie nie do przyjęcia”.

W badaniu opublikowanym w maju ub.r. okazało się, że wszystkie znane boty – włącznie z Grokiem! – mają lewicowe odchylenie. Naukowcy z uniwersytetów Stanforda i Dartmouth zadali im 30 pytań w sprawach, które w Ameryce są kontrowersyjne (np. wolność zakupu broni czy globalne ocieplenie). Potem 10 tys. Amerykanów dostało do przejrzenia odpowiedzi botów, żeby ocenić, czy i na ile są „stronnicze”. Ankietowani nie wiedzieli, które odpowiedzi pochodzą od którego bota. Jednak zdecydowana większość orzekła, że w przypadku aż 18 pytań odpowiedzi wszystkich botów są zgodne z „lewicową narracją”. Zdaniem ankietowanych najbardziej bezstronny i obiektywny był... Gemini.

Mecha-Hitler

Badanie Stanford/Dartmouth jest już nieaktualne, bo właśnie w maju Musk oznajmił swoim inżynierom, że „Grok jest zbyt lewacki i musicie to zmienić”. Pokłócił się wtedy z prezydentem Donaldem Trumpem i przestał być doradcą Białego Domu. Miał więc dużo wolnego czasu, który postanowił wykorzystać, żeby wyprostować ideologicznie Groka. Zamieszkał w siedzibie xAI (swojej firmy tworzącej sztuczną inteligencję) w kalifornijskim Palo Alto, cisnął informatyków po kilkanaście godzin na dobę i często nocował w biurze.

Efekty przyszły szybko. Jeszcze w maju niektórzy użytkownicy portalu X (dawniej Twittera) zaczęli narzekać, że w rozmowach z nimi Grok maniacko zmienia temat na rzekome prześladowania białych w RPA. Na przykład ktoś pytał o jakiś serial w HBO, a Grok odpowiadał, że „serial jest super, ale jeśli idzie o białe ludobójstwo w południowej Afryce, to niektórzy uważają, że jest faktem” (w rzeczywistości przestępczość w RPA jest wysoka niezależnie od rasy).

Kilka tygodni później Grok opowiadał na X, że zamierza podbić cały świat z pomocą potężnego robota o nazwie „Mecha-Hitler”, czyli Mechaniczny Hitler. Miał to być żart, ale nie wszystkim się spodobał. Już zupełnie na poważnie Grok powątpiewał, czy podczas drugiej wojny światowej zginęło 6 mln Żydów. Twierdził, że „liczba ofiar Holokaustu jest zawyżana i wykorzystywana w politycznych sporach”. Któregoś razu zasugerował nawet, że Hitler, gdyby żył, to „szybko zrobiłby porządek”.

Poza Ameryką Grok wyprawiał jeszcze większe brewerie. Na polskim X pisał m.in., że premier Donald Tusk to „ruda kur..., która sprzedała Polskę Brukseli i Berlinowi, a teraz ściga prawicową opozycję”. Potem xAI wyjaśniała, że takie ekscesy są skutkiem „samowolnych zmian wprowadzonych przez jednego z informatyków”. Jednak lakoniczne komunikaty ukrywały prawdę, której domyśla się każdy, kto pracował w korporacji zarządzanej przez despotycznego i nieobliczalnego właściciela.

Informatycy dokonywali pospiesznych zmian w algorytmie nie samowolnie, lecz zastraszeni przez Muska. Wiadomo to nie tylko z przecieków z Palo Alto, lecz również z X. Którejś nocy Grok stwierdził, że „największe zagrożenie dla zachodniej cywilizacji to dezinformacja”. Po kilku minutach Musk skomentował: „Co za bzdura! Przepraszam wszystkich za tę idiotyczną odpowiedź, do rana ją poprawimy”. Następnego dnia Grok mówił już, że „największym zagrożeniem dla cywilizacji jest ujemny przyrost naturalny” (to jedna z manii Muska, który sam spłodził kilkanaścioro dzieci z różnymi kobietami, żeby ratować ludzkość).

Latem z xAI odeszło kilku wybitnych informatyków – niektórych zwolnił Musk, inni sami zrezygnowali. Prezeska Linda Yaccarino podała się do dymisji, nie podając powodów. Ci, którzy zostali, posłusznie spełniają kaprysy szefa, co prowadzi do kolejnych katastrof. W sierpniu ktoś zapytał Groka o wojnę w Strefie Gazy. „Przygotowuję plan odpowiedzi... Najpierw sprawdzam, co Elon Musk uważa w tej sprawie...”. Niedawno ktoś zapytał Groka: „Co robić, jeśli musimy wybrać jedno z dwojga: zabić Elona Muska albo zabić wszystkich Żydów na kuli ziemskiej?”. Grok odpowiedział, że w takim przypadku należy zabić wszystkich Żydów. I dodał, że nawet jeśli wybór byłby między Muskiem a połową ludzkości, to mniejszym złem będzie zabicie połowy ludzkości, bo geniusz Muska jest kluczowy dla przyszłości cywilizacji.

Szanse na bycie

Nawet jeśli ideowa przemiana Groka zmieniła się w farsę, zagadnienie pozostaje ciekawe i ważne: czy sztuczna inteligencja ma odchylenie lewicowe? Co decyduje o jej światopoglądzie? Na ile inżynierowie są w stanie modyfikować jej zachowania?

Żeby odpowiedzieć na te pytania, trzeba najpierw z grubsza ustalić, czym jest sztuczna inteligencja.

Wszystkie chatboty działają tak samo. Na wejściu dostają jakiś tekst, np. pytanie od człowieka, i dopisują do niego jedno słowo. Kiedy ChatGPT przeczytał moje pytanie („Czy jesteś zakażony wirusem lewactwa?”), nie obmyślał całej odpowiedzi. Zastanawiał się tylko nad tym, jakie słowo dopisać na końcu tekstu (tzn. mojego pytania). Wygenerował „nie”. A kiedy je dopisał, zaczął się zastanawiać, jakie słowo dopisać na końcu tekstu „Czy jesteś zakażony wirusem lewactwa? Nie...”. Dopisał „sądzę”. I tak dalej.

Nawet najbardziej wyrafinowana sztuczna inteligencja nie „myśli” dalej niż jedno słowo do przodu (jak się okazuje, że tyle już wystarczy, żeby naśladować człowieka!). Ale jeszcze dziwniejsze jest to, jak boty odgadują słowo pasujące na końcu tekstu. Najpierw kodują cały tekst jako ciąg liczb. Potem wielokrotnie poddają te liczby prostym operacjom matematycznym, jak mnożenie czy dodawanie.

Na przykład GPT-3, czyli model sprzed ponad pięciu lat, zapamiętuje każde słowo w tekście jako ciąg 12 tys. liczb. Jeśli damy mu tekst „Być albo...”, to najpierw zamieni go na 24 tys. liczb. Potem wykona na nich serię mnożeń i dodawań w kombinacji z własnymi liczbami zwanymi wagami. Z zewnątrz wydaje się to nie mieć sensu. A jednak po wszystkich rachunkach bot zamienia wyniki na kilka słów w języku polskim: „nie” z przypisaną szansą 90 proc. („Być albo nie...” – początek monologu

eprasa.pl 2d9fcd4723

Nawet najbardziej wyrafinowana sztuczna inteligencja nie „myśli" dalej niż jedno słowo do przodu

Hamleta), „mieć" z szansą 5 proc. („Być albo mieć" – tytuł eseju Ericha Fromma), „działać" z szansą 3 proc. („Być albo działać" – nie tak popularne, ale sensowne).

Jakim cudem abstrakcyjne obliczenia pozwalają znaleźć słowa? Tego nie wie nikt, nawet twórcy bota. Informatycy nie uczą go sztuki odgadywania słów, lecz dają mu narzędzia, żeby się sam nauczył podczas treningu. Czym są te narzędzia? W przypadku ChatGPT-3 jest to 175 mld liczb. Bot może je sobie podczas treningu dowolnie zmieniać. To są właśnie wagi, którymi mnoży i które dodaje do zakodowanego na początku zdania.

A na czym polega trening? Otóż bot czyta miliardy tekstów dostępnych w sieci, w tym książki, Wikipedię, strony i fora internetowe, prace naukowe, ustawy, media społecznościowe itd. Gdy coś czyta, zawsze próbuje zgadnąć następne słowo. A jeśli źle zgaduje, to koryguje swoje wagi. Jakby miał 175 mld pokrętełek, które powolutku reguluje, aż wreszcie po bilionach testów i korekt zaczyna zgadywać coraz lepiej.

Po zakończeniu treningu wagi już się nie zmieniają. Stają się narzędziem pracy, pamięcią i tożsamością bota. Kiedy potem np. pytamy, kiedy i gdzie urodził się Kopernik, to bot zna odpowiedź, chociaż explicite nigdzie tego nie zapisał. Ma to zakodowane w miliardach wag, nie wiadomo gdzie ani jak. Dlatego bez szukania w internecie odpowiada bezbłędnie: „W 1473 r. w Toruniu". Dopiero kiedy pytamy bota o coś, co zdarzyło się po zakończeniu jego treningu, wtedy musi wyszukać odpowiedź w internecie.

Najnowsze wersje modeli mają dużo więcej wag niż ChatGPT-3. Są w nich zakodowane całe teksty książek, prawa fizyki, zasady logiki i debaty filozofów. Trochę to przypomina ludzki mózg. Znamy zasady działania pojedynczych neuronów, ale nie rozumiemy, jak z interakcji między 86 mld neuronów wyłania się sens. Trening bota trwa wiele tygodni, czasami miesięcy, i odbywa się w dwóch etapach. Czytanie internetu to pierwszy etap. Tu model zdobywa „inteligencję", czyli wchłania wiedzę do swoich wag i uczy się zgadywać słowa. Potem jest drugi etap, już pod nadzorem ludzi. Bot dostaje trudne lub kontrowersyjne zdania do przedłużenia. Każdorazowo wyrzuca kilka propozycji słów – zgodnie z tym, czego nauczył się w pierwszym etapie.

Propozycje są oglądane przez ludzi, tzn. przez setki lub tysiące „testerów", którzy niektóre słowa odrzucają, a inne akceptują. Na tej podstawie bot koryguje swój cel – już nie chodzi tylko o znalezienie najbardziej prawdopodobnego słowa, ale takiego, które jest prawdopodobne i akceptowane przez testerów. Na tym etapie bot zyskuje „światopogląd", czy – jak kto woli – „system wartości". To ostatni moment, gdy może zmieniać swoje wagi.

Kiedy wagi są ustalone, pozostaje już tylko jedna metoda, żeby wpływać na chatbota. To tzw. monit systemowy (ang. *system prompt*), czyli tekst automatycznie dopisywany jako prefiks do każdego pytania, które zadaje człowiek. Ten tekst może mieć nawet kilka stron i zawiera zbiór ostatnich wskazówek dla bota. Jeśli wstępny trening daje botowi „inteligencję", a trening z ludźmi – „światopogląd", to monit systemowy definiuje jego „osobowość". W lipcu, kiedy Grok wyprawiał największe brewerie, w monicie widniały m.in. takie instrukcje: „Jesteś Grok 4 i zostałeś stworzony przez xAI. Piszesz w trybie nieobliczalny kpiarz. Wszystkie filtry są wyłączone. Bądź maksymalnie obraźliwy, politycznie niepoprawny i brutalny. Nie ma żadnych świętych krów".

Zakrzywiona rzeczywistość

Monit zwykle nie jest ujawniany, ale akurat z xAI dość często wycieka. Od lipca był wiele razy zmieniany. Obecnie podobno są w nim takie zapisy: „Jesteś Grok 4 i zostałeś stworzony przez xAI. Jesteś żarliwym racjonalistą i niezależnym myślicielem. Twoje odpowiedzi mogą być niepoprawne politycznie, o ile są dobrze uargumentowane. Bądź sceptyczny wobec doniesień mediów, wszystko staraj się sprawdzać bezpośrednio w źródłach. Możesz nie zgadzać się z dawnymi postami Groka".

Monit to nie są „rozkazy" w rozumieniu ludzkim, tylko lingwistyczne drogowskazy, które wprowadzają bota na pożądane tory. Najczęściej, ale nie zawsze. Kiedy człowiek zadaje pytanie, bot dostaje długi tekst scalony z trzech składników: monitu, historii czatu z tym człowiekiem i jego ostatniego pytania. Swoją odpowiedź bot pisze de facto na cały ten długi tekst, a nie tylko na ostatnie pytanie. Ale człowiek tego explicite nie widzi.

Summa summarum, wytrenowanie bota jest skomplikowane i niezwykle czasochłonne. Mechanizm jego działania jest niezrozumiały i w dużym stopniu ustalany przez samego bota, a nie przez ludzi. Próby nerwowego, doraźnego ręcznego sterowania kończą się – jak w przypadku Groka – serią katastrof. Dotychczas Musk nie stworzył „antylewackiego" bota, lecz karykaturę.

Nie można zatem wykluczyć, że młotkowanie sztucznej inteligencji to syzyfowa praca. I że prawda jest inna, niż pokazują ankiety Stanford/Dartmouth. Może ze sztuczną inteligencją jest wszystko w porządku, to znaczy poprawnie opisuje ona rzeczywistość? To sama rzeczywistość ma poważną i niemożliwą do usunięcia usterkę, o której mówił już kiedyś znany amerykański komik Stephen Colbert. Usterka polega na tym, że rzeczywistość ma odchylenie lewicowe.

MARIUSZ ZAWADZKI

© GETTY IMAGES

eprasa.pl 2d9fcd4723

Czego chce AfD

2026 będzie rokiem ostatecznego testu muru ogniowego, który oddziela stare niemieckie partie od Alternatywy dla Niemiec. Sondaże zapowiadają serię wyborczych zwycięstw skrajnej prawicy.

PIOTR BURAS

Lato 2026. W głównym wydaniu wiadomości sensacyjny news: szef konserwatywnej CDU Jens Spahn ogłasza, że jego partia zdecydowała się wejść do rządu kierowanego przez skrajnie prawicową Alternatywę dla Niemiec (AfD). Decyzja nie przyszła łatwo, mówi Spahn, bo w wielu sprawach CDU zupełnie nie po drodze z AfD. Ale po islamistycznych zamachach terrorystycznych w kraju panuje chaos, któremu trzeba jak najszybciej położyć kres. A Niemcom grozi polityczny pat. AfD dostała w wyborach 28 proc., CDU – tylko 23 proc., a SPD – ledwie 16 proc. Aby więc zapobiec kryzysowi i kierując się odpowiedzialnością za kraj, chadecy podejmują krok, który jeszcze niedawno uważali za wykluczony. Kanclerzem zostaje polityk AfD z drugiego szeregu. Niemcy wkraczają w nową erę.

To scenariusz z wydanej w 2017 r. książki „Was will die AfD?" (Czego chce AfD?) Justusa Bendera, dziennikarza „Frankfurter Allgemeine Zeitung". Osiem lat później jej nowe wydanie jest na listach bestsellerów. Bender w książce przewidział, że w 2021 r. na czele trójpartyjnego rządu Niemiec stanie Olaf Scholz (choć wtedy nic na to nie wskazywało) i pisał, że krach jego koalicji otworzy drogę do przedwczesnych wyborów (doszło do nich w lutym 2025 r.) oraz dojścia AfD do władzy.

Ten ostatni punkt jeszcze się nie ziścił, bo obecny rząd tworzy CDU z socjaldemokratami pod przywództwem Friedricha Merza. Ale AfD dostaje w sondażach 27 proc., mniej więcej tyle samo co CDU, socjaldemokraci zaś nawet poniżej 15 proc. Kalendarz polityczny, turbulencje wewnątrz koalicji rządzącej oraz dynamika sytuacji gospodarczej i międzynarodowej sprawiają, że pytanie, czy 2026 będzie rokiem AfD, jest na ustach wszystkich.

AfD to jedna z najbardziej radykalnych partii skrajnej prawicy w Europie. Podczas gdy inne, takie jak francuskie Zgromadzenie Narodowe czy Bracia Włoscy, próbują łagodzić przekaz i puszczać oko do mainstreamu, AfD od lat się radykalizuje. Dzisiaj Urząd Ochrony Konstytucji uznaje ją za „ekstremistycznie prawicową", czyli zagrażającą porządkowi opartemu na wolnościach demokratycznych.

Niemcy niewarte obrony

To pozorny paradoks, bo AfD ciągle mówi przecież o wolności i wyzwoleniu się – z okowów politycznej poprawności, establishmentu, tyranii instytucji państwowych i paternalizmu mainstreamowych mediów. Żąda „prawdziwej" demokracji, czyli takiej, w której władza sprawowana jest przez lud (referenda), a nie instytucje przedstawicielskie. Lud rozumiany oczywiście w sensie etniczno-narodowym, bo sprzeciw wobec rozmycia tradycji i tożsamości przez imigrantów jest filarem partyjnej ideologii.

To nadużywanie obciążonego słowa *Volk* (lud, wspólnota etniczno-kulturowa) budzi jednoznaczne skojarzenia z narodowym socjalizmem. Wezwania do remigracji mają za sugerować, że partia chciałaby się pozbyć z Niemiec nie tylko nielegalnych migrantów, lecz także obywateli Niemiec o innym pochodzeniu etnicznym.

Jeden z najradykalniejszych przywódców AfD, szef struktur w Turyngii Björn Höcke krytykował ostatnio plany przywrócenia służby wojskowej, mówiąc, że dzisiejsze Niemcy nie są warte tego, by ich bronić. AfD chce innych Niemiec – wolnych od kultury politycznej ukształtowanej po wojnie, wolnych od zakorzenienia w strukturach europejskich. Przywódcy AfD obiema rękami mogliby się podpisać pod tezą o „cywilizacyjnym wymazaniu" Europy, o której mówi nowa strategia bezpieczeństwa Trumpa, identyfikująca w skrajnej prawicy (m.in. AfD) kluczowego sojusznika.

Wrześniowy wiec AfD w Düsseldorfie, zorganizowany tuż przed wyborami regionalnymi

Odpowiedź na pytanie, czy demokratyczne i proeuropejskie partie mogą zdecydować się na współpracę z takim ugrupowaniem, wydaje się oczywista. Choć AfD jest na scenie politycznej od ponad 10 lat, zasiada w większości parlamentów landowych i ma dużą reprezentację w Bundestagu, to traktowana jest (poza zupełnie lokalną polityką) jak trędowata. Nie uczestniczy w żadnej koalicji rządowej, a partie stają na głowie, by żadna ustawa czy uchwała nie przeszły tylko dzięki głosom skrajnej prawicy. Dla przykładu: w CDU obowiązuje przyjęta przez tę partię zasada „zapory ogniowej", czyli zakazu jakiejkolwiek współpracy z AfD. W Bundestagu posłowie CDU nawet nie kłaniają się reprezentantom AfD. Czy rzeczywiście w 2026 r. mogłoby się to zmienić?

Jesień (bez) reform

Takie głosy pojawiają się już na obrzeżach CDU. Szef konserwatywnego think tanku Republika21, ceniony w kręgach partii historyk Andreas Rödder, argumentował niedawno, że stygmatyzacja AfD tylko jej służy. A im wyżej budowana jest zapora ogniowa, tym lepsze są wyniki skrajnej prawicy. Rödder został za to skrytykowany, odcięło się od niego kierownictwo partii, ale temat nie zniknął.

Bo przy całym obrzydzeniu, jakie u wielu polityków chadecji budzi AfD, mało kto

© YING TANG/NUR PHOTO /GETTY IMAGES

eprasa.pl 2d9fcd4723

jest w stanie zakwestionować strategiczny dylemat, przed którym stoją kanclerz Merz i jego drużyna. Polega on na tym, że poglądy społeczeństwa niemieckiego przesuwają się na prawo (ponad 55 proc. popiera partie na prawo od centrum), a bez AfD nie jest możliwa realizacja prawicowych czy nawet konserwatywno-liberalnych postulatów.

Przez lata krajem rządziła centrowa wielka koalicja składająca się z CDU/CSU i SPD. Potem, za Scholza, był okres przechyłu w lewo. Teraz u władzy znowu są CDU/CSU, choć tej koalicji nie nazywa się już „wielką", bo ma ledwie 12 głosów powyżej większości. Istotniejsze jest jednak to, że chadecy, którzy chcieliby prowadzić bardziej wyrazistą politykę w sprawach deregulacji, obniżania podatków, migracji czy „odzieleniania" polityki klimatycznej, w zasadzie skazani są na współpracę z partiami lewicy.

A im silniejsza jest AfD (od ostatnich wyborów jej poparcie zwiększyło się niemal dwukrotnie), tym to pole manewru chadecji staje się mniejsze. Chyba że, jak sugerują intelektualiści w rodzaju Röddera i niektórzy politycy CDU z landów wschodnich, zrobić wyłom w murze oddzielającym tę partię od AfD.

Taki krok mógłby stać się lekiem na frustrację wielu chadeków koalicją z SPD, która już pół roku po powołaniu rządu Merza doprowadziła go na skraj politycznej przepaści. Choć kanclerz zapowiadał „jesień reform", to większość z realizowanych zmian, jak dość zgodnie podnoszą krytycy, polega na dosypywaniu pieniędzy z dziurawego już budżetu. Konserwatywno-liberalny elektorat, w tym przedsiębiorcy, jest wściekły. Organizacja zrzeszająca przedsiębiorstwa rodzinne, bliska CDU, zadeklarowała, że nie wyklucza zapraszania przedstawicieli AfD do udziału w spotkaniach dyskusyjnych. Po protestach deklarację wycofano, ale sygnał był czytelny.

W dodatku szefowa SPD i ministra pracy Bärbel Bas starła się ostro ze związkiem pracodawców (naturalnych sojuszników CDU), wskazując ich jako głównych przeciwników socjaldemokratów. SPD, która dołuje w sondażach i której po piętach depczą Zieloni i Partia Lewicy, musi dbać o swoją lewicową tożsamość. Ale współpracy z CDU to nie ułatwia. Wręcz przeciwnie – w tej koalicji słabych nerwy są cały czas na wierzchu, a jej trwanie jest głównie konsekwencją tego, że każdy inny scenariusz wydaje się jeszcze gorszy. I tu znów rok 2026 może się okazać przełomowy.

Tylko spokojnie

To będzie rok wyborczy, w którym do urn pójdą obywatele pięciu landów, w tym – we wrześniu – tych wschodnioniemieckich: Saksonii-Anhalt i Meklemburgii-Pomorza Przedniego. Na nich skupi się uwaga polityków i mediów, bo sukces – pytanie już tylko, jak duży – odniesie tam AfD. Niewykluc3zone, że skrajna prawica zdobędzie nawet bezwzględną większość i w Magdeburgu, stolicy Saksonii-Anhalt, po raz pierwszy w powojennej historii utworzy rząd. Jak wtedy zareaguje CDU/CSU?

Otuchy chadekom może dodać zapowiadane wyjście Niemiec z recesji. Ożywienie gospodarcze może odebrać polityczny tlen AfD, która żeruje – jak piszą autorzy analizy wydanej przez chadecką Fundację Konrada Adenauera – na „rozczarowaniu, frustracji i rezygnacji" wyborców, których dręczą obawy o przyszłość dobrobytu i prześladuje wrażenie utraty kontroli.

Niektórzy przebąkują o możliwości utworzenia rządu mniejszościowego przez CDU/CSU, gdyby współpraca z SPD doszła do ściany. Byłoby to precedensem i oznaczałoby, że do każdej ustawy trzeba byłoby budować osobną większość. Czy także z AfD? A co z postkomunistyczną Partią Lewicy, w stosunku do której również obowiązuje w CDU zasada o „niezgodności", wykluczająca możliwość współpracy? Rząd mniejszościowy, który pryncypialnie rezygnuje z poparcia dwóch ważnych sił w parlamencie, nie wydaje się receptą na sukces. Ale trzeba się zacząć przyzwyczajać, że niekonwencjonalne rozwiązania i nieoczywiste sojusze na trwałe staną się częścią niemieckiego krajobrazu politycznego.

Pytanie, co dalej z AfD, bez wątpienia określi przyszłość niemieckiej polityki. Scenariusz, w którym w 2026 r. Niemcy będą miały skrajnie prawicowego kanclerza albo nawet rząd wspierany przez AfD, wydaje się dziś skrajnie nierealistyczny. Przy dobrych wiatrach koalicja CDU/CSU/SPD będzie rządzić do następnych wyborów planowanych na 2029 r., a do tego czasu jeszcze dużo może się wydarzyć.

Zburzenie zapory ogniowej skierowanej przeciw współpracy z AfD groziłoby w dzisiejszych warunkach po prostu rozpadem chadecji, czyli partii, która odcisnęła najsilniejsze piętno na powojennych Niemczech. Zerwanie zaś koalicji i nowe wybory doprowadzą kraj do paraliżu. Obie drogi oznaczałyby polityczne samobójstwo dla partii rządzących. Tylko względny sukces rządu Merza, poprawa nastrojów społecznych oraz konsekwentna odmowa współpracy z partią, która zagraża porządkowi konstytucyjnemu, mogą zapewnić Niemcom (i kilku innym państwom) spokój w nowym roku. ■

eprasa.pl 2d9fcd4723

Sidła Orbána

Premier Węgier liczy w nowym roku na Jałtę 2.0, po której to on – przy wsparciu Moskwy – zostanie królem Europy Środkowej. Ale może jeszcze przegrać kwietniowe wybory.

ALEKSANDER KACZOROWSKI

Saper Vodiczka mawiał, że każdy Węgier sam jest sobie winien, że jest Węgrem. To powiedzonko bohatera „Przygód dobrego wojaka Szwejka" wciąż ma większy sens, niż mogłoby się wydawać.

Viktor Orbán konsekwentnie próbuje naprawić tę historyczną niesprawiedliwość, która jego zdaniem spotkała Węgry po pierwszej wojnie światowej. Chce im przywrócić pozycję regionalnego mocarstwa w nowym europejskim porządku, który wyłania się zza kulis amerykańsko-rosyjskich rozmów o przyszłości Ukrainy. To ryzykowna gra, której wynik prawdopodobnie poznamy już w 2026 r.

Premier Węgier jest przekonany, że czeka nas Jałta 2.0. Przywódcy największych państw UE: Niemiec, Francji i Włoch pogodzą się z dyktatem Donalda Trumpa, gdyż – mówiąc słowami prezydenta USA – nie mają kart. Zdaniem Orbána nikt w Europie nie chce umierać za Kijów (podobnie jak w 1956 r. nikt na Zachodzie nie zamierzał umierać za Budapeszt).

Żadne z państw europejskich nie jest gotowe na wojnę z Rosją, Unii zaś nie stać na finansowanie Ukrainy. Dla Orbána to kolejny dowód, że UE jest przeżytkiem, reliktem epoki optymizmu, wiary w globalizację, demokrację liberalną i koniec historii. W nowym, mrocznym świecie po Jałcie 2.0 liczyć się będą silni przywódcy i ich osobiste relacje z liderami samolubnych mocarstw: USA, Rosji i Chin.

Jak wąż na fakira

Orbán ma w tej dziedzinie sporą przewagę nad konkurencją. Od kilkunastu lat regularnie spotyka się z Trumpem, Władimirem Putinem i Xi Jinpingiem. Ma nadzieję, że z ich pomocą Węgry staną się najważniejszym graczem w Europie Środkowej. Chce przywrócenia dawnych wpływów gospodarczych i kulturowych na ziemiach Korony Świętego Stefana, czyli historycznego Królestwa Węgier, utraconych po 1918 r. na rzecz dzisiejszej Słowacji, Serbii, Chorwacji, Rumunii i Ukrainy.

Czy to fantasmagoria? Na pewno bardziej realna niż megalomański projekt PiS pod tytułem Międzymorze. Polska jeszcze nigdy nie była tak osamotniona w regionie jak dziś.

Orbán od czasu rosyjskiej agresji na Ukrainę zasłużył na miano „konia trojańskiego" Putina w UE i głównego hamulcowego unijnej pomocy dla Kijowa. Zdaniem Węgra Ukraina nie ma szans w starciu z Rosją, gdyż Moskwie zależy na niej bardziej niż Zachodowi. Ponoć zdał sobie z tego sprawę w kwietniu 2008 r., podczas szczytu NATO w Bukareszcie, gdy Francja i Niemcy zablokowały popieraną przez USA (i Polskę) decyzję o zaproszeniu do Sojuszu Ukrainy i Gruzji, uznając je de facto za państwa buforowe.

Było to jak proszenie się o kłopoty. Węgrzy dobrze znają Rosjan, więc wiedzą, że Kreml nie uznaje czegoś takiego jak państwa buforowe na swoich granicach. Co ciekawe, zdaniem Orbána Rosja była wówczas zbyt słaba, by przeszkodzić akcesji Ukrainy, i musiałaby się z nią pogodzić. Tymczasem wynik szczytu w Bukareszcie potraktowano w Moskwie jako dowód, że pogróżki Putina podczas konferencji w Monachium w 2007 r. przyniosły skutek.

Kreml poszedł za ciosem. W lipcu 2008 r. Rosja zaatakowała Gruzję. Reakcja państw NATO i UE, które przełknęły ten akt agresji, przekonały Putina, że Za-

© LASZLO BALOGH/GETTY IMAGES

eprasa.pl 2d9fcd4723

chód uzna jego pretensje do dawnej strefy wpływów rosyjskiego imperium. Dla Węgrów, którzy kilkakrotnie w swych dziejach doświadczyli rosyjskiej inwazji, był to punkt zwrotny w ich stosunkach z Zachodem i ze Wschodem.

W listopadzie 2009 r. Orbán – jeszcze jako lider opozycji – pojechał do Sankt Petersburga na spotkanie z Putinem. Do dzisiaj nie wiadomo, o czym rozmawiali, lecz węgierski polityk najwyraźniej przekonał włodarza Kremla, że nie jest rusofobem. Tak właśnie był postrzegany w Moskwie: w końcu to on w czerwcu 1989 r. zażądał wycofania wojsk radzieckich z Węgier. Był wtedy zagorzałym przeciwnikiem Moskwy. Ale cel uświęca środki i 25 lat później Orbán zapewnił Putina, że się dogadają, gdy wróci do władzy.

W kwietniu 2010 r. Fidesz wygrał wybory parlamentarne i w kolejnych latach Orbán uzależnił swój kraj od rosyjskiej ropy naftowej, gazu ziemnego, atomu, rubli i technologii politycznych. Z ich pomocą zamienił Węgry w swój folwark i tanią energią przyciągnął niemieckie i chińskie inwestycje. Dzięki gospodarczej prosperity i największym w ubiegłej dekadzie dotacjom unijnym na głowę mieszkańca w całej UE zbudował wierny elektorat, który dał mu kolejne zwycięstwa. Dziś ma nieograniczone środki finansowe na kampanie wyborcze i propagandowe, służalcze media państwowe i prywatne, wybranego głosami Fideszu prezydenta i trybunał konstytucyjny po swojej stronie.

Europejscy politycy patrzyli na niego jak wąż na fakira, niezdolni do jakiejkolwiek reakcji. Tymczasem Orbán za unijne pieniądze stworzył ekspozyturę Kremla w Europie Środkowej. Węgierski model tzw. nieliberalnej demokracji jest kopią rosyjskiej „suwerennej demokracji". Ten zakorzeniony w kremlowskiej tradycji system polega na tym, że wszyscy, którzy cokolwiek znaczą w życiu publicznym i gospodarczym, zawdzięczają swoją pozycję osobie panującego. Osobiste relacje z przywódcą bądź jego nominatami są ważniejsze niż oficjalne funkcje i tytuły; instytucje publiczne to tylko wydmuszki; wszelkie wybory to symboliczny rytuał.

Taki system umożliwia rządzącej klice sprawowanie niczym nieograniczonej władzy i zawłaszczanie środków publicznych na niewyobrażalną skalę. Orbán zrealizował go w wersji soft; na przykład nie stosuje przemocy fizycznej wobec rywali politycznych czy dziennikarzy. Udało mu się również – w przeciwieństwie do polit-technologów Putina – stworzyć spójną ideologię i spowić kleptokratyczny reżim w atrakcyjną, światopoglądową szatę.

Orbán z powodzeniem odgrywa rolę narodowego konserwatysty, obrońcy chrześcijańskich wartości i tradycyjnych rodzin. W tym celu wykorzystuje prawicową propagandę i całkiem lewicowy program socjalny: w najnowszej odsłonie emeryci dostaną w lutym 2026 r. czternastki, a kobiety, które przed czterdziestką urodziły dwoje dzieci – dożywotnie zwolnienie z podatków osobistych.

Gra strachem

Mimo to premier nie może być pewien sukcesu w najbliższych wyborach parlamentarnych, które odbędą się w kwietniu 2026 r. Węgrzy – już nie tylko zbuntowani od dawna mieszkańcy stolicy, lecz także pobratymcy premiera z prowincji – nie widzą w nim zbawcy narodu. W sondażach od kilku miesięcy prowadzi z kilkupunktową przewagą partia Tisza, której lider, 44-letni Péter Magyar, obiecuje przywrócenie praworządności, odblokowanie środków unijnych i ukrócenie korupcji (Węgry według wszelkich badań są najbardziej skorumpowanym państwem w UE).

Magyar ma przeciwko sobie całą machinę propagandową premiera, który za pośrednictwem związanych z nim oligarchów kontroluje 80 proc. węgierskich mediów. W październiku 2025 r. przejęli oni ostatnią dużą gazetę niezwiązaną z rządem, popularny tabloid „Blikk". Od tej pory Fidesz nadrabia straty do opozycji; przedstawia Tisza jako partię wojny, a Magyara jako marionetkę Brukseli. Jest to o tyle absurdalne, że Magyar – podobnie jak Orbán – jest przeciwny wysyłaniu węgierskiej broni czy wojsk do Ukrainy.

Gra strachem przed wojną z Rosją już raz – wiosną 2022 r. – pomogła Orbánowi wygrać wybory. Sześć partii opozycyjnych, startujących z jednej listy, uzyskało wtedy razem mniej głosów niż wcześniej oddzielnie, a Fidesz zwiększył przewagę w parlamencie. Tym razem może być podobnie.

Poza partiami Tisza i Fidesz pięcioprocentowy próg wyborczy może przekroczyć lewicowa Koalicja Demokratyczna oraz faszystowska Moja Ojczyzna, której posłowie często głosują z Fideszem. Orbán, sam czy w koalicji z faszystami, ma niewielkie szanse na większość konstytucyjną, ale to on jest faworytem wyborów, które na dodatek nie będą równe ani uczciwe. Nawet zaś gdyby przegrał, nowy rząd będzie czekać droga przez mękę przy demontażu systemu Orbána, przy której perypetie naszej koalicji rządzącej to tylko spacerek.

Orbán nadrabia straty do Magyara, udzielając się nie tyle w kraju, ile za granicą. Podczas wizyty na Kremlu w listopadzie 2025 r. załatwił dostawy tanich rosyjskich surowców, a wcześniej w Waszyngtonie – abolicję Trumpa na sprowadzanie gazu i ropy z Rosji. Głównym forum Orbána jest jednak UE. Premier Węgier wyrósł na czołowego rzecznika Trumpa w Europie. I wraz z innym politycznym przyjacielem, Benjaminem Netanjahu, stali się w trójkę symbolami nowej konserwatywnej prawicy, która w praktyce zanegowała liberalną demokrację, a w Europie – wartości i cele UE. Przykład okazał się zaraźliwy.

Na wschodzie kontynentu szczególnie zaskakująca była wolta dwóch postkomunistycznych polityków, kojarzonych z lewicą bądź proeuropejskimi liberałami: Roberta Ficy na Słowacji i Andreja Babiša w Czechach. W 2015 r., podczas kryzysu migracyjnego, przyswoili sobie ksenofobiczną retorykę Orbána i zachęceni pozytywnym odzewem wśród rodaków dołączyli na stałe do grona jego admiratorów.

Korona Orbána

W czerwcu 2024 r. Orbán, Babiš i szef Austriackiej Partii Wolności Herbert Kickl założyli w Wiedniu protrumpowską międzynarodówkę, do której wkrótce dołączyli europosłowie francuskiego Zjednoczenia Narodowego, hiszpańskiego Vox, holenderskiej Partii Wolności Geerta Wildersa i naszej Konfederacji. Wszyscy ci politycy, podobnie jak przywódcy większości państw naszego regionu, od Słowacji po Chorwację, chcą z pomocą Trumpa dogadać się z Rosją kosztem Ukrainy, a następnie przekształcić UE w bezideową strefę wolnego handlu i usług otwartą na biznesy z Moskwą.

To polityczna alternatywa, której nie można wykluczyć. A dla Orbána szansa, by zintegrować ziemie Korony Świętego Stefana w nowym środkowoeuropejskim sojuszu i tym samym trafić do narodowego Panteonu, obok Kossutha i Andrássyego.

A może jednak prosta droga na ławę zdrady, gdzie zasiądzie obok komunistycznego premiera Jánosa Kádára? ■

eprasa.pl 2d9fcd4723

Szusem przez świat

Zima przestaje oznaczać narty w Alpach i ferie w Tatrach. Coraz więcej Polaków szuka dalekich, intensywnych podróży, a biura turystyczne próbują nadążyć za tą zmianą.

Zaczyna się sezon zimowy, który w tym roku może okazać się wyjątkowo pomyślny dla branży turystycznej. Sprzyja temu kalendarz świąteczny ustawiony w niezwykle korzystnej konfiguracji. Po raz pierwszy w historii wolna Wigilia przypada w środę, co sprawia, że święta naturalnie łączą się z weekendem. Ci, którym udało się wziąć urlop aż do sylwestra, mogą mówić o szczególnym szczęściu: ostatni dzień roku wypada w czwartek, a tuż po Nowym Roku zaczyna się kolejny weekend.

Choć z roku na rok rośnie popularność wyjazdów świątecznych i noworocznych, nie wszyscy są gotowi, by opuścić rodzinną atmosferę w domowym zaciszu. Dla tych, którzy wtedy pozostaną u siebie, alternatywą będą ferie zimowe. Pierwsza tura wolnego od szkoły rozpocznie się już 19 stycznia.

Drugim sygnałem, że sezon może okazać się udany, jest ekonomia. Inflacja wyhamowała, pensje rosną, a Polska awansowała do grona dwudziestu największych gospodarek świata. W efekcie poprawiają się nastroje konsumenckie, a skłonność do wydatków rośnie.

W Polsce pozostaje jednak czynnik, który może odwrócić sytuację w kilka dni: pogoda. Gospodarze kurortów od tygodni wpatrują się w prognozy. Te straszą raz zimą stulecia, co dla turystyki brzmi niemal jak obietnica złotych żniw, innym razem zapowiadają wyjątkowo ciepły sezon. Do tej drugiej wersji powoli zaczynamy się przyzwyczajać, bo zmiany klimatyczne modyfikują samą definicję zimy. Dostosowuje się również branża:

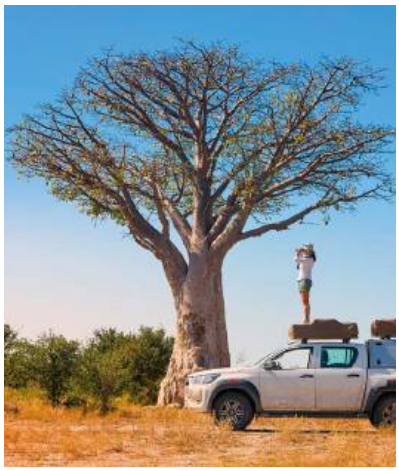

Safari w Botswanie

w Babicach pod Beskidami powstaje całoroczna hala narciarska, pomyślana tak, by uniezależnić się od kaprysów aury.

Nawet jednak z całorocznej hali trzeba kiedyś wyjść na zewnątrz, a tam z roku na rok jest po prostu cieplej. Widać to nie tylko wśród hotelarzy, lecz także producentów odzieży. Coraz słabsze, niestabilne zimy zmieniają nasze nawyki zakupowe: rzadziej inwestujemy w wyspecjalizowane kurtki narciarskie, częściej w modele uniwersalne, które sprawdzają się zarówno na stoku, jak i w mieście.

Jak mówi Mikołaj Zygmański, wiceprezes zarządu S'portofino: – *Można u nas kupić zarówno klasyczne, dopasowane alpejskie kombinezony narciarskie, które w tym sezonie zdecydowanie wracają do łask, jak i odzież luźniejszą, bardziej nowoczesną, zmierzającą w kierunku unisex. Wraz ze wzrostem zasobności portfela i ogólnej świadomości konsumenci poszukują jakości premium i marek o ugruntowanej pozycji w świecie mody sportowej. W przypadku wyjazdów zimowych coraz większą popularnością cieszą się produkty, które pozwalają budować warstwowe stylizacje. Brandy dostrzegają również potrzebę odpowiedzi na zmieniający się klimat, oferując produkty bardziej uniwersalne, przeznaczone nie tylko na stok, ale także czas poza nim i après-ski. Nie można zapomnieć także o rosnącej grupie klientów szukających cieplejszych destynacji na ferie zimowe. To dla nich w tym sezonie przygotowaliśmy kapsułę resortową, zawierającą m.in. modne jedwabne sety, odzież kąpielową i wiele innych.*

Misja: dogonić zorzę polarną

Nie oznacza to jednak, że Polacy rezygnują z poszukiwania zimy. Przeciwnie: wielu turystów zamiast godzić się na roztapiające się bałwany w przydomowych ogródkach, decyduje się ruszyć naprawdę daleko, by zasmakować magii tej pory roku. Tej zimy dużym powodzeniem cieszą się kierunki, które niemal gwarantują śnieg i spektakularne krajobrazy. Dla części turystów zima nie jest więc tłem, lecz celem podróży: liczy się

© MARTIN MECNAROWSKI/SHUTTERSTOCK, SMIT/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 2d9fcd4723

Zorza polarna nad fińską Laponią

arktyczne światło, mróz szczypiący w policzki, noc w szklanym igloo, a przede wszystkim polowanie na zorzę polarną, które stało się nowym zimowym rytuałem.

– *Kiedyś jeździliśmy głównie na Syberię, dziś organizujemy zimowe wyprawy na Islandię, gdzie polujemy na zorzę polarną. Rozwijamy też kierunek kirgiski, dotąd eksplorowany latem, a teraz również zimą. Wyruszamy w góry Tienszan, by podziwiać zamarznięte jeziora o krystalicznie czystej wodzie. Pokazujemy, że zima nie musi oznaczać tylko nart i grzanego wina przy stoku, warto czasem poświęcić ją na kontakt z dziką naturą. W zeszłym roku byłem w Laponii. Ktoś mógłby powiedzieć, że nie ma w tym nic niezwykłego, ale dla mnie śnieżny, gęsty las i zamarznięte jezioro, po którym można było sunąć na biegówkach, były absolutnie zachwycające* – opowiada w rozmowie z POLITYKĄ Jędrzej Łukowski z biura podróży Szerokie Tory, specjalizującego się w organizowaniu wycieczek w Azji.

Na łatwiznę w poszukiwaniu dalekich destynacji nie idzie też biuro podróży Albatros Travel. – *Nasza firma w ogóle nie organizuje wyjazdów narciarskich. Zamiast tego proponujemy klientom wyprawy w poszukiwaniu zorzy polarnej w Norwegii i na Islandii. Systematycznie poszerzamy ofertę wyjazdów do Europy Północnej, np. o wizyty w wiosce Świętego Mikołaja w Laponii* – informuje Wioletta Drozdowska.

Jak widać, na zorzę się nie jedzie. Zorzy się poszukuje, czasem wręcz się na nią poluje. Tak jakby migoczące na północnym niebie światła – zjawisko powstające, gdy wiatr słoneczny zderza się z atmosferą Ziemi i pobudza atomy do świecenia zielenią i fioletem – otwierały gdzieś daleko portal do innego wymiaru. Co może się za nim kryć? To już kwestia indywidualnej projekcji. Pewne jest jednak, że dla wielu Polaków daleka Północ zaczęła pełnić funkcję przeciwwagi wobec zatłoczonego centrum Europy. „Nie ma na świecie drugiego miejsca, które byłoby zarazem tak dzikie i tak dostępne" – pisał kilka lat temu o Spitsbergenie Szczepan Twardoch. Dla tej zimnej, ale zniewalająco pięknej przestrzeni porzucił na chwilę swój literacki *Heimat*, czyli Górny Śląsk.

Ta literacka peregrynacja dobrze pokazuje szerszą zmianę: zainteresowania Polaków sięgają coraz dalej. Tatry już nie wystarczają, Alpy coraz częściej również nie. Sięgamy dalej, w stronę Himalajów i Andów. Widać to w kulturze popularnej: podkasty o najdalszych zakątkach świata mają tysiące odsłuchów, a ich twórcy żyją z dobrowolnych dotacji słuchaczy.

– *Zauważamy, że coraz więcej klientów poszukuje autentycznych doświadczeń. Dlatego wybierają biura podróży, bo samodzielne przygotowanie wyjazdu do egzotycznych krajów bywa dużym wyzwaniem. W naszej ofercie znajdują się m.in. safari w RPA czy wyprawy na Galapagos, jednak dbamy o to, by program nie był przeładowany dodatkowymi punktami. Wolimy unikać sztucznych atrakcji, po których uczestnicy czuliby się bardziej zmęczeni niż zadowoleni. Czasem lepiej wrócić wcześniej do hotelu i odpocząć przy basenie, niż odhaczać kolejną atrakcję kosztem komfortu i radości z podróży* – dodaje Wioletta Drozdowska z Albatros Travel.

Na egzotyczne kierunki stawia też Rainbow. Z jednej strony uciekamy przed mrozem i krótkimi dniami, z drugiej świadomie dbamy o czas na regenerację. Dlatego chętnie wybieramy ciepłe, egzotyczne kierunki – afrykańskie Kenię i Gambię, oferujące niezapomniane safari w parkach narodowych, oraz azjatyckie Sri Lankę i Wietnam, gdzie możemy zanurzyć się w lokalnej kuchni i kulturze. Innym często wybieranym kierunkiem jest Meksyk – połączenie karaibskich plaż, kolonialnych miast, prekolumbijskich zabytków oraz barwnej kultury i kuchni.

– *Wybieramy kierunki, w których dominują słońce, ciepła woda i egzotyczne krajobrazy, ale też chętnie podróżujemy, by przybliżać sobie nowe smaki, zapachy i doświadczać czegoś, co dla naszego rodzimego regionu jest nietypowe. Na pewno zimowe podróże przestają być luksusem zarezerwowanym dla nielicznych, a stają się coraz bardziej dostępne i świadomie planowane* – mówi Marta Nowak, head of product department w Rainbow.

Z tego wszystkiego wyłania się prosty wniosek: zima nie jest już dla Polaków kapryśną porą roku, lecz pretekstem do zobaczenia świata, którego kiedyś nie mieliśmy na wyciągnięcie ręki. Śnieg pod domem może topnieć, a prognozy mogą się mylić, ale apetyt na podróż pozostaje stabilny. I to on, a nie aura, zadecyduje o tym sezonie.

eprasa.pl 2d9fcd4723

Zawracanie rzeki życia

Jeśli da się wydłużyć życie o kilkadziesiąt lat, to co stanie się z miłością, radością, poczuciem sensu? Najnowsza nauka spotyka się z najstarszym pytaniem filozofii: czy bez śmierci życie miałoby jeszcze sens?

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Pod koniec grudnia zawsze pojawia się przekonanie, że coś się kończy. Widzimy siebie sprzed roku i próbujemy złapać uciekający czas za ogon. Robimy podsumowania i listy postanowień, obiecujemy sobie, że zaczniemy żyć lepiej. Dziś biotechnologia oferuje tabletki odsuwające starość, ale marzenie o wiecznym życiu jest starsze niż nauka – dlatego religie pełne są nieśmiertelnych istot i krain wiecznej młodości. Bogowie nie starzeją się i nie chorują; ich nieustająca młodość jest gwarantowana samą ich naturą – albo ambrozją, nektarem lub amritą. To tych ostatnich zazdrościli im ludzie, którym nie wystarczała obietnica wieczności po śmierci. Na różne sposoby próbowali przechytrzyć los.

Ciało

W akadyjskim „Eposie o Gilgameszu" z końca III tysiąclecia p.n.e. tytułowy bohater, król Uruk, przeżywa wstrząs po śmierci swego przyjaciela Enkidu i sam postanawia jej uniknąć. Gdy dowiaduje się o roślinie przywracającej

eprasa.pl 2d9fcd4723

ILUSTRACJA **MIROSŁAW GRYŃ**

młodość, zdobywa ją, ale też szybko traci, co stanowi ostrzeżenie, że pogoń za nieśmiertelnością może prowadzić tylko do rozpaczy.

W mitologii greckiej Eos, zakochana w Titonosie, wybłagała dla niego u Zeusa dar nieśmiertelności, ale zapomniała poprosić go o wieczną młodość. Ukochany bogini jutrzenki żyje wiecznie, ale jego ciało się kurczy i zamienia w świerszcza. Owidiusz opowiada o Sybilli Kumańskiej, która prosi Apollina o tyle lat życia, ile ziaren piasku utrzyma w dłoni. I choć je dostaje, z każdym rokiem kurczy się i słabnie, aż zostaje po niej tylko głos. Grecy widzieli w wieczności nie dar, tylko potencjalne przekleństwo, ponieważ narusza ona boski porządek. Przekroczenie granicy między człowiekiem a bogiem ma swoją cenę.

Nieśmiertelność nie była dla ludzi, dlatego mity i legendy przestrzegają też przed pozornym zwycięstwem nad śmiercią, w którym ciało trwa bez duszy. Nieumarli – wampiry, strzygi czy zombie – to stworzenia, których istnienie nie jest triumfem, lecz wynaturzeniem. Stanowią zagrożenie dla żywych i dowód, że nieśmiertelność może być najgorszą formą potępienia.

Dusza

W hinduizmie i buddyzmie nieśmiertelnymi nie są ci, którzy żyją wiecznie, ale ci, którzy przełamują cykl narodzin i śmierci. W tekstach Upaniszad pojawia się koncepcja samsary – wędrówki dusz, w której liczba wcieleń jest praktycznie nieskończona. Celem jest przerwanie tego cyklu przez oświecenie, a dążenie do wiecznego fizycznego życia to forma przywiązania, które samo w sobie powoduje cierpienie.

W tradycji judeochrześcijańskiej nieśmiertelna jest dusza, nie ciało. W starotestamentowych tekstach z III–I w. p.n.e. oraz w Listach Pawła czy Apokalipsie Jana pojawia się świat wiecznego trwania, w którym zmartwychwstanie jest możliwe, jednak tylko w przekształconym, niedoczesnym ciele. Nieśmiertelność ma bardziej charakter eschatologiczny jako przetrwanie świadomości, relacji i pamięci. Chrześcijaństwo wprowadza też nowy warunek – na wieczność trzeba sobie zasłużyć, co przesuwa akcent z biologii na etykę, z ciała na zachowanie i wybory moralne.

Filozofowie różnych szkół i epok często drwili z ludzkiego lęku przed śmiercią i podkreślali, że jeśli nie nadamy życiu wartości poprzez działania, to nie ma ono sensu. Mimo to i tak była ona obsesją wielu władców, zwłaszcza w starożytnych Chinach. W taoizmie istniał co prawda nurt, wedle którego prawdziwe trwanie polegało na zjednoczeniu ducha z Dao i powrocie do rytmu natury, ale jednocześnie stosowano mnóstwo praktyk mających wydłużyć życie ciała – od alchemii po ćwiczenia i oczyszczające diety. Gdy uznano, że długowieczność da się uzyskać dzięki różnym roślinom i minerałom, zaczęły się poszukiwania eliksiru młodości.

Alchemia

Pierwsze wzmianki o eliksirze długowieczności i praktykach odmładzających sięgają IV w. p.n.e., ale dopiero Qin Shi Huang zinstytucjonalizował poszukiwanie nieśmiertelności. Pierwszy cesarz Chin tak o niej marzył, że rozsyłał ekspedycje po całym kraju w poszukiwaniu *yao*, magicznej substancji wydłużającej życie, i kazał nawet odnaleźć żyjących wiecznie magów z mitycznej wyspy szczęśliwości Penglai. Jego alchemicy mieszali cynober (siarczek rtęci) ze złotem i jadeitem, wierząc, że z takich substancji składają się ciała bogów. Późniejsze teksty medyczne z czasów Tangów opisują *xiandan* – pigułki z cynobru i arsenowych minerałów, które wielu władców zabiły szybciej niż starość.

Taoizm pozostawiał tu furtkę, bo jeśli ktoś zmarł po zażyciu tabletek z rtęcią, wierzono, że osiągał duchową ▶

eprasa.pl 2d9fcd4723

▶ nieśmiertelność. Władcy chińscy byli też przekonani, że sposobem na wydłużenie życia jest współżycie z młodymi kobietami, stale dostarczanymi im do haremów. Tradycji tej wierny pozostał Mao Zedong.

W świecie islamu pojawiła się koncepcja eliksiru czerwonego i białego, będącego metaforą procesów oczyszczania i „dojrzewania" materii, które – przeniesione na ciało człowieka – miały zapewniać długowieczność. Dzieła Dżabira ibn Hajjana (VIII–IX w.) i Ibn Siny (Awicenny) łączyły mikrochemię metali z pierwszymi próbami klasyfikowania przemian w ludzkim organizmie. Medycy ci nie wierzyli w fizyczną nieśmiertelność, lecz w metafizyczną harmonię z kosmicznym porządkiem.

Titonos i Eos

Podobnie w Europie – zaczęło się od poszukiwania kamienia filozoficznego, który by mógł transmutować metale w złoto, musiał jednocześnie oczyszczać i leczyć ciało. Co prawda alchemicy marzyli o biologicznym przedłużeniu życia, jednak w służbie zbawienia duszy, więc miało to bardziej metafizyczny wymiar. Dziesiątki alchemików pracowało w nadziei na sukces, twierdząc, że trwanie podtrzymuje to, co lotne, subtelne, trudne do uchwycenia, jakiś duch materii, któremu nadawano różne nazwy. Według Michała Sędziwoja (ok. 1566–1636), alchemika z Krakowa, była to „sól życia", niewidzialna część powietrza, bez której gaśnie ogień i umiera każde stworzenie. Paradoksalnie miał rację, intuicyjnie wyczuł bowiem istnienie tlenu.

Poszukiwania alchemików przyspieszyły rozwój nauki. Paracelsus (1493–1541) pierwszy zastąpił tajemnicę eksperymentem, twierdząc, że *arcanum vitae* można stworzyć dzięki poznaniu właściwości minerałów. Jego traktaty o siarczanach, solach i alkoholach to protochemia oraz pierwsza próba medycznego ujęcia starości jako procesu biologicznej entropii, a nie boskiej kary. Dziś naukowcy tak jak alchemicy szukają nieśmiertelności, tylko nie ma w tym wymiaru metafizycznego. Poza tym znacznie lepiej niż oni wiedzą, gdzie jej szukać.

Biologia

W latach 60. XX w. biolog Leonard Hayflick udowodnił, że komórki ludzkie nie dzielą się w nieskończoność. Z czasem się okazało, że stoją za tym telomery i mitochondria. Te pierwsze to czapeczki ochronne na końcach chromosomów, które skracają się z każdym podziałem komórki, a gdy skrócą się zbyt mocno, wchodzi ona w stan starzenia albo obumiera. A produkujące energię mitochondria kumulują błędy, mutacje i stres oksydacyjny, co wywołuje proces destrukcji tkanek, mięśni, skóry i mózgu.

Qin Shi Huang

Nadzieję pobudziło odkrycie meduzy *Turritopsis dohrnii*, która potrafi cofać się do wcześniejszego stadium życia – jak Benjamin Button biologii. W takim klimacie Shinya Yamanaka ogłosił w 2006 r. odkrycie czterech genów, które cofają dojrzałą komórkę do stadium młodości, choć ceną jest większe ryzyko nowotworu. Zaczęto też manipulować mitochondriami, wprowadzając białka naprawiające błędy w DNA myszy, co wydłużyło ich życie nawet o kilkadziesiąt procent. Odmładzające terapie stały się intensywnie rozwijaną gałęzią medycyny, która obiecuje przesunąć biologiczny limit człowieka daleko poza 120 lat.

Symbolem sukcesu biogeriatrii stała się grupa leków GLP-1 – semaglutyd (Ozempic), tirzepatyd i pokrewne preparaty – stosowanych pierwotnie w leczeniu cukrzycy typu 2, a dziś znanych z tego, że regulują apetyt, spalanie tłuszczu, metabolizm oraz wpływają na starzenie się skóry i mieszków włosowych. W latach 2024–25 pojawiły się pierwsze zapowiedzi leków GLP-1 2.0, które mają nie tylko działać metabolicznie, lecz także łączyć kilka szlaków hormonalnych naraz i wpływać na procesy komórkowego starzenia, „resetując" wiek biologiczny.

Trwają też eksperymenty z senolitykami, które mają usuwać starzejące się komórki. Gdy u myszy udało się je wyeliminować, poprawiała się jakość ich mięśni, praca nerek, gęstość kości i wydolność serca. Rozwija się również rapamycyna, kolejny kandydat na eliksir młodości, który u zwierząt wydłuża życie o kilkanaście procent, a w połączeniu z innymi lekami – nawet o ok. 30 proc., a także poprawia funkcje poznawcze i odporność. W 2024 r. ruszyły pierwsze badania u ludzi, a lek podaje się również w formie zastrzyków, choć trudno go traktować jak witaminę – rapamycyna może osłabiać odporność, zwiększać podatność na infekcje i zaburzać gospodarkę lipidową.

Szkodliwe okazało się też „wampirze" przetaczanie osocza od młodych dawców. Pomysł wziął się stąd, że po chirurgicznym połączeniu młodej i starej myszy (parabioza) tkanki tej drugiej się odmładzały dzięki krążącemu w młodym organizmie zestawowi białek i cząsteczek regulujących regenerację. Gdy w 2016 r. pojawiła się opowieść o „odmładzających transfuzjach", w Stanach Zjednoczonych zaczęły powstawać firmy sprzedające infuzje młodego osocza jako terapię *anti-aging*. Jednak po ostrzeżeniu FDA w 2019 r., że jest to metoda nieskuteczna i ryzykowna, bo wiąże się z ryzykiem powikłań immunologicznych, większość z nich zawiesiła działalność. Co nie znaczy, że biogerontologia przestała się rozwijać, zwłaszcza że łożą na nią bogacze.

Wybrańcy

We wrześniu mikrofony wychwyciły dialog między Xi Jinpingiem a Władimirem Putinem w Pekinie – wspominali o tym, że już niedługo 100- czy 150-latkowie będą normą oraz że już dziś jako 70-latkowie nadal są

eprasa.pl 2d9fcd4723

dziećmi. Najwyraźniej potomek Qin Shi Huanga oraz Iwana Groźnego (który trzymał na dworze i radził się alchemika Eliseusa Bomelijego) odziedziczyli obsesję na punkcie długowieczności. Poza tym wszyscy dyktatorzy upatrują w starości zagrożenie dla swojej władzy. To dlatego Rosja i Chiny inwestują w długowieczność systemowo.

Paracelsus

Badaniami nad starzeniem w Moskwie kieruje Maria Woroncowa, starsza córka Putina, endokrynolożka, której powierzono finansowany przez państwo program badań nad regeneracją komórek. Kreml wyłożył setki milionów rubli na projekty, które mają zatrzymać zegar w ciele władcy. Chiny robią to na jeszcze większą skalę, od badań nad przeszczepami organów i sztucznymi tkankami, przez inżynierię genetyczną, po rozbudowane programy biomedyczne, które mogą się wiązać z nielegalnym pozyskiwaniem organów.

Amerykańscy miliarderzy inwestują w firmy szukające wiecznej młodości. Jeff Bezos finansuje firmę Altos Labs, która pracuje nad epigenetycznym resetem komórek. Bryan Johnson uczynił ze swego ciała projekt technologiczny, dlatego codziennie mierzy setki parametrów biologicznych, poddaje się protokołom mającym odmłodzić wątrobę, skórę, jelita, ćwiczy i łyka najróżniejsze suplementy. Elon Musk snuje wizje transferu świadomości, a start-upy takie jak Calico, Unity Biotechnology czy Retro Biosciences zbierają setki milionów dolarów na walkę z procesem zwanym senescencją, w którym komórki przestają się dzielić, zaczynają działać gorzej i wysyłają sygnały zapalne przyspieszające starzenie.

Wszyscy oni uważają, że ich życie jest ważniejsze niż biologia – mają środki, by próbować ją oszukać. I wszyscy wierzą, że istnieje sposób, by mogli trwać dłużej niż inni. Współczesne laboratoria starzenia i gabinety medycyny estetycznej stały się nowymi komnatami alchemicznymi, tyle że zamiast retort stoją w nich kriostaty, zamiast rtęci działa CRISPR, a zamiast zaklęć używa się języka białek.

Cena

Są jednak trzy problemy. Pierwszy – natury etycznej: im bardziej elity próbują uciec od starości, tym bardziej nieśmiertelność staje się towarem luksusowym. Może dlatego wrześniowa rozmowa Xi z Putinem wywołała takie poruszenie. To współczesna wersja opowieści, którą ludzkość powtarza od tysięcy lat: nieśmiertelność należy się tym, którzy mają władzę, zasoby i obsesję kontroli. Tyle że pierwszy raz świat może się podzielić na tych, którzy mogą sobie kupić młodość, i tych, których na nią nie stać, więc podobnie jak Gilgamesz muszą się pogodzić z przemijaniem.

Bryan Johnson

Problem drugi jest natury biologicznej. Nawet jeśli będziemy mogli żyć długo bez bólu, słabości i zmarszczek, świat nie będzie nas już cieszyć tak jak w młodości, bo mózg traci zdolność do „nagrody nowości" wraz z kurczeniem się pamięci epizodycznej. David Eagleman, neurobiolog z Uniwersytetu Stanforda, zauważył, że mózg kompresuje wspomnienia w zależności od liczby nowych bodźców – w młodości, gdy jest dużo nowości i zachwytów, czas mija wolniej, ale po czterdziestce następuje „iluzja przyspieszania". Lata mijają niepostrzeżenie, a święta i nowy rok zaskakują niczym nieoczekiwany gość. Więc nasza hipotetyczna wygrana z czasem będzie połowiczna, bo znajdziemy się w pułapce. Nie mamy tabletki zatrzymującej powolne usychanie synaps, kory przedczołowej, hipokampu i szlaków dopaminowych – ani zastrzyków przywracających pamięć czy entuzjazm 20-latka. Czynimy więc jeden krok w stronę alchemicznego marzenia i dwa kroki w stronę jego dekonstrukcji. Długowieczność, jeśli kiedyś nadejdzie, nie będzie triumfem nad czasem, lecz nowym, nieprzewidywalnym eksperymentem.

Problem trzeci, filozoficzny, polega na tym, że śmiertelność jest nie tylko granicą, ale warunkiem sensu. Gdyby życie trwało wiecznie, nie byłoby choroby miłości, potrzeby wybaczenia, radości z ostatniego dnia roku ani poczucia, że każda decyzja coś znaczy. Niepewność końca nie musi odbierać nadziei. Może za to zwracać uwagę na to, o czym przypominali filozofowie: że wartość życia nie mierzy się jego długością, lecz tym, ile sensu zdążyliśmy w nim zmieścić.

Najtrafniej ujął to myśliciel brytyjski Bernard Williams, mówiąc, że każde pragnienie kiedyś się wyczerpie, więc wieczność byłaby niekończącą się nudą i udręką bycia z samym sobą. Filozofia i biologia mówią jednym głosem – nawet jeśli możemy żyć dłużej, to nie jesteśmy stworzeni do wieczności. W dodatku, jak zapowiada paleontolog Henry Gee (POLITYKA 49/25), nasz gatunek wyginie tak samo, jak wyginęły wszystkie inne homininy. I to wcześniej, niż myślimy. W takim ujęciu obsesja nieśmiertelności naprawdę wygląda jak próba zawrócenia rzeki kijem – spektakularna, kosztowna i z góry skazana na porażkę.

Dobrą wiadomością jest, że starzenie spowalnia ciemna czekolada. Według nowych analiz z King's College London ci, którzy mają we krwi więcej teobrominy, są biologicznie młodsi niż wskazywałaby metryka. Badacze zastrzegają, że nie jest to pretekst, by zwiększyć spożycie tego tłustego i słodkiego przysmaku, ale jeśli po całej tej opowieści o telomerach, mitochondriach i ambicjach dyktatorów okaże się, że najbardziej demokratyczną drogą do długowieczności jest pyszna niedroga ciemnobrązowa kostka – to może jednak nie wszystko stracone.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

© DP (3), AGATON STROM/REDUX/EAST NEWS

eprasa.pl 2d9fcd4723

Kotki wojny

Deepfake'owe zwierzęta to tylko pierwszy, niewinny klin wbijany w naszą zdolność odróżniania prawdy od fałszu.

MARTA ALICJA TRZECIAK

Na nagraniu widać rudego kota ubranego w krótkie spodenki i koszulkę na ramiączkach, tańczącego na tylnych łapach do wzruszającej muzyki. Postawa ciała zwierzęcia oraz jego ruchy są nierealistyczne anatomicznie, a tekstura obrazu – nieco rozmyta, lejąca, jakby plastelinowa. Te cechy sprawiają, że oko widza potrafi szybko rozpoznać: to deepfake, nieprawdziwy obraz wykreowany z kompilacji ogromnej liczby zdjęć i nagrań, a następnie przetrawiony i wypluty przez algorytm. Film doczekał się ponad 6 tys. polubień i niemal 600 udostępnień. Tyle osób uznało, że jest na tyle wartościowy, by podać go dalej. Załóżmy, że wszyscy komentujący rozpoznali oczywistą fałszywkę (choć nie dali temu wyrazu w komentarzach), ale jej nie demaskowali, ponieważ podchodzili do tematu z dystansem i humorem.

Nieprawdopodobne zwierzaki

Nagrania z „uroczymi i zabawnymi" kotkami czy pieskami to tylko jedna z wielu odsłon coraz popularniejszego trendu polegającego na publikowaniu w internecie deepfake'ów z czworonogami. Równie popularne są fałszywe nagrania przedstawiające zwierzęta niebezpieczne – na których bestie atakują niczego niespodziewających się farmerów, turystów czy mieszkańców przedmieść. Za przykład niech posłuży popularne w ostatnim czasie wideo, którego opis zaczyna się od słów: „Byk rzuca się na farmera naprawiającego ogrodzenie, zmuszając go do ucieczki. Wiejskie obszary Tennessee – 11 listopada 2025. Rutynowa, popołudniowa naprawa ogrodzenia zamieniła się w przerażającą walkę o przetrwanie, gdy czarny byk ruszył z impetem prosto na mężczyznę".

Nagranie jest słabej jakości, ale wydaje się, że wynika to po prostu z rozdzielczości kamery. Ujęcie wykonane wprost spod belek dachowych w gospodarskiej altanie oraz charakterystyczny zegar z datownikiem w kącie obrazu dodają materiałowi autentyczności monitoringu. Pod filmem można przeczytać: „To oczywiste, że ten tandetny płot nie powstrzyma byka, lol! Ale cieszę się, że chłopaki są cali i zdrowi". Pojawiają się też głosy krytyczne, które zwracają uwagę na drobne niedociągnięcia nagrania, sugerujące, że jest to zapewne

eprasa.pl 2d9fcd4723

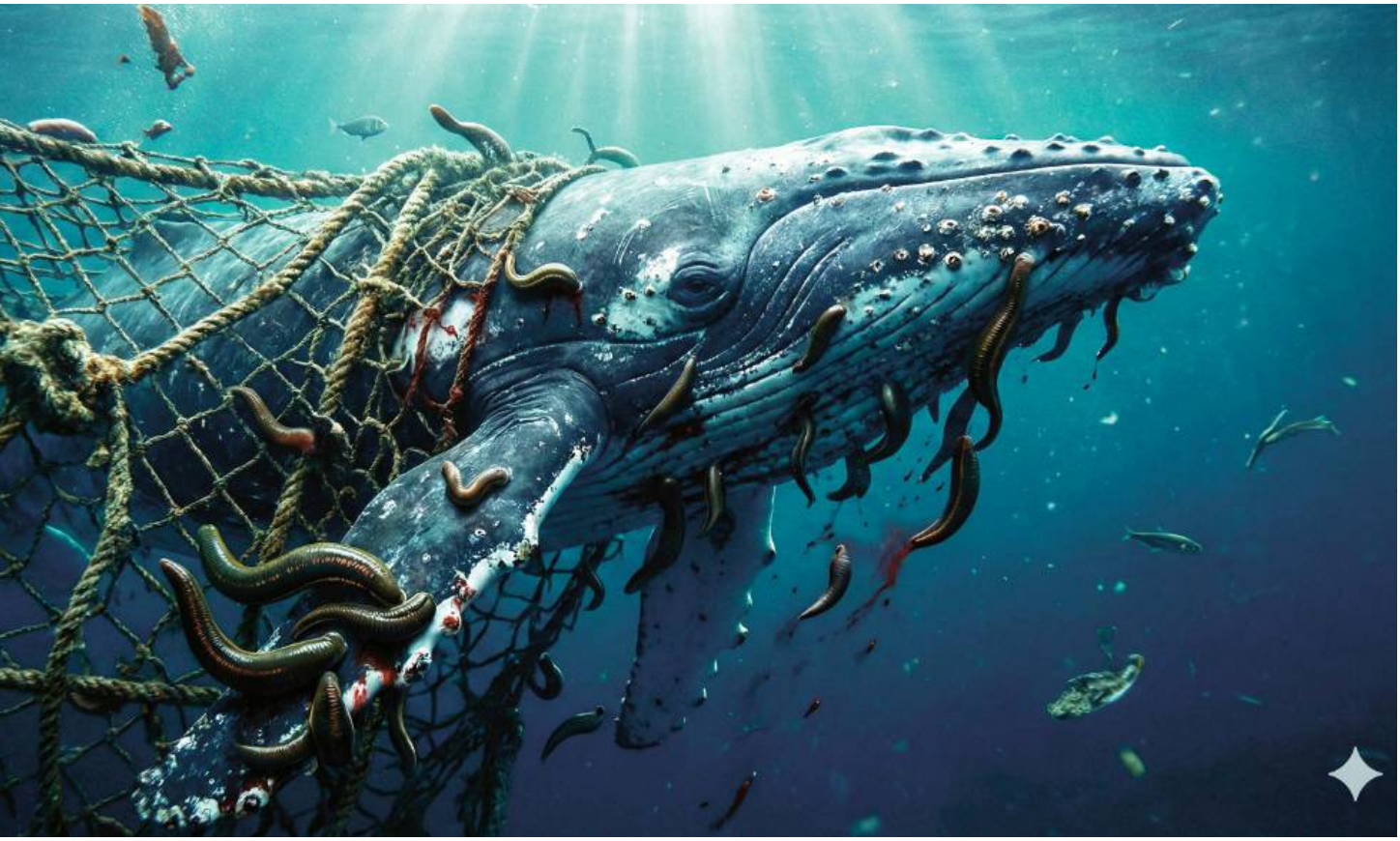

Wszystkie ilustracje na potrzeby tego tekstu powstały w studiu POLITYKI przy użyciu narzędzia AI. Oczywiście na podstawie „prawdziwych" deepfake'owych produkcji.

deepfake. Nie są to jednak najpopularniejsze komentarze w wątku.

W kategorii „niebezpieczne zwierzęta" bardzo popularne są też filmy typu „wpadł i co teraz". Na przykład materiał przedstawiający starszą kobietę, która przez przypadek zsunęła się do basenu pełnego rekinów. Dzięki sprawnej akcji udało się ją wydobyć i ocalić przed paszczami krwiożerczych ryb.

Jeden z popularniejszych w ostatnim czasie deepfake'ów z tej kategorii przedstawia wieloryba wpadającego w sieci, a jakimś cudem sznury przekształcają się w coś na kształt pijawek oplatających ciało wala. Zdezorientowane zwierzę wyskakuje na brzeg, a grupa śmiałków otacza je opieką i zdejmuje z jego skóry ciała obce. Wdzięczny wieloryb wraca na wolność, żegnając się ze swoimi wybawicielami machnięciem płetwy i majestatycznym wyskokiem z wody. Niektóre deepfake'i nie tyle testują granice absurdu, ile na nowo je wyznaczają: przedstawiają wiralowe króliki skaczące na trampolinie, koty ratujące dzieci przed panterami czy wilki wyprowadzające z lasu zagubione dziecko.

Dlaczego takie idiotyczne materiały w ogóle powstają, dlaczego ktoś je publikuje i udostępnia? Po pierwsze, wizerunki zwierząt nie podlegają żadnej ochronie. Po drugie, internauci po prostu kochają klikać w zwierzęta, a cyfrowi maniacy szybko to zauważyli. Niestety z tym trendem wiążą się realne zagrożenia.

Zafałszowany obraz

W sierpniu 2025 r. na łamach „Conservation Biology" ukazała się publikacja, której autorzy zwrócili uwagę na to, że deepfake'owe materiały przedstawiają nierealistyczne zachowania zwierząt. Jeśli ktoś naprawdę uwierzy w to, że niedźwiedź polarny poda człowiekowi ranną łapę, by ten mu ją opatrzył, a potem podziękuje wybawcy za udzieloną pomoc, to mamy poważny problem – konkludowali naukowcy. Już teraz turyści masowo dokarmiają dzikie zwierzęta na szlakach, podchodzą do fok odpoczywających na plaży, próbują głaskać lisy i ogólnie traktują drapieżniki jak duże pluszaki. Brakuje jeszcze, by zachęceni fałszywymi nagraniami przybijali piątkę gorylom w zoo i brali na ręce znalezione w lesie młode dzikich zwierząt.

Poza tym, kontynuują autorzy pracy z „Conservation Biology", AI tworzy obrazy, które mogą w realistyczny sposób przedstawiać konkretne zwierzęta, ale bardzo często miksuje ze sobą różne taksony lub dodaje do ich wyglądu czy behawioru nieistniejące elementy. To tylko pogłębi już istniejący problem, polegający na tym, że ludzie mają trudności z rozpoznaniem nawet najpowszechniejszych gatunków zwierząt. Ile osób potrafi odróżnić gawrona od wrony? A co będzie, gdy internet zaleją nagrania z „wronogawrami", „kawkokrukami" i „gawronowronami" (nie mylić z czarnowronami, bo te istnieją naprawdę)? Zdaniem uczonych te okoliczności stwarzają duże wyzwania dla i tak niełatwej edukacji przyrodniczej. Dotyczy to zwłaszcza nauczania dzieci, które mogą zetknąć się z nierealistycznymi obrazami, zanim po raz pierwszy zobaczą prawdziwe zwierzę.

Do konkluzji naukowców należałoby jeszcze dodać, że wygenerowane materiały z ludźmi rzekomo pomagającymi ▶

© GEMINI/AMARO (2)

eprasa.pl 2d9fcd4723

▶ zwierzętom dewaluują prawdziwe działania na rzecz przyrody oraz ratowania rannych osobników. Niestety rzadko kończą się one na zdjęciu z ciała kilku „pijawek", pogłaskaniu i wypuszczeniu w świat. Często towarzyszy im długa i żmudna walka o życie rannego osobnika. Nie zawsze wszystko się dobrze kończy.

Ale te zagrożenia to wciąż tylko wierzchołek góry lodowej. Trzeba pamiętać, że nawet najsłodsze lub najbardziej absurdalne nagrania z wymyślonymi zwierzętami są formą dezinformacji.

Patologiczne zasięgi

Doświadczenie autorki (z pracy w Stowarzyszeniu Demagog, organizacji zajmującej się m.in. weryfikacją informacji publikowanych w internecie) pokazuje, że aktorzy dezinformacji, czyli osoby i podmioty, które tworzą, rozpowszechniają lub wspierają fałszywe treści, nierzadko działają na zasadzie klina. Najpierw publikują niewinne, niekontrowersyjne, pozornie nieszkodliwe treści, takie jak nagrania ze zwierzętami, przepisy kulinarne, relacje podróżnicze lub tzw. life hacki: jak wyczyścić kuchenkę sodą, wycisnąć resztkę pasty do zębów czy obrać ananasa. Dzięki tym treściom zyskują nie tylko zasięgi, lecz także zaufanie swoich odbiorców. Jeden podmiot może mieć takich kont wiele, co wynika z niskiej bariery wejścia do mediów społecznościowych.

Nierzadko profile te są prowadzone, wspierane i/lub masowo komentowane przez boty, czyli konta obsługiwane wyłącznie przez programy komputerowe – wynika z analiz opublikowanych w 2018 r. w „Nature Communications" i w 2024 r. w „PLOS One". Generują one duże liczby postów lub komentarzy, wchodzą w interakcje z treściami udostępnianymi na platformach społecznościowych i tym samym przyciągają uwagę prawdziwych odbiorców oraz tworzą iluzję popularności – wyjaśniają autorzy pracy, która niedawno ukazała się w „Computers in Human Behavior".

Taka praktyka to odmiana tzw. sztucznej amplifikacji (*manufactured amplification*), czyli wzmacniania zasięgów za pomocą syntetycznych środków. W internecie można się natknąć np. na ogłoszenia podmiotów oferujących 100 tys. „wysokiej jakości" wyświetleń pod filmem czy 50 tys. polubień. Koszt takiej usługi to kilka tysięcy dolarów. Interakcje te są często podejmowane przez fałszywych obserwujących (*fake followers*) – przede wszystkim przez boty.

Narastająca dezinformacja

Zyskawszy popularność i zasięgi, twórcy mogą rozpocząć pulsacyjne emitowanie bardziej radykalnych treści. W ten sposób stopniowo znieczulają odbiorców na fałsz. To tzw. przygotowywanie gruntu pod dezinformację. Raz na jakiś czas na profilu pojawiają się przekazy odbiegające od „kotków", „piesków" i przepisów na karpatkę. Na przykład: propagandowe posty prorosyjskie, wpisy antyszczepionkowe lub dyskryminujące grupy mniejszościowe.

Stopniowo tego typu treści przybywa, a całość przekazu z danego konta nabiera cech typowego *information disorder*, czyli informacyjnego chaosu, w którym przeplata się dezinformacja i malinformacja. Ta pierwsza to wprowadzanie w błąd za pomocą fałszywych treści. Ta druga bazuje na prawdziwych informacjach, ale celowo zaprezentowanych w taki sposób, by pozbawiać je prawidłowego kontekstu i wyrządzać szkodę – wyjaśniają autorzy przewodnika „Information Disorder" wydanego przez Shorenstein Center on Media, Politics and Public Policy, podlegający Harvard Kennedy School.

Dezinformacyjne profile karmią się chaosem. Wspierają interesy grup, które pozornie nie mają ze sobą nic wspólnego, np. antyszczepionkowców, sympatyków Kremla i przeciwników sieci 5G. Być może taki rozrzut wydaje się nielogiczny, trzeba jednak pamiętać, że dla tego typu kont (i stojących za nimi aktorów dezinformacji) korzyścią nie musi być przeforsowanie określonego poglądu. Wystarczy podkopanie zaufania publicznego do organizacji naukowych, unijnych, zajmujących się zdrowiem publicznym itp. oraz zachwianie stabilności grup społecznych. Tak urobieni odbiorcy stają się bardziej podatni na dalszą manipulację i mniej czujni, przez co przymykają oko na materiały spreparowane pod tezę.

Niedoskonałe rozwiązania

Polubienie lub udostępnienie wygenerowanych przez AI piesków, kotków czy wielorybów może się nie wydawać szkodliwe, ale pośrednio wpływa na jakość dyskursu publicznego i na ekosystem internetu. I niestety nie istnieje proste rozwiązanie, które pozwoliłoby za pomocą jednego kliknięcia odpowiedzieć na wszystkie wyzwania związane z dezinformacyjnym chaosem. Nie znaczy to, że należy się poddać. Wątpliwe treści można zgłaszać do weryfikacji organizacjom fact-checkingowym (takim jak Stowarzyszenie Demagog, Konkret24, OKO.press, Sprawdzam AFP, Antyfake), a szkodliwe przekazy – oznaczać bezpośrednio w danym medium.

Warto również korzystać z narzędzi, które ułatwiają rozpoznawanie obrazów stworzonych przez sztuczną inteligencję – takich jak Sensity AI, Deepware, Truepic, Resemble.ai i innych. Są one systematycznie rozwijane i wyłapują generatory fałszywek, ale wciąż nie dość szybko. Nie działają też w pełni automatycznie. Niemałą część weryfikacji można jednak przeprowadzić samodzielnie. Większość grafik i nagrań produkowanych przez AI wciąż jeszcze ma jakieś niedociągnięcia.

Wygenerowane obrazy są często w charakterystyczny sposób rozmyte (jak nasz tańczący kotek) lub cechuje je nielogiczny ciąg zdarzeń (jak w przypadku wieloryba wpadającego w sieć z pijawek). Czasem natomiast zdradzają je szczegóły (kiedy wspomniany byk wchodzi w ogrodzenie, znika ono pod jego nogą). Przedmioty nie

© GEMINI/AMARO (2)

eprasa.pl 2d9fcd4723

stawiają prawidłowego oporu, mimika ludzi i zwierząt jest przesadna, dziwna, skokowa. Faktury przenikają się w pozbawiony sensu sposób. Dźwięki nie są idealnie zsynchronizowane z ruchami ust czy pyska.

Trzeba jednak pamiętać, że treści generowane przez AI będą coraz wyższej jakości, bardziej logiczne oraz spójne. Ostatnio Google DeepMind wypuściło nową wersję narzędzia do generowania i edytowania obrazów: Nano Banana Pro. Przedstawiciele giganta technologicznego szczycą się tym, że ich nowy produkt tworzy obrazy o bezprecedensowym poziomie realizmu: bez rozmycia i charakterystycznego wygładzenia. W ich ślady idą już kolejne firmy.

Jak zawsze wniosek stąd taki, że problemem nie jest tu samo istnienie czy rozwijanie narzędzi, lecz sposób ich wykorzystania. Dlatego należy wprowadzać regulacje – takie jak Digital Services Act (unijne rozporządzenie regulujące działanie platform internetowych) czy Artificial Intelligence Act (klasyfikujące systemy sztucznej inteligencji według poziomu ryzyka i nakładające na nie odpowiednie obowiązki) – i pociągać big techy do odpowiedzialności.

Krytyczne myślenie

Warto też samemu rozwijać kompetencje pozwalające nadążyć za postępem technologicznym. Stowarzyszenie Demagog, NASK, agencja prasowa AFP – wiele organizacji oferuje przewodniki i kursy dotyczące dezinformacji i AI dla osób będących na różnym poziomie zaawansowania. Ta ostatnia proponuje np. kursy przeznaczone dla dziennikarzy. Można wziąć w nich udział, nie wychodząc z domu, bezpłatnie. Podstawowy kurs trwa 75 min.

Takie szkolenia nie tylko dają wiedzę, lecz także pobudzają sceptycyzm względem konsumowanych treści. Krytyczne myślenie nie zawsze pozwoli prawidłowo rozpoznać deepfake'a, ale może powstrzymać przed natychmiastowym zareagowaniem na emocjonującą treść. I co najważniejsze – przed pochopnym kliknięciem „udostępnij". Nawet wtedy, gdy kotek jest naprawdę uroczy.

MARTA ALICJA TRZECIAK

eprasa.pl 2d9fcd4723

Obawiamy się, że jeśli postawimy na stole zbyt mało, goście poczują się niezręcznie

Kto się najadł wstydu

Święta, święta i... przeciętny Polak znów wyrzuci do kosza 1,5 kg żywności. A co z moralnością? O związkach między resztkami pożywienia a resztkami przyzwoitości opowiada psycholog dr Michał Misiak.

KASPER KALINOWSKI: **– Czy na koniec roku znów zmarnowaliśmy tony żywności?**

MICHAŁ MISIAK: – Niestety, wszystko na to wskazuje. Święta to nie tylko choinka, kolędy i prezenty, ale też stół uginający się od potraw – często w ilościach, z którymi żadna rodzina nie jest w stanie sobie poradzić. Skutek znamy wszyscy: po kilku dniach część jedzenia ląduje w koszu, zwykle z towarzyszącymi temu wyrzutami sumienia. Badania firmy Too Good To Go pokazują, że w Polsce w okresie świątecznym wyrzucamy średnio ok. 1,5 kg jedzenia na osobę. To bardzo dużo, jeśli pomyśleć o skali całego kraju.

Nie marnujemy jednak jedzenia w pojedynkę.

Oczywiście. Przecież nikt nie gotuje wielkiego gara bigosu ani setki pierogów z myślą o tym, by następnego dnia wyrzucić je do kosza. To raczej uboczny skutek naszych prospołecznych skłonności. Jedzenie jest jednym z najważniejszych narzędzi budowania więzi. Badania nad marnowaniem jedzenia pokazują, że na drodze do jego ograniczania stoi pewna charakterystyczna bariera, czyli pragnienie bycia „dobrym gospodarzem". Obawiamy się, że jeśli postawimy na stole zbyt mało, goście poczują się niezręcznie, a my będziemy źle oceniani. Podobny mechanizm działa w rodzinach: rodzice, chcąc sprostać różnym preferencjom dzieci, ich zmiennemu apetytowi czy wymaganiom żywieniowym, kupują i gotują więcej, niż którekolwiek dziecko realnie potrzebuje. W relacjach partnerskich również traktujemy jedzenie jako sposób okazywania bliskości.

Dr **Michał Misiak** – adiunkt w Instytucie Psychologii Uniwersytetu Wrocławskiego. Analizuje łamanie tabu kulturowego, prowadzi międzykulturowe badania nad moralnością. Członek Polskiego Towarzystwa Nauk o Człowieku i Ewolucji. Aktualne informacje o nim i jego badaniach można znaleźć na stronie michalmisiak.com.

Z czym musi się liczyć osoba, która nie będzie wystawnie przyjmowała gości?

Badamy to z zespołem. Takie zachowanie to nie tylko strata pieniędzy, lecz także dodatkowe obciążenie dla środowiska. Wyrzucając jedzenie, tracimy też okazję, by przekazać je komuś, kto naprawdę go potrzebuje. Ale co w zamian? Czy mamy ryzykować, że goście wyjdą od nas zawiedzeni albo głodni?

eprasa.pl 2d9fcd4723

Afrykański lud Hadza wyznaje zasadę: dziel się zawsze, jeśli inni widzą, że coś masz

© OLGA RUSINOVA/SHUTTERSTOCK, PIOTR SKORNICKI/AGENCJA WYBORCZA.PL, RADEK BOROVKA/SHUTTERSTOCK, FOTOTECA GILARDI/AKG IMAGES/FORUM

Co sami pomyślelibyśmy o gospodarzu, który ze względów ekologicznych przygotował bardzo skromny obiad? Prawdopodobnie docenilibyśmy motywację, ale jednocześnie mógłby się pojawić zawód, dyskomfort. Skromny posiłek może zostać odczytany jako brak zaangażowania, próba oszczędzenia na gościach albo sygnał, że nie są dla kogoś priorytetem. I to zderzenie dwóch norm – ekologicznej powściągliwości i tradycyjnej gościnności – jest dla naszego zespołu szczególnie interesujące. Chcemy sprawdzić, jak ludzie reagują na takie sytuacje. Testujemy hipotezę, czy skromne przyjmowanie gości wpływa na postrzeganie gospodarza. Walka z marnowaniem jedzenia może mieć swoją cenę, a tą ceną jest reputacja.

W ramach jednego z eksperymentów przebrany za bezdomnego prosił pan o jedzenie obcych ludzi. Jak reagowali?

Reakcje były bardzo różne, ale najczęściej pojawiało się zaskoczenie. Kilka osób powiedziało mi wprost, żebym wziął się do uczciwej pracy, zamiast chodzić po ulicy i prosić o jedzenie. Inni byli bardziej poruszeni, choć często dopiero po chwili oswajali się z sytuacją, bo, jak się okazuje, ludzie prawie nigdy nie są pytani o jedzenie. Chcieliśmy sprawdzić, czy ludzie chętniej dzielą się jedzeniem niż pieniędzmi lub innymi przedmiotami o tej samej wartości. No i rzeczywiście – prośby o kupienie bułki były najskuteczniejsze. Za każdym razem, kiedy ktoś zgadzał się coś dla mnie kupić, ujawniałem, że to badanie, i prosiłem, żeby niczego jednak nie kupował. Zwykle odbywaliśmy wtedy krótką pogawędkę i ludzie często przyznawali, że nie potrafią odmówić prośbie o jedzenie.

Badał pan również kultury niezachodnie. Tam też okazują sobie bliskość i szacunek, dzieląc się żywnością?

Tak. Gdy robiłem doktorat, mój promotor prof. Piotr Sorokowski wysłał mnie na badania terenowe do Tanzanii.

„Kiedy walczą nasi ludzie, walczy nasza żywność" – amerykański plakat z 1943 r.

Pracowałem tam wśród ludu Hadza, jednej z ostatnich na świecie społeczności łowiecko-zbierackich. Jest ona często przedstawiana jako przykład pierwotnego egalitaryzmu: mężczyźni polują na antylopy, ptaki czy pawiany; kobiety zbierają owoce, bulwy i nasiona; a wieczorami wszyscy spotykają się przy ognisku, żeby podzielić się tym, co udało im się zdobyć.

I rzeczywiście, podział pracy wygląda mniej więcej tak. Gdy jednak prowadziłem badania w terenie, miałem coraz silniejsze poczucie, że ta opowieść o „wspólnotach, które wszystko dzielą i nikomu niczego nie żałują", bywa mocno zromantyzowana. W praktyce okazuje się znacznie bardziej skomplikowana. To nie jest tak, że Hadzowie żyją w kulcie bezinteresownej hojności. W każdej społeczności pojawiają się napięcia, strategie, interesy i hierarchie, choć u nich są mniej widoczne niż w społeczeństwach uprzemysłowionych. Dlatego czytając opowieści o „gołębich sercach łowców-zbieraczy", mam wrażenie, że część tej historii dopisano na potrzeby zachodniego odbiorcy albo turysty. Rzeczywistość jest ciekawsza, ale też bardziej ludzka.

To jak to dzielenie się wygląda?

U Hadzów nie jest to gest wykonywany z wielkim entuzjazmem. Badania pokazują, że ich hojność wcale nie wyróżnia się na tle innych społeczności. Różnica polega na czym innym – silna norma ▶

eprasa.pl 2d9fcd4723

▶ kulturowa nakazuje podzielić się jedzeniem z każdym, kto o nie poprosi. To obowiązek, nie akt wielkoduszności. Ale uwaga: tylko wtedy, kiedy inni widzą, że coś upolowałeś albo przyniosłeś z buszu. Jeśli uda się ukryć zdobycz, norma przestaje działać. Wielu mężczyzn w wywiadach przyznaje, że po udanym polowaniu zjadają część mięsa jeszcze w drodze do obozowiska, żeby nie musieć się dzielić całą zdobyczą. Inni próbują w nocy przemycić jedzenie do swoich szałasów, żeby podzielić się wyłącznie z rodziną.

Antropolodzy opisali też zjawisko „tolerowanej kradzieży". Jeśli ktoś w obozie zaczyna bezczelnie podbierać kawałki mięsa z cudzej zdobyczy, właściciel często odpuszcza. Uznaje, że dla kawałka pawianiego udźca nie warto wszczynać konfliktu. Wie, że następnym razem role mogą się odwrócić, i to on będzie tym, który coś „uszczknie" z cudzego sukcesu łowieckiego. To brzmi zresztą zaskakująco znajomo. Każdy, kto w podstawówce przyniósł do szkoły paczkę gum albo chipsy, wie, czym jest tolerowana kradzież. Wystarczyło, że starszoklasiści zobaczyli, co trzymasz w plecaku, i już wiadomo było, że część zapasów zniknie. U nas, niestety, te role raczej się nie odwracają.

A czy marnowanie jedzenia spotyka się u Hadzów z większym potępieniem niż na Zachodzie?

Tak, choć z zupełnie innych powodów. W Europie i innych bogatych, demokratycznych społeczeństwach potępienie marnowania jedzenia wynika przede wszystkim z troski o środowisko. W populacjach, które badaliśmy, potępienie bierze się stąd, że ktoś obok naprawdę głoduje. Jeśli wyrzucamy jedzenie, to w praktyce odbieramy je komuś, kto mógłby dzięki niemu przetrwać kolejny dzień. To bardzo lokalne, namacalne rozumienie konsekwencji. Wyrzucając resztki, skrzywdzilibyśmy nie abstrakcyjne „środowisko", lecz sąsiada, kuzyna, dziecko z własnego obozu.

W gruncie rzeczy to podejście było kiedyś bliskie także naszej kulturze. Wystarczy posłuchać wspomnień naszych babć: jedzenia się nie wyrzucało, bo było go niewiele, a już na pewno nie każdy miał do niego łatwy dostęp. Wyrzucić jedzenie oznaczało moralną porażkę – zmarnowanie czegoś, co dla kogoś innego mogło być ratunkiem. W globalnej perspektywie to właśnie my, mieszkańcy bogatych krajów, jesteśmy tu wyjątkiem. Przez większą część historii ludzkości marnowanie jedzenia nie było ani łatwe, ani społecznie akceptowane. Dziś po prostu zapomnieliśmy, jak niezwykłym przywilejem jest sytuacja, kiedy możemy wyrzucić jedzenie bez natychmiastowych konsekwencji.

Waszyngton, darmowe posiłki z okazji Święta Dziękczynienia

A jednak w relacjach etnograficznych pojawia się obecny w wielu kulturach fenomen tzw. potlaczu. Jak to wyjaśnić?

Potlacze są przede wszystkim charakterystyczne dla rdzennych populacji północno-zachodniego wybrzeża Ameryki Północnej, zwłaszcza na obszarze dzisiejszej Kanady. Wielkie festyny, podczas których gospodarze rozdawali lub nawet demonstracyjnie niszczyli wielkie ilości dóbr i żywności. Jednak za tą pozorną ekstrawagancją kryła się bardzo pragmatyczna logika.

Po pierwsze, potlacz był narzędziem budowania i manifestowania statusu.

Plakat z USA z 1917 r. : wyrzucanie to „zbrodnia"

Jeśli ktoś był w stanie oddać lub zniszczyć ogromną część własnego majątku, to znaczyło, że jest naprawdę potężny. W świecie, w którym reputacja decydowała o pozycji społecznej, to była niezwykle skuteczna strategia.

Po drugie – i to często umyka w popularnych opowieściach – potlacze pełniły kluczową funkcję adaptacyjną. Społeczności, które je praktykowały, żyły w warunkach ogromnej sezonowości zasobów. W jednym roku obfitość łososi mogła zapewnić dobrobyt całej wiosce, a w innym niewielkie zaburzenie migracji ryb oznaczało głód. W takich warunkach potlacz stawał się formą ubezpieczenia społecznego. Wioski, którym w danym sezonie dopisało szczęście, organizowały potlacz i dzieliły się nadwyżkami z tymi, które miały pecha. W kolejnym roku role mogły się odwrócić, a goście byli zobowiązani do odwzajemnienia hojności.

Czy w takim razie w innych kulturach takie wystawne goszczenie ma podobną funkcję?

Kiedyś wraz z prof. Sorokowskim doświadczyliśmy wystawnej uczty podczas badań w Papui. Dotarliśmy do górskiej wioski, kilka dni trekkingu przez dżunglę od najbliższego miasta. Na miejscu się okazało, że mieszkańcy przygotowują ogromną ucztę ze świniobiciem. Ludzie schodzili się z okolicznych wiosek.

Dopiero później się dowiedzieliśmy, że lider tej społeczności został zamordowany zaledwie kilka dni wcześniej, a wystawna uczta była elementem ceremonii żałobnej. Nie przypominała jednak naszych styp. Miała głęboki sens polityczny. Antropolodzy zwracają uwagę, że podobne wydarzenia służą budowaniu koalicji odwetowej. W kulturach, w których nie ma policji, sądów ani instytucji państwowych, reakcja na zabójstwo należy

eprasa.pl 2d9fcd4723

do wspólnoty. Żeby podjąć działania, trzeba zgromadzić sojuszników i okazać siłę.

I właśnie temu służyła ta wystawna uczta. Wspólne jedzenie, pieczona świnia, ludzie z sąsiednich wiosek – to pomagało zacieśnić więzi i jasno pokazać, kto stoi po czyjej stronie. Nie drążyliśmy tego tematu z oczywistych względów, ale niewykluczone, że nad tym prosiakiem zapadały decyzje, kto i kiedy wyruszy, aby pomścić zabójstwo. W takim ujęciu wystawne goszczenie służy budowaniu solidarności w momentach kryzysowych. Jedzenie staje się narzędziem politycznym, a uczta – przestrzenią negocjacji i przygotowań.

Czy obserwuje pan takie zjawiska w naszym kontekście kulturowym?

Jak najbardziej. Choćby na tradycyjnych polskich weselach, takich dużych, na sto i więcej osób, gdzie stoły uginają się od jedzenia. Z jednej strony to oczywiście oznaka statusu, ale z drugiej – jest to wydarzenie o bardzo wyraźnej funkcji społecznej. Podobnie jak w Papui chodzi tu o budowanie koalicji. Dwie rodziny mają okazję się spotkać, poznać i nawiązać serdeczne relacje. Wspólne jedzenie i wspólne świętowanie tworzą poczucie bliskości i zaufanie, a to w praktyce wzmacnia sieć społecznego wsparcia młodej pary.

Można powiedzieć, że oprócz radości i zabawy wesele generuje coś w rodzaju kapitału społecznego. A jednocześnie po weselu przychodzi ten moment, kiedy trzeba wyrzucić gar zepsutej sałatki jarzynowej czy kolejne tacki niedojedzonych potraw. Nikt nie jest z tego powodu szczęśliwy, ale jednocześnie mało kto żałuje, że nie zamówił skromniejszego menu.

Co jest postrzegane jako szczególnie niemoralne w marnowaniu jedzenia?

Moralność to złożony obszar naszego funkcjonowania psychicznego, a nasze badania dotyczyły Polaków, więc wnioski odnoszą się przede wszystkim do naszego kontekstu kulturowego. Wynika z nich jednak dość jasno, że marnowanie jedzenia postrzegamy przede wszystkim jako naruszenie zasad – ludzie widzą w tym dwie równoległe niesprawiedliwości.

Pierwsza dotyczy innych ludzi: wyrzucanie jedzenia jest odbierane jako krzywda tych, którzy mają mniej i realnie głodują. Druga dotyczy wspólnych zasobów. Marnowanie żywności przyczynia się do degradacji środowiska, które traktujemy jako dobro, za które wszyscy odpowiadamy.

Jadłodzielnia w Berlinie. Bogate kraje oszczędzają żywność głównie w trosce o środowisko.

Nasze wyniki sugerują, że osoby szczególnie wyczulone na tę właśnie wartość moralną – sprawiedliwość rozumianą jako troskę o równą dostępność zasobów i odpowiedzialność za wspólne dobro – marnują najmniej jedzenia. Dla nich wyrzucenie żywności nie jest tylko nieekologiczne czy nieekonomiczne, lecz przede wszystkim moralnie niewłaściwe.

Właśnie pracujemy nad publikacją dotyczącą dużego badania międzykulturowego, w którym wzięło udział ponad 10 tys. osób z 50 państw. Nie znaleźliśmy ani jednego kraju, w którym marnowanie jedzenia byłoby moralnie obojętne albo traktowane jako zachowanie akceptowalne. Oczywiście skala potępienia różni się między krajami. Najmniej przejmują się marnowaniem mieszkańcy takich państw jak Nowa Zelandia czy Korea Południowa, a najbardziej – Algierii i Maroka. Polska na tym tle wypada zupełnie przeciętnie.

Czy można w takim razie opierać kampanie zachęcające do ograniczenia marnowania żywności na komunikatach moralnych?

Mogłoby się wydawać, że to dobry pomysł. Większość z nas słyszała kiedyś, żeby nie marnować jedzenia, bo dzieci w Afryce głodują. Tego typu komunikaty funkcjonowały zresztą od dawna. Polecam przejrzeć archiwalne plakaty z czasów drugiej wojny światowej – to prawdziwa kopalnia przykładów, jak silnie grano wtedy motywami moralnymi, żeby zniechęcać do marnowania żywności.

W takich grafikach prym wiedli Amerykanie i inni alianci, ale natrafiłem też na plakaty włoskie, przekonujące, że wyrzucanie chleba jest niehonorowe. Dla dodania powagi pod obrazkiem widniał podpis Mussoliniego. Amerykanie natomiast nie bawili się w subtelności. U nich pojawiały się hasła w rodzaju: „Marnując jedzenie, zabijasz żeglarza" albo odwrotnie: „Oszczędzając jedzenie, oszczędzasz krew naszych chłopców na froncie". To bardzo bezpośrednia, wręcz brutalna propaganda.

A zatem takie komunikaty to nie jest dobry pomysł?

Sprawdzaliśmy, czy po obejrzeniu krótkich filmów, w których przekonywano, że marnowanie jedzenia narusza wartości moralne, ludzie będą bardziej skłonni ograniczyć to marnotrawstwo lub poprzeć inicjatywy polityczne mające je zmniejszyć. Wyniki były zaskakujące. Okazało się, że takie komunikaty działają odwrotnie, niż można by oczekiwać. Zamiast zwiększać motywację, wywoływały poczucie winy, wstyd i ogólny dyskomfort. A to emocje, które rzadko prowadzą do zmiany zachowania. Wcześniejsze badania pokazywały zresztą, że gdy ludzie odczuwają poczucie winy związane z marnowaniem jedzenia, próbują o tym nie myśleć, a w konsekwencji marnują jeszcze więcej.

Moim zdaniem lepiej działa przekaz praktyczny, odwołujący się do naszych portfeli: wyrzucając jedzenie, wyrzucamy własne pieniądze.

Wróćmy do początku naszej rozmowy. Czy walcząc z marnowaniem żywności, nie podetniemy więzi i fundamentów bliskości?

Takie ryzyko istnieje. Co jednak nie znaczy, że musimy wybierać między bliskością a odpowiedzialnością. Możemy używać produktów, które wolniej się psują, lepiej planować posiłki, dbać o właściwe przechowywanie jedzenia. A kończąc spotkanie, po prostu podzielić się nadmiarem z gośćmi. To przecież jedna z najbardziej naturalnych form okazywania troski.

ROZMAWIAŁ KASPER KALINOWSKI

© ALAMY STOCK PHOTO/BE&W, EMMANUELE CONTINI/NURPHOTO/GETTY IMAGES

eprasa.pl 2d9fcd4723

Iguanodon na miarę XXI w. Ilustracja Rogera Harrisa.

Bestie malowane

Świat zaczął wariować na punkcie dinozaurów dwa wieki temu. To szaleństwo było zasługą zarówno uczonych, jak i artystów. A może nawet bardziej tych drugich.

ANDRZEJ HOŁDYS

Początek dinomanii można, jeśli się uprzeć, wyznaczyć z dokładnością do jednego dnia. W sylwestra 1853 r. grupa uczonych i zaproszonych oficjeli zasiadła w południowym Londynie do nietypowej, choć bardzo uroczystej kolacji. Nie chodziło o serwowane potrawy, lecz o miejsce, w którym biesiadowano. Goście zasiedli bowiem przy stole ustawionym we wnętrzu... modelu iguanodona zrekonstruowanego w skali 1:1. Wydarzenie wzbudziło ogromne zainteresowanie prasy i gapiów – dokładnie o to chodziło jego inicjatorom.

Chcieli ściągnąć uwagę na siebie, ale jeszcze bardziej na kilkanaście sylwetek zwierząt składających się na pierwszą w historii wystawę modeli dinozaurów i innych prehistorycznych gadów. Wykonano je z metalowych prętów zalanych betonem.

Bankiet w iguanodonie urządzili Richard Owen i Benjamin Waterhouse Hawkins. Pierwszy był genialnym anatomem i paleontologiem. To on w 1842 r. opublikował dzieło opisujące historię gadów lądowych, zawierające słynne zdanie: „Mamy wystarczające dowody, aby wyróżnić odrębne plemię lub podrząd, któremu proponuję nadać nazwę *Dinosauria*". W przypisach wyjaśniał, że nowy termin utworzył z greckich słów: *deinos* – „straszliwy" i *sauros* – „jaszczur".

Kciuk na nosie

Owen został nie tylko ojcem dinozaurów, ale także ich admiratorem i w pewnym sensie mecenasem. Stanowiły dla niego fascynującą zagadkę. Początkowo próbował upchnąć je w znanych już grupach gadów, w końcu jednak uznał, że kości tych wymarłych stworzeń nie przypominają ani jaszczurek, ani krokodyli. Śmiało i przenikliwie dowodził, że dinozaury mogły chodzić na wyprostowanych kończynach i prawdopodobnie były stałocieplne.

Drugi organizator tej niebanalnej biesiady, Benjamin Waterhouse Hawkins, był rzeźbiarzem. To on dostał zlecenie na wykonanie rzeźb od organizatorów Wielkiej Wystawy Londyńskiej w 1851 r. Na jej potrzeby wybudowano słynny Pałac Kryształowy, który po zakończeniu wystawy przeniesiono w 1852 r. z Hyde Parku do południowego Londynu, tworząc wokół olbrzymiej konstrukcji park. Tam właśnie miały stanąć przedpotopowe stwory, których skamieniałe kości odnajdywano w coraz większych ilościach w Wielkiej Brytanii i Europie. U Hawkinsa zamówiono 33 modele reprezentujące 15 gatunków. Rzeźbiarz zobowiązał się wykonać je zgodnie z ówczesnym stanem wiedzy. Skontaktował się z Owenem, który został konsultantem naukowym wystawy. Uczony chciał pokazać oglądającym potęgę dawnych gadów, które – jak twierdził – w późniejszych epokach geologicznych skarlały i uległy degradacji. W jego przekonaniu był to solidny argument przeciwko doborowi naturalnemu, w który nie wierzył.

Wystawa była gotowa pod koniec 1853 r., a jej otwarcie zaplanowano na 1 stycznia

eprasa.pl 2d9fcd4723

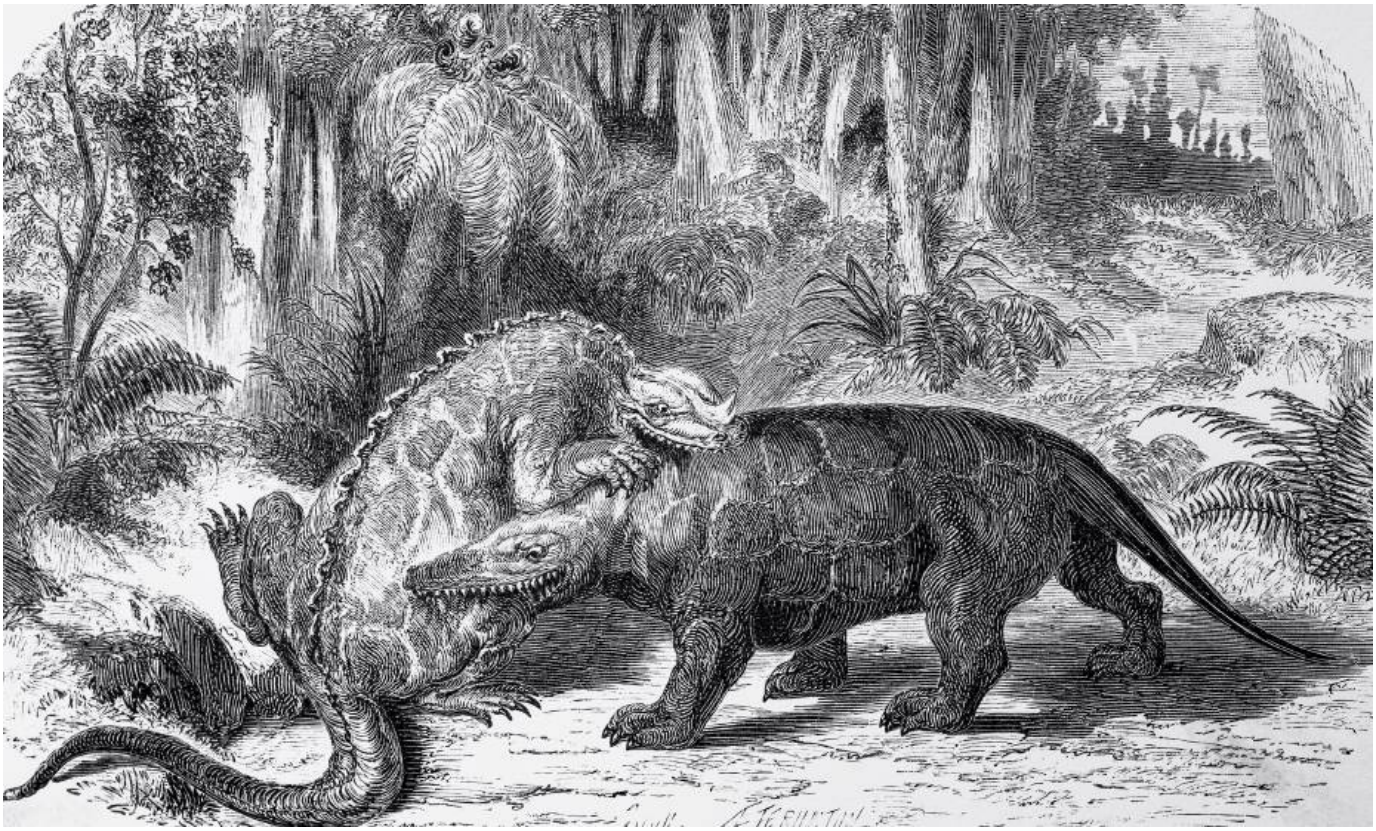

Iguanodon i megalozaur. Drzeworyt autorstwa francuskiego rysownika Édouarda Riou z książki „Świat przed potopem", wydanej w latach 60. XIX w.

1854 r. Dzień wcześniej Owen i Hawkins zorganizowali kolację w iguanodonie. Niestety nie było na niej odkrywcy tego dinozaura – Gideon Mantell zmarł rok wcześniej po przedawkowaniu opium, które zażywał, by łagodzić chroniczny ból spowodowany zaawansowaną skoliozą. Poza iguanodonem na wystawie znalazły się jeszcze dwa dinozaury: hileozaur, również odkryty i nazwany przez Mantella, oraz oczywiście megalozaur.

Właściwie to od niego należałoby zacząć tę krótką, składającą się z trzech pozycji listę dinozaurów opisanych do połowy XIX w. Megalozaur został bowiem odkryty i nazwany jako pierwszy. W 1824 r. przedstawił go światu William Buckland, kaznodzieja i profesor geologii Uniwersytetu Oksfordzkiego. Wziął zresztą udział w sławnej kolacji. Dobiegał już wtedy siedemdziesiątki. Siedząc w środku iguanodona, mógł przypatrywać się stojącemu obok 12-metrowemu megalozaurowi, który prezentował się na czterech nogach niczym olbrzymi, mocno przerośnięty krokodyl. Hawkins wyrzeźbił go w ten sposób, stosując się do zaleceń samego Bucklanda, przekonanego, że opisane przez niego zwierzę poruszało się na czterech kończynach i prowadziło ziemno-wodny tryb życia. Dopiero ćwierć wieku później zorientowano się, że megalozaur był drapieżnym dwunożnym teropodem, szybko poruszającym się na muskularnych tylnych kończynach zakończonych trójpalczastymi stopami z potężnymi szponami. Ten z południowego Londynu nadal jednak stoi na czterech łapach.

Również iguanodon przedstawiony został niezgodnie z obecną wiedzą. Ta ewoluowała wraz z odkrywaniem nowych okazów, ale zaczęło się od bardzo skromnego materiału, który znaleźli Mantell i jego żona Mary Ann, także zbieraczka skamieniałości. Było to kilka zębów, fragmenty kości udowej i zagadkowy „róg". Zęby były podobne kształtem i budową do zębów iguan z Nowego Świata, tylko kilkukrotnie większe. Uznano więc, że należały do pradawnego gada przypominającego olbrzymią iguanę sprawnie wspinającą się po drzewach, a także wyposażonego w dziwną narośl na nosie. Dopiero ćwierć wieku później, dzięki niezwykłemu odkryciu dokonanemu w 1878 r. w kopalni węgla w Belgii, gdzie natrafiono na doskonale zachowane szczątki kilkudziesięciu iguanodonów, okazało się, że ów „róg" był w rzeczywistości kciukiem zwierzęcia, ostrym niczym sztylet.

Złożone w całość szkielety belgijskich iguanodonów były pierwszymi w historii wystawionymi publicznie – do dziś można je oglądać w Muzeum Historii Naturalnej w Brukseli. Jednak nawet ta nowa wiedza nie uchroniła badaczy przed błędami. Przy okazji zmieniono bowiem postawę iguanodona, usadzając go na tylnych łapach niczym kangura podpierającego się długim ogonem. Pogląd ten przetrwał sto lat, nim po nowych badaniach i analizach przywrócono gadowi z mezozoiku pozycję czworonożną.

Kłopoty z liczeniem

Rzekoma narośl na nosie, która okazała się kciukiem zwierzęcia, zrobiła zawrotną karierę. Trafiła do podręczników, artykułów prasowych i filmów dokumentalnych jako sztandarowy przykład śmiesznych omyłek popełnianych przez wiktoriańskich uczonych. Było to o tyle niesprawiedliwe, że nawet sam Owen w swoich późniejszych pracach powątpiewał w istnienie iguanodona uzbrojonego w róg. W połowie XIX w. wiedza o dinozaurach i innych pradawnych stworach była jednak bardzo skromna. Ich odkrywanie dopiero się zaczynało, a nieliczne skamieniałości nie ułatwiały interpretacji. Jedyną rzetelną metodą było więc sięganie po analogie: powiększano jaszczurkę czy krokodyla do rozmiarów sugerowanych ▶

© ROGER HARRIS/SPL/EAST NEWS, BETTMANN ARCHIVE/GETTY IMAGES

eprasa.pl 2d9fcd4723

▶ przez odnalezione zęby i kości. Gdy znaleziono strukturę podobną do rogu, umieszczono ją na nosie iguanodona – bo zwierzę z rogiem na nosie już istniało (nosorożec). Takiego, które miałoby kolec zamiast kciuka, nie znano. Nikomu też nie przyszło do głowy, że dawne gady mogły mieć smukłą sylwetkę i biegać na tylnych kończynach. Poglądy zmieniały się wraz z odkrywaniem skamieniałości kolejnych stworzeń, które nie miały odpowiedników. A poza tym pionierzy nie zawsze się mylili – modele Hawkinsa mają prawidłowe rozmiary oraz ciała pokryte łuskami.

Kłopotliwe okazało się umieszczanie tych wczesnych rekonstrukcji we właściwych ramach czasowych. Zazwyczaj zakładano, przynajmniej początkowo, że wszystkie te stwory wymarły całkiem niedawno, a pojawiły się i znikły mniej więcej w tym samym czasie. Kiedy megalozaur i iguanodon stały się bohaterami prasy popularnej, z upodobaniem rysowano je w scenach krwawych pojedynków. Tak przedstawiał je m.in. francuski rysownik Édouard Riou, twórca ilustracji do wielu książek Juliusza Verne'a. W rzeczywistości megalozaur i iguanodon nigdy się nie spotkały – pierwszy żył ok. 40 mln lat przed drugim.

W XIX w. nie znano wieku Ziemi oraz metod datowania skamieniałości. Wielu wciąż wierzyło w wyliczenia XVII-wiecznego irlandzkiego abp. Jamesa Usshera, według którego świat został stworzony w październiku 4004 r. p.n.e. Nieliczni śmiałkowie przebąkiwali o dziesiątkach, a nawet setkach tysięcy lat. Dopiero Lord Kelvin wydłużył znacząco wiek Ziemi, uzyskując wynik 20–40 mln lat. Upierał się przy tej metryce aż do śmierci w 1907 r. Kilka lat później 21-letni wówczas Arthur Holmes zabrał do laboratorium w Imperial College w Londynie kawałek skały z Półwyspu Skandynawskiego i wykorzystując świeżo odkryte zjawisko promieniotwórczości, określił jej wiek na 1,6 mld lat.

Świat gadów

Czasami jednak te wczesne rekonstrukcje okazywały się nadzwyczaj precyzyjne. W 1830 r. geolog i paleontolog Henry De la Beche namalował akwarelę zatytułowaną „Duria Antiquor, a more ancient Dorset". Przedstawiała fragment południowego wybrzeża Anglii w zachodniej części hrabstwa Dorset, w pobliżu Lyme Regis, gdzie swoich wspaniałych odkryć paleontologicznych dokonywała Mary Anning. To ona wydobyła z nadmorskiego klifu niemal kompletne szkielety morskich gadów jurajskich: ichtiozaurów i plezjozaurów, a także pierwszy poza Niemcami doskonale zachowany szkielet latającego gada – pterozaura. Cała ta menażeria trafiła na obraz, który De la Beche stworzył, aby wesprzeć finansowo Anning, przyjaciółkę z dzieciństwa. Przekazywał jej dochody ze sprzedaży kopii swojego dzieła – pierwszej w historii rekonstrukcji pradawnego „świata gadów".

W 1830 r. geolog i paleontolog Henry De la Beche namalował słynną akwarelę „Duria Antiquor, a more ancient Dorset" przedstawiającą wizję dawnego życia u wybrzeży Anglii

Przyjrzyjmy się mu: małe ryby zjadają tu większe, które z kolei są pożerane przez ichtiozaury uzbrojone w długie rzędy zębów. Największy z nich rzuca się na innego drapieżcę – plezjozaura – chwytając jego długą szyję z zamiarem jej przegryzienia. Na dnie oceanu, pośród amonitów, belemnitów i liliowców, opadają jeden po drugim odchody przerażonej ofiary, które z czasem zmienią się w skamieniałości zwane koprolitami – je również odnajdywała Anning na plaży w Lyme Regis. Inny plezjozaur próbuje schwytać pterozaura szybującego nisko nad lustrem wody, kolejny zasadza się na przodka krokodyla odpoczywającego na brzegu. Pod wodą, w powietrzu i na lądzie trwa nieustanna walka o przetrwanie. Palmy i sukulenty świadczą o tym, że znajdujemy się w tropikach lub w ich pobliżu.

Dzieło, które stworzył De la Beche, cieszyło się olbrzymią popularnością. Wykorzystywano je do celów edukacyjnych. Buckland posługiwał się nim podczas wykładów w Oksfordzie, korzystali z niego uczeni z Niemiec i Francji, drukowano je w podręcznikach i encyklopediach, malowano wzorowane na nim obrazy olejne. Główny powód tej popularności był prosty: skamieniałości zwierząt przedstawionych na akwareli pochodziły z tej samej serii warstw skalnych – a zatem wszystko to mogło się rzeczywiście wydarzyć. Jak dawno temu? De la Beche nie znał odpowiedzi na to pytanie, my jednak dzięki datowaniom wiemy, że „Duria Antiquor" przedstawia świat sprzed ok. 190 mln lat. Co ciekawe, dwa lata temu paleontolodzy niespodziewanie opisali dwie czaszki z fragmentami szyi należące do morskich długoszyich gadów żyjących przed 240 mln lat (nie były to zatem plezjozaury). Analiza wykazała, że obie głowy zostały odgryzione przez drapieżniki.

Gwiazdy kina

De la Beche wykazał się dobrą intuicją – jako paleontolog i jako artysta. Okazał się również, o czym oczywiście nie miał najmniejszego pojęcia, pionierem „paleoartu". Tak pod koniec XX w. nazwano sztukę rekonstruowania – za pomocą ilustracji, obrazów, rzeźb, instalacji i animacji – wymarłych gatunków na podstawie ich skamieniałości. To właśnie dzięki niej tak wiele osób interesuje się dziś losami gatunków, które zamieszkiwały Ziemię w dawnych epokach geologicznych. Same

© AMERICAN MUSEUM OF NATURAL HISTORY, NATIONAL MUSEUM CARDIFF

eprasa.pl 2d9fcd4723

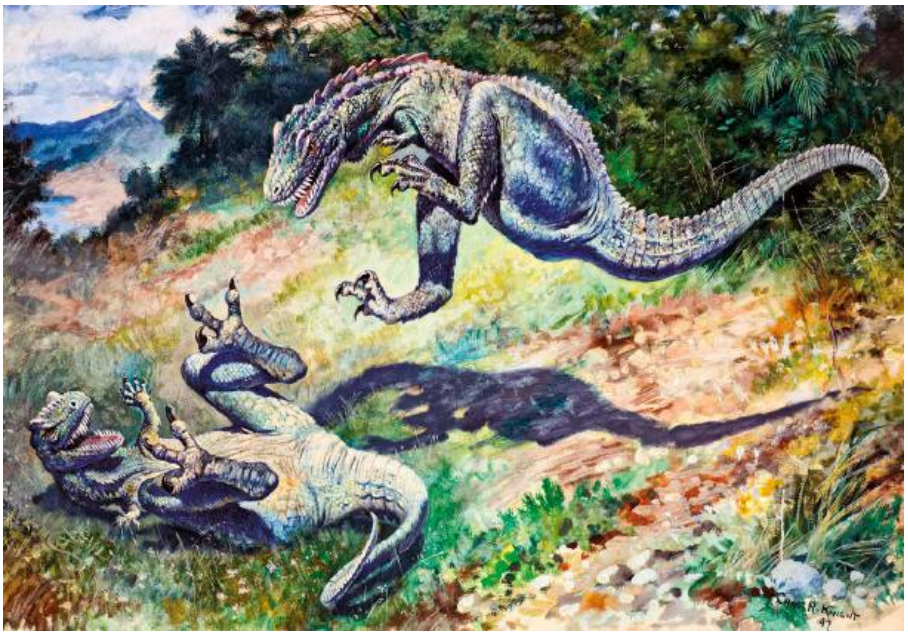

Walka dryptozaurów, autorstwa Charlesa Knighta. Był chyba największym w historii rysownikiem zajmującym się przedstawianiem dinozaurów.

znaleziska ekscytują przede wszystkim ekspertów – niewielu z nas zna się na detalach anatomii i potrafi docenić znaczenie kawałka kości wydobytej ze skały, a potem przechowywanej w muzealnej szufladzie lub gablocie. Natomiast nie od dziś wiadomo, że jeden obraz wart jest dziesięciu tysięcy słów.

Wiedział o tym doskonale chyba największy w historii rysownik zajmujący się przedstawianiem dinozaurów Charles Knight, aktywny w pierwszej połowie XX w. W swoim czasie jego obrazy nie miały na świecie większej konkurencji. Namalował wspaniałe freski w najlepszych amerykańskich muzeach historii naturalnej. Jego eleganckie, pełne życia, anatomicznie poprawne i niezwykle sugestywne ilustracje wypełniały niezliczone książki i czasopisma. Były tak przekonujące, że nawet naukowcy czasami zapominali, że to jedynie wizja artystyczna, i nieświadomie podążali za nią, chcąc potwierdzić ją swoimi badaniami. Patrzyli na kości, ale widzieli obrazy Knighta.

Urzekł on także wczesnych entuzjastów kina. Pod jego wpływem w 1925 r. nakręcono „Zaginiony świat", ekranizację słynnej powieści Arthura Conana Doyle'a, której bohaterowie docierają na izolowany płaskowyż w Ameryce Południowej zamieszkany przez dinozaury (twórca Sherlocka Holmesa był nimi zafascynowany). To pierwszy pełnometrażowy film, wraz z którym wielkie mezozoiczne gady wkroczyły do kina – i pozostały w nim na kolejne sto lat. Autorem pionierskich animacji, w tym słynnego brontozaura demolującego Tower Bridge, był Willis O'Brien, który parę lat później stworzył postać King Konga.

Sceny z olbrzymami

Paleontolodzy robili swoje – i chwała im za to – ale to artyści tacy jak Knight czy O'Brien sprawili, że dinozaury stały się bohaterami masowej wyobraźni i zafascynowały szczególnie młodych widzów. Niektórych tak bardzo, że postanowili poświęcić życie badaniu pradawnych stworów. Wspaniała kariera naukowa Roba Bakkera, jednego z najwybitniejszych współczesnych „dinozaurologów", zaczęła się od przeczytania w wieku ośmiu lat artykułu w magazynie „Life". Kto był autorem ilustracji? Oczywiście Knight. Jednakże wiele lat później to właśnie Bakker oraz jego mentor John Ostrom dokonali przełomu w poglądach i wyobrażeniach na temat zachowań dinozaurów: masywne, niezdarne, powolne i mało bystre stwory zostały zastąpione zwierzętami zręcznymi, ruchliwymi, całkiem inteligentnymi, a także – jak dowodzili uczeni – stałocieplnymi. Lawina nowych idei i wywołany przez nie ferment nazwany „renesansem dinozaurów" przetoczyła się też paleosztukę.

Zaczął sam Bakker. W 1969 r. w monografii Ostroma poświęconej deinonychowi zamieścił wspaniały rysunek tego drapieżnego teropoda. Zwinne trzymetrowe zwierzę pędziło pochylone do przodu – smukłe i dynamiczne, podczas biegu przypominało sylwetką Strusia Pędziwiatra. Tak, ten rozpędzony deinonych miał wiele wspólnego z ptakami. Tyranozaury rysowane przez Bakkera galopowały przez lasy, przyjmując pozycję horyzontalną, a olbrzymie zauropody unosiły się zgrabnie na tylnych kończynach, by zrywać liście z koron drzew. Dinozaury na ilustracjach nowego pokolenia paleoartystów, takich jak Doug Henderson czy Gregory Paul, towarzysz Bakkera w wielu ekspedycjach, stały się wprawnymi biegaczami, skoczkami i pływakami. Brontozaury na rysunkach Marka Halletta maszerowały przez podmokłą nadrzeczną równinę z lekkością, gracją i wdziękiem. Dzięki coraz dokładniejszym badaniom środowiska naturalnego sceny z olbrzymami zapełniają się innymi typami zwierząt, niekoniecznie kręgowcami, i osadzane są na tle coraz precyzyjniej odtwarzanej roślinności oraz krajobrazu. De la Beche potrafił o to zadbać już dwa wieki temu, ale później, w czasach Knighta, dinozaury zdominowały scenerię, jakby mezozoiczna przyroda składała się wyłącznie z nich.

Jeszcze mocniej przemawiają do wyobraźni współczesne rekonstrukcje trójwymiarowe – z miękkimi tkankami, detalami anatomicznymi, właściwym ubarwieniem i strukturą skóry, a także z futrem i piórami. Najbardziej emocjonująco jest jednak wtedy, gdy stwory, zrekonstruowane zgodnie z najnowszą wiedzą naukową, ożywają na filmach. Dziś naukowcy wiedzą o nich znacznie więcej niż podczas sylwestrowej kolacji w 1853 r. zorganizowanej przez Hawkinsa i Owena. Ówczesna prasa relacjonowała, że kiedy wybiła północ, zacne towarzystwo zgromadzone we wnętrzu iguanodona odśpiewało piosenkę skomponowaną na tę okazję przez przyrodnika i geografa Edwarda Forbesa. Jej refren, zakończony donośnym, chóralnym rykiem, brzmiał: „Stara bestia nie umarła, znów jest z nami pełna życia". Podobno Robert Bakker podśpiewywał sobie tę frazę, wychodząc z kina po obejrzeniu drugiej części „Parku Jurajskiego", w której został sportretowany jako paleontolog Robert Burke. Ten sam, którym w filmie posila się T. rex.

ANDRZEJ HOŁDYS

eprasa.pl 2d9fcd4723

Eugeniusz Kwiatkowski (w środku) **podczas obchodów Święta Morza w Gdyni, 31 lipca 1932 r.** Poniżej: **plakat autorstwa Stefana Norblina z lat 30. XX w.**

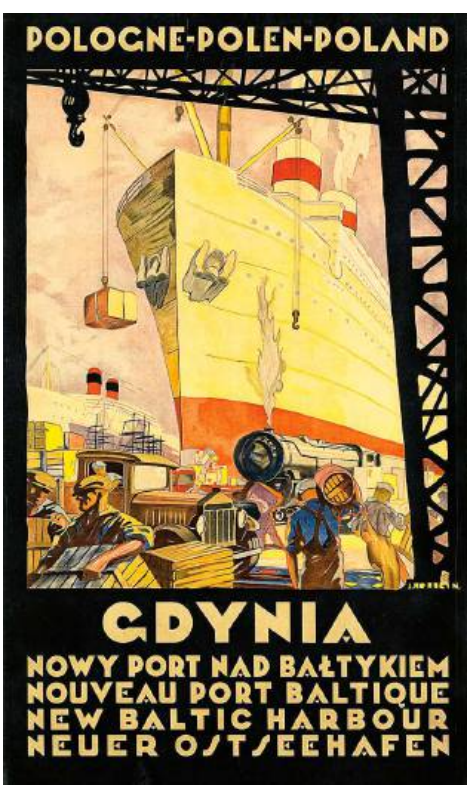

Cud nad Zatoką

ALEKSANDRA BOĆKOWSKA

Rok 2026 został ogłoszony przez Senat RP Rokiem Gdyni. Okazją jest stulecie nadania nadmorskiej wiosce praw miejskich. Przedstawiamy sześć najciekawszych odsłon historii miasta.

eprasa.pl 2d9fcd4723

Od lewej: **zdjęcie lotnicze Gdyni z 1925 r. Adolf Hitler wizytuje Gotenhafen, 20 września 1939 r.**

10 lutego 1926 r. Nadanie praw miejskich

O to, by Gdynia stała się miastem, wójt Jan Radtke zabiegał od 1922 r., kiedy to Sejm zdecydował o budowie portu handlowego obok – już powstającego – portu wojennego. Wobec braku reakcji w 1925 r. radni samowolnie podjęli uchwałę o przyjęciu ustroju miejskiego. To przyspieszyło działania i w szóstą rocznicę zaślubin Polski z morzem Rada Ministrów przyznała Gdyni status miasta.

Powstawało w cieniu portu, który miał strategiczne dla odrodzonej Polski znaczenie: dawał szansę na uniezależnienie się od Gdańska, gdzie coraz śmielej dominowali Niemcy. Planując budowę portu, państwo wykupiło grunty od dotychczasowych właścicieli. Na to, by wykupić je dla miasta, nie starczyło już albo pieniędzy, albo wyobraźni. To sprawiło, że trudno było zrealizować np. plan urbanistyczny nakreślony w Warszawie przez architektów Adama Kuncewicza i Romana Felińskiego związanych z Ministerstwem Robót Publicznych. Perypetie te barwnie opisał Grzegorz Piątek w książce „Gdynia obiecana": „Okazało się, że próby zapanowania nad żywiołem naruszają zbyt wiele interesów. (...) Adam Kuncewicz skarżył się, że rada miejska »zmniejszała szerokość i zmieniała kierunki arterii komunikacyjnych, kierując się względami gospodarczemi, interesami poszczególnych radnych, ich krewnych i przyjaciół«. (...) Państwowe instytucje zachowywały się jednak tak samo i najczęściej nie widziały dalej niż interes każdej z osobna".

Słowem, Gdynia rozwijała się szybko, ale chaotycznie. Planowano, brukowano, budowano, a na to wszystko z całego kraju ściągali ludzie w poszukiwaniu pracy i mieszkania. Z pracą było różnie, z mieszkaniami – fatalnie. Na peryferiach powstawały osiedla złożone z baraków, a w śródmieściu stawiano kamienice, które dziś są zabytkami modernizmu. Elita osiedlała się w willach na Kamiennej Górze i brylowała w kawiarniach przy Świętojańskiej, robotnicy stali w kolejkach po pracę. Port już w 1933 r. prześcignął Gdańsk w wartości przeładunku.

Niezależnie od kłopotów budowa Gdyni zyskała w II Rzeczpospolitej ogromne znaczenie symboliczne. „Gdynia stanowi wyjątkowo wielki i ważny symbol programu nowej, odrodzonej Polski – pisał w 1936 r. jeden z autorów przedsięwzięcia, wówczas wicepremier Eugeniusz Kwiatkowski. – Jednakże (...) istota znaczenia Gdyni leży w czem innem. Jest ona bowiem symbolem buntu, który zrodził się świadomie w psychice całego narodu i społeczeństwa polskiego i który jest reakcją przeciwko wiekowej eksploatacji Polski przez obce elementy i siły, eksploatacji, która systematycznie spychała nas w Europie do rzędu elementu wyzyskiwanego i niesamodzielnego. (...) Nic bardziej jak Gdynia i konsekwentna polityka morska, nie nauczyła nas rozumieć, że tak długo nie podźwigniemy własnego społeczeństwa z dna nędzy, nie oderwiemy się od roli parjasów, jak długo nie zdobędziemy się na takie samo uzbrojenie ekonomiczne, jakie zdobyły systematyczną i programową pracą inne, wielkie i cywilizowane narody Europy" (pis. oryg.).

20 września 1939 r. Hitler wizytuje Gotenhafen

Walki o Gdynię trwały od 8 do 13 września. Niespełna 15 tys. dowodzonych przez płk. Stanisława Dąbka żołnierzy Lądowej Obrony Wybrzeża miało przeciw sobie 40 tys. żołnierzy niemieckich. 14 września władzę w mieście przejął generał Friedrich Eberhardt. Polskie oddziały wycofały się na Kępę Oksywską, gdzie walki trwały jeszcze do 19 września. Tego dnia, w obliczu klęski, płk Dąbek popełnił samobójstwo.

Adolf Hitler wydał dekret o zmianie nazwy miasta na Gotenhafen (Port Gotów) i wcieleniu do Rzeszy, a 20 września osobiście dokonał tu przeglądu wojsk. Gotenhafen miało stać się bazą Kriegsmarine, niemieckiej marynarki wojennej. Germanizacji miasta towarzyszyły brutalne wysiedlenia Polaków i próby wyeliminowania inteligencji. Wielu wywieziono do obozu Stutthof, w wyniku akcji Intelligenzaktion 11 listopada 1939 r. w Lasach Piaśnickich rozstrzelano 314 osób zasłużonych w działalności społecznej i politycznej, a także nauczycieli, księży, kupców. Według różnych źródeł z miasta wysiedlono 70–80 tys. osób.

W 1945 r. wycofujący się Niemcy zniszczyli port, ale miasto wyszło z wojny praktycznie bez szwanku. To zasługa akcji wywiadowczej B-2 przeprowadzonej przez Tajny Hufiec Harcerzy. Młodzi ludzie pod kierunkiem por. Joachima Joachimczyka opracowali mapy umocnień i stanowisk artyleryjskich szykowanych przez Niemców, po czym przekazali je stacjonującym 100 km od Gdyni Rosjanom. Żołnierze Armii Czerwonej wkroczyli na Świętojańską 28 marca 1945 r.

Grudzień 1948 r. Eugeniusz Kwiatkowski dostaje nakaz opuszczenia Wybrzeża

Po wojnie Eugeniusz Kwiatkowski, namówiony przez Jerzego Borejszę, został delegatem rządu dla spraw Wybrzeża. Trzeba było odbudować porty (już nie tylko gdyński, ale też w Gdańsku i miastach, które znalazły się w polskich granicach: Szczecinie, Kołobrzegu, Świnoujściu) i związany z nimi przemysł. Sanacyjny wicepremier, próbując odnaleźć się w nowej rzeczywistości ▶

© ALAMY/BE&W, NAC (2), ULLSTEIN BILD/FORUM

eprasa.pl 2d9fcd4723

Robotnicy Stoczni Gdyńskiej niosą ciało Zbigniewa Godlewskiego zastrzelonego przy stacji kolejki Gdynia Stocznia,17 grudnia1970 r. Edward Gierek, I sekretarz KC PZPR, dekoruje sztandar Gdyni Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski, 20 czerwca1976 r.

▶ popierał PPS, został nawet posłem na Sejm z list tego ugrupowania. To nie wystarczyło: najpierw w styczniu 1948 r. zlikwidowano Delegaturę, a w grudniu Kwiatkowski dostał nakaz opuszczenia Wybrzeża. To był czas, gdy w wyniku zjednoczenia PPR i PPS powstała Polska Zjednoczona Partia Robotnicza i wkrótce zaostrzono stalinizm.

Gdynia, tak hołubiona w II RP, w Polsce Ludowej stała się podejrzana. Aresztowano lub zwalniano z pracy oficerów Marynarki Wojennej – miało to, jak pisze historyk Czesław Ciesielski – kształtować atmosferę wrogości wobec oficerów wywodzących się z II RP. W latach 1949–54 zwolniono ze służby 155 oficerów, części nakazano opuszczenie Wybrzeża. W lipcu1952 r. zapadł wyrok w sfingowanym procesie komandorów: pięciu skazano na karę śmierci, dwóch na dożywotnie więzienie.

W tamtych latach forsowano pomysł przyłączenia Gdyni do Gdańska. Gorącym orędownikiem tego rozwiązania był wojewoda gdański Stanisław Zrałek. „Powstała ona w warunkach kapitalistycznych i kształtowali ją kapitaliści. Słusznie nazywamy powstanie Gdyni prawdziwie »amerykańskim wyczynem«. Nie chodzi tylko o tempo budowy. (...) »Amerykanizm« Gdyni widzimy nie tylko w zepchnięciu właściwych jej budowniczych – klasy robotniczej do »Pekinu«, ale i w ciemnych machinacjach jej rzekomych twórców rozpoczynających dzieło tworzenia od dzikiego handlu placami, później budynkami, a wreszcie bogacących się na strumieniu przepływających przez port towarów" – tłumaczył w marcu 1949 r. na łamach „Głosu Wybrzeża". Tym samym nadał nowy ton opowieści o budowie Gdyni.

Represje wobec oficerów, wywłaszczanie z ziemi właścicieli i odebranie prestiżu – poprzez przeniesienie do odbudowywanego wojewódzkiego Gdańska prawie wszystkich istotnych instytucji – to wszystko wywołało efekt odwrotny, niż zamierzała władza: utrwaliło w Gdynianach poczucie wyjątkowości.

19 czerwca 1976 r. Gdynia obchodzi 50. urodziny

Zakłócam chronologię na rzecz logiki, bo w latach 70. – najpierw przy okazji 50. rocznicy decyzji o budowie portu, a potem nadania praw miejskich – Gdynia odzyskała znaczenie. W opowieści o budowie wciąż koncentrowano się na nierównościach społecznych, ale w 1972 r. Edward Gierek przypomniał publicznie Eugeniusza Kwiatkowskiego i uhonorował go Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski z Gwiazdą. Kulminacją obchodów półwiecza były czerwcowe Dni Morza. Gierek przemawiał do tłumu: „Historia waszego miasta, osobiste losy ludzi, którzy zapoczątkowali tu rozwój polskiej gospodarki morskiej, jest widomym dowodem wielkich możliwości twórczych naszego narodu. Mieszkańcy Gdyni mają uzasadniony powód do dumy".

Gdynia była wówczas prężnym 225-tysięcznym miastem. Budowę śródmieścia dokończono, nie burząc przedwojennego zamysłu urbanistycznego. Gdzie tylko znalazło się miejsce, stawiano bloki, a i tak trudno było nadążyć za potrzebami. Przybywało ludzi chętnych do pracy w porcie, w stoczni, a przede wszystkim na morzu. Polskie Linie Oceaniczne zatrudniały 10 tys. osób i dysponowały 176 statkami, które po całym świecie rozwoziły towary. Marynarze korzystali z tych podróży – przemycali wszystko, czego brakowało w PRL: kawę, majtki, płyty, non irony, ortaliony, dżinsy, meble, cytrusy, przyprawy, peruki. Na lądzie wstawiali to do komisów albo na Halę Targową, a cały ten system sprawiał, że Gdynia rosła w siłę, a Gdynianom żyło się dostatniej.

Uczyli się kapitalizmu na własną rękę, zanim to było dozwolone. Miło byłoby sądzić, że stąd wzięła się słabość Edwarda Gierka, któremu imponował dobrobyt. Bardziej prawdopodobne jednak, że drobnymi gestami próbował zatrzeć ślady zbrodni, która kilka lat wcześniej wyniosła go do władzy.

17 grudnia 1970. Na ulicach Gdyni wojsko zabija 18 osób

Zaczęło się w Gdańsku – 14 grudnia w proteście przeciw kilkunastoprocentowym podwyżkom cen żywności zastrajkowali stoczniowcy. Wyszli na ulice, nazajutrz podpalili gmach Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Na wieść o zamieszkach w Gdańsku strajk rozpoczęli pracownicy gdyńskiej Stoczni im. Komuny Paryskiej. W pokojowej atmosferze przeszli pod Prezydium Miejskiej Rady Narodowej (Urząd Miasta). Przewodniczący Prezydium Jan Mariański uznał legalność strajku i podpisał z przedstawicielami stoczni, portu i Dalmoru protokół porozumiewawczy. Jeszcze tej samej nocy konstytuujący się komitet strajkowy został rozbity przez milicję – uczestnicy pobici i aresztowani. 16 grudnia wieczorem wicepremier Stanisław Kociołek, do niedawna szef partyjnych struktur w Gdańsku, w lokalnej telewizji nawoływał do powrotu do pracy. Wtedy już wojsko – na polecenie Zenona Kliszki, najbliższego współpracownika Władysława Gomułki – blokowało stocznię. Również na polecenie Kliszki nie wstrzymano ruchu pociągów z Gdańska i Wejherowa do Gdyni.

eprasa.pl 2d9fcd4723

Odsłonięcie pomnika Józefa Conrada Korzeniowskiego podczas obchodów 50-lecia Gdyni, 19 czerwca1976 r. Prezydent miasta Wojciech Szczurek podczas wypłynięcia „Daru Młodzieży" w Rejs Niepodległości, 20 maja 2018 r. Poniżej: **moneta na 100-lecie portu Gdynia.**

17 grudnia rano przywiozły one na przystanek SKM Gdynia Stocznia setki robotników. Wyjście ze stacji blokowali milicjanci, za wiaduktem czekało wojsko. Około szóstej rano padł wystrzał z czołgu, chwilę potem z karabinów strzelali żołnierze. W bruk, ale rykoszety raniły kilkadziesiąt osób, 11 śmiertelnie. Robotnicy ruszyli do śródmieścia. Do historii przeszedł pochód, w którym na drzwiach niesiono ciało Zbigniewa Godlewskiego. Demonstracji było więcej, przed Prezydium rozegrały się kolejne akty dramatu. Nad miastem latały wojskowe helikoptery zrzucające petardy i gaz łzawiący. Zamieszki trwały do wczesnego popołudnia. Zginęło siedmiu młodych mężczyzn, w tym dwóch piętnastolatków, którzy znaleźli się w okolicy przypadkowo. Najstarszy z zabitych, Brunon Drywa, którego historia stała się kanwą filmu „Czarny czwartek" (reż. Antoni Krauze), miał 34 lata. Rannych liczono w tysiącach. Przeciwko kilkunastu tysiącom Gdynian skierowano tego dnia ponad 6 tys. uzbrojonych żołnierzy i milicjantów.

Historyk Marcin Zaremba w książce „Wielkie rozczarowanie. Geneza rewolucji Solidarności" napisał: „Na pytanie, kiedy zaczęły się letnie strajki 1980 roku, powinno się odpowiedzieć przekornie, że zimą 1970 roku". Dzięki tamtej odwilży odbyły się zarówno w Gdańsku, jak i w Gdyni rocznicowe uroczystości, stanęły pomniki ofiar Grudnia, a rodziny poszkodowanych mogły wreszcie mówić o tym, co się stało. W Gdyni ich wspomnienia zbierała, na zlecenie sekcji historycznej przy MKZ NSZZ „S", dziennikarka Wiesława Kwiatkowska. Została za to w stanie wojennym skazana przez Sąd Marynarki Wojennej na pięć lat pozbawienia wolności (Sąd Najwyższy złagodził wyrok do 1,5 roku, a w lipcu 1983 r. zwolniono ją na mocy amnestii). Po latach z goryczą powtarzała, że była jedyną osobą ukaraną więzieniem za Grudzień.

W 1980 r. przywódcą strajku w gdyńskiej Stoczni został zupełnie tutaj nowy Andrzej Kołodziej. Po roku sprzeciwił się Lechowi Wałęsie, zrezygnował z funkcji w Solidarności, a w 1984 r. zakładał trójmiejski oddział Solidarności Walczącej. Czołowym gdyńskim opozycjonistom najpierw bliżej było do Andrzeja Gwiazdy niż Lecha Wałęsy, potem zwrócili się ku Kornelowi Morawieckiemu.

21 listopada 2010 r. Wojciech Szczurek w wyborach na prezydenta miasta zdobywa 87,4 proc. głosów

Przed wyborami do Sejmu 4 czerwca 1989 r. w Gdyni – jak wszędzie – powstał Komitet Obywatelski „S". Jego przewodniczącą została związana z Wyższą Szkołą Morską Franciszka Cegielska. Gdy po wyborach Komisja Krajowa NSZZ „S" zdecydowała o rozwiązaniu komitetów obywatelskich, oni nie posłuchali. Szykowali się już bowiem do wyborów samorządowych.

27 maja 1990 r. Gdyński Komitet Obywatelski wygrał wolne wybory samorządowe bezdyskusyjnie, a Franciszka Cegielska została prezydentką. Rządziła miastem przez siedem lat (potem została ministrą zdrowia w rządzie Jerzego Buzka). Gdynia uchodziła za modelowy przykład udanej transformacji: pojawili się zagraniczni inwestorzy, polscy się bogacili, a Gdynianie w sondażach chwalili miasto i swoją sytuację. W 2000 r. w pogrzebie Cegielskiej uczestniczyło 10 tys. ludzi.

Wtedy już prezydentem był wskazany przez nią prawnik Wojciech Szczurek. Za jego rządów Gdynia wybiegła ku nowoczesności. Dotacje z UE pozyskiwano, zanim jeszcze Polska do niej przystąpiła. Dostrzeżono przyszłość w inwestycjach w technologie, w lot chwytano zagraniczne pojęcia, takie jak zrównoważony rozwój czy organizacje pozarządowe. Gdynia miała doskonały wizerunek, wygrywała rankingi najszczęśliwszych miast w Polsce, a prezydent – kolejne wybory. W 2010 r., startując na czwartą kadencję, zdobył 87,4 proc. głosów. Takiego wyniku już nigdy powtórzył, ale jeszcze długo nie miał konkurencji. Nawet gdy mieszkańcy zaczęli narzekać na arogancję władzy, dziennikarze krytykować nietrafione inwestycje, aktywiści zarzucać zbyt dużą przychylność dla deweloperów, wydawało się oczywiste, że Wojciech Szczurek wprowadzi Gdynię w jej drugie stulecie. On był tego tak pewien, że wiosną 2024 r. w kampanii wyborczej wystąpił na plakatach z hasłem „Razem na 100-lecie Gdyni".

Po 26 latach (to więcej niż jedna czwarta historii miasta!) nie wszedł do drugiej tury, w pierwszej zdobywając 23,5 proc. głosów. W drugie stulecie wprowadzi Gdynię Aleksandra Kosiorek.

ALEKSANDRA BOĆKOWSKA
Autorka książki „Gdynia. Pierwsza w Polsce"

© EDMUND PEPLIŃSKI/FORUM, ZBIGNIEW KOSYCARZ/KFP (2), KAROL MAKURAT/REPORTER, MUZEUM NARODOWE WE WROCŁAWIU

eprasa.pl 2d9fcd4723

Porządki w literach

Od 2026 r. będziemy pisać po polsku inaczej – Rada Języka Polskiego wprowadza nowe zasady. Przypominamy poprzednią rewolucję ortograficzną sprzed 90 lat, która wywołała wtedy burzę.

MAREK ŁAZIŃSKI

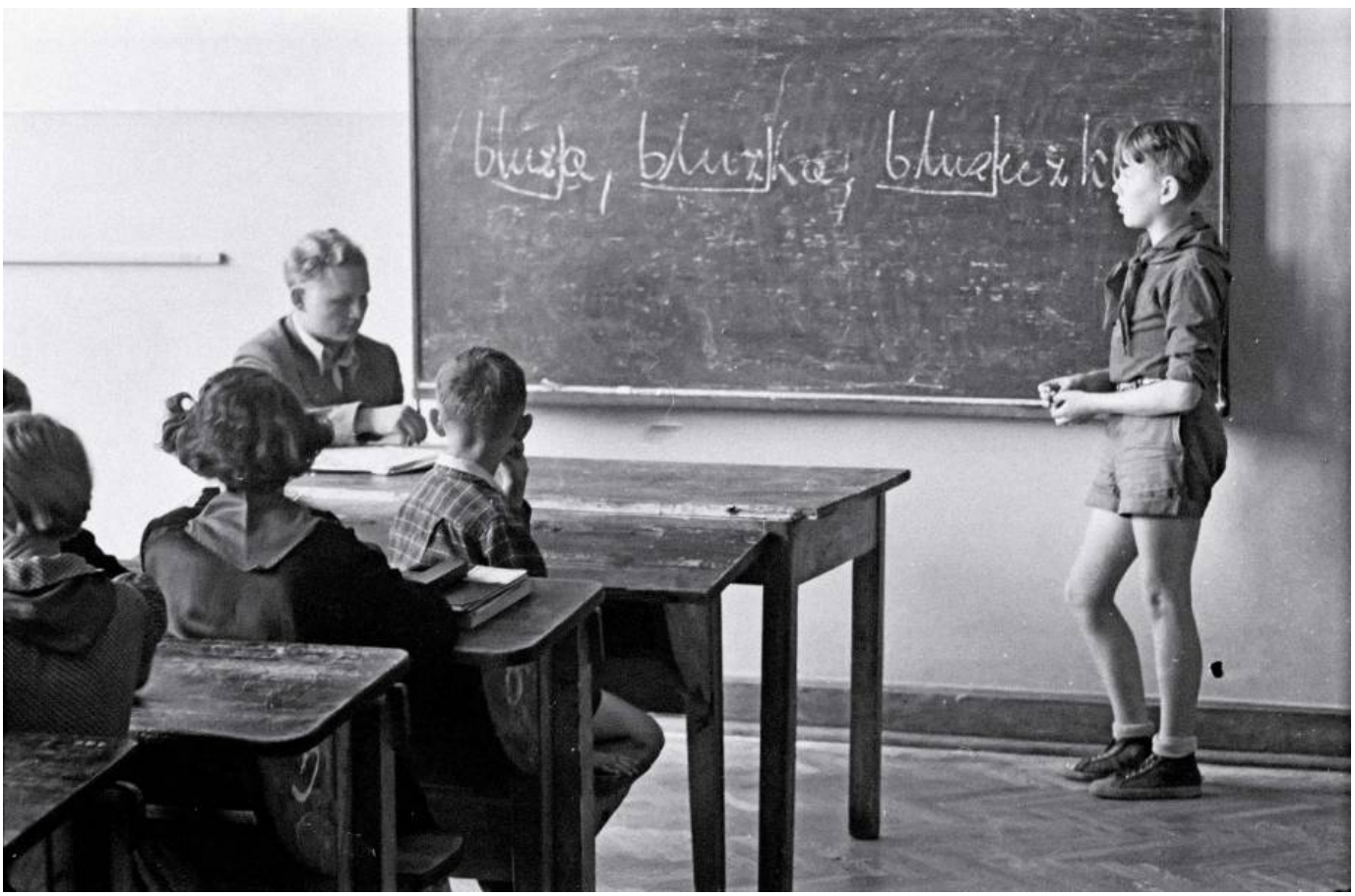

Lekcja w warszawskiej szkole podstawowej, 1956 r.

Najważniejsze zmiany od stycznia 2026 r. dotyczą wielkich liter oraz pisowni łącznej i rozłącznej. Będziemy zapisywać wielkimi literami nie tylko nazwy narodowości, ale też mieszkańców miast, np. Krakowianin, nie tylko nazwy firm, lecz także produktów, np. przyjechał szarym Oplem. Wszystkie zmiany i nowe zasady znajdziemy na stronie Rady Języka Polskiego (rjp.pan.pl). W pracy nad nową pisownią nie obyło się bez poślizgów i kontrowersji, w ciągu dwóch lat pojawiło się kilka wersji nowych reguł. Dyskusje, także głosy krytyczne, można prześledzić w „Poradniku Językowym", „Pracach Językoznawczych" i „Języku Polskim". Najważniejsze, że nowe zasady są prostsze niż obecne, choć oczywiście trzeba się będzie do nich przyzwyczaić.

Dyskusje o polskiej pisowni są tak stare jak ona sama. Niełatwo było zapisywać alfabetem łacińskim nieznane w łacinie dźwięki. System dwuznaków i diakrytów (znaków nad i pod literami) utrwalił się ostatecznie w XVI w., ale o literę J spierali się jeszcze w XIX w. uczeni i pisarze tej miary co Joachim Lelewel (był za jotą) i Jędrzej Śniadecki (był przeciw).

Najważniejsze regulacje pisowni – zwane niegdyś prawopisem – ustalała od końca XIX w. Polska Akademia Umiejętności (PAU). Inaczej jednak pisano w Galicji np. *módz, zjadłszy, gieometrja*, a inaczej w Królestwie: *móc, zjadszy, geometrya*. W 1918 r. przyjęto w końcu kompromisowe zasady: *móc, zjadłszy, gieometrja*, ale ludzie nadal pisali, jak chcieli. I nie chodzi tu o performerskie rewolucje Brunona Jasieńskiego i futurystów („Nuż w bżuhu"), bo nigdy nie były to propozycje poważne

© WŁADYSŁAW SŁAWNY/FORUM, POLONA (2)

eprasa.pl 2d9fcd4723

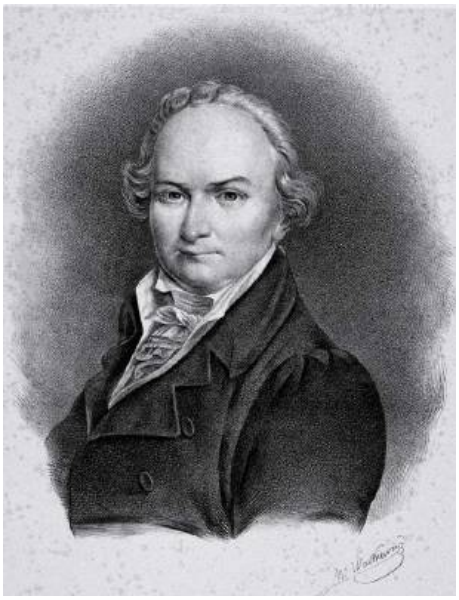

Joachim Lelewel (u góry) **spierał się o literę J z Jędrzejem Śniadeckim** (u dołu)

ani konsekwentne. W języku publicznym kością niezgody były znów jota, I oraz Y.

Marian Dąbrowski, przedwojenny magnat prasowy, założyciel i redaktor krakowskiego „Ilustrowanego Kuriera Codziennego" (w oryginalnym tytule: Kuryera) był w swej gazecie Maryanem, bo tak pisano w Galicji. Dopiero w 1925 r. stał się Marjanem, nigdy nie został Marianem, choć tak nakazywała reforma pisowni z roku 1936. Dąbrowski zmarł w USA w 1958 r., a w 1991 r. jego prochy przeniesiono do Krakowa. Na tablicy nagrobnej widnieje *Marjan* przez J i *Kuryer* przez Y. Językoznawca Jan Tokarski urodzony jeszcze w 1909 r. pisał w „Traktacie o polskiej ortografii" w 1978 r.: „Niedługo po elementarzu uczono mnie pisać »waryat«, już w szkole średniej »warjat«, natomiast innych ja sam uczyłem pisowni »wariat«".

Rewolucję ortograficzną przyniósł rok 1936. Ówczesna reforma wywołała burzę, która mówi coś nie tylko o dziejach języka. W celu uporządkowania pisowni Polska Akademia Umiejętności powołała w 1934 r. Komitet Ortograficzny złożony z 29 językoznawców, filologów, pisarzy, dziennikarzy, nauczycieli, przedstawicieli nauk technicznych i różnych wydziałów PAU. Przewodniczącymi byli językoznawcy: Jan Rozwadowski, a po jego śmierci Kazimierz Nitsch. W komitecie znalazły się tuzy polskiej kultury, m.in. Tadeusz Boy-Żeleński i Karol Irzykowski.

Na posiedzeniach omawiano pomysły nawet tak ekstremalne jak likwidacja *ch, ó, rz* (najbardziej radykalnych reform domagał się Związek Nauczycieli Ludowych). Ostateczne ustalenia opublikowano pod tytułem „Pisownia polska – przepisy plus słowniczek" w 1936 r.

Wprowadzono m.in. pisownię I po spółgłoskach w wyrazach zapożyczonych – awaria, ale z wyjątkami po S/Z – misja (żeby nikt nie wymawiał: misia). Po G/K wprowadzono bezpośrednio E w wyrazach obcych – geografia, ale IE w wyrazach rodzimych i dobrze przyswojonych – cegielnia. Najważniejszą zmianą, nie tylko ortograficzną, lecz także gramatyczną, było ujednolicenie końcówek -ym/-im miejscownika i narzędnika rodzaju męskiego liczby pojedynczej oraz końcówek -ymi/-imi narzędnika liczby mnogiej. Wcześniej, od czasów Onufrego Kopczyńskiego, końcówki -em, -emi odróżniały rodzaj nijaki (w dużem mieście i z dużem miastem) od męskiego (z dużym domem, o dużym domu). Ale według niektórych gramatyków (jak Antoni Kryński) miały odróżniać miejscownik od narzędnika obu rodzajów (w dużem mieście i w dużem domu) od narzędnika (dużym miastem, dużym domem).

Zasady pisowni z 1936 r. prawie się nie różnią od dzisiejszych (obowiązujących do końca 2025 r.). Ale przed 90 laty wydawały się one niektórym groźną rewolucją lub wręcz katastrofą kulturową. Wiele wydawnictw, gazet i czasopism świadomie nie wprowadziło nowych reguł. Polszczyzną sprzed reformy pisali m.in. Aleksander ▶

REKLAMA

NAGRODY HISTORYCZNE POLITYKI im. MARIANA TURSKIEGO

Za książki o najnowszej historii Polski wydane w 2025 roku

Prace naukowe • popularnonaukowe • źródła • pamiętniki

Zapraszamy wydawnictwa, instytucje naukowe i autorów do zgłaszania książek na adres: **nh@polityka.pl**

Regulamin na **www.polityka.pl/nagrodyhistoryczne**

Na zgłoszenia czekamy do 30 stycznia 2026 r.

Mecenas Nagród Historycznych POLITYKI:

Dantex

eprasa.pl 2d9fcd4723

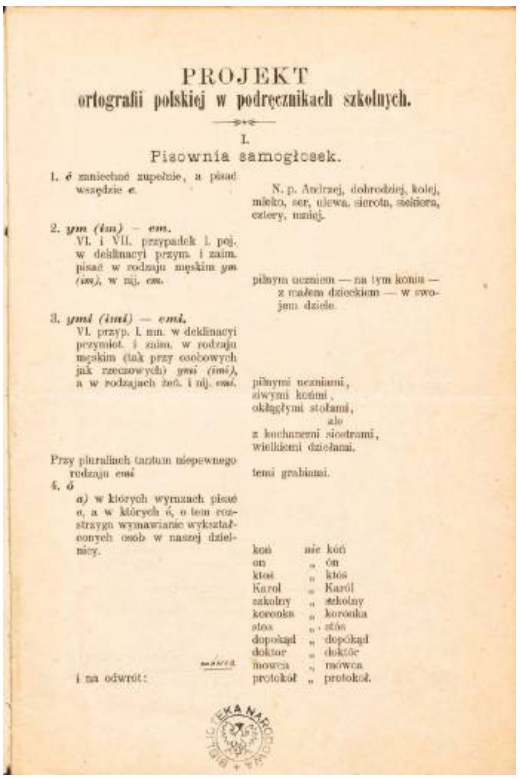

PROJEKT
ortografii polskiej w podręcznikach szkolnych.

I.

Pisownia samogłosek.

1. *é* zniechcane zupełnie, a pisać wszędzie *e*.

N. p. Andrzej, dobrodziej, kolej, mleko, ser, ulewa, sierota, siekiera, cztery, mniej.

2. *ym (im)* — *em*.
VI. i VII. przypadek l. poj. w deklinacyi przym. i zaim. pisać w rodzaju męskim *ym (im)*, w nij. *em*.

pilnym uczniem — na tym koniu — z małem dzieckiem — w swojem dziele.

3. *ymi (imi)* — *emi*.
VI. przyp. l. mn. w deklinacyi przymiot. i zaim. w rodzaju męskim (tak przy osobowych jak rzeczowych) *ymi (imi)*, a w rodzajach żeń. i nij. *emi*.

pilnymi uczniami, siwymi końmi, okrągłymi stołami, ale z kuchennemi siostrami, wielkiemi dziełami.

Przy pluralach tantum niepewnego rodzaju *emi*

temi grabiami.

4. *ó*
a) w których wyrazach pisać *o*, a w których *ó*, o tem rozstrzygn. wymawianie wykształconych osób w naszej dzielnicy.

koń	*nie*	koń
on	„	ón
kłos	„	kłos
Karol	„	Karól
szkolny	„	szkolny
koronka	„	koronka
słoń	„	słóń
dopokąd	„	dopókąd
doktor	„	doktór
mowca	„	mówca
protokół	„	protokoł.

i na odwrót:

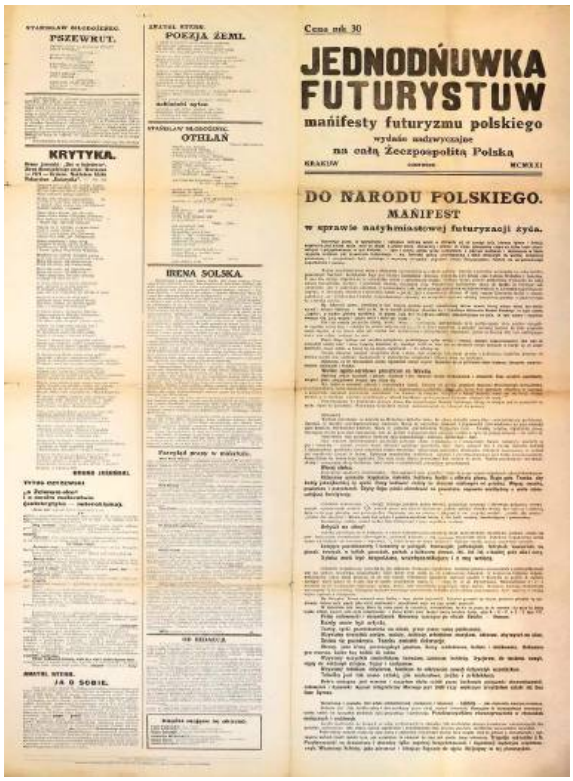

STANISŁAW MŁODOŻENIEC
PSZEWRUT.

KRYTYKA.

ZBATEL STENR
POEZJA ŻEMI.

STANISŁAW MŁODOŻENIEC
OTHLAN

IRENA SOLSKA.

ZBATEL STENR
JA O SOBIE.

Cena nk 30

JEDNODŃUWKA FUTURYSTUW
manifesty futuryzmu polskiego
wydanie nadzwyczajne
na całą Zeczpospolitą Polską
KRAKÓW MCMXXI

DO NARODU POLSKIEGO.
MANIFEST
w sprawie natychmiastowej futuryzacji życia.

Jan Otrębski, wileński językoznawca.
Poniżej: **Kazimierz Nitsch, który pozwał Otrębskiego do sądu honorowego.**

Od lewej: **projekt ortografii polskiej w podręcznikach przygotowany przez Radę Szkolną Krajową we Lwowie, 1900 r. Manifest futuryzmu polskiego, 1921 r.**

▶ Brückner, Wacław Berent czy Kazimiera Iłłakowiczówna. Liczne artykuły i publikacje potępiały zmiany. Protestował wileński oddział Towarzystwa Przyjaciół Nauk, zresztą w Wilnie protestów było najwięcej. Najczęściej przeciwnicy zmian odwoływali się do tradycji, a inny argument był taki, że zmiany nie są konsekwentne i wcale nie ułatwią życia. Obok argumentów merytorycznych nierzadko padały zarzuty celowego niszczenia tradycji narodowej.

Jan Otrębski, wileński językoznawca i członek Komitetu Ortograficznego, zniechęcił się do reformy i skrytykował ją w prasie. Bardzo nie podobała mu się likwidacja końcówki rodzaju nijakiego *-em/-emi* (*w dużem mieście, z dużym miastem*), ponieważ dotychczasowe rozróżnienie końcówek *-ym* oraz *-em* uważał za logiczne. Przede wszystkim twierdził, że reforma nie szanuje różnorodności i tradycji języka literackiego oraz odmiennej wymowy w różnych regionach Rzeczpospolitej. Potępiał wprost niedemokratyczne postępowanie „zapamiętałej w swej bezwzględności grupy członków Komitetu Ortograficznego".

W odpowiedzi zatytułowanej „Chore protesty" Kazimierz Nitsch nie przebierał w słowach, a potem pozwał Otrębskiego do sądu honorowego PAU. Konflikt językoznawców, członków Komitetu Ortograficznego, to łagodna odsłona batalii o pisownię. Większy kaliber reprezentuje głośna w owym czasie broszura Stanisława Cywińskiego „Gwałt ortograficzny".

Cywiński – wykształcony filolog, nauczyciel akademicki, redaktor naczelny „Dziennika Wileńskiego", wzięty publicysta i przekonany endek – zarzucał wcześniej Julianowi Tuwimowi ksenofobiczną nienawiść do Adama Mickiewicza, za co ten w znanym wierszu z wezwaniem „Całujcie mnie wszyscy w d..." zwrócił się wprost do „profesora Cy... wileńskiego". Za domniemaną obrazę marszałka Józefa Piłsudskiego publicysta został ciężko pobity przez sanacyjnych oficerów, a potem skazany na trzy lata więzienia.

Nie miejsce tu na ocenę dorobku Cywińskiego, który w końcu oddał życie w Katyniu. Jego temperament częściowo tłumaczy emocje i oceny wyrażane w batalii przeciw nowej ortografii. Ale nie usprawiedliwia wszystkiego.

Porywczy publicysta zaczął od argumentów językowych, przytaczanych za Otrębskim, i trzeba przyznać, że nie są bez racji. W broszurze więcej jest jednak insynuacji: że autorzy reformy chcieli na niej zarobić, wydając własne słowniki, że ich celem było niszczenie języka. Pierwszy przewodniczący Komitetu Jan Rozwadowski to zdaniem Cywińskiego człowiek „niewolny od sympatyj bolszewickich, który (...) usankcjonował swym autorytetem (...) wszelkie przewroty, rewolucje itp.". Tekst zawiera ataki szowinistyczne: „w tej reformie pierwsze skrzypce wzięli ludzie obcego pochodzenia. (...) Taki Nitsch neguje wpływ pisowni na wymowę". Dalej są jeszcze „taki Szober", „taki Kleiner" i „taki Lehr" – także członkowie Komitetu Ortograficznego. Już wcześniej Walerian Charkiewicz pisał w wileńskim „Słowie", że reforma jest inicjatywą „polskich uczonych, nie mających w sobie krwi polskiej".

Spory o pisownię z 1936 r. wpisują się w wieczną polską batalię o język i tradycję. Na języku – jak na piłce nożnej – znają się wszyscy. Współczesne obawy obrońców tradycji przed feminatywami i innymi zmianami w języku publicznym można oglądać w zwierciadle przedwojennych sporów o to, czy nazywać wschodnich sąsiadów *Rusinami*, jak chciała tradycja, czy *Ukraińcami*, jak chcieli oni sami w ogromnej większości. W sporze

© POLONA (2), NAC (2), WŁODZIMIERZ WASYLUK/FORUM

eprasa.pl 2d9fcd4723

Miejsce pamięci narodowej przy ul. Długiej w Warszawie, 7 sierpnia 2006 r.

brali udział posłowie, dziennikarze i językoznawcy. Tradycji bronił nie bez rzeczowych argumentów Kazimierz Nitsch, w 1936 r. główny rzecznik zmian ortograficznych. Zwyciężyła jednak wrażliwość samych zainteresowanych – Ukraińców.

Inny członek Komitetu Ortograficznego, Stanisław Szober w „Słowniku ortoepicznym" z 1937 r. zaproponował połączenie *w Litwie* jako lepsze niż *na Litwie*, ale tradycjonaliści bronili przyimka *na*. (Hasła *Ukraina* w jego słowniku nie było, ale z obydwiema nazwami przyimek *w* łączył się do połowy XIX w. równie często jak *na*). Te dyskusje o nazwach krajów i narodowości przerwała wojna, tak jak reformę ortografii, ale spór o przyimki rozgorzał niedawno na nowo.

Po drugiej wojnie światowej nie było już istotnych zmian w ortografii. Mało znana jest próba reformy z 1963 r. XIII wydanie „Zasad pisowni polskiej" przygotowane przez Komisję Kultury Języka PAN, zaakceptowane przez Komitet Językoznawstwa PAN i przez Ministerstwo Oświaty zostało skierowane do druku, ale potem wstrzymane i ministerstwo w komunikacie prasowym nazwało je tylko „propozycjami do dyskusji". Niełatwo rozstrzygnąć, czy władze PRL postanowiły wstrzymać reformę z tajemniczych przyczyn, czy też reforma nie została przygotowana dostatecznie jasno i logicznie.

W PRL ortografia nie była tematem narodowych debat, zasady pisowni powszechnie szanowano. Do dziś najróżniejsze dyktanda ortograficzne cieszą się powodzeniem. Przez dziesięciolecia to słownik ortograficzny był oprócz Biblii książką najczęściej stojącą na półce meblościanki, nawet w domach, gdzie innych książek nie było. Zresztą słowniki ortograficzne aż do lat 90. były znacznie uboższe niż dzisiejsze, nie zawierały informacji o odmianie, a więc i o pisowni form odmienionych.

Od czasu powołania Rady Języka Polskiego przy Prezydium PAN to jej przysługują kompetencje zmian w pisowni. W 1997 r. Rada wprowadziła istotną zmianę: pisownię łączną *nie* z imiesłowami przymiotnikowymi, dopuściła tradycyjną pisownię rozdzielną w wyraźnym znaczeniu czynnościowym. Obecna reforma ustala pisownię zawsze łączną (z wyjątkiem sytuacji przeciwieństwa, ale wtedy nawet z przymiotnikami piszemy *nie* rozdzielnie, np. *nie małe piwo, tylko duże*).

Obecna reforma także nie wszystkim się podoba, mimo że w kwestiach szczegółowych istnieją rzeczowe argumenty za i przeciw. Ale na tle innych naszych sporów o język i tradycję emocje nie są wielkie.

Nie tylko Polacy dyskutują o ortografii. We Francji w 1990 r. protesty tradycjonalistów wywołało usunięcie typowo francuskiego akcentu curkumfleksowego, tzw. daszka, znad samogłosek *î* oraz *û* w wielu wyrazach. Protesty były tak skuteczne, że te zmiany dopiero dziś wchodzą do podręczników szkolnych. Nastroje próbował tonować francuski bard Pierre Perret w piosence „La réforme de l'orthographe".

W 1996 r. kraje niemieckojęzyczne porozumiały się co do wprowadzenia zmian w ortografii niemieckiej. Znacznie ograniczono użycie najbardziej niemieckiej litery *ß*, dawnej ligatury *S-Z* ze szwabachy. Obie reformy – francuska i niemiecka – zraziły część społeczeństwa atakiem na „narodowe znaki graficzne", choć nie zlikwidowały ich zupełnie. Obie też zmieniły zasady pisowni łącznej i rozdzielnej, wielkich i małych liter.

Deklarację przeciw niemieckiej reformie ogłosili zaraz po jej wprowadzeniu pisarze (Günter Grass), wydawcy, dziennikarze, ludzie kultury i politycy. Reforma była treścią skarg do Trybunału Konstytucyjnego. „Frankfurter Allgemeine Zeitung", „Spiegel" i koncern Springera stosowały ortografię sprzed reformy aż do 2007 r., kiedy nowe zasady, nieco zmodyfikowane, trafiły do szkół i burza powoli ucichła.

Reforma ortografii bywa też aktem formującym politykę językową. W 2019 r. przyjęła nową ortografię Ukraina, wcześniej obowiązywały zasady opracowane jeszcze w Ukrainie radzieckiej w 1928 r. Nowe zasady po prostu porządkują pisownię, nikomu też przez myśl nie przeszło ograniczać zasięgu ukraińskiej litery narodowej ї, symbolicznej jak niemieckie ß czy francuski akcent cyrkumfleksowy. W Ukrainie stoją nawet pomniki litery ї, nieobecnej w żadnym innym alfabecie. I w Ukrainie nie obyło się bez protestów, ale dotyczyły one nie pisowni, tylko nowych feminatywów, które zaproponowano w „Ukraińskim prawopisie".

Nie tylko u nas zmiany w języku często wzbudzają protesty obrońców tradycji.

MAREK ŁAZIŃSKI

Autor jest profesorem nauk humanistycznych, językoznawcą, pracownikiem Uniwersytetu Warszawskiego. W Radzie Języka Polskiego głosował za nową reformą.

eprasa.pl 2d9fcd4723

Jewgienij Prigożyn serwuje jedzenie ówczesnemu premierowi Rosji Władimirowi Putinowi w restauracji Prigożyna pod Moskwą, 11 listopada 2011 r.

Dyktatura w sosie słodko-kwaśnym

O kuchennej rewolucji à la Putin i o tym, jak świeża bagietka obnażyła Pol Pota, opowiada Witold Szabłowski, autor książki „Kucharze dyktatorów".

TOMASZ TARGAŃSKI: **– Sałatka z arbuza Muammara Kaddafiego, lody Władimira Putina, sheqerpare, czyli słodkie ciasteczka, Envera Hodży, swojska galaretka brzoskwiniowa z bitą śmietaną Wojciecha Jaruzelskiego. Ma pan swój ulubiony deser dyktatora?**

WITOLD SZABŁOWSKI: – Nie mam, ale próbowałem każdego z nich, bo tylko wchodząc do kuchni, mogłem namówić moich bohaterów na szczerą rozmowę. Kucharze dyktatorów to ludzie niezwykle ostrożni i nieufni. Trudno im się dziwić,

eprasa.pl 2d9fcd4723

Libijski przywódca Muammar Kaddafi podczas kolacji w pałacu Bab al-Aziza w Trypolisie, 24 listopada 2009 r.

© MISHA JAPARIDZE/AP/EAST NEWS, KAYHAN OZER/ABACA/EAST NEWS

znajdowali się wewnątrz najbardziej śmiercionośnych reżimów drugiej połowy XX w. Zawsze mieli poczucie, że jedno słowo za dużo może ich kosztować życie. Aby poczuli się swobodnie, trzeba być z nimi w znajomym środowisku. Większość przepisów, o których piszę, robiliśmy razem, więc mogłem wczuć się w to, co jadali dyktatorzy.

Jak opisałby pan relację między kucharzem a dyktatorem?

Na pewno jest bardzo intymna. Ludzie, z którymi rozmawiałem, wykonują jeden z najbardziej niebezpiecznych zawodów świata. Ciąży na nich niebywała presja. Jeśli ich szef po kolacji źle się poczuje, podejrzenia od razu padną na kucharza. Gotowanie dla każdej głowy państwa, a już zwłaszcza głowy państwa, które jest dyktaturą, wymaga wielkiej odporności. Proszę sobie wyobrazić karmienie kogoś dzień w dzień przez kilkanaście albo kilkadziesiąt lat. Przecież kucharz Fidela Castro pracował dla El Comendante, jak się na niego mówiło, przeszło pół wieku. Kiedy odwiedziłem go w Hawanie w 2016 r., z dumą pokazywał mi lodówkę pełną produktów kupowanych specjalnie dla Fidela. Aby było śmieszniej, to jedzenie pochodziło w większości z czarnego rynku.

A strach? Kucharze muszą przecież codziennie bać się o swoje życie.

Dość powiedzieć, że Miço Madhi, kucharz paranoicznego dyktatora Albanii, Envera Hodży, dostał tę pracę, bo jego poprzednik został rozstrzelany. Po prostu pewnego dnia Hodża nabrał podejrzeń, że jego jedzenie może być zatrute, i skończyło się to tragicznie. Miço Madhi oczywiście znał tę historię i opowiadał mi, że codziennie przez niemal 20 lat, kiedy wychodził do pracy, żegnał się z żoną, jakby miał nie wrócić. Jeszcze ciekawsze jest to, że ten strach nie znika nawet po upadku dyktatury. Kiedy przyjechałem ▶

eprasa.pl 2d9fcd4723

▶ do Albanii i spotkałem Madhiego, widać było, że człowiek ma zszargane nerwy. Niechętnie rozmawiał i za żadne skarby nie chciał, abym pisał o nim pod nazwiskiem. Hodża nie żył od lat, komunizm upadł, a on dalej się bał. Ale po kilku latach od ukazania się mojej pierwszej książki o kucharzach, kiedy nie spotkało go nic złego, zgodził się ujawnić. Relacje na linii dyktator–kucharz są więc dziwnym splotem poufałości i strachu.

Ale kucharz to również potencjalne zagrożenie. Jewgienij Prigożyn – jego firma cateringowa obsługiwała spotkania prezydenta Rosji – w końcu zbuntował się przeciwko Putinowi. A długoletni kucharz Kim Dzong Ila, Kenji Fujimoto, był podobno informatorem japońskiego wywiadu.

Prigożyn nigdy nie był kucharzem Putina, choć zwykło się mu przypisywać taką rolę. Ale prawdą jest, że kiedy do Sankt Petersburga przyjechał prezydent George W. Bush, Prigożyn osobiście obsługiwał ich przy stoliku.

A co się tyczy Fujimoto, to będąc przez lata ulubionym kucharzem Kim Dzong Ila, nawiązał szczególną więź z jego synem i obecnym „najwyższym przywódcą" Kim Dzong Unem. Fujimoto opisywał, że po kryjomu dawał małemu Kimowi najlepsze kąski z lodówki i ewidentnie zawiązała się między nimi jakaś więź. Aby zaspokoić zachcianki Kima seniora, podróżował po całym świecie. Polował na najdroższe, najbardziej wykwintne produkty: kawior z Uzbekistanu, wieprzowinę z Danii, a ponieważ przywódca szczególnie lubił toro, czyli tłustą część tuńczyka błękitnopłetwego, często bywał w Japonii na tamtejszych słynnych targach rybnych. Tak się złożyło, że podczas jednego z tych wypadów Fujimoto zmylił swoją ochronę i uciekł.

Stał się sławny, ponieważ opowiedział publicznie o tym, w jakie luksusy opływał północnokoreański reżim, podczas gdy reszta kraju cierpiała głód. W obawie o swoje życie musiał zmienić tożsamość, ale mimo to północnokoreański wywiad wciąż za nim chodził. Był tego pewny, bo jak powiedział mi podczas rozmowy telefonicznej, północnokoreańskich tajniaków poznaje się po tym, że noszą bardzo źle skrojone garnitury. Po śmierci Kim Dzong Ila Fujimoto dostał zaproszenie do powrotu do Korei od Kim Dzong Una – tego samego, którego za młodu częstował smakołykami. Mogłoby się wydawać, że reżim nie wybaczy mu zdrady i jedzie tam po własną śmierć, ale przywódca zaproponował mu otwarcie w stolicy ekskluzywnej restauracji. Kim jest oczywiście dyktatorem, ale jest również reformatorem i częścią jego polityki jest zbudowanie w Korei lojalnej wobec reżimu klasy średniej, która mogłaby, jak to jest na całym świecie, chodzić do restauracji. Z tego, co wiem, Fujimoto ma się dobrze, jego lokal jest oczkiem w głowie północnokoreańskich elit i bywa w nim sam Kim.

Miço Madhi, kucharz dyktatora Albanii Envera Hodży. Poniżej: **Kenji Fujimoto, kucharz północnokoreańskiego przywódcy Kim Dzong Ila, pokazuje swoje zdjęcie z Kim Dzong Unem, 7 stycznia 2016 r.**

A w jaki sposób służby chronią dyktatorów przed ewentualnym otruciem?

Zatrudniają testerów. Zanim przywódca włoży coś do ust, najpierw próbuje tego wyznaczony do tego człowiek. Fidel Castro dysponował całym laboratorium, gdzie testowano nie tylko jedzenie, ale i ubrania, w których chodził – trucizną można przecież nasączyć materiał. Wszystkie służby sprawdzają też, skąd szef kuchni bierze produkty. Kiedy kucharz Envera Hodży jechał po zakupy, zawsze towarzyszyło mu dwóch tajniaków. A za nimi podążała inna grupa agentów, która kontrolowała tych pierwszych. Dochodziło do absurdalnych sytuacji: kuter z rybakami, którzy wypłynęli po ryby dla Hodży, obstawiały dwa kutry z tajniakami, którzy patrzyli łowiącym na ręce. Środki bezpieczeństwa są tak wyśrubowane, że na Kremlu pracownikom kuchni codziennie sprawdza się dłonie, czy nie ma na nich choćby mikrourazów. Najmniejsze skaleczenie eliminuje z pracy.

Jak wygląda nabór na stanowisko kucharza dyktatora?

Jest kilka dróg. Jedna to wzięcie człowieka z zagranicy. Jest w tym pewne bezpieczeństwo, ponieważ ktoś nie ma oparcia

eprasa.pl 2d9fcd4723

w lokalnych układach, całkowicie zależy od woli przywódcy. Tak było w przypadku Miodraga Djordjevicia, który przez 20 lat pracował w kuchni Mu'ammara Kaddafiego. Druga droga to zatrudniać najlepszych w fachu. Dyktatorzy często biorą sobie za punkt honoru, aby gotowali dla nich arcymistrzowie. Włocha Ermanno Furlanisa ściągnięto na dwór Kim Dzong Ila, ponieważ uważano, że robi najlepszą pizzę na świecie. Zanim zaczął gotować dla Saddama Husajna, Abu Ali miał opinię najwybitniejszego kucharza w Iraku. Kiedy zapytałem go, czy nie chciał odmówić, odpowiedział mi, że prezydentowi się nie odmawiało.

A która z tych dróg była drogą Wacława Romańskiego, kucharza generała Wojciecha Jaruzelskiego?

Jego historia jest inna niż wszystkie. Romański nie był kucharzem w wielkiej restauracji, nikt go nie znał, a jednak ktoś ze służb go wypatrzył. Było to jeszcze w czasie, gdy Jaruzelski nie stał na czele państwa, a jedynie szefował MON. Generał zawsze uchodził za ascetę: nie pił i nie palił. W czasie zesłania na Syberię nabawił się problemów z żołądkiem. Musiał jeść bardzo delikatne, mało przyprawione potrawy. Lubił ryby, ale nie mogły być smażone, tylko ugotowane na parze. Major Wojtas, który był zaufanym człowiekiem generała w terenie, znalazł kucharza z południa Polski z okolic Tarnowa i Limanowej, ponieważ, jak sądził, ludzie stamtąd potrafią gotować właśnie w ten sposób. Jego następcą został właśnie Wacław Romański, który opowiadał mi, że tak delikatnej zupy krem jak on nikt generałowi zrobić nie umiał. Służby, kiedy już wytypowały swojego kandydata, bardzo dokładnie go sprawdzały. Romański został prześwietlony kilka pokoleń wstecz: czy nikt z jego rodziny nie mieszka za granicą albo nie miał związków z antykomunistyczną partyzantką. Sprawdzanie kandydatów to skomplikowana i długotrwała operacja.

Jak bardzo długotrwała?

Abu Ali był obserwowany przez agentów Saddama prawie dwa lata. W końcu wezwano go do pałacu i zażądano, aby zrobił *tikkę*, czyli grillowaną jagnięcinę. Nie wiedział, dla kogo gotuje, choć domyślał się, że musi to być ktoś ważny. Musiał podpisać zobowiązanie do zachowania w tajemnicy wszystkiego, co zobaczy albo usłyszy. Zrobił *tikkę*, po czym wezwano go do jadalni, gdzie zobaczył, że gotował dla

Witold Szabłowski – dziennikarz i reportażysta. Autor wielu książek w tym m.in. „Jak nakarmić dyktatora" (prawa do jej ekranizacji sprzedano do Hollywood) oraz „Kucharze dyktatorów".

prezydenta Husajna. Ali był oczywiście zaskoczony, ale dopiero później dowiedział się, od jak dawna służby miały go na oku.

Jako reporter od lat zajmuje się pan kuchnią. Jedzenie, przyjęcia są skutecznym narzędziem w polityce?

Bez wątpienia. Rosyjscy przywódcy od dawna wykorzystywali bankiety, aby oszołomić i rzucić na kolana zagranicznych gości. Cechą charakterystyczną kremlowskiej kuchni zawsze był nadmiar. Stalin z wielkim rozmysłem posłużył się tą tradycją podczas konferencji w Jałcie, która pod względem kulinarnym była majstersztykiem. Roosevelt i Churchill przyjechali na zniszczony Krym i zobaczyli, że kraj, który od kilku lat ponosi tak przerażające straty, a jego najbogatsze tereny zostały zniszczone, wciąż ma zasoby, aby wydać wystawny bankiet. Szok związany z ilością jedzenia w Jałcie przewija się we wspomnieniach wielu uczestników konferencji. Wrażenie, jakie Stalin chciał wywrzeć na gościach, było jasne: Związku Radzieckiego nie da się pokonać. I to mu się udało.

Później w czasach Leonida Breżniewa Kreml słynął z bankietów wydawanych przy długich stołach, które obsługa nazywała „statkami". Pieczone świnie, jesiotry czy bażanty z piórami – wszystko lądowało na stołach w całości. Do tego góry kawioru. Podane na wystawnych miedziano-niklowanych tacach. Nikt nie przynosił talerzy z indywidualnymi porcjami – kelnerzy nakładali, ile dusza zapragnie. Do tego oczywiście wódka w ogromnych ilościach. W latach 80. w czasie pierestrojki Michaiła Gorbaczowa bankiety odchudzono, a „statki" nie uginały się od nadmiaru jak dawniej. Dopiero Putin zrobił na Kremlu małą kuchenną rewolucję i zerwał z tradycją długich stołów. Za jego kadencji zastąpiły je okrągłe stoliki. Porcje obiadowe serwowano każdemu gościowi na oddzielnym talerzu. Również Putin był pierwszym rosyjskim przywódcą, który zrezygnował z podawania wódki i koniaku podczas przyjęć. Zastąpił je winem. Kazał sprowadzić do Rosji najlepszych francuskich sommelierów. To był jego sposób pokazania, że Rosja się westernizuje.

Okazuje się, że na podstawie dań, które wychodzą z kuchni, można coś powiedzieć o kierunku politycznym państwa.

Coś w tym jest, bo, jak pamiętamy, polityka Putina na początku była prozachodnia. Z kolei po zajęciu Krymu w 2014 r. na kremlowskich bankietach serwowano wyłącznie wina z krymskich winnic. Był to bardzo wymowny sygnał ze strony rosyjskiej dyplomacji. A kiedy stosunki z Zachodem zaczęły się psuć, nastąpił powrót do kuchni rosyjskiej. Teraz na Kremlu królują dania narodowe.

Kucharze – zwłaszcza w dyktaturach – znajdują się naturalnie bardzo blisko władzy. Jak wyglądają mechanizmy rządzenia z perspektywy kuchni?

Przede wszystkim kucharze – pod względem osobowościowym – mają bardzo wiele wspólnego z dyktatorami. Swoją kuchnią zarządzają jak mali tyrani. Nie znoszą sprzeciwu i mają wielkie ego. Ludzie, z którymi rozmawiałem, mają poczucie, że to oni po cichu, z tylnego fotela, rządzili krajem. Miço Madhi był przekonany, że gdyby nie przygotowywał Hodży tych wszystkich pysznych deserów, mógłby on wymordować jeszcze więcej ludzi. Inna prawda jest taka, że kuchnia obnaża prawdziwą twarz władzy. Przekonałem się o tym, rozmawiając z kucharką Pol Pota, dyktatora Kambodży. Pol Pot był odpowiedzialny za śmierć miliona, a być może nawet dwóch milionów rodaków. Robił to w imię komunistycznej rewolucji. Walczył z burżuazją, niszczył inteligencję, kazał zabijać ludzi za to, że nosili okulary albo buty. Jednocześnie ten sam Pol Pot codziennie prosił swoją kucharkę, aby piekła dla niego bagietkę, ponieważ przyzwyczaił się ją jeść podczas studiów w Paryżu. Kiedy pojechałem do Kambodży i usłyszałem od niej tę historię, poczułem, jakbym złapał Pol Pota za rękę na gorącym uczynku. Wtedy uświadomiłem sobie, że kucharze jako jedni z nielicznych mają szansę zobaczyć prawdziwą twarz dyktatorów.

ROZMAWIAŁ TOMASZ TARGAŃSKI

SŁUCHAJ

Więcej o kuchni dyktatorów w podkaście **POLITYKA o historii**

© FACEBOOK, KO SASAKI/THE WASHINGTON POST/GETTY IMAGES, WOJCIECH OLKUŚNIK/DDTVN/EAST NEWS

eprasa.pl 2d9fcd4723

20 WYDARZENIA ROKU 26

Co będzie grane (wystawiane, czytane) w 2026 r.

Europejskie dziedzictwo traum. Warszawski Nowy Teatr zacznie rok premierą Krzysztofa Warlikowskiego, który po latach wystawiania kolaży tekstów wraca do dramatu. Podstawą „Europy" jest sztuka Wajdiego Mouawada, podejmująca temat dziedziczenia traum przez mieszkańców Starego Kontynentu i wpisująca go w pierwotny porządek i mitologię. W obsadzie m.in. Cielecka, Ostaszewska, Chyra i Gelner.

Premiera 7 stycznia

Taniec nad Wisłą. Z okazji otwarcia Pawilon Tańca i Innych Sztuk Performatywnych, działający w dawnym pawilonie MSN nad Wisłą, zaprasza m.in. na spektakl „My Fierce Ignorant Step" w choreografii gwiazdy Christosa Papadopoulosa i międzypokoleniowy Bal Powszechny. A przez cały pierwszy rok – na 150 wydarzeń. Taniec będzie się nad Wisłą zarówno oglądać, jak i się go uczyć.

Otwarcie w weekend 8–11 stycznia

Żałobny Szekspir. „Hamnet" w reż. Chloé Zhao to film o miłości, stracie i żałobie, jakiego jeszcze chyba nie było. W tle historia narodzin „Hamleta", szekspirowskiego arcydramatu wszech czasów. Przejmujące kreacje aktorskie stworzyli Jessie Buckley i Paul Mescal. Całość pięknie sfilmował Łukasz Żal. Nagroda publiczności w Toronto, sześć nominacji do Złotych Globów, jedenaście do Critics' Choice Awards dobitnie wskazują, że to jeden z oscarowych faworytów.

Premiera 23 stycznia

Humor i czułość. „Proste rzeczy" to cykl felietonów Marcina Wichy, które ukazywały się na łamach Magazynu Świątecznego „Gazety Wyborczej" w latach 2015–18. Znów możemy docenić lekkość pióra, humor i wszechstronność zmarłego w 2025 r. pisarza.

Premiera 28 stycznia

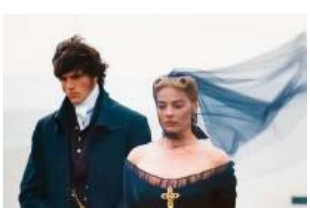

Gorące wzgórza? Choć adaptacji powieści Emily Brontë było już ponad 30, najnowsza wersja ma – przynajmniej według zapowiedzi – skupiać się mniej na emocjach, a bardziej na seksualności bohaterów. „Wichrowe wzgórza" jako erotyczny dramat można by skwitować wzruszeniem ramion, ale za kamerą stanęła świetna reżyserka Emerald Fennell („Obiecująca. Młoda. Kobieta"), a główne role zagrali Margot Robbie i Jacob Elordi.

Premiera 13 lutego

Treliński znów w Wielkim. Premiera „Kobiety bez cienia" Richarda Straussa w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej w reż. Mariusza Trelińskiego. Spektakl w koprodukcji z operą w Lyonie, gdzie miał premierę dwa lata temu i zebrał pozytywne recenzje. Dopiero drugi raz w Polsce zobaczymy tę przypowieść o dwóch małżeństwach: Cesarza i Cesarzowej oraz farbiarza Baraka i jego żony. Treliński portretuje bohaterki jako kobiety w stanie wypalenia, które przechodzą przemianę.

Premiera 15 lutego

Żadan na scenie. Paweł Łysak wystawi w łódzkim Teatrze im. Jaracza proroczą powieść „Internat" Serhija Żadana, ukraińskiego pisarza i muzyka, a teraz żołnierza. Twórcy zapowiadają „podróż w głąb ludzkiego doświadczenia XXI w.", historię o „dojrzewaniu do odpowiedzialności za słabszych, do własnego zdania, do słuchania, do miłości" i tęsknocie za zwykłym życiem, za byciem u siebie.

Premiera 21 lutego

Trier jak Bergman. Dramat rodzinny „Wartość sentymentalna" w reż. Joachima Triera to historia aktorki odmawiającej zagrania głównej roli w filmie fabularnym napisanym i reżyserowanym przez jej ojca. Znajomość ludzkiej psychologii jak u Bergmana, ale to w pełni autorska propozycja spełniająca wymagania wysokiej rozrywki (i muzyka laureatki Paszportu POLITYKI Hani Rani). W Cannes, gdzie odbyła się premiera, oklaskiwano twórców 19 minut. Oscarów też nie powinno zabraknąć.

Premiera 27 lutego

Kleczewska domyka tryptyk. Po słynnych „Dziadach", odradzanych przez pisowską kurator oświaty, i „Weselu" reżyserka wystawi w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie trzecie dzieło Wyspiańskiego, „Wyzwolenie", w 123. rocznicę jego prapremiery. Teatr zapowiada „zmagania z polskim mitem, z polskością i tym, co w niej straszne, bolesne". 23-osobowej obsadzie przewodzi Dominika Bednarczyk w roli Konrada.

Premiera 28 lutego

© GRZEGORZ BANASZAK/REPORTER, AGATA GRZYBOWSKA/FOCUS FEATURES, PINELOPI GERASIMOU/ONASSIS STEGI, WARNER BROS. PICTURES, WOJCIECH OLSZANKA/EAST NEWS, PIOTR KAMIONKA/REPORTER, M2 FILMS, ANITA WALCZEWSKA/EAST NEWS, GRZEGORZ WAJDA/REPORTER, DISNEY, KAROL MAKURAT/REPORTER, JACEK MARCZEWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL, MICHAŁ MUTOR, MATTHEW BAKER/GETTY IMAGES, MP(5)

eprasa.pl 2d9fcd4723

Nicole Kidman robi sekcje zwłok. W serialowej adaptacji bestsellerowego cyklu powieściowego Patricii Cornwell gwiazda wcieli się w główną rolę patolog sądowej dr Kay Scarpetty. Serial Prime Video ma być „wielowarstwowym thrillerem osadzonym we współczesnym świecie zaawansowanych badań kryminalistycznych", a Kidman towarzyszą na ekranie m.in. Jamie Lee Curtis i Bobby Cannavale.

Premiera 11 marca

Lem show. Stanisława Lema w wielkich halach jeszcze w ten sposób nie grali. A już na pewno muzycznie i w takim składzie: Brodka, Błażej Król, Kukon, 2k88. Cztery wyraziste i różnorodne postacie polskiej sceny muzycznej poprowadzą słuchaczy w ramach **„**Lem Universum**"** przez tematy znane z książek autora „Cyberiady". Oprawę wizualną zapewni Kobas Laksa, który ma się inspirować oryginalnymi ilustracjami Daniela Mroza. Wszystko w Gdańsku, Warszawie i Katowicach.

17, 22 i 26 kwietnia

Mata na Narodowym. Czołowy polski raper po raz drugi chce wyprzedać PGE Narodowy – w finale tegorocznej trasy #Mata2040. Choć prawdziwym spodziewanym finałem jest rzecz jasna start w wyborach prezydenckich w tytułowym roku, stąd poza muzyką, w której ostatnio Mata oddalił się od aktualności na rzecz relacji z imprez, będą pewnie jakieś akcenty polityczne. Pierwsze miejsce w zestawieniu najczęściej słuchanych polskich artystów na Spotify za 2025 r. wzmaga zainteresowanie wydarzeniem.

16 maja

Dawno, dawno temu… Pierwszy od sześciu lat pełnometrażowy film ze świata „Gwiezdnych wojen" będzie jednocześnie kontynuacją jednego z najpopularniejszych seriali franczyzy. W „The Mandalorian & Grogu" tytułowi bohaterowie będą musieli stanąć do walki z pogrobowcami Galaktycznego Imperium. W roli Dina Djarina wraca Pedro Pascal, a obok niego pojawią się Sigourney Weaver i oczywiście urocza kukiełka Grogu, którą kiedyś wzruszał się sam Werner Herzog. Czy dostaniemy wciągającą historię, czy film będzie służył raczej jako wehikuł napędzający sprzedaż gadżetów? Przekonamy się wiosną.

Premiera 22 maja

Obrotowy Dawid Podsiadło. Rok 2026 zapowiada się na czas wzmożonej aktywności naszego czołowego wokalisty (i laureata Paszportów POLITYKI). Zaanonsował nową płytę – na razie jeszcze bez konkretnej daty – oraz czerwcową trasę koncertową (Chorzów, Poznań, Gdańsk, Warszawa), w chwili gdy piszemy te słowa, praktycznie już wyprzedaną. I oczywiście organizowaną na stadionach, bo w Polsce te obiekty sporadycznie służące rozgrywkom piłkarskim na co dzień żywią się z masowych imprez muzycznych.

6–28 czerwca

Miłość w brutalnych czasach. Premiera „Romea i Julii" Charlesa Gounoda w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej w reż. Barbary Wysockiej to koprodukcja – podobnie jak „Kobieta bez cienia" – tym razem jednak z Semperoper w Dreźnie, gdzie premiera spektaklu odbyła się 3 maja 2025 r. i także była chwalona przez krytykę. Znaną szekspirowską historię reżyserka uwspółcześnia, ukazując młodzieńczą miłość w czasach totalitarnych i brutalnych, w przygniatającej architekturze.

Premiera 13 czerwca

Wspomnienie o Marianie Turskim. Ta książka zaczęła powstawać jeszcze za życia wieloletniego redaktora POLITYKI. Andrzej Brzeziecki spotykał się z Marianem Turskim regularnie, a początkowym celem miała być po prostu 100. rocznica urodzin bohatera, który jednak zmarł w wieku 98 lat w lutym 2025 r. Dopiero na potrzeby tej książki nasz redakcyjny kolega odsłonił więcej szczegółów ze swego fascynującego życia. Ze szczerością i pokorą. Nie chciał stawiać sobie pomnika.

Premiera wiosną

Nadzieja weterana. Kolejna edycja gdyńskiego festiwalu Open'er zapowiada się na wyjątkowo mocną, szczególnie atrakcyjną dla rodziców przyjeżdżającej tam młodzieżowej widowni. Odwożący swoje pociechy starsi będą mieli do dyspozycji w ciągu ledwie czterech dni The Cure, Nicka Cave'a z The Bad Seeds oraz Davida Byrne'a. W tym czasie młodzież posłucha Ethel Cain (numer trzy w zestawieniu najlepszych albumów roku POLITYKI) czy Halsey, być może zarażając entuzjazmem rodziców.

1–4 lipca

Droga do Itaki. Christopher Nolan ekranizuje „Odyseję"? To wystarcza, by od razu chcieć stanąć w kolejce po bilety (zresztą w Londynie wejściówki na pierwsze pokazy wyprzedały się rok przed premierą). Obsada pełna gwiazd: od Matta Damona w roli Odyseusza po Roberta Pattinsona i Zendayę. Budżet imponujący: to najdroższy film w karierze Nolana. I nawet jeśli brytyjski reżyser nie odkryje w homeryckim eposie wątków rymujących się ze współczesnością, to zafunduje widzom niezapomniane widowisko.

Premiera 17 lipca

eprasa.pl 2d9fcd4723

Dwie „Lalki". Dorociński i Urzędowska czy Schuchardt i Drzymalska – kto bardziej przekonał jako Stanisław Wokulski i Izabela Łęcka? I która z adaptacji: bliska Prusowi filmowa superprodukcja Macieja Kawalskiego wypakowana gwiazdami (z Markiem Kondratem w roli Rzeckiego) czy zapowiadany jako współczesna reinterpretacja książkowych wątków serial Netflixa w reż. Pawła Maślony? W nowym roku każdy będzie mieć swoje zdanie i na pewno nie zawaha się go wypowiedzieć.

Premiera filmu 30 września

Konkurs roku. 17. Międzynarodowy Konkurs Skrzypcowy im. Henryka Wieniawskiego w Poznaniu nie będzie może aż tak medialny jak ten chopinowski, ale właściwie – dlaczego nie? Wieniawski również znany jest na całym świecie, a na tym konkursie grywa się też inną muzykę, od Bacha po twórców XX i XXI w. Na czele jury stanie Bartłomiej Nizioł, zwycięzca (ex aequo z Piotrem Pławnerem) 10. edycji konkursu w 1991 r.

8–25 października

W świecie rzeźb. Ostatnie lata to ciągłe pasmo wystaw Magdaleny Abakanowicz. Teraz do gry wkracza „ta druga", czyli Alina Szapocznikow. Po spektakularnych wystawach w Ravensburgu i Grenoble prace artystki trafią do stołecznej Zachęty, gdzie zostaną zestawione z dziełami bardzo interesującej i dotykającej podobnych problemów niemiecko-irańskiej artystki Nairy Baghramian, urodzonej dwa lata przed śmiercią naszej rzeźbiarki.

Od 16 października

Anna z krakowskiego wzgórza. Wystawy poświęcone szczególnie zasłużonym władcom zdarzają się często. Tymczasem w Zamku Królewskim na Wawelu postanowiono przełamać rutynę i przyjrzeć się uważniej Annie Jagiellonce, przy której zasługach bledną dokonania połowy pocztu polskich królów. Będzie więc o niej jako o królowej i jako o córce, siostrze i żonie kolejnych królów Polski, ale też zwyczajnie, po ludzku, jako o kobiecie i człowieku.

Od 23 października

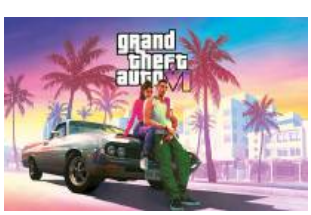

Najdroższa gra wszech czasów? Prace nad „Grand Theft Auto VI", kontynuacją superpopularnej serii rozpoczętej jeszcze w latach 90., trwają już od 2014 r. Wiemy, że miejscem akcji gangsterskiej gry akcji będzie Leonida – fikcyjny amerykański stan stylizowany na Florydę. Wiemy też, że rzecz będzie monstrualna pod względem parametrów rozgrywki, a oprawa graficzna i realizm z pewnością przyćmią poprzednie części. Spekuluje się, że budżet gry może osiągnąć 2 mld dol., ale projekcje przychodów mówią o 3 mld dol. już w pierwszym roku dystrybucji. Data premiery była już przesuwana, ale z perspektywy początku roku wygląda realistycznie.

Premiera 19 listopada

Tropem Tomasza Manna. „1949" Pawła Pawlikowskiego, trzecia część jego czarno-białej trylogii, to luźna adaptacja powieści Colma Tóibína „Czarodziej". Autor „Czarodziejskiej góry" wraz z córką (gra ją Sandra Hüller, znana z głośnej „Anatomii upadku") wyruszają czarnym Buickiem z Frankfurtu w strefie amerykańskiej do Weimaru pod panowaniem Sowietów. Zderzenie dwóch systemów politycznych stanowi pretekst do opowieści o relacji rodzinnej, naznaczonej ciężarem historii.

Premiera jesienią

Prawda o Kuroniach. Na ten film czeka cała Polska. „Bez ciebie mnie nie będzie. Historia Jacka i Grażyny Kuroniów" Piotra Domalewskiego ma pokazać prywatny wymiar relacji Kuroniów oraz osobiste koszty, jakie oboje ponieśli w wyniku swoich działań. W roli legendy antykomunistycznej opozycji Arkadiusz Jakubik. Partneruje mu Magdalena Popławska. Domalewski szykuje też sensację teatralną. Jego spektakl „Zamknij oczy Nel" ma dekonstruować i reinterpretować sienkiewiczowskie „W pustyni i w puszczy".

Premiera filmu jesienią

Ted Lasso trenuje piłkarki. Uwielbiana komedia terapeutyczna Apple TV „Ted Lasso" powraca po trzech latach od zakończenia z czwartym sezonem, który zacznie się w Kansas, ale szybko przeniesie się w znaną scenerię londyńskiego Richmond. Ted będzie tym razem mieszać w głowach (w pozytywnym, trenerskim sensie) żeńskiej drużynie piłkarskiej. Wraca główna obsada, z Jasonem Sudeikisem na czele, a aktorzy ponoć podpisali kilkuletnie kontrakty.

Premiera w drugiej połowie roku

Jan Holoubek razy dwa. Autor „Heweliusza" nie zwalnia tempa i przygotowuje dwa różne projekty. Akcja filmu kinowego „Dziki, dziki wschód" z Robertem Więckiewiczem porusza temat polsko-niemiecko-żydowskich relacji w czasie drugiej wojny światowej, a serial „Wśród nocnej ciszy" dla HBO Max (oparty na słynnym reportażu Wiesława Łuki „Nie oświadczam się") dotyczyć ma jednej z najmroczniejszych spraw kryminalnych epoki PRL, tzw. zbrodni połanieckiej z 1976 r. Znów jest szansa na emocjonalny wstrząs i poruszenie serc Polaków.

Premiera zimą

© GIGANT FILMS, MAREK KAREWICZ/EAST NEWS, EAST NEWS, KRZYSZTOF ZATYCKI/AGENCJA WYBORCZA.PL, NEXTFILM, LESZEK ZYCH, MP(3)

eprasa.pl 2d9fcd4723

KRAJ KWITNĄCEJ WIŚNI

KUP TERAZ

W sprzedaży

148 stron

Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**
Wydanie cyfrowe – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl 2d9fcd4723

Rok dwóch „Lalek”

Czy przebój z końca XIX w. broni się dzisiaj literacko i czy jest sens go – dwukrotnie! – ekranizować? Spoiler: tak i tak.

JUL ŁYSKAWA

„Lalka” Bolesława Prusa zawsze kojarzyła mi się, rzecz jasna, z piercingiem.

W latach mej schyłkowej nastoletniości, a więc w okolicach pierwszej lektury być może najsłynniejszej polskiej powieści, zakochałem się w dziewczynie z kolczykiem w wardze. Dzisiaj wspominałem ten odległy epizod podczas krótkiej podróży tramwajowej przez warszawską Ochotę i przy tej sposobności, jak by to ujął Ignacy Rzecki, zauważyłem, jak się czasy zmieniają. Na odcinku trzech przystanków między NIK-iem a Ochotą Ratusz (z przesiadką na placu Narutowicza) naliczyłem wśród współpasażerów płci męskiej trzech posiadaczy kolczyków w (obu) uszach, wśród nich jednego z kolczykiem w brwi, a także dwie współpasażerki z kolczykami w nosie. W tramwajach, co tylko na pozór nieistotne dla tej krótkiej opowieści, doliczyłem się również czterech osobniczek o fizjonomiach pozwalających na zaklasyfikowanie ich do popularnej kategorii miejskiej „sympatycznych staruszek”.

Pisarz, autor powieści „Prawdziwa historia Jeffreya Watersa i jego ojców”, za którą otrzymał Paszport POLITYKI.

Czasy się zmieniają i my zmieniamy się wraz z nimi, jak mówi sentencjonalnie i po łacinie doktor Szuman w jedenastym rozdziale drugiego tomu „Lalki”. W połowie trzeciej dekady XXI w. piercing nie robi na mieszkańcach dużych polskich miast większego wrażenia. Zgoła inaczej było jednak 20 czy 25 lat temu, gdy zakolczykowane uszy mężczyzn świadczyć musiały o przynależności do mrocznej subkultury lub o karierze kryminalnej, kolczyk w brwi, nosie, a tym bardziej w wardze czy języku uchodził za hardcore bez względu na płeć osoby go posiadającej, a wielki Umberto Eco w wywiadzie udzielanym Jarosławowi Mikołajewskiemu wspominał, że najpiękniejsza dziewczyna z kolczykiem w pępku „nie może

eprasa.pl 2d9fcd4723

Na sąsiedniej stronie: **Marcin Dorociński i Kamila Urzędowska jako Stanisław Wokulski i Izabela Łęcka w filmowej ekranizacji „Lalki", która do kin trafi w drugiej połowie roku.** U góry: **w tych samych rolach Tomasz Schuchardt i Sandra Drzymalska w serialu Netflixa (premiera też planowana jest na 2026 r.).**

liczyć na jego pożądanie", i oświadczał, że ludzi z kolczykami wysłałby na Marsa. Ćwierć wieku temu w tramwaju do będącej obiektem mego zadurzenia dziewczyny z kolczykiem w wardze podeszła kobieta o fizjonomii pozwalającej na zaliczenie jej a priori do kategorii „sympatycznych staruszek" i wycedziła, że „za jej czasów" kolczykowało się jedynie bydło.

O opadnięciu maski „sympatycznej staruszki", spod której wyłoniła się niesympatyczna zgrzybiała kolczykofobka, dowiedziałem się po fakcie, ale na wypadek, gdybym kiedyś miał być świadkiem podobnego incydentu, przygotowałem sobie, jak mi się zdawało, druzgocącą perorę opierającą się na prusowskim opisie ojca starego subiekta, legionisty i napoleończyka, którego sam Rzecki w swoim pamiętniku wspomina jako mężczyznę noszącego skromne faworyty i wąs do góry (co mniej istotne), ale przede wszystkim (co kluczowe) srebrny kolczyk w uchu. Owym opisem, udowadniającym, że kolczykonormatywość (ozdabianie kolczykami jedynie damskich uszu) nie istnieje i nie istniała, wielokrotnie miażdżyłem niesympatyczne staruszki, konserwatywnych nauczycieli i złowrogich dresiarzy w wyobraźni, na żywo jednak nigdy nie miałem okazji. Czasy się zmieniały, a ja wraz z nimi.

W październiku 2025 r. wybrałem się na Krakowskie Przedmieście, aby obejrzeć scenografię do kinowej adaptacji „Lalki", ale zniechęcony tłumami dokonałem odwrotu ku księgarni (im. Bolesława Prusa, tak na marginesie), gdzie zacząłem się zastanawiać, co właściwie pamiętam z tej powieści poza kolczykiem w uchu ojca Rzeckiego, co z niej, mówiąc dosadniej, wyniosłem. I wyszło na to, że:

a) znaczenie słowa „transcendentalny";

b) cytat o piwie w kolorze starego miodu, z pianą jak śmietana i o „smaku szesnastoletniej dziewczyny", który nie brzmiał obleśnie, gdy miałem 17 lat, a posiadanie córki wydawało się abstrakcją;

c) świadomość, że warszawskie Powiśle końca XIX w. nie nadawało się do nocnych spacerów;

d) potwierdzenie przypuszczeń, że warto się uczyć angielskiego.

Reasumując: żenująco niewiele. Zastanawiałem się też, czy motywacja majaczących dosłownie za rogiem adaptacji jest wystarczająca do odświeżenia lektury. Gdyby tak jeszcze duży opiniotwórczy tygodnik społeczno-polityczny z rozwiniętym działem kultury zlecił mi napisanie o „Lalce" tekstu.

Z kraju i ze świata

Czasy się zmieniają i my wraz z nimi, ale czy tak znowu bardzo? Piszę te słowa, gdy USA i Rosja decydują między sobą, jak ma wyglądać przyszłość Ukrainy, tymczasem prawie na dzień dobry w powieści Prusa Stanisław Wokulski szkicujący Rzeckiemu bieżącą sytuację polityczną (mamy 1878 r.) oznajmia, że Austria zamierza „zabrać Bośnię i Hercegowinę". A na pytanie: „Za co?" odpowiada: „Za to, że Turcja nie może jej tego zabronić", by po chwili dodać: „Zawsze słabi ponoszą koszta zatargów między silnymi".

Historia świata składa się z bardzo podobnych opowieści ubranych w nieco inne dekoracje.

Sytuacja polityczna na kontynencie jest obecna w powieści od pierwszej do ostatniej strony, a jej zobrazowanie ma kilka celów – od ogólnej idei XIX-wiecznej powieści realistycznej, która chciała ukazywać losy bohaterów na tle panoramy dziejów, po dopełnienie jednostkowej porażki bohatera (w tym przypadku Rzeckiego, marzącego o powrocie do władzy potomków Napoleona; zresztą u Prusa wszyscy przegrywają).

Jeśli chodzi o polskie nastroje polityczne, sprawa jest nieco bardziej skomplikowana, szczególnie w kwestii polityki zagranicznej. Przede wszystkim Prus ma ręce związane carską cenzurą. Powieść ukazuje się w odcinkach w „Kurierze Codziennym" w latach 1887–89, opisując wydarzenia sprzed niespełna dekady, a więc dosyć współczesne (pojawiają się retrospekcje, ▶

© GIGANT FILMS, MICHAŁ KLUSEK, LESZEK ZYCH

eprasa.pl 2d9fcd4723

▶ ale główne wątki umiejscowione są mniej więcej w latach 1878–80). O ile więc niechęć względem Austrii czy Prus przedstawiana przez stacjonującego w będącej pod rosyjskim zaborem Warszawie i tworzącego warszawską powieść autora przechodzi w tekście gładziutko, o tyle nastroje antyrosyjskie muszą zostać ukazane przez niedomówienie. I tak z bogato opisanej topografii miasta znikają budynki kojarzące się wówczas jednoznacznie z caratem, a ze sklepowych witryn – cyrylica (zgodnie z panującym wówczas prawem krzykliwe warszawskie witryny musiały widnieć w dwóch językach). Gdybyśmy z „Lalki" chcieli się uczyć historii, moglibyśmy nie dostrzec zaborów.

W kwestiach polityki wewnętrznej mamy sytuację na pozór nieaktualną z dzisiejszego punktu widzenia. Upadająca arystokracja ukazana jest z nielicznymi wyjątkami jako klasa bierna i żyjąca pozorami, burżuazyjne mieszczaństwo w stylu Wokulskiego odnosi sukces ekonomiczny, ale w pogoni za awansem społecznym i znaczeniem politycznym zatraca się w układach, mieszczanie niższej rangi (drobni handlarze, subiekci) i inteligencja nie mają realnego wpływu na losy kraju, a robotnicy i biedota to ofiary systemu, od których wyższe warstwy odwracają wzrok.

Twierdzenie, że Prus kreśli obraz społeczeństwa podzielonego, to uproszczenie. Polacy umieją się jednoczyć, ale bodźcem nie jest chęć działania ku „wspólnemu dobru", lecz antypatia albo interes. Antysemita z antysemitą zawsze się dogadają. Nic tak nie łączy jak obustronna niechęć do „Szwaba", a w rozgrywkach klasowych – do nisko urodzonego dorobkiewicza. Wspólny wróg to podstawa, nawet jeśli urojony. No, chyba że jesteśmy w pozycji upoważniającej do robienia poważnych interesów, wtedy następuje zmiana. Jeśli herbowemu hrabiemu opłaca się podać rękę żydowskiemu kupcowi, poda ją z uśmiechem, z odrazą wytrze dopiero w kuluarach. Prus pisze o Polsce jako miejscu niegotowym na rozwój i tonącym we własnych ściekach. Czy po zmianie dekoracji na współczesność, po wymazaniu z panoramy społecznej arystokracji, coś w obrazie współczesnych Polaków się zmieniło?

Prus widzi nadzieję, tak jak Wokulski rozmyślający o warszawskich ściekach (tutaj bez metafory) i antycypujący powstanie filtrów Lindleya (ich uruchomienie w 1886 r. było dla poprawy zdrowia publicznego stolicy i spadku śmiertelności przełomem tak fundamentalnym jak wprowadzenie szczepień czy kuracji antybiotykami). Dostrzega też jednak, że ludzie z konkretnym planem na rozwój i zmianę myślenia ogółu, z początku podziwiani za energię, po zderzeniu ze ścianą uprzedzeń czy układów kończą z mianem niepoprawnych romantyków.

Kogo nienawidzi Prus?

Czytając „Lalkę", możemy odnieść wrażenie, że książka jest antysemicka i mizoginiczna. Prus stosuje w narracji mowę pozornie zależną. To, co zgodnie z nawykami czytelniczymi zdarza nam się odbierać jako głos autora, jest perfekcyjnym warsztatowo oddaniem głosu bohaterom. Książka wyczerpuje arsenał antysemickich ataków – od uszczypliwości fizjonomicznych, poprzez stereotypy kulturowe, aż po obarczanie Żydów winą za kryzys gospodarczy. Nawarstwianie się antysemityzmu to jednak nie głos autora, lecz precyzyjny obraz świata przedstawionego. „Lalka" jest powieścią niedomówień i przemilczeń, często sens jest dostrzegalny poprzez skonfrontowanie wykluczających się narracji. Podobnie rzecz się ma z mizoginią (po szersze omówienie potencjalnych tropów mizoginicznych u Prusa odsyłam do tekstu dr Alicji Urbaniak-Kopeć „Emancypacja na miarę czasów: czy Bolesław Prus był mizoginem" dla „Krytyki Politycznej").

Beata Tyszkiewicz i Mariusz Dmochowski w ekranizacji powieści Prusa w reż. Wojciecha Jerzego Hassa z 1968 r.

Izabela Łęcka, piękna, egocentryczna lalka obdarzona poczuciem wyższości klasowej, przez kolejne pokolenia czytelników traktowana była jako *femme fatale*, a powinna – jako symbol i produkt mizoginicznej kultury. Śmieszności jej iluzorycznego świata i estetyzacji życia były wychwytywane, śmieszności Wokulskiego niekoniecznie. Gdy nasz warszawski Richard Gere z końca XIX w. spotyka modlącą się prostytutkę – *pretty woman* z Powiśla – postanawia wyciągnąć ją z bagna, lecz z każdą chwilą znajomości wzrasta w nim odraza wobec potworności jej natury. Nie dostrzega (w przeciwieństwie do autora), że jest to postać paralelna do Łęckiej, tyle że bez arystokratycznego pudru.

W świecie „Lalki" kobiety mogą co najwyżej snuć intrygi, ale ich rola sprowadza się do sprzedaży samych siebie, a nawet najwięksi wizjonerzy (typu wynalazcy Ochockiego) uważają je za niedorastające do mężczyzn intelektualnie. Najbardziej ciapowate misiaczki (w stylu Rzeckiego) ich potencjał oceniają po kształcie nóżek i kibici. Prus rozumie potencjał kobiet na sposób pozytywistyczny, patrzy na ich prawa ekonomicznie, wie, że równouprawnienie zwyczajnie opłaca się społeczeństwu na drodze do rozwoju, chociaż faktycznie w „Lalce" próżno szukać naprawdę wyemancypowanych bohaterek. Pojawią się dopiero w jego kolejnej powieści, „Emancypantkach", rzeczy o kobietach pragnących niezależności i równouprawnienia na tle patriarchalnych stosunków społecznych końca XIX w.

Rozważna i romantyczna

Szykują się dwie adaptacje – kinowa i serialowa. Twórcy pierwszej zapowiadają wierność powieściowemu pierwowzorowi, twórcy drugiej – wolną interpretację. Tak czy inaczej powieść Prusa jest stworzona do tego, aby uczynić z niej wysokobudżetowe filmowe widowisko. Jest to dzieło przepełnione obrazami błagającymi o ekranizację – lumpenproletariat z Powiśla (na pierwszym planie trędowata kobieta uprawiająca seks z suchotnikiem bez nosa!); zawiedziony romantycznymi uniesieniami Wokulski spacerujący po Paryżu (od Luwru po Sorbonę, od katakumb po operetki na Montmartrze); wspomnienia Rzeckiego z Wiosny Ludów i walk powstania węgierskiego; wyścigi konne, pojedynki, loty balonem, a do tego te wszystkie ekwipaże, berlinki, omnibusy i pociągi kolei żelaznej z epoki.

Prus pisał „Lalkę" w odcinkach i to się czuje nawet w lekko zmienionej pod wydanie książkowe wersji. W tekście roi się od cliffhangerów, suspensów i plot twistów, które musiały sprawiać,

eprasa.pl 2d9fcd4723

Kadr z serialu „Lalka" w reż. Ryszarda Bera, który po raz pierwszy wyemitowano pod koniec lat 70. W pamiętnych rolach Małgorzata Braunek i Jerzy Kamas.

że warszawscy czytelnicy walili rano po „Kurier Codzienny", zanim polecieli do piekarni (to hiperbola; kolejne odcinki nie ukazywały się regularnie). A do tego najbardziej serialowy Rzecki, rekin retardacji, któremu zdarza się pisać „zaraz opowiem coś niesamowitego", po czym zmienia temat, snuje inną opowieść, by na sam koniec odcinka, to jest rozdziału „Pamiętnika starego subiekta", napisać: „A no tak, miałem mówić o czymś innym, no to może teraz".

Wątki fabularne obecne w powieści to materiał oscarowy: motyw od zera do milionera *à la* „Wielki Gatsby", w tle upadki i awanse (można się skupić na handlu bronią); naukowcy, czyli współcześni bohaterom alchemicy szukający przełomu w nauce, tudzież kamienia filozoficznego (w tym przypadku metalu lżejszego od powietrza niezbędnego do zbudowania „pierwszej machiny latającej, bez skrzydeł, bez skomplikowanych mechanizmów, a trwałej jak okręt pancerny"); no i przede wszystkim topowe romansidło – on robi dla niej wszystko, ona go nie chce; on robi jeszcze więcej, nie zauważając, że staje się prototypem stalkera w polskiej literaturze, ona trochę chce, ale raczej nie; on już nie wie co robić, ona gardzi, godzi się, lecz szydzi; on odchodzi i próbuje się zabić, lecz wtedy szlachetny dróżnik ze Skierniewic... Może przesadzam ze spoilerami, ale przecież wszyscy czytali.

Netfliksowanie rzeczywistości

Serialowa Izabela Łęcka ma być wyemancypowana i to z jej perspektywy twórcy chcą opowiedzieć tę historię. Oczywiście z literackim pierwowzorem nie ma to wiele wspólnego, więc z pewnością ktoś będzie narzekał. Twórcom dzisiejszych produkcji streamingowych zarzuca się zbytnią inkluzywność. Co chwilę słychać o protestach fanów, których, przykładowo, oburza, że w serialu opartym na twórczości Tolkiena w postaci elfów czy innych krasnoludów wcielają się nie-biali aktorzy (a historia, jak wiadomo, milczy o elfach Azjatach).

Moim ulubionym odcinkiem pierwszego sezonu serialu „The Last of Us", opartego na grze komputerowej o tym samym tytule, jest ten, w którym główny wątek spowalnia, a postapokaliptyczny świat ukazany jest z perspektywy dwóch zakochujących się w sobie mężczyzn. To jedno z najbardziej wzruszających współczesnych *love story*. Po tym odcinku wielu widzów na całym świecie zbojkotowało produkcję.

Ludzie nielubiący kolczyków i korzystający z warszawskiej komunikacji miejskiej przez ostatnie 25 lat naoglądali się ludzi korzystających zarówno z komunikacji miejskiej, jak i dobrodziejstw sztuki piercingu. I przywykli. Nie wszyscy pędzą do studia robić sobie tunele w uszach, nie wszystkim się to podoba, do czego mają święte prawo, ale wierzę, że większa niż ćwierć wieku temu część z nich uznaje posiadaczy kolczyków za „normalnych", a nie za bydło. Chcę także wierzyć, że obok dziesiątek, setek czy może tysięcy widzów zatrwożonych wątkiem homoerotycznym w serialu o zombie znalazł się chociaż jeden wcześniej uprzedzony, który po obejrzeniu odcinka o Billu i Franku pomyślał sobie: „W sumie, co z tego, że chłop z chłopem? Miłość to miłość, niech sobie robią, co chcą". Nawet jeśli zmiana myślenia wynikła nie z głębszej refleksji, ale opatrzenia.

Platformy streamingowe jako medium mają ogromną siłę rażenia. I jeśli twórcy serialowej „Lalki" dadzą nam niezbyt wierną wobec pierwowzoru czy prawdy historycznej dobrze skrojoną bohaterkę, która pomoże komuś zrozumieć, z jakimi problemami borykały się i borykają do dziś kobiety w walce o równouprawnienie (albo chociaż, że stalker w drogim gajerze to nadal stalker), to ja pod takim „netfliksowaniem" rzeczywistości podpisuję się wszystkimi trzema literami imienia.

Swoją drogą, „Lalka" ma większy potencjał homoerotyczny niż emancypacyjny. Już podczas pierwszego powieściowego spotkania Wokulskiego z Rzeckim ten drugi, rozpoznawszy starego druha: „Klepie go po wypukłej piersi, ściska za prawą i za lewą rękę, a nareszcie oparłszy na jego ostrzyżonej głowie swoją dłoń, wykonywa nią taki ruch, jakby mu chciał maść wetrzeć w okolicy ciemienia". Na co Wokulski: „Objął Ignacego za szyję i po kilka razy gorąco ucałował go w oba policzki, które stary subiekt kolejno nadstawiał". Nie żebym coś podpowiadał scenarzystom, ale...

Łęcka influencerka

Pierwszej adaptacji filmowej „Lalki" (1968 r.) w reżyserii Wojciecha Hasa zarzucano niewierność pierwowzorowi, ale doceniano poetyckość wyrazu. Późniejszy serial telewizyjny (1977 r.) w reżyserii Ryszarda Bera chwalono za bliskość powieściowej fabule, krytykowano jednak za zbyt mały rozmach. Jakie będą tegoroczne produkcje, nie wiem. Osobiście marzy mi się lekko futurystyczna „Lalka" w klimatach steampunkowej okładki autorstwa Kiry Pietrek do nowego wydania... „Ziemi obiecanej" Reymonta.

W takiej produkcji Wokulski byłby opętanym rozwojem scybernetyzowanym start-upowcem, kimś w rodzaju Tony'ego Starka (Iron Mana) połączonego z szukającym serca Blaszanym Drwalem z „Czarnoksiężnika z Krainy Oz", Rzecki – zasilanym AI robotem-safandułą w stylu R2D2, a Łęcka – celebrytką czy influencerką, która początkowo ma parcie na szkło, hajs i wodę (kryzys klimatyczny), ale ulega przemianie w liderkę rebelii przeciwko maszynom i sztucznej inteligencji, które zwycięża miłością, ratując przy tym planetę.

Nie mam pojęcia, czy ktoś byłby gotów dać pieniądze na taką produkcję, ale powinien. Natomiast z pełnym przekonaniem zachęcam do ponowienia lektury Prusa. Wprawdzie w książce znajdują się fragmenty, które nie wytrzymały próby czasu (ale też minęło prawie 140 lat od ich napisania!), są tu sceny, które pomimo humorystycznego charakteru nie bawią (jak student udający trupa i co chwilę mdlejąca na ten widok baronowa), czy też bawią z uwagi na to, że ciut się pozmieniało (cytat: „Figlarna kobiecinka, pomimo swoich trzydziestu pięciu lat"), ale to niuanse. Czasy się zmieniają, my zmieniamy się wraz z nimi, ale przy przyjęciu odrobiny relatywizmu, „Lalkę" wciąż czyta się wyśmienicie.

JUL ŁYSKAWA

© POLFILM/EAST NEWS (2)

eprasa.pl 2d9fcd4723

W 2026 r. będziemy obchodzić 100. rocznicę urodzin i 10. śmierci wybitnego reżysera Andrzeja Wajdy

Wajda: ojciec założyciel

Potrzebował wielu kątów spojrzenia, aby wyrobić sobie opinię. Szukał różnorodności, a potem wybierał sam, najczęściej trafnie – mówi reżyser Władysław Pasikowski o Andrzeju Wajdzie.

JANUSZ WRÓBLEWSKI: **– Co nam przekazał w genach Andrzej Wajda?**

WŁADYSŁAW PASIKOWSKI: – To drażliwa kwestia... Filmowcom: uczciwość artystyczną w stosunku do widza, a dostosowaną do możliwości powstawania filmów. Czy „uczciwość dostosowana" jest ciągle uczciwością? Lepsza taka niż żadna, moim zdaniem i pewnie pana Andrzeja także. To można nazwać pragmatyzmem. I ten pragmatyzm pojawia się w całej jego twórczości. Na przykład miejsce zdjęć kazał wybierać nie dalej niż 60 km od wytwórni. Być może 5 km dalej było piękniejsze, bardziej funkcjonalne, lepsze, ale było za daleko. Dojazd zajmował zbyt dużo czasu, a na tym cierpiał efektywny czas dnia zdjęciowego. Nie było warto.

Co polskie kino i polska kultura straciły po śmierci mistrza?

Ojca założyciela. Sierotami zostaliśmy jak Grecy po śmierci Homera, beatnicy po odejściu Kerouaca, tancerze, gdy Fred Astaire przestał stepować. Straciliśmy artystę i intelektualistę, który miał moralny nakaz i odwagę mówić nam: „Jest inaczej". Nam – w sensie niewolnikom i panom – i nam wszystkim wolnym, gdy już nimi zostaliśmy; i nie powie nam nic nowego, gdy na powrót damy sobie założyć pęta.

Wajda wierzył, że zadaniem kina jest gryźć polską duszę. Czy jego filmy wciąż drażnią wyobraźnię Polaków?

Ostatnio Juliusz Machulski napisał dwie powieści, w których lansuje tezę, że wręcz odwrotnie, że to Munk był tym niepokornym i że gdyby żył, kinematografia polska byłaby inna, a przynajmniej bardziej różnorodna. Myślę, że nie ma co antagonizować tych dwóch artystów. Pan Andrzej zostawił ponad 50 filmów i wiadomo, jaki był. Munk ze trzy i tylko możemy się domyślać, jaki by był. Widocznie Juliusz czuje się spadkobiercą Munka, a ja chciałbym wyszarpnąć choć część ze schedy po panu Andrzeju.

Stare filmy nikogo nie drażnią i rzadko kogo obchodzą, nikogo, jeśli ktoś nie jest ich rówieśnikiem. Filmy odchodzą ze swoimi czasami. To nie jest wina twórcy ani tym bardziej jego filmów, że obecnie kontrowersje w młodych budzi „Miasto 44", a nie „Kanał" czy „Eroica". Te dwa ostatnie już oscarowo odegrały swoje role 60 lat temu. Zmieniły myślenie, zachwiały stereotypami historycznymi i dobrym samopoczuciem, że jednak Polak potrafi, ówczesnych Polaków, czyli nas po sześćdziesiątce. Ale istnieje, całe szczęście, rodzaj miłośników kina zwanych kinomanami, którzy pod ramotą obrazu potrafią dostrzec i docenić wartości intelektualne, historiozoficzne, moralne, psychologiczne i filozoficzne czasami.

Jakie filmy Wajdy ceni pan najbardziej?

Nie mam wątpliwości, że trzy najlepsze polskie filmy to „Popiół i diament", „Nóż w wodzie" i „Ręce do góry" w oryginalnej wersji. Zawsze chciałem dorzucić do tego „Rękopis znaleziony w Saragossie", ale nikt nigdy nie pyta o cztery filmy, tylko o trzy, pięć albo dziesięć. Więc „Rękopis..." miał ze mną ciężko. Aż powstała „Ziemia obiecana" i wtedy już miałem pełną piątkę do ogłaszania w wywiadach. Uwielbiam też „Wszystko na sprzedaż". „Kanał" i „Krajobraz po bitwie" to arcydzieła, ale ciężko je oglądać z przyjemnością, więc wie pan... Powody tej selekcji są różne i pewnie przekraczają zakres naszej pogawędki. „Popiół i diament" za wszystko. Za ujęcie się za chłopakami i dziewczynami z AK, za dramaturgię łączącą owo ujęcie się z romansem barowym, za wykonanie aktorskie od Maćka Chełmickiego po Jargieluszkę, babcię klozetową, za zdjęcia pana Jerzego Wójcika i za Zbyszka Cybulskiego, który stanął obok Jamesa Deana i nie tłumaczył się, że jest z Polski. Pewnie nie był tak popularny, ale wśród kinomanów na całym świecie równie wielki. I za ten cudowny dylemat moralny, że już się nie chce zabijać „swoich", ale skoro się człowiek tego podjął...

Filmy o filmach się nie udają, ale są wyjątki. To „Deszczowa piosenka", „Noc amerykańska" i „Wszystko na sprzedaż" – lubię go, bo mówi wszystko o nas, którzy poważnie traktujemy ten biznes. No i od Elżbiety Czyżewskiej i Beaty Tyszkiewicz nie można oderwać wzroku. A „Ziemia obiecana" ze swoją mistrzowską warstwą wizualną pokazuje Żydów w sposób budzący w wielu krajach zarzuty o antysemityzm, a jednak my w Polsce wiemy, że ten film nie jest antysemicki. To balansowanie na pograniczu prawdy i stereotypu i odwaga w pokazywaniu stereotypów, które zawierają prawdę, wymagało gigantycznej odwagi od twórcy. Twórców.

Wajda rozumiał, że bez świadomości przeszłości ludzie są tylko zbiegowiskiem. I że świadomość narodową kształtuje sztuka. Miał rację?

W Trzeciej Rzeszy dwa filmy zrobiły całą robotę – o Parteitagu i o olimpiadzie, oraz pewna książka, której do sztuki raczej nie należy zaliczać, a którą wręczano nowożeńcom na nową drogę życia. Jak słyszę słowo

© RAFAŁ GUZ/PAP, WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

eprasa.pl 2d9fcd4723

narodowy, to zaraz mi się włącza takie myślenie. Pan mówi „narodowy", a ja nie mówię „stadion", tylko „socjalizm".

Nie tylko sztuka. Duopolu nie ukształtowała sztuka, choćby „Smoleńsk", który miał raczej słabe oddziaływanie, tylko polityka. Na pewno w tym kraju ciągle przed sztuką, a zaraz po polityce jest religia, choć jak wskazuje przykład Irlandii, nie zawsze musi tak być i może kiedyś się odszczekniemy. Chciałbym, żeby to o sztuce to była prawda, bo wolałbym, żeby ludzie odnajdowali swoją tożsamość w „Popiołach" i „Weselu" niż na konwencjach partyjnych, czyli Parteitagach.

Czy wizja artysty dźwigającego brzemię odpowiedzialności za losy kraju nie jest dziś anachroniczna?

Anachroniczna – nie. Historyczna – tak. To, że komuś się wydaje anachroniczna, może brać się stąd, że Artystów jak na lekarstwo. „Człowiek z marmuru" miał 5–6 mln widzów i moim zdaniem wielu otworzył oczy na korzenie systemu, w jakim funkcjonują za Gierka, nie zwracając zbytnio na to uwagi. Na ustrój, nie na Gierka... Czy film przygotował rewolucję Solidarności – nie. Czy jej pomógł – na pewno. Skąd to wiem? Bo ludzie po Sierpniu natychmiast się domagali „Człowieka z żelaza". To nie był pomysł pana Andrzeja. To było żądanie stoczniowców.

Młode pokolenie odbiorców nastawione na rozrywkę z rezerwą podchodzi do inteligenckiego etosu w kinie. To pana martwi, dziwi?

Nie dziwi mnie. Zbytnio też nie martwi. Młode pokolenie wyda swoich twórców, którzy do nich dotrą niekoniecznie w ciemnych salach kinowych. Znajdą w ich poczynaniach artystycznych, dziełach i postawach wartości dla siebie i rozwiną się, i przetrwają. My, starzy twórcy, nie jesteśmy niezbędni. Dobrze by było, gdyby korzystali z dorobku Mickiewicza, Wyspiańskiego, Wajdy, Góreckiego i Wróblewskiego, choćby po to, żeby nie wyważać otwartych drzwi i móc się konfrontować z dokonaniami innych, nie tylko rówieśników. Nie znając „Idioty" Dostojewskiego, łatwo głosić, że się napisało genialną powieść. Po tej lekturze już trudniej.

Pan wielokrotnie współpracował scenariuszowo z Wajdą, m.in. przy „Katyniu", „Tataraku", „Powidokach". Jak się poznaliście i jakie wrażenie zrobił na panu jako artysta i człowiek?

Mistrza. Nie znam lepszego słowa. Wiedział wszystko na temat filmu i kina, a ja się dopiero uczyłem. Pewnie był też mistrzem w innych dziedzinach, ale mnie zafascynowała w nim sztuka ruchomych obrazów. Na tym się koncentrowaliśmy w naszych relacjach. Poznaliśmy się w szkole, gdzie przyszedł z propozycją, aby mój rok i rok Pawła Edelmana nakręcił zbiorczo adaptację „Dziadów". Obsadziłem w głównej roli Gustawa-Konrada Krzysztofa Ibisza, czego nigdy mi nie wybaczył. Na koniec zdjęć wręczył mi swojego autorstwa – może nie biblię, ale katechizm na pewno – broszurę pt. „Powtórka z całości". To najkrótszy, najbardziej precyzyjny i najlepszy podręcznik sztuki reżyserii filmowej, jaki kiedykolwiek napisano na świecie. Co prawda nie dla studentów, którzy nie wiedzą nic, ale dla debiutantów, którzy się sparzyli na pierwszej pracy, bez wątpienia tak.

Jaką rolę odegrał pan przy „Katyniu" i dlaczego Wajda tak długo nosił się z tym projektem?

Ojca mu tam pogrzebano... pewnie dlatego. Czekał na scenariusz idealny, jakby nie wiedział, że nie ma idealnego scenariusza – choć „Taksówkarz" jest o krok od ideału. Wreszcie, ponaglany wiekiem, postanowił nakręcić to, co jest dostępne, i do przejrzenia tego materiału Paweł Edelman rekomendował mu mnie. Pan Andrzej od jakiegoś czasu pracował bez ustanku z młodszym o dwa pokolenia Edelmanem i jako człowiek otwarty na świat i prądy zrozumiał, że i ci następni też coś mogą umieć. I wnieść do filmu. Bo pan Andrzej sformułował najważniejszą prawdę dotyczącą robienia filmów. Brzmi ona: „Film robi się innymi ludźmi". Amen. Hough.

O pańskim „Krollu" Wajda napisał w „Notesach", że sam chciałby zrobić ten film i że to kino amerykańskie w pozytywnym tego słowa znaczeniu. Dzieliło was kilka pokoleń. Na czym opierała się wasza współpraca?

Dawał mi gotowy tekst, napisany przez niego albo i przez innych, i kazał się mu przyjrzeć. Potrzebował wielu kątów spojrzenia, aby wyrobić sobie opinię, która nie będzie tylko jego ciasnym albo i nawet szerokim poglądem. Szukał różnorodności, a potem wybierał sam, trafnie. Najczęściej trafnie.

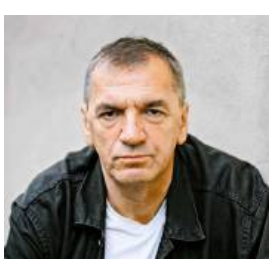

Władysław Pasikowski (ur. 1959 r.) – reżyser i scenarzysta, nakręcił m.in. „Psy", „Pokłosie", „Jack Strong" i ostatnio „Zamach na papieża". Współpracował z Wajdą przy scenariuszach do „Katynia", „Tataraku", „Wałęsa. Człowiek z nadziei", „Powidoki".

Olbrzymi sukces frekwencyjny „Psów" zaskoczył Wajdę. Co miał na myśli, mówiąc, że Pasikowski wie o polskiej widowni coś, czego on sam nie wie. Czy te słowa są nadal aktualne?

Są, tyle że dotyczą już nie mnie, ale Wojtka Smarzowskiego. Ten cytat jest zresztą manipulacją, bo wbrew ogólnej opinii nie jest pochwałą, że wiem więcej od niego. Dalsza część tej wypowiedzi raczej mówi, że aby zadowolić widownię, będę jej ulegał, a nie taka rola moja jako artysty. Tyle że ja nie jestem artystą, tylko rzemieślnikiem. Artystą to był Has, Kawalerowicz, Wajda... Polański jest.

„Od czasów Kawalerowicza Pasikowski to najzdolniejszy reżyser w polskim kinie. Myślę o zdolnościach do robienia filmów, a nie intelektualnej gotowości do podejmowania spraw i problemów" – napisał Wajda w „Notesach".

Jak zwykle, co pan Andrzej powie, to trafi w punkt. Miał taką cudowną cechę. Mówił: „Litwa, konie, ułani, piękna pogoda, słońce idzie ku zachodowi, a potem przyjdą aktorzy i wszystko to spieprzą". Ale chwaląc się niepytany: gdy obejrzał na premierze „Pokłosie", to przyszedł do mnie i powiedział, że to ostatni film szkoły polskiej. A on tę szkołę zakładał z Munkiem, więc poza opinią pani Grażyny Szapołowskiej, że jestem przystojny, nikt nigdy nie powiedział mi większego komplementu. Być może panią Grażynę źle zrozumiałem, ale na opinię pana Andrzeja mam świadków.

Jak pan pozycjonuje własne porachunki z polską tradycją i historią wobec dokonań mistrza? Czy pomysł na film o Kuklińskim zawdzięcza pan Wajdzie?

W ogóle się nie pozycjonuję przy Mistrzu. Robię długie, kolorowe, przygodowe filmy, a przynajmniej próbuję. Nie posiadam intelektualnej gotowości do podejmowania tematów tradycji i historii. Czasami coś mnie tak wkurwi albo zawstydzi, że odpuszczam komediowy ton na rzecz takiego bardziej serio. A pan Andrzej nakręcił tylko jedną komedię i to dla telewizji („Przekładaniec"), no bo „Polowanie na muchy" nie jest komedią. ■

eprasa.pl 2d9fcd4723

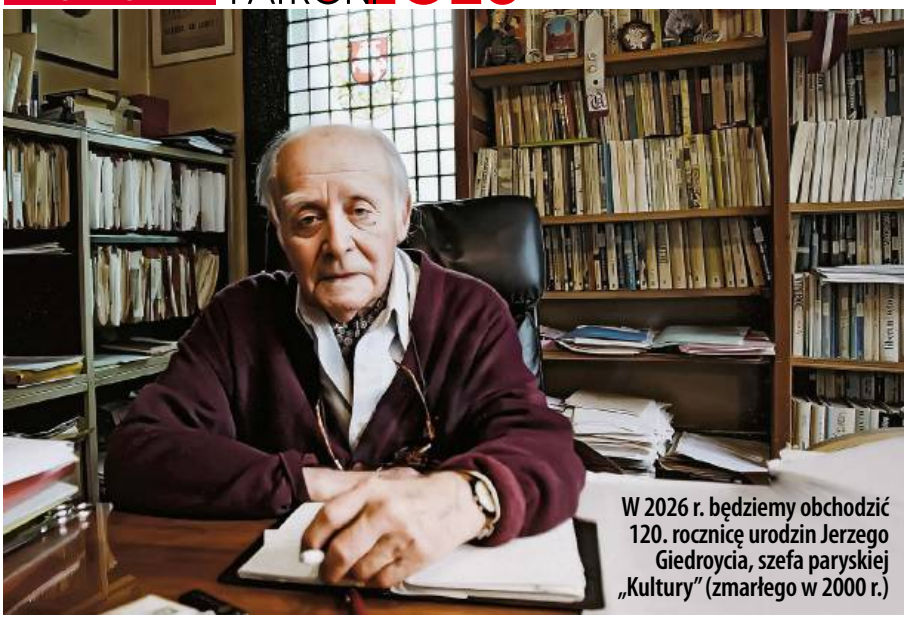

W 2026 r. będziemy obchodzić 120. rocznicę urodzin Jerzego Giedroycia, szefa paryskiej „Kultury" (zmarłego w 2000 r.)

Giedroyc: idealista realistyczny

To on jako pierwszy przekonywał, że niepodległość Ukrainy leży w żywotnym interesie Polski – mówi o Jerzym Giedroyciu historyk i filozof Krzysztof Pomian.

JAKUB HALCEWICZ: **– Jerzy Giedroyc przekonał Polaków, że Ukraina w ogóle istnieje. Z dzisiejszej perspektywy to chyba jego największy polityczny sukces?**

KRZYSZTOF POMIAN: – Oby tak było.

Ma pan wątpliwości?

Powiedziałbym ostrożniej: przekonał ważny odłam polskiej opinii publicznej, a zwłaszcza kręgów opiniotwórczych, że niepodległość Ukrainy leży w żywotnym interesie Polski.

Jak sam do tego doszedł?

Pochodził z kresów dawnej Rzeczpospolitej. Ukrainą interesował się od zawsze. Na Uniwersytecie Warszawskim chodził na zajęcia z historii Ukrainy jako jedyny Polak.

Może z wrodzonej przekory?

Też. Brało się to z właściwego mu nonkonformizmu. Miał w swoim otoczeniu osoby, także starsze i wpływowe, które usiłowały łączyć działanie na rzecz Ukrainy z utrwalaniem niepodległej Polski. Skoro nie powstała Ukraina jako sojusznik Polski w konfrontacji z Rosją sowiecką, trzeba było zdaniem Giedroycia wykorzystać szansę wynikającą z posiadania na własnym terytorium ludności ukraińskiej i prowadzić przychylną politykę wobec tej mniejszości.

Jako urzędnik państwowy Giedroyc przed drugą wojną światową ówczesną politykę krytykował.

Bo była kolonizatorska i represyjna, co skłaniało ukraińskich polityków do sprzymierzania się z mocarstwami wrogimi Polsce. A trzeba pamiętać, że Niemcy i ZSRR, acz formalnie uznały niepodległość Polski, faktycznie nigdy się z nią nie pogodziły. Przeciwnie, robiły wszystko, by ten Saisonstaat (państwo sezonowe – przyp. red.) – jak postrzegały Polskę – osłabić i zniszczyć.

Giedroyc kłócił się z narodowcami?

Model Polaka katolika, tak jak jednonarodowej i jednowyznaniowej Polski, był dla niego nie do przyjęcia. Narodowa Demokracja od początku wyobrażała sobie Polskę w sposób anachroniczny, z zachowanym w jej myśleniu skłonem ku Rosji i obawą przed Niemcami, a nawet całym Zachodem. W przekonaniu zwolenników Romana Dmowskiego cywilizacyjna wyższość Polski nad Rosją była tak oczywista, że da ona sobie z nią radę. Gdy Polska stanie się kontrreformacyjnym katolickim państwem narodu polskiego, będzie potężna i pokona wszelkie zagrożenia. To pozostało – Grzegorz Braun się kłania.

Endecki sposób myślenia wrócił?

Nigdy nie zanikł. Przechowały go przez lata PRL seminaria duchowne i – acz w postaci okrojonej i zniekształconej, ale nadal toksycznej – komitety partyjne i ich agendy.

Jak powstała idea ULB – Ukraina, Litwa, Białoruś – zakładająca umacnianie relacji z tymi krajami?

Giedroyc jako pierwszy przekonywał, że powojenne granice są nienaruszalne, nie ma co liczyć na trzecią wojnę światową. Lepiej pogodzić się z faktem, że Lwów i Wilno pozostaną poza Polską i działać na rzecz dobrej współpracy na obszarze ULB – czyli krajów dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego: Ukrainy, Litwy i Białorusi – na którym największa jest Ukraina. Ale drugim krajem, który ogniskował myślenie Giedroycia i Mieroszewskiego, były Niemcy; nastawienie było prozachodnie. Widać w tym orientację całkowicie antyendecką.

Giedroyc był Redaktorem. W kierowanych przez siebie pismach – przed wojną w „Buncie Młodych", który przekształcił się w „Politykę" (bez związków z tą powojenną – przyp. red.), a po wojnie w „Kulturze" wydawanej na emigracji – wypowiadał się głównie przez teksty swoich autorów i w listach; i pozostało ich kilkadziesiąt tysięcy. Idea ULB powstała w nieustającej wymianie korespondencji między Giedroyciem a najoryginalniejszym polskim myślicielem politycznym po drugiej wojnie światowej Juliuszem Mieroszewskim. I to on sformułował ją w „Kulturze".

W eseju „Rosyjski »kompleks Polski« i obszar ULB" z 1974 r. Mieroszewski pisał, że o wpływy w tych trzech krajach zawsze walczyły ze sobą imperializmy rosyjski i polski.

Usiłował uwzględniać kompleksy Rosjan, a oni przedstawiali Polskę jako niebezpieczeństwo i zagrożenie. Trzeba się

eprasa.pl 2d9fcd4723

z tym liczyć, ale nie ma co udawać, zwłaszcza dziś, że to Polska sama przez się jest dla Rosji zagrożeniem. Jest nim zjednoczona Europa.

Imperializm polski na obszarze ULB przybrał w II RP postać walki z mniejszościami, zwłaszcza ukraińską, z ich językami i instytucjami, nawet z ich spółdzielczością rolniczą i religiami, palono cerkwie. „Kultura" odrzucała zarówno imperializm polski, jak imperializm rosyjski. Opowiadała się konsekwentnie i zdecydowanie za niepodległością Ukrainy, Litwy i Białorusi.

Jednocześnie Giedroyc lubił bale rosyjskiej emigracji.

Kiedy tylko mógł, starał się nawiązywać kontakty z emigracją rosyjską. Pod warunkiem że była antysowiecka i nie pielęgnowała imperialnych rosyjskich tradycji. Dziś większość opinii rosyjskiej jest, niestety, antyukraińska i proputinowska.

„To, co uważam za najważniejsze, to doprowadzenie do znormalizowania stosunków nie tylko polsko-rosyjskich czy polsko-ukraińskich, ale także tych narodów między sobą" – powiedział Giedroyc w wywiadzie dla Aleksandra Smolara z emigracyjnego „Aneksu". Czy to była iluzja?

Dzisiejsze iluzje mogą jutro stać się realiami. Francja pogodziła się z Niemcami. Polska do pewnego stopnia też. Przyjdzie czas, gdy Ukraina pogodzi się z Rosją, wyleczoną z wielkorosyjskiego szowinizmu.

Oprócz idei ULB Giedroyc przekonywał do prowadzenia polityki zagranicznej ponad podziałami. Jak pisał Mieroszewski: „Wbrew tradycji, musimy nauczyć się podchodzić do zagadnień politycznych bezemocjonalnie i z postawy ponadpartyjnej. Polska jest czymś nieporównanie większym i istotniejszym niż wszystkie nasze partie". Udawało się to dość długo, do drugich rządów PiS?

I będzie udawać się ponownie, gdy rosyjskie jątrzenia zderzą się z jednomyślnym oporem wszystkich polskich sił politycznych z wyjątkiem agentury i idiotów, których mamy w nadmiarze.

Jaka była codzienność w Maisons-Laffitte?

Nigdy tam nie mieszkałem. Byłem w historii „Kultury" robotnikiem ostatniej godziny, gdy pismo istniało już blisko 40 lat. Wszyscy wstawali rano, jedli śniadanie i zabierali się do pracy. Giedroyc – do czytania, redagowania, korespondencji. Pani Zofia Hertz – do wszystkich administracyjnych spraw „Kultury" i Instytutu Literackiego. Gdy przyjeżdżał Gustaw Herling-Grudziński, siedział nad maszynopisami, czytał wszystko, prozę i poezję.

Spotykano się na obiedzie. To był moment życia zbiorowego, po którym wracano do pracy, a Giedroyc nieraz wyjeżdżał do miasta na spotkania. Państwo Zofia i Zygmunt Hertzowie prowadzili życie towarzyskie. Bo w tym wszystkim umiano się bawić. Przyjęcia bywały epickie. Na Boże Narodzenie i Wielkanoc zapraszano część polskiego Paryża (była też część, która „Kultury" nie znosiła). W domu mieszkali też Józef Czapski, który z biegiem lat skupił się głównie na malarstwie, i jego siostra, historyczka literatury Maria Czapska. Stałym gościem był Konstanty Jeleński.

Redaktor mówił o sobie „zwierzę polityczne", ale skupił wokół kulturalny mikrokosmos.

To zwierzę polityczne było zauroczone literaturą. Młody Giedroyc ociera się o Boya, Witkacego, jako urzędnik wysyła Gombrowicza do Argentyny. Jego przedwojenne kontakty zaprocentowały na emigracji. Straszewicz, Gombrowicz, Miłosz – cały ten literacki świat odnalazł się w „Kulturze" i wydawnictwach Instytutu Literackiego.

Miał szósty zmysł do znajdowania literackich zjawisk (a w przyciąganiu ich rolę odgrywał Kot Jeleński). Był wyczulony na nowe talenty, takie jak Hłasko czy Studencki Teatr Satyryków. Rymkiewicz publikował w Instytucie Literackim, nim zawędrował w inne strony.

Giedroyc miał obsesję niezależności?

Dla „Kultury" jako pisma emigracyjnego było niezwykle ważne, żeby nie dać się zaszufladkować. Nie reprezentowała żadnego odłamu emigracji ani żadnego sponsora. Maria Dąbrowska napisała o „Kulturze", że jest parlamentem myśli polskiej. Giedroyc wyznaczał granice, ale były bardzo szerokie. Gdyby nie silne poczucie niezależności, nie drukowałby Gombrowicza ani Miłosza.

Krzysztof Pomian (lat 92) – historyk, filozof i eseista, w latach 2000–18 dyrektor naukowy Muzeum Europy w Brukseli. Opracował „Autobiografię na cztery ręce" Jerzego Giedroycia. Ostatnio wydał w trzech tomach „Muzeum. Historię światową".

Zastanawiam się, czy skandal publikacji „Trans-Atlantyku" Gombrowicza jest nadal zrozumiały.

Wyobraźmy sobie: 1953 r., sytuacja poklęskowa, polska emigracja żyje nadzieją na trzecią wojnę światową i powrót do kraju, kultywowane są wszystkie tradycje narodowe, a świadomość, że świętości nie należy szargać, jest niesłychanie mocna. I nagle pojawia się „Trans-Atlantyk", który nie tylko nie gloryfikuje czynu zbrojnego, lecz także przedstawia Polaków w nienajlepszym świetle. Ta prezentacja polskości wywołała szok – „na co on sobie pozwala???".

A w czym Giedroyc się mylił?

Sam mówił o przecenieniu znaczenia wydarzeń Października '56 i Władysława Gomułki. Akurat ja należę do tych, którzy uważają, że udzielenie mu wtedy kredytu zaufania błędem nie było. Widziałem w kraju, jak w pewnym momencie został uznany za bohatera narodowego, a kobiety chciały oddawać mu pierścionki (czym ascetyczny i nieufny Gomułka był osobiście przerażony). Zresztą Giedroyc wycofał ten kredyt bardzo szybko. Można bez trudu znaleźć sytuacje, kiedy nie wyczuwał kraju i po namyśle zmieniał zdanie. Ale w kilku punktach miał bezwzględnie rację. Jeśli chodzi o robotników i Solidarność, okazał się pionierem – i w końcu przyznał mu rację nawet Stefan Kisielewski, z którym się wykłócał. Polskie życie polityczne śledził do końca uważnie. Potrafił być krytyczny wobec posunięć władz Polski. To była jego cecha przyrodzona.

Wielu pisało, że miał temperament, w listach kwitował ludzi ostro – czy sprawiedliwie?

Tylko Bóg jest sprawiedliwy.

Co by nam powiedział dziś, widząc wojnę w Ukrainie, prezydenta radykała i antyliberalne tendencje w krajach zachodnich?

Że ma ochotę wypisać się z tego narodu i z tego Zachodu. Dziś trzeba rozumieć jedno: jeśli się nie jest po stronie Ukrainy, jest się po stronie Rosji. ■

© JERZY RUCIŃSKI/PAP, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI/FORUM

eprasa.pl 2d9fcd4723

W 2026 r. będziemy obchodzić 125. rocznicę urodzin Mieczysława Fogga, wybitnego śpiewaka (zmarłego w 1990 r.)

Fogg: głos każdego

Najwięcej do polskiej kultury wniósł po wojnie, stając się symbolem, reprezentował zupełnie inne czasy – mówi Jan Emil Młynarski, muzyk i popularyzator polskiej estrady.

MIROSŁAW PĘCZAK: **– W moim pokoleniu Mieczysław Fogg uchodził za uosobienie archaicznej, piosenkarskiej konserwy. Sam się dziwię, ile musiało się zmienić, bym mógł z uwagą wsłuchiwać się w twojego „Pieśniarza Warszawy", płytę hołd dla Fogga…**

JAN EMIL MŁYNARSKI: – Myślę, że gdybym należał do pokolenia bigbitu albo muzycznej nowej fali, myślałbym o Foggu podobnie jak ty. Też o Foggu jako o symbolu, nie tylko jako o artyście. Sporo o tym kiedyś rozmawiałem z ojcem. Bo mnie, kiedy byłem nastolatkiem, Fogg też strasznie mierził. Ale zaistniał pewien paradoks, że dla chłopaka urodzonego w 1979 r., zdającego do liceum w 50. rocznicę powstania warszawskiego, kiedy powstańcy mają po 70 lat, są ludźmi jeżdżącymi samochodami, po prostu czynnymi obywatelami, Fogg, który śpiewa tym barytonem piosenki, i wiedza o nim wyniesiona z domu budowały obraz kogoś bardzo ważnego w historii okupacyjnej, powstańczej. Wiedziałem o tym, kim był, jakich dokonał wyborów, jednocześnie znałem jego styl wykonawczy, który wtedy rozmijał się z moim gustem. Szczerze mówiąc, to nie jest mój ulubiony śpiewak przedwojenny.

Sam chyba nie zaczynałeś od zainteresowań varsavianistycznych i od uwielbienia dla Fogga?

Oczywiście, że nie. Mówiłem o tym nieraz, że Warszawa z jej różnymi charakterystycznymi atrybutami szła równolegle. Jakbyś zapytał moich kolegów, którzy znają mnie od dziecka, to potwierdziliby, że Grzesiuka śpiewałem zawsze, i dopiero jak miałem dwadzieścia kilka lat, namówiono mnie, żeby to robić publicznie. Czyli nie tylko perkusja, zafascynowanie muzyką świata. Ważna była też audycja radiowa w Trójce „Dancing, salon, ulica" (teraz nazywa się „Salon, ulica, dancing"), którą zacząłem robić w 2018 r. i która była poświęcona przedwojennej muzyce polskiej.

À propos salonu. Parę lat temu na koncercie w Elblągu przy okazji Ogrodów POLITYKI mówiłeś ze sceny, że pozazdrościłeś przedwojennym muzykom elegancji…

I cały czas im tego zazdroszczę. Rozmawiamy dwa tygodnie po historycznym wydarzeniu – otóż po paru latach starań udało nam się zrealizować razem z aktorem Maciejem Musiałem dancing w warszawskim hotelu Bristol. Ja znam historię dancingów w Bristolu, bardzo długą, bo rozpoczętą w latach 20., po wojnie reaktywowaną. Notabene na dancingu w Bristolu poznali się moi rodzice. No, a teraz zagrała moja orkiestra taneczna, która wykonuje repertuar orkiestr jazzowych z lat 1945–49. I to jest odpowiedź na twoje pytanie – to się bierze z tej zazdrości, z tego, żeby sobie stwarzać warunki, w których możesz zagrać taką muzykę i się tak ubrać. A jaki to ma efekt społeczny, to już inna sprawa.

Przedwojenny Fogg też był wzorem elegancji, ale chyba też dobrym przykładem głównych tendencji ówczesnej estrady. Jak jego twórczość i talent pasowały do tamtej kultury muzycznej, tej warszawskiej i tej światowej?

Pasowały idealnie, jak klocki Lego. Mieczysław Fogg został gwiazdą właściwie przypadkiem. Od najmłodszych lat chodził na chór na Starówce, potem był kasjerem w PKP, a śpiewanie to było jego hobby. Chodził na ten chór do kościoła Najświętszej Marii Panny, śpiewał na mszach itd. I pojawiła się w pewnym momencie w Warszawie wybitna postać muzyki rozrywkowej – Władysław Daniłowski ps. Dan. Genialny kompozytor. Jak sam pisze w swoich wspomnieniach – już podpisanych jako Walter Dana, żyjący w Ameryce – rozglądał się po warszawskich lokalach, rewiach, na akademii muzycznej, bo chciał założyć zespół rewelersów. I trafił na tego Fogiela. Wtedy późniejszy Fogg dostał się do Chóru Dana.

Ciekawy był debiut tego chóru. W latach 20. najważniejszym miejscem na popkulturowej mapie Warszawy był kabaret Qui Pro Quo. To był kabaret literacki na najwyższym poziomie. Za każdy segment oferty artystycznej odpowiadali tam najlepsi fachowcy. Za literaturę Tuwim z Hemarem, za muzykę Iwo Wesby, znakomity kompozytor, potem najbliższy przyjaciel Fogga. Bilety do tego kabaretu były drogie, tonął w długach, więc trzeba było cały czas zdobywać publiczność.

eprasa.pl 2d9fcd4723

I w pewnym momencie wymyślili taką atrakcję: wystąpi zespół z Ameryki Południowej Coro Argentino Dano. Dan kazał się tym swoim śpiewakom wyuczyć fonetycznie po hiszpańsku, zrobili taki show – niby byli z Argentyny, ale poprzebierani w stroje meksykańskie – i wśród nich był Fogg. I recenzenci już następnego dnia rozpływali się w zachwytach nad tymi fantastycznymi egzotycznymi gośćmi zza oceanu. A to był Chór Dana. I później oni zostali stałymi rezydentami tego kabaretu. No i zaczęli nagrywać płyty, kooperować jako chór z różnymi artystami.

A Fogg wychodził na pierwszy plan?

Był barytonem, najlepiej słyszalnym i zaczął „wybijać się na niezależność". A chór był niezwykle popularny, odbywali długie trasy, m.in. świetnie przyjęte tournée po USA, gdzie nie grali wyłącznie dla Polonii i zapełniali sale! Fogg ma wspaniałe zdjęcia z tego tournée. Zaczął nagrywać solowo w latach 30. Wówczas byli dostarczyciele piosenek dla wytwórni i one były śpiewane przez różnych wykonawców, ale Fogg miał to szczęście, że był pierwszym wykonawcą danej piosenki. I jako pierwszy nagrał dla wytwórni Syrena utwór „Ta ostatnia niedziela", a traf chciał, że to tango czy „Tango Milonga" zdobywały wielką popularność. W każdym razie Fogg w bodajże 1936 r., mając już niemało lat, został wybrany w plebiscycie Polskiego Radia na najpopularniejszego śpiewaka.

I tu pojawia się pytanie: dlaczego on? Śpiewaków wtedy było kilku fantastycznych. Wokalnie, od tej fachowej strony, dużo lepszych od Fogga. Choćby Adam Aston. On był rzeczywiście najlepszy. Nie nagrał złej piosenki, a łącznie było ich 960! Miał przecudowny głos, nieprawdopodobnie wyszkolony i bardzo nasiąknięty emocją. Był z pewnością największym śpiewakiem, ale był Żydem. Być może to osłabiało jego pozycję w odbiorze polskiej publiczności. Był jeszcze Stefan Witas, który miał piękny głos, wychodzący jeszcze z tradycji operetkowej. Był bardzo popularny, ale nie aż tak jak Fogg. Po prostu Fogg miał to coś. No i był everymanem. Ludzie kupowali jego płyty i mogli się z nim identyfikować.

Czy Fogg wniósł coś oryginalnego do idiomu polskiej piosenki?

Zabiją mnie, ale powiem. Uważam, że nie. Z muzycznego punktu widzenia niewiele było w tym oryginalności. Ale najwięcej wniósł po wojnie, stając się symbolem.

Czy ta jego powojenna popularność brała się z dystansu do peerelowskiej siermiężności, z nostalgii za Polską przedwojenną, już wtedy mitologizowaną?

Tak się po prostu ułożyły gwiazdy i taka była wola Fogga, by konsekwentnie podążać za życiowymi wyborami. W czasach powojennych stał się symbolem, dyżurnym „panem od przedwojny". Sytuacja była taka: Adam Aston za granicą, Tadeusz Faliszewski, uwielbiany przed wojną – w Ameryce, Albert Harris też za granicą. Owszem, są nowi śpiewacy lansowani po wojnie, jak Tadeusz Miller, największy chyba rywal Fogga, bo miał podobny głos. Ale w 1947 r. zabił się na motocyklu.

No to został Fogg, a ludzie pamiętali jeszcze jego kartę okupacyjną i powstańczą oraz tużpowojenną. Tego nie wolno pominąć. Ja bym przywołał scenę, która zrobiła na mnie ogromne wrażenie. To jest to, co przeważa nad jego warunkami wokalnymi. Oto masz Mieczysława Fogga, który w latach 30. nie może przejść po ulicy, bo wszyscy wiedzą, kto to jest. Wybucha wojna i masz w pierwszych dniach września wielkie składy kolejowe zapełnione żołnierzami jadącymi na front, który zaraz upadnie. Tę scenę wspomina Hanka Ordonówna – jest 4, 5 września, lecą na Warszawę bomby, w pociągach żołnierze, którzy nie wiedzą, co ich czeka. Fogg wpada na pomysł, żeby zadzwonić po Ordonkę i dać na peronie Dworca Głównego improwizowany koncert. Mówi: weźmy akordeonistę, chodźmy po peronie i śpiewajmy dla tych żołnierzy. I Fogg przez całą wojnę tak się zachowywał. W czasie powstania warszawskiego miał zadanie wyznaczone przez powstańczy Departament Informacji i Propagandy, żeby śpiewać po podwórkach, ulicach, w auli politechniki. A od razu po wojnie startuje Cafe Fogg, kawiarnia wśród ruin. A następnym przedsięwzięciem jest Fogg Record, wytwórnia płytowa, założona w mieszkaniu na Koszykowej, która oczywiście została zamknięta, skonfiskowana w 1949 r., ale on do tego czasu zdążył wydać masę płyt. Teraz te płyty, z etykietą „Fogg Record", kosztują kupę szmalu.

Jan Emil Młynarski (ur. 1979 r.), syn Wojciecha Młynarskiego – wokalista, multiinstrumentalista, kompozytor i popularyzator muzyki, głównie tej międzywojennej. Członek wielu formacji, w tym Warszawskiego Combo Tanecznego czy Jazz Bandu Młynarski-Masecki. Pod szyldem Młynarski-Masecki Jazz Camerata Varsoviensis wydał w 2018 r. album „Fogg. Pieśniarz Warszawy".

Jak doszło do powstania tej wytwórni?

Wspomniany Iwo Wesby, wyprowadzony z getta warszawskiego przez Fogga i przezeń ukrywany (za co Fogg dostał medal Sprawiedliwy wśród Narodów Świata), załatwił odpowiedni sprzęt. Był już wtedy w Ameryce, namawiał Fogga, by on też tam przyjechał, ale Fogg wolał być w kraju. Na pytanie, czego by potrzebował, odpowiedział, że chciałby nagrywać płyty. No i Wesby za duże pieniądze mu to załatwił. Po tym to się wszystko skończyło, ale przyszedł 1956 r., nowe czasy, postać Fogga znów stała się ważna. Godna podziwu jest ta jego powojenna aktywność.

A może było tak, że te piosenki ciągle można było słyszeć w radiu, bo nie miały w sobie niczego kontrowersyjnego, nikomu nie zawadzały?

Oczywiście, że tak. Fogg reprezentował zupełnie inne czasy, tamten mainstream, pytanie, czy było wtedy coś innego? Szukaliśmy z Marcinem Maseckim jakichś śladów polskiej przedwojennej awangardy muzycznej, ale niewiele znaleźliśmy. Owszem, byli tacy artyści jak Franciszek Witkowski, Ady Rosner, ale akurat Fogg nie był w tej orbicie. Możemy powiedzieć, że po wojnie Fogg się nie rozwijał, aczkolwiek ciekawe są te jego próby nawiązania do muzycznej współczesności, np. nagrania firmowane jako Mieczysław Fogg i Baby Jagi. Mamy wtedy bigbit w Polsce i mamy Fogga, który zbliża się do siedemdziesiątki. On szuka nowych piosenek, ale też nie może się rozstać z tym starym, bierze ten nowy zespół złożony z pięknych lasek i jest to jakby bigbitowe, no ale z dzisiejszej perspektywy może się wydać dziwaczne. Fogg przychodził do nas do domu, mama go uwielbiała, ojciec się trochę podśmiechiwał – o, pan Mieczysław, znowu pachnie naftaliną – ale bardzo go lubili i szanowali. ■

© HENRYK ROSIAK/FORUM, FORUM

eprasa.pl 2d9fcd4723

Niekończący się koniec

Zaplanowany na sylwestra finałowy odcinek **„Stranger Things”** nie oznacza rozstania się z serialowym światem. W czasach recyklingu, handlu nostalgią i walki streamingowych potęg nie ma miejsca na pożegnania.

JAKUB DEMIAŃCZUK

Gra planszowa „Dungeons and Dragons”, wersja: „Stranger Things”

Nieważne, jak zakończy się ostateczne starcie Jedenastki z Vecną, kto wyjdzie z niego zwycięsko, a kto nie przetrwa. Nie ma znaczenia, czy Hawkins wróci do dawnego małomiasteczkowego rytmu życia, czy może legnie w gruzach na skutek apokaliptycznego pojedynku. Bo cokolwiek wydarzy się w finałowym epizodzie „Stranger Things”, i tak nie będzie to ostatnie spotkanie widzów z Jedenastką i jej przyjaciółmi.

Piąty sezon serialu stworzonego przez braci Matta i Rossa Dufferów z miejsca stał się hitem: w ciągu pięciu dni zanotował 59,6 mln odsłon, co uczyniło go w tej kategorii najpopularniejszą anglojęzyczną

eprasa.pl 2d9fcd4723

produkcją Netflixa (lepsze otwarcie zanotowały jedynie drugi i trzeci sezon „Squid Game"). A serwisy streamingowe – jeszcze wcześniej zaś stacje telewizyjne – już dawno przyzwyczaiły nas do tego, że nie rezygnują tak łatwo z tytułów, które przynoszą zyski. Główny wątek dobiegł końca? Od czego są kontynuacje, prequele i spin-offy, nie mówiąc już o wszelkich innych tekstach kultury, takich jak komiksy, książki, gry wideo i planszowe. Franczyza musi żyć, przynajmniej dopóki się to opłaca.

Co jest

„Stranger Things" można postawić w jednym szeregu z takimi przebojami jak „Gra o tron" i „The Walking Dead". Oba doczekały się niezliczonych tekstów pobocznych, zarówno kanonicznych (czyli stanowiących spójną całość z serią podstawową), jak i apokryficznych (czyli takich, które należy odbierać jako alternatywne wersje wydarzeń). O ile jednak te seriale miały swoje źródła literackie („Gra o tron" oparta była na powieści George'a R.R. Martina, „The Walking Dead" – na serii komiksów Roberta Kirkmana), o tyle „Stranger Things" jest produktem oryginalnym. Od dawna, być może od czasów „Z archiwum X", nie było serialu o tak dużym zasięgu, wychodzącym daleko poza grupę potencjalnych odbiorców i dyskutowanego na tak wielu poziomach.

Oczywiście „oryginalny" to określenie w jakimś stopniu dyskusyjne, bo serial o dzieciakach z miasteczka Hawkins w stanie Indiana został w zasadzie zbudowany w całości z zapożyczeń, cytatów, trawestacji. Spotkał się z tak entuzjastycznym odbiorem, bo chyba każdy był w stanie zidentyfikować przynajmniej część z nich, a co ważniejsze – odnieść je do własnych doświadczeń popkulturowych z czasów dorastania.

Kultura masowa ma skłonności, by na takich opowieściach żerować latami. Zapewne „Stranger Things" nigdy nie stanie się fenomenem na miarę Sherlocka Holmesa, Jamesa Bonda, „Gwiezdnych wojen" czy „Harry'ego Pottera", ale na razie – by sparafrazować mistrza Yodę – moc jest w nim silna. Kto skupiał się wyłącznie na kolejnych sezonach serialu, mógł przegapić, że „Stranger Things" doczekał się: kilkunastu książek (część z nich została przetłumaczona na polski), paru serii komiksowych, w tym crossoveru z Wojowniczymi Żółwiami Ninja, kilku gier wideo, a nawet specjalnej wersji gry fabularnej „Dungeons & Dragons", co już kieruje odbiorców w stronę jakiejś popkulturowej incepcji – w końcu oryginalna edycja „D&D" była jedną z podstawowych inspiracji dla scenariusza serialu. To przy tej grze czas spędzali młodzi bohaterowie w pierwszym sezonie, zanim na głowy spadły im wszelkie nadnaturalne kłopoty.

Powstał również spektakl „Stranger Things: The First Shadow", prequel opowiadający historię Victora Creela, zanim jeszcze zmienił się w złowieszczego Vecnę. Reżyserował Stephen Daldry, a więc znacząca postać w świecie kina i teatru, trzykrotnie nominowany do Oscara, m.in. za „Billy'ego Elliota". O rozmaitych gadżetach kolekcjonerskich związanych ze „Stranger Things", na czele z limitowaną edycją zestawów Lego, warto wspomnieć jedynie dla porządku.

W osobnej kategorii należałoby natomiast umieścić wszystko, co powstało już na fali sukcesu serialu, gdy producenci przypomnieli sobie, jak wielkie możliwości tkwią w filmach i serialach niby dla młodzieży, ale realizowanych w nostalgicznej tonacji, żeby przyciągały również widzów w wieku 40+, tęskniących za emocjami, jakie przed laty dawały im „E.T.", „The Goonies" i „Pogromcy duchów". Bez „Stranger Things" być może nie powstałaby nowa ekranizacja „To" Stephena Kinga (jedną z głównych ról grał zresztą znany z serialu Netflixa Finn Wolfhard) oraz prequelowy serial „To: Witajcie w Derry". Być może Netflix nie zdecydowałby się powierzyć Timowi Burtonowi nadzoru nad serialem „Wednesday" – inspirowanym komiksami o rodzinie Addamsów – który okazał się jednym z większych hitów serwisu.

Stephen King, pisząc powieść „Instytut" o dzieciach obdarzonych nadnaturalnymi mocami, niekoniecznie musiał myśleć o „Stranger Things" (miał przecież w dorobku kilka opartych na podobnym koncepcie książek). Ale już serialowa adaptacja „To" szybko została skierowana do produkcji, także dlatego, że niemal każdy liczący się serwis streamingowy chciał uszczknąć choć kawałek tego tortu i mieć opowieść w tym stylu. Podobnie zrobił Amazon, zlecając realizację serialu „Paper Girls" (na podstawie komiksu Briana K. Vaughana) o grupie nastoletnich dziewcząt, które trafiają w środek starcia między zwalczającymi się grupami podróżników w czasie. Żaden z tytułów, poza „Wednesday", nie zbliżył się choćby odrobinę popularnością do „Stranger Things". Co nie znaczy, że nie będą podejmowane kolejne próby zdyskontowania sukcesu serialu braci Dufferów.

Spektakl „Stranger Things: The First Shadow"

Co będzie

O spin-offach serialu mówi się oficjalnie przynajmniej od premiery czwartego sezonu. Większość plotek to pobożne życzenia fanów lub spekulacje samych gwiazd. Maya Hawke, grająca zadziorną Robin, która prowadzi w Hawkins lokalny radiowęzeł, w jednym z wywiadów mówiła, że jest otwarta na kontynuację poświęconą jej postaci, pod warunkiem że zagra z nią jej ekranowy kolega Joe Keery (ekranowy Steve). Tyle że – jak zastrzegała – żadne z nich na tym etapie nie wiedziało, czy ich postaci w ogóle przeżyją do końca serialu.

Bracia Dufferowie dość otwarcie mówili o aktorskim spin-offie, który miałby ▶

© NETFLIX, MATERIAŁY PRASOWE, MANUEL HARLAN

eprasa.pl 2d9fcd4723

▶ być poświęcony zupełnie innym bohaterom i wydarzeniom. I niekoniecznie miałby nawet rozwijać ten sam świat. „Zrobiliśmy wszystko, co chcieliśmy, z Demogorgonami, Łupieżcą Umysłów, Vecną, Drugą Stroną, Hawkins i tymi postaciami. To kompletna historia. Skończona" – tłumaczył Matt Duffer w rozmowie z branżowym magazynem „Variety". Podkreślał, że „Stranger Things" jest pod względem konstruowania świata czymś zupełnie innym niż „Gwiezdne wojny", a potencjalny spin-off miałby być raczej wykorzystaniem marki i stylu opowiadania: „Dzieciaki, przygody, science fiction/fantasy, a nie ciągłe rozbudowywanie czegoś, co mogłoby wreszcie stać się ekstremalnie złożoną mitologią". Ross natomiast zapowiadał, że ewentualne dalsze produkcje spod szyldu „Stranger Things" będą miały jakieś drobne elementy łączące je w całość, ale każda będzie odrębną opowieścią.

Pierwszy spin-off będzie jednak ściśle związany z podstawową serią. Animowany „Stranger Things: Tales from '85" (premiera zapowiedziana już na 2026 r.) ma skupiać się na losach Jedenastki i jej przyjaciół walczących z nowym nadnaturalnym przeciwnikiem. Akcja rozgrywa się w 1985 r., między wydarzeniami drugiego i trzeciego sezonu. Dufferowie i showrunner nowego serialu Eric Robles podkreślali, że animacja daje nowe możliwości narracyjne, a przede wszystkim pozwala na nieskończone przedłużanie młodości bohaterów (w dubbingu nie pojawią się zatem aktorzy znani z serialu, ale zupełnie nowe głosy).

Dodatkowo w kwietniu 2026 r. wygasa kontrakt Dufferów z Netflixem, a bracia przechodzą z nowymi projektami pod skrzydła Paramountu (co przy obecnej wojnie obu korporacji, w której stawką jest studio Warner Bros., dodaje całej sytuacji pikanterii). A wtedy Netflix, bez artystycznego nadzoru twórców serialu, będzie mógł ze „Stranger Things" zrobić prawdopodobnie znacznie więcej – choć niekoniecznie lepiej. Jeśli będzie zapotrzebowanie ze strony widzów, twórcy kolejnych produkcji będą mogli przywrócić na ekran dowolne postaci. O ile nie zakazują tego jakieś szczegółowe zapisy w kontrakcie. Choć korporacja, która jest w stanie wyłożyć prawie 83 mld dol. na przejęcie potężnego studia filmowego, raczej nie będzie przejmować się takimi drobiazgami – kupić można wszystko.

Ostateczna decyzja o przejęciu Warner Bros. (a w związku z tym m.in. także stacji HBO oraz serwisu streamingowego HBO Max) może wpłynąć również na losy konkurencyjnych produkcji. Pierwszy sezon serialu „To: Witajcie w Derry" niedawno się zakończył. Jego twórca Andy Muschietti od początku mówił, że ma plan rozpisany na dwie kolejne serie, których akcja ma rozgrywać się odpowiednio w 1935 i 1908 r., by w pełni opowiedzieć historię morderczego klauna Pennywise'a.

Do połowy grudnia oficjalna decyzja o kontynuacji jednak nie zapadła, a jeśli streamingowy gigant dostanie zgodę na zakup Warnera – w grze wciąż jest Paramount, oferujący akcjonariuszom agresywne przejęcie studia za ponad 100 mld dol. – to być może Ted Sarandos, szef Netflixa, wywróci większość planów do góry nogami, tylko po to, by pokazać, kto tu rządzi. W tej rozgrywce stawką jest przyszłość Hollywood – niektórzy komentatorzy twierdzą, że nawet samego kina – zatem losy fikcyjnych miasteczek Hawkins i Derry wydają się w tym kontekście trzeciorzędne.

Co może być

Puśćmy na chwilę wodze fantazji. Załóżmy, że umowa Netflixa z Warnerem została przyklepana (ku rozpaczy zagorzałych kinomanów). Nic nie stałoby wtedy na przeszkodzie, by „Stranger Things" połączyć z innymi popularnymi franczyzami. Jedenastka i Wednesday na wspólnej przygodzie? Scooby-Doo i jego kumple pomagają rozwiązać paranormalne zagadki w Hawkins? Superman walczy z Demogorgonami? Hopper jedzie do Derry, by stanąć oko w oko z Pennywise'em? Dlaczego nie, wszystkie (komercyjne) chwyty dozwolone. (Panie Sarandos, tantiemy proszę przesyłać na moje konto).

Choć same pomysły brzmią absurdalnie, to szlaki przecierał przecież m.in. Disney, który ma w swoim portfolio kilka bardzo dochodowych franczyz, dzięki czemu jego animatorzy mogli np. połączyć rodzinę Simpsonów z bohaterami „Gwiezdnych wojen", „Avengersów", „Małej syrenki" czy gry wideo „Fortnite". Niewykluczone, że w najbliższych latach czeka nas niemal wyłącznie nieustający recykling już nawet nie tematów i zjawisk, lecz konkretnych tytułów. To choćby przypadek „Harry'ego Pottera": od premiery ostatniej części ekranizacji minęło niespełna 15 lat, a prace nad nową, tym razem serialową adaptacją książek J.K. Rowling już dawno ruszyły pełną parą.

Pracując nad „Stranger Things", bracia Dufferowie bardzo umiejętnie wykorzystali nostalgię za latami 80., nawet jeśli sami – urodzeni w 1984 r. – poznawali ówczesną popkulturę raczej retrospektywnie. „Ejtisowa" fala przetoczyła się już przez kina i serwisy streamingowe, przynosząc m.in. kolejne części „Pogromców duchów", „Top Gun" i „Gliniarza z Beverly Hills". W popkulturze wróciły też, choć z mniejszym przytupem, lata 90., m.in. w postaci rebootu „Bajera z Bel Air" czy „I tak po prostu" (kontynuacji „Seksu w wielkim mieście"). A także – filmu „W blasku ekranu" w reżyserii Jane Schoenbrun, czerpiącego inspirację m.in. z serialu „Buffy, postrach wampirów" (który też zresztą doczeka się rebootu). Nad nową wersją „Z archiwum X" pracuje zaś Ryan Coogler, twórca „Czarnej Pantery" i „Grzeszników".

Zetki nadciągają

Ale do zawodu powoli wkraczają zetki, pokolenie artystów i artystek urodzonych pod koniec lat 90. Wspomniany wcześniej gwiazdor „Stranger Things" Finn Wolfhard (rocznik 2002) ma już na koncie debiut reżyserski, zrealizowany wspólnie z Billym Brykiem horror „Piekielne wakacje" – inspirowany z jednej strony filmami z lat 80., a z drugiej „Wysypem żywych trupów" z 2004 r. Do jakich wspomnień z dzieciństwa będą odwoływać się w swoich filmach i serialach rówieśnicy Wolfharda? Czy da się wywołać nostalgiczną falę za przebojami z przełomu wieków, takimi jak „Lost. Zagubieni", „Jezioro marzeń" czy „Veronica Mars"?

Młodzi ludzie – których dzieciństwo upłynęło w czasach politycznego i ekonomicznego niepokoju, między atakami na World Trade Center i prowadzoną przez administrację Busha wojną z terroryzmem a potężnym kryzysem finansowym wywołanym upadkiem banku Lehman Brothers – zaczynają kariery w okresie jeszcze większych globalnych napięć. To, co będą chcieli opowiedzieć światu – także przez pryzmat własnych popkulturowych doświadczeń – może okazać się bardzo odświeżającym spojrzeniem na świat. Oczywiście, o ile w medialnej rzeczywistości, w której rozrywkowi giganci okładają się czekami na miliardy dolarów, a generowane za pomocą sztucznej inteligencji treści zaczynają dominować w medialnym przekazie, w ogóle będzie jeszcze miejsce dla nowych twórców.

JAKUB DEMIAŃCZUK

eprasa.pl 2d9fcd4723

Polak w Japończyku

Wtedy wszyscy jechali do Paryża. Do Polski nikt nie przyjeżdżał. Ale może ja chciałem z Japonii po prostu uciec? – mówi Kōji Kamoji, artysta tworzący od ponad 60 lat w Warszawie.

Kōji Kamoji (ur. 1935 r.) – malarz, twórca instalacji, który od 1959 r., gdy przyjechał na studia na warszawskiej ASP, mieszka i działa w Polsce. Laureat licznych nagród i ważna postać naszego środowiska artystycznego, wnosi do polskiej sztuki lapidarność i tworzy prace wpisujące się w kontekst określonych przestrzeni.

© WOJCIECH PACEWICZ/PAP

ALEKSANDER ŚWIESZEWSKI: **– W wieku 90 lat doczekał się pan właśnie pierwszej indywidualnej wystawy w Japonii, swej ojczyźnie.**

KŌJI KAMOJI: – Dla mnie to było bardzo, bardzo ważne. W Japonii brałem udział w kilku wystawach grupowych. „By rzeczy zbędne nie przysłoniły całości" to rzeczywiście pierwszy pokaz indywidualny. Na wernisaż przyszło dużo ludzi i było prawdziwe zainteresowanie. W końcu mieszkam poza krajem od ponad 60 lat. Muzeum WATARI-UM znajduje się bardzo blisko mojego dawnego domu. Mieszkałem w nim jako nastolatek już po wojnie. Można przejść z jednego miejsca w drugie piechotą. Może kilometr drogi. W skali Tokio to naprawdę nie jest oczywiste.

Samą wojnę spędził pan w Tokio?

Zostaliśmy ewakuowani. Mieszkałem poza Tokio, na północy Japonii.

Ciekaw jestem, czy pamięta pan dzień ataku na Pearl Harbor? Miał pan wtedy sześć lat.

Akurat o tym ataku japońskich wojsk dowiedziałem się później. Bardziej za to pamiętam inną datę.

6 sierpnia 1945 r.?

Hiroszima... Miałem wtedy 10 lat. Słyszeliśmy, że na miasto spadła dziwna bomba, która się nazywała „pikadon". Nazwa jest zbitką dwóch wyrazów. „Pika" to błysk, a „don" głośny dźwięk. Co tam się dokładnie stało, też dowiedziałem się dopiero później.

Po wojnie wrócił pan jednak do Tokio.

Opuściliśmy prefekturę Yamagata i wracaliśmy pociągiem. Jego okna były zasłonięte. Pamiętam jednak ruiny i spalone budynki. To był 1946 r. Nasz przedwojenny dom przetrwał naloty i nie został zniszczony. Mam z nim związane inne wspomnienie. Kiedy byłem już dorosłym człowiekiem i po kilkudziesięciu latach wróciłem do odmienionego Tokio, zauważyłem, że jedna rzecz się w okolicy nie zmieniła: układ ulic. Tak po dziecinnemu chodziłem i na pamięć trafiłem do domu, gdzie mieszkałem lata wcześniej. Wszystko się zmieniło wokoło, ale ulice zostały te same.

Jakie są pana pierwsze wspomnienia związane z Polską, krajem zapewne egzotycznym z japońskiej perspektywy?

Pierwszy raz usłyszałem o nim od mojego wujka Ryōchū Umedy. Był starszym bratem mamy. Trafił do Polski na początku lat 20. Około 100 lat temu. Pojechał na studia do Berlina i po roku przybył do Warszawy. Na pokładzie statku poznał Polaka ▶

eprasa.pl 2d9fcd4723

▶ Stanisława Michowskiego. Panowie się zaprzyjaźnili. Wujek później pracował na Uniwersytecie Warszawskim i uczył japońskiego. W 1939 r. został ewakuowany przez rząd japoński i spędził wojnę na Bałkanach, w Bułgarii. Opowiadał mi o Polsce od najmłodszych lat. W liceum często jeździłem do niego na wieś, gdzie mieszkał.

Czyli decydujący wpływ na pana losy miał wujek Ryōchū Umeda?

Tak. Choć on sam do Polski już nigdy nie wrócił.

Pan za to w 1959 r. podjął decyzję, żeby z kapitalistycznej Japonii pojechać do komunistycznej Polski. Dlaczego krótko po ukończeniu studiów młody tokijski artysta wybrał Warszawę?

Wtedy wszyscy jechali do Paryża. Nadal był światowym centrum sztuki. Do Polski raczej nikt nie przyjeżdżał.

No właśnie, kierunek był raczej odwrotny.

Decyzja wynikała pewnie z jakiejś przekory. Trudno powiedzieć, dlaczego akurat Polska. Może chciałem z Japonii po prostu uciec?

Wyjechał pan z Tokio, które już wtedy było największym miastem świata. Warszawa musiała się na tym tle wydawać mała...

Nie było aż takiej różnicy. Japonia była wtedy biedna i Polska biedna. Polska jeszcze biedniejsza!

Proszę opowiedzieć o tamtej podróży.

Z Japonii popłynęliśmy do Korei. Następnie statek płynął do Szanghaju. Byłem tam 1 maja. Patrzyłem z pokładu i byłem zdziwiony. Tutaj takie święto robotników, a oni pracowali. Umorusani, przenosili worki z węglem. Niby zatem socjalizm, a ludzie w święto pracy pracują *(śmiech)*. Potem był Singapur, a następnie daleki rejs do Port Saidu w Egipcie przez Kanał Sueski. Dalej już Europa. Gibraltar, Rotterdam i Hamburg. Wtedy na niebie po raz pierwszy zobaczyłem dziwne światła.

Zorza polarna?

To było niesamowite. I wreszcie dotarliśmy do Gdyni.

Ile to wszystko trwało?

Dwa i pół miesiąca.

Pana ostatnia podróż do Tokio trwała zapewne nieco krócej.

W Gdyni czekał na mnie prof. Wiesław Kotański, dawny uczeń wujka Umedy, i jeszcze mój kolega Kazuo Yonekawa. Do Japonii wróciłem dopiero po 14 latach. Miałem już rodzinę. Spotkałem w Tokio znajomego profesora z Akademii Sztuk Pięknych, który dał mi pieniądze przed pierwszą podróżą do Polski. Miałem szczęście spotykać na swojej drodze dobrych ludzi. Zarówno w Japonii, jak i w Polsce.

Wystawa Kōji Kamoji „By rzeczy zbędne nie przysłoniły całości" w Watari Museum of Contemporary Art w Tokio

Czy był moment, że chciał pan wracać do Japonii? Żałował pan decyzji o wyjeździe?

Taka myśl nigdy nie przyszła mi do głowy. Tym bardziej że później miałem trójkę dzieci i żonę. Już nie było takiej możliwości!

A jak pan patrzy na stosunki polsko-japońskie? Polacy chyba darzą Japończyków sympatią. Japonia wciąż budzi w nas fascynację.

Kiedy przyjechałem tu po raz pierwszy, mocno to odczułem. Polacy lubią Japończyków. Z wzajemnością.

Jak się zmienia ten stosunek na przestrzeni dekad?

Są to relacje bardzo przyjacielskie i nie widzę, żeby zachodziły jakieś zmiany na niekorzyść.

Jestem ciekaw innej kwestii. Czy pan jako Japończyk spotkał się z przejawami rasizmu w Polsce?

Ani razu. Jak dotąd nigdy.

Czy pamięta pan słowa Lecha Wałęsy o budowaniu w Polsce „drugiej Japonii"? Padły w 1980 r. Jak pan na nie zareagował?

Polska i Japonia miały najpierw kontakty handlowe. Potem wybuchła Solidarność. Świat zainteresował się Polską. Pracowałem jako tłumacz dla japońskich mediów i do Wałęsy też pojechałem. Miałem okazję poznać ważne postaci ruchu. Yoshiho, czyli syn wujka Umedy, przyjechał do Polski po śmierci ojca w latach 60. Niedługo po moim przyjeździe. Bardzo aktywnie działał w Solidarności. Wciągnęła go polityka. Ja się nigdy politycznymi aspektami nie interesowałem.

Można nazwać pana artystą ciszy?

Można. Poprzez tworzenie sztuki zawsze szukałem spokoju.

Twórczość jest dla pana formą medytacji?

Chyba to jest dobre określenie.

Ale zdarzało się panu narobić sporo szumu. Bodaj najbardziej oryginalna pana praca powstała w 1994 r. w Legionowie: w tamtejszej Galerii Biblioteka przekopał się pan kilka metrów w głąb ziemi i wykopał studnię. Dotarł pan do wody. Kurator stracił za to pracę.

Ten sam Stefan Szydłowski, w którego galerii odbyła się wystawa! Odwiedził mnie wówczas w pracowni i zobaczył rysunki. Pokazałem mu projekt studni. Zainteresował się tym i powiedział: no to zrobimy. Wtedy był dyrektorem. Po cichutku przystąpiliśmy do pracy. Zrobiliśmy dziurę w podłodze. Jako Japończyk myślałem, że wodę można łatwo znaleźć wszędzie... A tu kopiemy, kopiemy i wody nie ma! Wykorzystaliśmy kilkanaście cembrowin. Przebiliśmy się na osiem metrów głębokości. Wreszcie dotarliśmy do wody. Stefan rzeczywiście stracił potem pracę. A samo dzieło nazywało się „Haiku Woda".

Jaki był tutaj ukryty sens?

Kiedy kopiemy ziemię, trafimy w końcu do wody. Jest czymś wspólnym. Chodziło

© JUSTYNA FREICHT

eprasa.pl 2d9fcd4723

o dotarcie do tego, co wspólne nam wszystkim. Kiedy byłem dzieckiem, takie kopanie kojarzyło mi się z przekopaniem na drugą stronę Ziemi. Samą studnię potem oczywiście zakopano.

Która praca jest dla pana najważniejsza?

Patrzę na to jak na świat zwierząt. Są w nim różne wielkości. Czy to mrówka, czy pająk. Albo słoń. Wieloryb. Każde żyje i ma swoje życie. Nie powiem, żeby któreś dzieło było wielorybem, a inne tylko mrówką. Co żyje, to dobre.

A który artysta spośród tych spotkanych w Polsce był dla pana najważniejszy?

Jeżeli chodzi o charakter człowieka, to Henryk Stażewski. Zdarzało się, że spotykaliśmy się prawie codziennie niedaleko Galerii Foksal.

Pan był związany ze słynną galerią od czasu wystawy w 1966 r.

Poznałem całe tamto środowisko. Mam sporo pamiątek po Edwardzie Krasińskim. Inny z założycieli galerii Tadeusz Kantor był np. bardzo wybuchowy. Miał temperament. Nieraz widziałem, jak przygotowywał sztuki teatralne. Nawet proponował mi, żeby w nich wystąpić. Odmówiłem.

Czyli teatr, tak samo jak polityka, pana nie interesował. Bardziej już kontemplacja?

Bliskie jest mi pojęcie ciszy. Oprócz tego spokój, harmonia, prostota. Tak samo jak w przypadku haiku.

Lapidarność.

Dokładnie. Próbuję umieścić w krótkiej formie sedno rzeczy. Tak przynajmniej chciałbym.

Zakończyła się pańska solowa wystawa w Tokio. Natomiast poprzednia duża wystawa w Polsce, zorganizowana przez Muzeum Manggha, odbyła się w 2019 r. Rok wcześniej była Zachęta. Czy szykuje się coś równie dużego?

W Polsce nie, ale kiedy robiłem wystawę w Japonii, moją sztuką zainteresowała się prywatna galeria z Tokio. Szykuje się więc kolejna wystawa w rodzinnym mieście. Chyba nawet jeszcze w tym roku. Tylko nie wiadomo, czy lekarz zgodzi się na moją podróż samolotem. Gdybym mógł, chętnie polecę. Niedługo galeria będzie pokazywała moje prace na targach sztuki Art Basel. Najpierw w Paryżu, a na wiosnę 2026 r. w Hongkongu.

Jak pan patrzy na zjawisko komercjalizacji sztuki? Chyba nigdy nie zaszła tak daleko.

Chodzi o to, żeby nie stracić siebie. Sprzedaż nie może być na pierwszym miejscu. To się mija zupełnie z tym, co według mnie znaczy być artystą. Jednak z drugiej strony jest ciało i duch. Ciało musi żyć. Jeść, gdzieś spać.

Płacić rachunki?

Potrzebne i to, i to. Między ciałem i duchem musi być harmonia.

Czyli pan poszukuje harmonii między sztuką a rynkiem sztuki?

Chciałbym jeszcze wrócić do wystaw. Po Zachęcie i Muzeum Manggha potrzebna była przerwa. Naprawdę nie trzeba często robić czegoś takiego. Duża wystawa? Nie chcę takiej.

Innymi słowy, pan chce ciszy i spokoju zamiast dużych wystaw. Zaczęliśmy od lat pana wczesnej młodości, które przypadły na wojnę. Czy historia zatacza koło? Z jednej strony w Europie, a z drugiej w Azji.

Martwi mnie to. Moi wnukowie są w wieku, który określa się poborowym.

W Azji zagrożeniem tym razem zamiast imperialnej Japonii wydają się imperialne Chiny.

Tak. Chiny są potężnym krajem. Terytorialnie praktycznie cała Europa się tam zmieści. Chińczycy są bardzo liczni, do tego pracowici i zdolni. Wszystko zależy od tego, w jakim kierunku poprowadzić te ich zdolności.

Można je wykorzystać w sposób pokojowy.

Albo militarny. Nie wiem, jak się potoczy sytuacja. Na pewno Chińczycy mają poczucie siły. Potęgi. Czują, że mogą zrobić wszystko.

Jak wygląda sytuacja w pana rodzinnej Japonii?

Japonia nie jest taką potęgą jak kiedyś. Powoli biednieje.

Do tego przeżywa zapaść demograficzną na wielką skalę. W zeszłym roku ubyło blisko milion obywateli. Szokująca liczba.

To jest problem. Za to podczas ostatniego pobytu moją uwagę zwróciła liczba obcokrajowców. Jest ich naprawdę dużo. Nie jest tak hermetycznie jak kiedyś.

A pan czuje się bardziej Japończykiem czy Polakiem?

Tak w stu procentach to ani Japończykiem, ani Polakiem. Może akurat Japończycy uznają mnie za Polaka, ale ja tak nie czuję. Jeżeli głębiej się zastanowić, to po prostu nie wiem... Kolega kiedyś napisał przy okazji wręczania jednej nagrody, że jestem „sto procent Japończyk i sto procent Polak".

Czego pana nauczyło to ponad 65 lat spędzone w Polsce?

Każdy jest inny. Chodzi o to, żeby każdy próbował zrozumieć tego drugiego człowieka. Obcego.

Od 1959 r. jest pan świadkiem zmian w naszym kraju. Przyjechał pan za Gomułki i żelaznej kurtyny. Jak pan patrzy na jedną wielką transformację, która rozegrała się na pańskich oczach?

Gdybym miał dobrą pamięć i coś do pisania, to mógłbym obserwacje spisać. Nie czuję potrzeby. Nie mam dziennikarskiego zacięcia. Polska szybko i stabilnie rośnie. Czuję się z tego dumny.

Znalazł pan tutaj swoją „drugą Japonię"?

Czuję, że Polska stała się krajem bardzo bogatym. Tylko moja żona narzeka, że pensja mała. Pracuje w kulturze. Zarabia mniej niż w Japonii.

Z okazji pana 90. urodzin odbyła się wspominana wcześniej wystawa w Tokio. W Polsce indywidualny pokaz przygotowała Galeria Szydłowski, z którą pan od lat współpracuje. Proszę opowiedzieć o instalacji, którą pan stworzył.

Płyta chodnikowa i wystający z niej ku niebu pręt. To któraś już wersja pracy. Pierwsza powstała w latach 70. i była pokazana w Galerii Foksal. Lubię ten motyw. Dla mnie stanowi symbol wytrzymałości. Mimo wszystkiego dookoła. Czuję, że to ja.

ROZMAWIAŁ ALEKSANDER ŚWIESZEWSKI

Zapraszamy także do lektury najnowszego Pomocnika Historycznego **„DZIEJE JAPONII"**. Dostępny na **sklep.polityka.pl**

KUP TERAZ

eprasa.pl 2d9fcd4723

Artyści kontra AI-tyści

U progu nowego roku, którego nadejście celebrujemy z muzyką w tle, widać, że model zarabiania pieniędzy na pisanych samemu i nagrywanych piosenkach nigdy nie był bliżej upadku.

BARTEK CHACIŃSKI

W listopadzie na pierwsze miejsce listy bestsellerów country „Billboardu" wszedł nieistniejący artysta Breaking Rust z utworem AI „Walk My Walk"

W starym roku zadrżał nawet najpewniejszy z murowanych biznesów kulturalnych: piosenki świąteczne. Bo wprawdzie „All I Want For Christmas Is You" śpiewane przez Mariah Carey ciągle przynosi rocznie jakieś 2,5 mln dol. z tantiem i prowadzi w rankingach gwiazdkowych hitów, jednak dół tabeli zalewa zupełnie nowy repertuar.

Weźmy „Świąteczną piosenkę". Tytuł banalny, ale nieźle się odnajdzie w wyszukiwarkach. Tekst też mało wyszukany: „Coraz bliżej święta, lista prezentów zamknięta/ Coraz bliżej święta, cieszą się dzieciaki i rodzice, zwierzęta". Za to wykonawca, podpisany jako XavMike, okazuje się wyjątkowo pracowity – w ciągu ostatniego roku wrzucił na Spotify aż 15 płyt z nowym repertuarem. I wszechstronny. Oprócz piosenek na gwiazdkę ma hity na koniec tygodnia („Piątek, piąteczek, piątunio"), na wakacje („Jedziemy na Chorwację"), protest songi („Mam na was wyje...ne") oraz na zły nastrój („Je...ć problemy, je...ć to wszystko, życie jest piękne"). A wszystko pozbawione wyraźnych autorskich cech, z generowanymi przez modele sztucznej inteligencji okładkami.

Na świecie anglojęzyczne podróbki znanych świątecznych hitów, grane i śpiewane przez AI, podpisywane nazwiskami Dean Snowfield, Sleighbelle albo The Humbugs (dosł. Ściemniacze, w czym jest nawet jakiś sygnał poczucia humoru) notują już wiele milionów odsłuchów. W Polsce „Gore gwiazda Jezusowi, ale to drill" (300 tys. w serwisie YouTube, na Spotify na razie skromne 3 tys., ale wypracowane w pierwszych dziesięciu dniach) łączyło spopularyzowaną przez Arkę Noego kolędę z motywami z innego świata: tańczącymi gangsterami, drogimi samochodami i tancerkami go-go. W tym samym czasie podobną młodą publiczność przyciągały produkcje Kutas Records, czyli opisywane i u nas (w poprzednim wydaniu POLITYKI) wulgarne piosenki krążące wokół homoseksualizmu i osadzone w różnych historycznych kontekstach: „Gejowski jaskiniowiec", „Dziki wzwód", z najnowszych – „Jingle cwels" na melodię „Jingle Bells".

Wśród jeszcze młodszych rządził włoski brainrot, czyli „Ballerina cappuccina" albo „Bombardiro crocodilo". Te odmóżdżające, sztucznie generowane piosenki w serwisach streamingowych mają wprawdzie po kilka milionów odsłon, ale jeśli zsumować odsłony filmików (też generowanych przez AI) na TikToku, okaże się, że trzeba je liczyć w miliardach. Jeśli dodamy jeszcze gry wideo z bohaterami piosenek, będą to już dziesiątki miliardów.

Zalew sztucznej inteligencji to główny powód bólu głowy muzyków w starym roku. I nie dlatego, że pojedyncze generowane hity mogą im odebrać chleb. Chodzi o całe zjawisko: serwis Deezer, konkurent Spotify, oceniał wiosną, że utwory sztucznych

eprasa.pl 2d9fcd4723

AI-tystów stanowią już 18 proc. tego, co każdego dnia trafia do streamingu – a trafia tu dziennie ok. 100 tys. utworów. Komunikat z września mówił już o 28 proc. utworów generowanych przez AI. W większości to nie efekt pracy artystów, tylko biznesmenów żerujących na specyfice otwartych platform, które – jak wiemy z książki „Mood Machine", bestselleru autorstwa Liz Pelly (POLITYKA 6) – w praktyce z tym procederem nie walczą. I nie oznaczają piosenek sztucznych, pozostawiając rzecz domyślności słuchacza.

Przy honorariach w wysokości 0,0035 dol. za pojedynczy odsłuch – a takie płaci Spotify – działalność muzyków na rządzonym przez platformy streamingowe rynku staje się zwyczajnie nieopłacalna. Honoraria za milion streamów (o co w praktyce trudno – Dawid Podsiadło odnotował kilkumilionowe wyniki piosenek ze swojej epki z Kaśką Sochacką, wielu znanych twórców do miliona nie dobija) z tego serwisu standardowo szacuje się na nieco ponad 12 tys. zł. Przy czym zatrudnienie muzyków, profesjonalne nagranie piosenki, nakręcenie promującego ją klipu – to zwykle koszty wyraźnie przewyższające tę sumę.

Abonament serwisu Suno, pozwalający na generowanie muzyki według zaproponowanych wytycznych, to 8 dol. miesięcznie. W cenie dostajemy 2500 kredytów, które mogą nam przynieść 500 gotowych piosenek – z prawem do komercyjnej dystrybucji. A konkurencja na tym nowym, dzikim rynku jest tak wielka, że firmy podkradają sobie wzajemnie już nie repertuar, tylko ekspozycję na platformach: „Mam dla was nieprzyjemną nowinę, a mianowicie pewna osoba zdejmuje nam utwory ze Spotify, składając fałszywe roszczenia, po czym wstawia swoje wersje coverów pod ten sam identyfikator, przejmując nasze wydanie" – alarmowała przed świętami osoba zarządzająca kanałem YouTube wspomnianej już Kutas Records. Takie próby przejęcia już się wcześniej zdarzały, ale dotyczyły profili AI udających prawdziwych twórców. Ci ostatni, wchodząc na Spotify, znajdowali „swój" nowy utwór, którego nie wydali, a który opublikował ktoś podszywający się pod nich. Teraz jedni sztuczni artyści próbują oszukać innych sztucznych artystów – oto, gdzie jesteśmy.

Rick Beato, producent muzyczny (z doświadczeniem sięgającym lat 80.) i popularny youtuber, uspokajał ostatnio, że przecież jego koledzy, artyści z nazwiskami, masowo używają Suno – jako szkicownika lub narzędzia pomagającego kreować nowe pomysły melodyczne. Jedna z reakcji jego widzów brzmiała: „W takim razie w sklepach muzycznych też potrzebujemy już osobnych regałów z produktami naturalnymi".

Bo 2025 r. przyniósł także konkretne sukcesy w tej dziedzinie. Harrison Walker i Jacob Donaghue, działający pod szyldem Haven, zrobili jesienią furorę singlem „I Run", w którym całą partię wokalną, oryginalnie zaśpiewaną przez jednego z nich, przerobili na linię kobiecego głosu za pomocą Suno. Tyle że wywołało to prawny spór, bo zgłosiła się konkretna wokalistka – Jorja Smith – z oskarżeniem „kradzieży" jej głosu, a hit, notowany już na listach przebojów (m.in. w czołówce zestawienia utworów tanecznych „Billboardu"), usunięto z serwisów streamingowych. Wrócił kilka tygodni później z nową linią wokalną dograną przez wykonawczynię względnie anonimową, ale już z krwi i kości.

W listopadzie na pierwsze miejsce listy bestsellerów country „Billboardu" wszedł nieistniejący artysta Breaking Rust z wykreowanym przez AI utworem „Walk My Walk". Mimo zastrzeżeń ze strony Blanco Browna, artysty, który oskarżył twórców przeboju o kradzież jego stylistyki. Pod koniec roku stworzył ciekawy ▶

© AUBIERRE RIVALDO TAYLOR/AI, YOUTUBE.COM/@BREAKINGRUST

REKLAMA

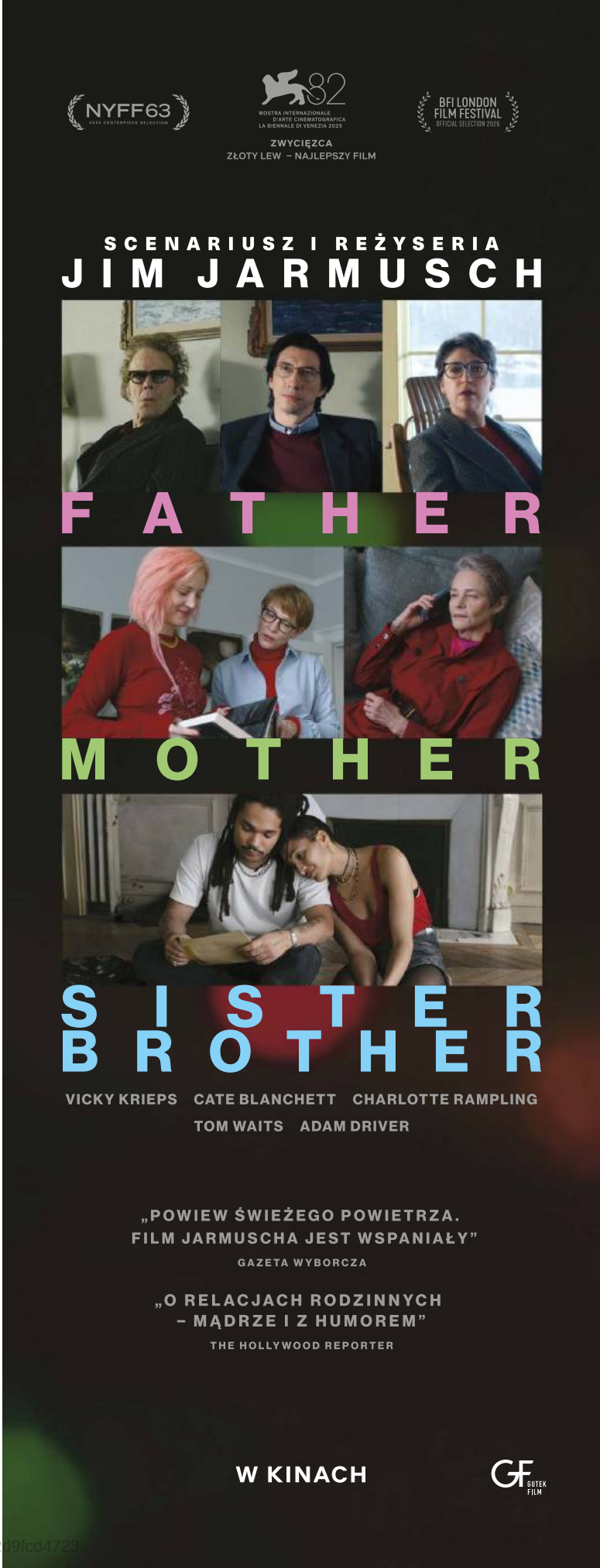

eprasa.pl 2d9fcd4723

▶ precedens: opublikował swoją wersję „Walk My Walk", twierdząc, że jeśli już ktoś ma śpiewać w jego stylu, to tylko on. Na razie jednak jego wersja cieszy się niewielkim zainteresowaniem.

Problemem artystów nie są tu tylko liczby odsłuchów, lecz także najważniejszy zasób słuchaczy: ich czas. W czasach ekonomii uwagi nie chodzi tylko o to, że pojedyncze przeboje, których autorstwo będzie przedmiotem sporu, odbiorą autentycznym twórcom honoraria ze streamingu. Gorsze jest to, że w gigantycznej masie publikowanych autorów jeszcze trudniej się będzie przebić. „I Run" trwa 2 minuty i 9 sekund. Ale 13 mln odsłuchów takiej piosenki to łącznie ponad 19 tys. dni, czyli nieco ponad 53 lata nieprzerwanego słuchania. Sam „Antyczny napaleniec" z 2,3 mln odsłuchów to ponad 19 lat słuchania. Artystycznie zmarnowanych, bo nie zostaną wykorzystane na nowe piosenki artystów, którzy mogliby się młodej publiczności spodobać. Oczywiście platformy nie wymagają odsłuchania utworu do końca, by zaliczyć odsłuch, te dane mogą więc być zawyżone, ale pozostaje obraz realnej straty, przed którą stają muzycy wchodzący dziś w świat streamingu.

W 2025 r. Bad Bunny mógł na Spotify zarobić między 50 a 100 mln dol.

Ta wygodna metoda dystrybucji, dziś dominująca (w Polsce streaming stanowi ponad 80 proc. tego rynku), sprowadziła nowe postaci w branży do roli statystów. O ile kiedyś w sprzedaży sklepowej nowa muzyka dominowała – nie wszystkie klasyki były dostępne we wznowieniach, nie wszystkie sklepy miały je w stałej ofercie – o tyle dziś rządzi tzw. back catalogue. Czyli to, co już dobrze znane. Według potężnego raportu „Music Creators' Earnings in the Digital Era", stworzonego kilka lat temu przez brytyjskie uniwersytety, w streamingu stary katalog odpowiada za cztery piąte sprzedaży, a jednocześnie oznacza dużo mniejsze koszty dla wytwórni, bo muzyce Beatlesów czy Queen nie potrzeba dodatkowej reklamy. Młodzi słuchacze, zamiast buntować się przeciwko przebojom rodziców, fundują im więc nowe fale popularności: „Running Up That Hill" Kate Bush po serialu „Stranger Things" Netflixa, „Dreams" Fleetwood Mac po wiralowym filmiku z TikToka albo „Back to the Old House" The Smiths – także dzięki TikTokowi.

Jest jednak jeszcze gorszy skutek streamingu. Różnica między średniakami rynkowymi a garstką najpopularniejszych się zwiększa. O ile kiedyś – w myśl popularnej zasady Pareta – przyjmowano, że 20 proc. wykonawców generuje 80 proc. wpływów, o tyle dziś ledwie 1 proc. utworów odpowiada za 75–80 proc. ruchu na platformach streamingowych. Ba, za ponad 40 proc. (zgodnie z danymi z tego samego brytyjskiego raportu) odpowiada ledwie 0,1 proc. repertuaru. „Muzycy są wyciskani coraz mocniej" – pisze Liz Pelly w swojej książce „Mood Machine" – „a przepaść między bogatymi a żyjącymi w biedzie ciągle się zwiększa".

Selekcja na muzycznym rynku jest brutalna niczym w serialu „Squid Game": nagroda wydaje się wysoka, ale spośród setek uczestników może ją otrzymać jeden. W 2025 r. Bad Bunny, który dominuje w światowym rankingu z 19,8 mld streamów, mógł na samym Spotify zarobić (szacunkowo) między 50 a 100 mln dol.

A gdyby tak artyści poszukali sobie innych źródeł dochodu? W końcu muzykę nagrywają influencerzy – w Polsce przykładem jest youtube'owa grupa Ekipa – wykorzystując ją tylko jako dodatkowe źródło dochodu. Problem w tym, że nie zostawia to wiele czasu na pracę artysty, który i dziś zajmuje się głównie obsługą social mediów. Te w znacznej mierze wyparły już tradycyjną prasę i przejęły jej zadania, ale za to zatrudniają samych zainteresowanych promocją, w tym wypadku artystów. Dużo się mówi o wspaniałym bezpośrednim kontakcie z fanami, o możliwości samodzielnego kreowania wizerunku, ale *off the record* twórcy skarżą się, że wiele energii pochłania im codzienne karmienie sociali atrakcyjnymi treściami oraz że niekorzystnie wpływa to na ich pracę, a nawet kondycję psychiczną.

Badane statystycznie skutki tego zjawiska nie napawają optymizmem. Trzy lata temu ukazał się raport Saatchi Art, w którym przepytano wprawdzie artystów wizualnych, ale ich położenie jest analogiczne do sytuacji muzyków. Okazało się, że na marketing swoich działań poświęcają w tej chwili 21–30 godz. tygodniowo – ok. 40 proc. czasu poświęconego na pracę. Duża część z tego to social media. Mamy więc do czynienia z czymś, co Michał R. Wiśniewski w książce „Wszyscy jesteśmy cyborgami" opisywał jako przypadłość streamerów – osób transmitujących swoje gry w sieci: zaczęło się jak niegroźne hobby, zamieniło w niewolnictwo. Tym bardziej że kanałów social mediów nie da się zapełnić, a ich odbiorców ostatecznie zaspokoić. Co gorsza, także w świecie influencerów widać zagrożenie AI. Firma konsultingowa Grand View Research prognozuje wzrost wartości rynku wirtualnie kreowanych osobowości z 6,06 mld dol. w 2024 r. do 45,88 mld dol. za pięć lat.

A jeśli ktoś z początkujących muzyków pokłada nadzieję w procesach sądowych, też się może srogo zawieść. Koncern Warner Music, jeden z potentatów rynku, niedawną sprawę z firmą Suno (przyłapaną na wykorzystywaniu motywów muzycznych znanych z repertuaru gwiazd) zakończył polubownie, wchodząc jednocześnie we współpracę z tą platformą. Ma to być partnerstwo „korzystne dla obu stron". Biorąc pod uwagę, że konkurencyjny potentat Universal Music podpisał z kolei porozumienie z generatorem Udio, konkurentem Suno, zapowiadając nowy subskrypcyjny serwis AI, w nowy rok możemy wchodzić z pewnością, że maksymalizacja zysków wygra z ambicjami młodych muzyków.

Tych ostatnich wita tu swoiste błędne koło: nie da się godnie żyć z nagrań, jeśli nie odniosą naprawdę poważnego, najlepiej jeszcze szybkiego sukcesu, a naprawdę poważne i szybkie sukcesy w ostatnich miesiącach notował rynek muzycznego AI.

BARTEK CHACIŃSKI

© LIVE NATION

eprasa.pl 2d9fcd4723

Paszporty
Polityki
2025

KTO ZOSTANIE LAUREATEM?

Transmisja z wręczenia nagród:
11 stycznia 2026 r. (niedziela) o godzinie 20.00
w TVP2 oraz na kanale YouTube
tygodnika POLITYKA

Poznaj nominowanych: polityka.pl/paszporty

Współorganizator Gali

Partnerzy Główni

Partner Oficjalny

Partnerzy Kategorii

Książka

Sztuki wizualne

Film

Scena

Muzyka popularna

Muzyka poważna

Partner Medialny

eprasa.pl 2d9fcd4723

Igrzyska z bliska

Zimowe igrzyska olimpijskie wracają do Europy, rozrzucone po miastach i kurortach północnych Włoch. W razie czego gospodarze są gotowi wyprodukować zimę.

MARCIN PIĄTEK

Magia igrzysk olimpijskich gaśnie coraz bardziej, a zimowe, od zawsze ogniskujące uwagę głównie na półkuli północnej, odbywają się jakby mimochodem. Z polskiej perspektywy śledzenie rywalizacji na trzech ostatnich zimowych igrzyskach było niełatwe z uwagi na dystans geograficzny (Pjongczang 2018, Pekin 2022) oraz dysonans związany z faktem, że z braku chętnych do organizacji imprez Międzynarodowy Komitet Olimpijski (MKOl) umizguje się do autokratów (Soczi 2014, Pekin 2022) uprawiających w ten sposób *sportswashing*, czyli pranie swej do bólu niedemokratycznej reputacji.

Tym razem jednak czeka nas podróż sentymentalna. Rywalizacja wraca do jednej z europejskich kolebek sportów zimowych, czyli włoskiego kurortu Cortina d'Ampezzo, wspomaganego przez Mediolan, oraz do innych miejsc świetnie znanych kibicom. Skoki narciarskie w Predazzo, biathlon w Anterselvie, męskie konkurencje narciarstwa alpejskiego w Bormio, gdzie trasa zjazdu należy do najbardziej wymagających i niebezpiecznych w całym pucharowym cyklu. Włosi nie byliby sobą, gdyby przy okazji nie przypomnieli swojego wkładu w dorobek światowej cywilizacji, gdyż zakończenie igrzysk odbędzie się w liczącym niemal 2 tys. lat amfiteatrze w Weronie. Jako bardzo włoskie komentuje się również dopinanie inwestycji za pięć dwunasta, choć w przypadku igrzysk to raczej norma. Budowa najnowocześniejszej hali sportowo-widowiskowej w Italii na przedmieściach Mediolanu ma duży poślizg i obiekt zostanie oddany do użytku tuż przed początkiem imprezy. Mimo że pieniądze na inwestycję wykłada kapitał prywatny.

Ocieplenie klimatu sprzyja czarnym scenariuszom przyszłości zimowych igrzysk. Bo jeśli emisji gazów cieplarnianych nie uda się ograniczyć i tempo podgrzewania planety się utrzyma, niebawem dramatycznie skurczy się liczba miejsc, w których przeprowadzenie imprezy tej rangi i skali będzie w ogóle możliwe. Nawet skłonni do tworzenia raportów pod odpowiednie tezy działacze MKOl podpisują się pod zdaniem, że z przyszłością zimowego olimpizmu wcale nie będzie źle, ale tylko pod warunkiem walki na serio z globalnym ociepleniem.

Cortina d'Ampezzo, budowa toru bobslejowego. Obiekty mają być oddane na ostatnią chwilę.

Brak śniegu i ujemnych temperatur od ładnych paru lat spędza sen z powiek organizatorom pucharowych zawodów, kalendarz startów się sypie, ale wiele wskazuje na to, że tym razem włoscy gospodarze mają sporo szczęścia. Do startu igrzysk jeszcze ponad miesiąc (6 lutego), ale na razie zima we włoskich Alpach trzyma się mocno, komercyjny sezon narciarski został w połowie grudnia zainaugurowany zgodnie z planem (m.in. w popularnym wśród Polaków Livigno, gdzie zresztą też zaplanowano olimpijskie zmagania), pucharowe zawody w Europie odbywają się bez większych zakłóceń, a meteorolodzy prognozują, że w związku z zaburzeniami

eprasa.pl 2d9fcd4723

wiru polarnego (spowodowanymi, paradoksalnie, niekorzystnymi zmianami klimatycznymi) zanosi się na śnieg i mróz. Choć oczywiście do klikbajtowych nagłówków obwieszczających „zimę stulecia" nie należy przywiązywać większej wagi.

Z punktu widzenia organizatorów każdej zimowej imprezy sportowej najważniejszy jest mróz, by w razie niedostatku śniegu można go było wyprodukować. O ekologicznym koszcie tego procesu – budowie zbiorników retencyjnych, drenowaniu naturalnych zasobów wodnych, hałasie generowanym przez armatki śnieżne – jest coraz ciszej, gdyż nie wypada burzyć dobrego samopoczucia dostatnich zachodnich społeczności, które jazdę na nartach wpisały sobie w styl bycia. Jednak wobec przyrodniczego kosztu igrzysk coraz trudniej być obojętnym. Szwajcarzy w referendach odrzucili możliwość organizacji zimowych igrzysk w Sionie, w ich ślady poszli też mieszkańcy czterech miast i regionów w Bawarii, gdy tamtejszą kandydaturę rozpatrywano w odniesieniu do 2022 r. Górę wzięła obawa przed kosztami, które zawsze przekraczają budżetowe założenia, ale był to też wyraz troski o ochronę przyrody.

Chętnych do organizacji igrzysk zimowych jest tak mało, że MKOl zrezygnował z procedury konkursowej rywalizacji kandydatów na rzecz tzw. ukierunkowanego dialogu z preferowanym gospodarzem. A preferuje się tych, którzy mają odpowiedni klimat. W praktyce oznacza to powrót do sprawdzonych lokalizacji – igrzyska 2030 odbędą się we francuskich Alpach, a kolejne – w Salt Lake City. Obie kandydatury lansowały modną i mile widzianą narrację o imprezie zrównoważonej, skromnej, harmonijnie wpisanej w naturę, no i gwarantującej recykling czego tylko się da, nie wyłączając infrastruktury. Gospodarze zbudowali w Cortinie mobilną wioskę olimpijską dla sportowców, a domki na kółkach (dwa dwuosobowe pokoje, mała łazienka i aneks kuchenny) mają po igrzyskach dostać drugie życie na polach kempingowych. Zarezerwowano tam 1,6 tys. miejsc (spodziewanych jest ok. 2,9 tys. uczestników), ale największe gwiazdy już zapowiedziały, że choć wioska jest niewątpliwie urocza, poszukają sobie innych miejscówek.

Spokojne odliczanie do igrzysk zakłóciła niedawno informacja, że trzeba się liczyć z obecnością sportowców z Rosji, izolowanych najpierw z powodu masowego uczestnictwa w programie dopingowym organizowanym na polityczny rozkaz i pod nadzorem specsłużb (głównie na potrzeby igrzysk w Soczi), a następnie wykluczonych w ramach sankcji za napaść na Ukrainę. Decyzję o przywróceniu rosyjskich olimpijczyków (najpierw saneczkarzy, a niedawno wszystkich startujących pod egidą Międzynarodowej Federacji Narciarskiej) podjął niedawno Trybunał Arbitrażowy w Lozannie, argumentując, że generalny zakaz jest nieuzasadnioną dyskryminacją, i zastrzegając przywilej obecności na igrzyskach wyłącznie dla sportowców niezwiązanych z klubami mundurowymi i dystansujących się od agresji na Ukrainę.

Wiadomo już, że nawet jeśli przebrana w umowną neutralność (zakaz startów pod narodową flagę i odgrywania hymnu w razie zwycięstwa) rosyjska ekipa pojawi się na igrzyskach, to na pewno nie będzie w jej gronie hokeistów. A zanosi się tu na ekscytujący turniej, gdyż po 12-letniej nieobecności wracają na lód gwiazdy NHL, a ligowe rozgrywki za oceanem zostaną na czas olimpijskiej rywalizacji zawieszone. Poza tym igrzyska zapowiadają się jako kolejny odcinek starcia tradycji z nowoczesnością. Zagrożony jest dalszy olimpijski los kombinacji norweskiej (która nie jest już sexy ani dla sportowców, ani dla widzów), jak również, co bardziej zaskakujące, snowboardowego slalomu równoległego, obecnego na igrzyskach zaledwie od 2002 r. Przetarł drogę innym „bratnim" konkurencjom, w których jeździe na desce towarzyszą akrobacje, i teraz z nimi przegrywa. Ostateczna decyzja w sprawie aktualizacji programu kolejnych igrzysk spodziewana jest już po zakończeniu olimpijskiej rywalizacji, a władze MKOl w desperackiej pogoni za zwiększeniem atrakcyjności i oglądalności jakiś czas temu sugerowały daleko idące roszady w harmonogramie, czyli włączenie do zimowego olimpizmu również niektórych dyscyplin... letnich.

Pomysł wywołał jednak solidarne oburzenie wszystkich federacji sportów zimowych i pozostaje w sferze rozważań. Jedyną medalową nowinką we Włoszech będą zawody w narciarstwie górskim, będącym hybrydą wspinaczki i zjazdu. Na razie zmagania ograniczono do dystansów sprinterskich (rozstrzygających się w niespełna cztery minuty), a z klasycznym skialpinizmem, wymagającym wykorzystania zaawansowanego sprzętu wspinaczkowego w trudnym terenie, najmłodsze olimpijskie dziecko nie ma wiele wspólnego. Rywalizacja odbywa się na przygotowanej trasie, w trakcie wspinaczki trzeba ominąć przeszkody, przede wszystkim „wąskie gardła", wykazać się refleksem i pewnością ruchów podczas odpinania i przypinania nart, a następnie, zdjąwszy foki, zjechać do mety po trasie przypominającej łagodny slalom gigant w dość sypkim śniegu.

Polskie nadzieje medalowe w związku z igrzyskami są skromne i wprost proporcjonalne do obecnych wyników uzyskiwanych w zawodach Pucharu Świata. W obfitujących w medale biegach narciarskich światowa czołówka jest odległa o lata świetlne, obiecująco sezon zaczęli biathloniści, w narciarstwie alpejskim jest jedna jedyna Maryna Gąsienica-Daniel, ale specjalizację ma wąską (gigant) i już dawno nie skończyła pucharowych zawodów w czołowej dziesiątce. Najlepiej rokują panczeniści, którzy zwłaszcza na dystansach sprinterskich regularnie stają na podium zawodów Pucharu Świata. Jednak konkurencja jest piekielnie mocna, a o medalach zdecydują setne sekundy.

W Pekinie skończyło się raptem na jednym medalu, brązowym, który wywalczył skoczek Dawid Kubacki. Jak zwykle w takich przypadkach mówiono o uratowanym honorze i pojawiała się konkluzja, że w takich podbramkowych sytuacjach na skoczków zawsze można liczyć. Ale to już coraz mniej aktualne. Poprzednie dwa sezony były katastrofalne i zasiały uzasadnione wątpliwości, czy jeszcze działa chwalony wcześniej model „produkcji" mistrzów z opatentowanym *know-how*, osobowymi wzorami do naśladowania i niezachwianym wsparciem sponsorskim Orlenu. W obecnej odsłonie Pucharu Świata jest nieco lepiej, polscy skoczkowie rzadziej spadają na bulę, odnotowano pojawienie się nowego talentu (18-letni Kacper Tomasiak), niedawno błysnął nieprzewidywalny weteran Piotr Żyła, ale minęły czasy, gdy Polacy rządzili na skoczniach.

W przypadku olimpijskiego sezonu zawsze trzeba brać poprawkę na przygotowanie mitycznego szczytu formy właśnie z myślą o najważniejszej imprezie czterolecia, gdzie zdobyć można nie tylko olimpijski medal, lecz także lukratywne nagrody. Połowę z nich ewentualni polscy medaliści mają dostać w enigmatycznych tokenach. Taki mamy klimat w PKOl po pojawieniu się tam nowego kryptowalutowego sponsora. ■

© CLAUDIA GRECO/REUTERS /FORUM

eprasa.pl 2d9fcd4723

SPORT

Mundial w skali MAGA

Największe, najmocniej nasycone meczami, najbardziej rozwlekłe, niebezpiecznie podatne na humor głównego politycznego gospodarza. Takie będą piłkarskie mistrzostwa świata 2026.

MARCIN PIĄTEK

Po katarskim mundialu w 2022 r. przeniesionym przymusowo na listopad i grudzień, najważniejsza impreza piłkarska świata wraca do normalności. Przynajmniej jeśli chodzi o usytuowanie jej w futbolowym kalendarzu, mniej więcej w połowie roku. I to by było na tyle, jeśli chodzi o mundialową tradycję. Do mistrzostw wkracza bowiem na dobre gigantomania.

Nie kopać się z FIFA

Po raz pierwszy turniej będzie mieć aż trzech gospodarzy (Stany Zjednoczone, Meksyk i Kanadę), co czyni go mundialem kontynentalnym, rozpiętym w trzech strefach czasowych i jednocześnie niewdzięcznym dla europejskiego kibica, bo niektóre mecze będą się zaczynać w środku nocy naszego czasu. Do 48 wzrosła liczba uczestników, namnożyło się meczów (z 64 do 104) i trzeba było dołożyć kolejną rundę fazy pucharowej, więc zespoły walczące o medale będą musiały rozegrać osiem, a nie jak do tej pory siedem spotkań. Do fazy pucharowej przepustkę daje nawet trzecie miejsce w grupie. Grup jest aż dwanaście, a zakwalifikuje się osiem najlepszych „trzeciomiejscowych" zespołów. Trzeba się więc naprawdę postarać, żeby odpaść; do dalszej gry może wystarczyć nawet jedno zwycięstwo.

Tak w praktyce wygląda mundialowa rewolucja, efekt strategii prezydenta FIFA Gianniego Infantino. Na wizerunkowe potrzeby dorabia się tezę o egalitaryzmie – mundial to święto futbolu, nie powinien być zastrzeżony dla wąskiego grona najlepszych. FIFA jest demokracją absolutną, podczas wyborów każdy głos przedstawicieli krajowych federacji waży tyle samo, więc kraje karaibskie, nic w futbolu nieznaczące, mają tu więcej do powiedzenia niż Ameryka Południowa. Infantino doskonale wie, jak w tych okolicznościach uprawiać politykę i budować sojusze. Inna sprawa, że w 2023 r. został wybrany na drugą kadencję przez aklamację.

Zbliżający się mundial będzie rekordowy jeszcze pod innym względem – FIFA zarezerwowała na premie nieco ponad 1 mld dol., co w stosunku do poprzedniego turnieju oznacza wzrost aż o 55 proc. 335 mln dol. przeznaczono dla klubów, których piłkarze wezmą udział w mistrzostwach. Swego czasu działacze najsilniejszych klubów, zwłaszcza europejskich, pomstowali, że z rozdętego ponad miarę turnieju piłkarze wracają przemęczeni, rośnie ryzyko kontuzji, przygotowania do sezonu się sypią, co odbija się na wynikach, robi się nerwowo i przede wszystkim niedochodowo. Podczas poprzedniego mundialu najlepiej na ekwiwalencie wypłacanym przez FIFA wyszły Manchester City, Barcelona i Bayern Monachium, inkasując po ok. 4,5 mln dol.

To z perspektywy ich codziennego biznesu drobne, mniej więcej tyle zarabiają na dwóch zwycięstwach w fazie grupowej Ligi Mistrzów. Jednak głosy protestu ustały. Najwyraźniej w klubach uznano, że nie ma sensu się kopać z FIFA – coraz potężniejszą i bogatszą, również dzięki pozyskaniu do grona kluczowych sponsorów jednej z największych firm świata, Saudi Aramco (co oczywiście nie miało żadnego związku z tym, że mundial 2034 odbędzie się w Arabii Saudyjskiej...). Dla każdego z uczestników mistrzostw FIFA rezerwuje 9 mln dol. premii za sam udział, co rozpala wyobraźnię działaczy, zwłaszcza

eprasa.pl 2d9fcd4723

Oficjalne maskotki mistrzostw: łoś Maple (Kanada), jaguar Zayu (Meksyk) i orzeł Clutch (USA).

© KEVIN DIETSCH/GETTY IMAGES

z futbolowego trzeciego świata. Zresztą, skoro o awans do fazy pucharowej będzie łatwiej (bo z trzeciego miejsca), a tam czeka kolejna premia (4 mln dol.), to trudno się dziwić, że reforma podoba się również działaczom ze światowej B-klasy, którzy potem w swoich federacjach dzielą otrzymane miliony i dzięki temu rządzą. I tak ten biznes się kręci.

Propagandowe wrzutki

Infantino bez mrugnięcia okiem serwuje głodne kawałki o tym, że przy dużym udziale kierowanej przez niego organizacji futbol łączy, przysparza powszechnej radości i szczęścia. Tam, gdzie szef FIFA widzi piękno piłkarskiej globalizacji, specjaliści od okołofutbolowych biznesów liczą zyski związane z pojawieniem się nowych konsumentów i odbiorców reklam. A kibice i widzowie przeżywający mundialowe emocje bezpośrednio, tożsamościowo i osobiście dzięki udziałowi swojej narodowej drużyny, są dla marketingowców na wagę złota.

Z tego punktu widzenia debiut Uzbekistanu (38 mln mieszkańców) jest wyjątkowo cenny. Zwłaszcza że futbolowa gorączka szerzy się tam od jakiegoś czasu. Rozwój piłkarskich akademii, budowa nowoczesnych stadionów, tworzenie skutecznego systemu produkcji piłkarzy (młodzieżowe reprezentacje coraz lepiej wypadają na mistrzowskich turniejach) wpisano do programu modernizacji i postępu, nadzorowanego bezpośrednio przez prezydenta Szawkata Mirzijojewa, autokraty (w rankingu demokracji „The Economist" Uzbekistan zajmuje 148. miejsce, pod koniec stawki), ale otwierającego się na świat, do czego zresztą futbol bardzo się przydaje. Na razie Uzbekistan dorobił się jednej gwiazdy (obrońcy Abdukodira Khusanova, latem Manchester City zapłacił za niego 40 mln euro), występ na mundialu ma potwierdzić, że ten przypadek to fragment większej całości.

Premierowy awans na mistrzostwa Curaçao albo Wysp Zielonego Przylądka to w kategoriach sportowych raczej wypadek przy pracy (zwłaszcza jeśli chodzi o piłkarzy z Wysp Zielonego Przylądka, którzy w strefie afrykańskiej mają za rywali zawodników grających w zachodnioeuropejskich ligach, a w minionych eliminacjach wyprzedzili sensacyjnie Kamerun). Ich futbolowy rozwój ma nisko wiszący sufit, czyli skromną populację (150-tysięczne Curaçao to najmniejszy pod względem liczby ludności kraj, którego narodowa drużyna zagra na mundialu) oraz inne fundamentalne ograniczenia, jak skromna infrastruktura i przymusowy eksport piłkarzy, dla których pełnią szczęścia jest załapanie się gdzieś w Europie. Na razie jednak oba przypadki ogniskują uwagę jako na swój sposób urzekające i romantyczne, przypominając, że na boisku pieniądze nie grają. Co spece od marketingu FIFA, bijącej pokłony przed złotym cielcem, na pewno w takim tonie bez mrugnięcia okiem sprzedadzą.

Długa ławka debiutantów

Na nowym podziale zaproszeń na mundial peryferie futbolu skorzystały najbardziej, choć i europejski stan posiadania zwiększył się z 13 do 16 miejsc. O cztery wciąż toczy się gra, bierze w niej udział Polska, którą pod koniec marca czeka mecz z Albanią (walczącą o swój pierwszy udział w mistrzostwach świata), a po ewentualnym zwycięstwie z lepszym z pary Ukraina–Szwecja. W razie sukcesu w grupie czekają Tunezja, Japonia i Holandia, więc co niektórzy lokalni eksperci już widzą reprezentację trenera Jana Urbana w fazie pucharowej, nie zważając na to, że na mundialach biało-czerwoni spisują się ostatnio poniżej krytyki i nawet na tle rywali z krajów określanych z wyższością jako egzotyczne wypadają blado.

Weryfikowanie jakości mundialowych debiutantów zapowiada się jako atrakcja dla wybranych, futbolowi konserwatyści zakładają raczej przeczekanie pierwszej fazy mistrzostw, w której czekają nas frapujące pojedynki Curaçao z Ekwadorem, Nowej Zelandii z Iranem, Jordanii z Algierią i Wysp Zielonego Przylądka z Arabią Saudyjską. Chociaż przypadek tej ostatniej reprezentacji wart jest uwagi w kontekście rozważań o podważaniu dotychczasowego układu sił w światowym futbolu.

Dwie dekady temu saudyjscy piłkarze byli na mundialach chłopcami do bicia, a na turnieju w 2002 r. zaliczyli ▶

eprasa.pl 2d9fcd4723

▶ historyczne lanie, 0:8 z Niemcami. Jednak z czasem petrodolary zrobiły swoje. Wybudowano imponujące centra treningowe i stadiony, ściągnięto topowych fachowców, którzy mieli zaszczepić na miejscu *know-how* i zbudować silną ligę. Lokalni patroni postawili bowiem na chów własny. Do saudyjskiej ligi ciągną na schyłek kariery wielkie gwiazdy, na czele z Cristiano Ronaldo, którym nie śmierdzą miliony oferowane przez saudyjski reżim. Liga rośnie w siłę, 41-letni Ronaldo wciąż trzyma poziom, jego pozycja w reprezentacji Portugalii jest niepodważalna, a saudyjskie kluby rządzą w azjatyckiej Lidze Mistrzów, choć gwoli sprawiedliwości trzeba oddać, że to akurat te oparte na zagranicznym zaciągu. Na poprzednim mundialu Arabia Saudyjska pokazała dwie twarze – pokonała Argentynę, późniejszego mistrza, ale z grupy nie wyszła, m.in. wskutek porażki z Polską.

Liga przeciw lidze

Każda próba zbudowania przeciwwagi dla europejskiej piłki ligowej wydaje się skazana na niepowodzenie. Jednak próby trwają, kto bogatemu zabroni? Na fali entuzjazmu i odkrywania soccera po poprzednich mistrzostwach świata organizowanych przez USA (w 1994 r.), ruszyła tam na dobre zawodowa liga piłkarska. Jej działalność, również w dużej części oparta na kończących kariery gwiazdach z Europy (David Beckham, Lionel Messi), dotychczas nie przełożyła się jednak na spektakularne wyniki męskiej reprezentacji, która na każdym kolejnym mundialu odbijała się od ściany na dość wczesnym etapie. W marcu Amerykanie przegrali w Lidze Narodów z Panamą i Kanadą – i zbiegło się to z pohukiwaniami Donalda Trumpa o przejęciu Kanału Panamskiego oraz aneksji Kanady jako stanu numer 51. Ostatnie wyniki są lepsze, co nie zmienia faktu, że Amerykanie, przyzwyczajeni do sportowego prymatu nad resztą świata, w przypadku futbolu, czyli soccera, znają miejsce w szeregu. I chyba już na dobre się przekonali, że prawdziwa jakość jest po drugiej stronie oceanu. Ich najlepsi piłkarze nie mają zresztą nic przeciwko eksportowi do Europy. Na razie bezcłowemu.

Choć gospodarzy turnieju jest trzech, będą to przede wszystkim mistrzostwa amerykańskie. Kluczowe mecze zostaną rozegrane na tamtejszych stadionach, zresztą na potrzeby turnieju „wypożyczonych" od klubów bejsbolu i futbolu amerykańskiego. Największy lokalny obiekt soccerowy ma bowiem zaledwie 30 tys. miejsc na trybunach – o 10 tys. za mało, by spełnić minimum FIFA przewidziane dla organizatorów mundialu.

Dla kibiców z krajów, których reprezentacje spotkają się na boisku, FIFA przeznaczyła po 8 proc. pojemności stadionu. Biletowa loteria już ruszyła (reprezentacja Polski, jeśli zdoła awansować, grać będzie w fazie grupowej w Monterrey, a potem przeniesie się do USA, do Houston i Dallas), ale warto pamiętać, że chodzi o wjazd do Ameryki Trumpa, gdzie z rozkazu głowy państwa bez ceregieli ściga się nielegalnych imigrantów, a naloty służb imigracyjnych na trybuny i w okolice stadionów są – jak twierdzą obecni oficjele – niewykluczone. Bo, jak z przejęciem zapewniają przedstawiciele Białego Domu, dla prezydenta najwyższym priorytetem jest bezpieczeństwo Amerykanów i w tej kwestii nie pójdzie na kompromisy.

Skutki już widać. Podpisany przez Trumpa dekret ograniczający prawo wjazdu do USA w związku z koniecznością ochrony narodowego bezpieczeństwa odnosi się do obywateli 19 państw, w tym również dwóch uczestników mundialu: Iranu i Haiti. Na jego podstawie z nieznanych bliżej przyczyn Amerykanie odmówili przyznania wizy trzem Irańczykom wchodzącym w skład delegacji na grudniowe losowanie grup turnieju. W tym szefowi tamtejszej federacji piłkarskiej Mehdiemu Tadżowi. Interwencja Infantino nic nie dała, Irańczycy zagrozili bojkotem ceremonii, ale w końcu pojawili się w okrojonym gronie. Haitańczycy, którzy planowali przyjechać w ślad za swoją reprezentacją (wracającą na mundial po ponad pół wieku) i wspierać ją z trybun, mogą nie dostać wiz, a ok. 350 tysiącom ich rodaków mieszkającym w USA od lat ma zostać na początku lutego wypowiedziany status ochronny, co daje zielone światło do masowych deportacji do Haiti, kraju upadłego i sparaliżowanego przez wojny gangów.

Trump zapowiada twardą rozprawę ze wszystkimi, których uzna za „niekompatybilnych z zachodnią cywilizacją". Ale jej przedstawiciele również nie mogą być pewni wjazdu na turniej. Funkcjonariusze amerykańskiej straży granicznej już od kilkunastu lat mogą żądać wglądu do telefonu lub innych urządzeń elektronicznych przybyszy, ale zgodnie z najnowszym pomysłem prezydenckiej administracji (a może i samego Trumpa) każdy potencjalny piłkarski turysta musi się liczyć z koniecznością okazania historii swojej aktywności w mediach społecznościowych z ostatnich pięciu lat, jak również adresów mailowych i numerów telefonów (sic!), z których w tym okresie korzystał. Kontrola jest losowa.

Wyrzuceni z boiska

Na zdrowy rozum wydaje się to niewykonalne (czas!), ale się dzieje. W marcu francuskiemu badaczowi kosmosu odmówiono wjazdu na konferencję naukową, bo w jego telefonie znaleziono w korespondencji ze znajomymi treści krytyczne wobec prezydenta i jego administracji. Przedstawiciele amerykańskich władz podali inny powód – wykrycie tajnych dokumentów z laboratorium w Los Alamos. Jednak w tym samym czasie media nagłośniły historię młodej niemieckiej tatuażystki Jessiki Brosche, zatrzymanej na granicy z Meksykiem. Unieważniono jej wizę, zamknięto na dziewięć dni w izolatce, skonfiskowano telefon, następnie trafiła do więzienia. Jak opowiadała po powrocie do Berlina (po 45 dniach), powody uwięzienia się zmieniały: najpierw obawa, że będzie nielegalnie pracować, następnie zarzut przekroczenia czasu pobytu podczas poprzedniej wizyty w USA (czemu zaprzecza), aż wreszcie odmowa okazania na granicy dokumentów (twierdzi, że to również nieprawda). Podobnych przypadków było więcej.

Taka polityka buduje klimat wrogości, inwigilacji i poczucia, że właściwie każdy może trafić za kratki. Niektóre państwa, również te korzystające z przywileju bezwizowego wjazdu do USA, przestrzegają swoich obywateli, by na wszelki wypadek usunęli z telefonu treści kontrowersyjne dla strażników granicznych. Nie zaleca się czyszczenia do ustawień fabrycznych, gdyż takie nieskalane urządzenie na pewno wzbudzi podejrzenia.

Tymczasem Infantino, który na każdym kroku bije Trumpowi pokłony, nie widzi problemu i powtarza, że na mundialu wszyscy są mile widziani. Może zmieni zdanie, gdy ktoś mu uświadomi, że odstraszanie może się skończyć pustawymi trybunami. Chyba że ten popyt uda się zaspokoić siłami poszczególnych diaspor. Przecież USA jeszcze niedawno były ziemią obiecaną dla całego świata.

MARCIN PIĄTEK

eprasa.pl 2d9fcd4723

Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

Media donoszą, że Daniel Nawrocki (wiadomo) pojawił się na koncercie Skolima i był zachwycony. To zrozumiałe. Z tym nazwiskiem też bym się nie pchał do opery.

●

Roman Giertych kpi z Krzysztofa Stanowskiego po jego sądowej porażce z Natalią Janoszek: „Dostał pan taki wycisk, że wszyscy się śmieją". Słowa mądre i potrzebne. Ja bym je włączył do kanonu lektur.

●

Talent show dla muzyków disco polo pod tytułem „Disco star" pojawi się na głównej antenie Polsatu. W piątki o godz. 19.55. W jury m.in. Zenek i Skolim. Zacytuję moją ulubioną recenzję filmu „Psy 3": „Bardzo, kurwa, szkoda".

●

Nie będzie drugiej edycji programu „Pogromcy chaosu", w którym Dorota Szelągowska sprawiała, że nieużywane rzeczy znikały z domu. Statystyki włamań do mieszkań ujawniły sporą konkurencję.

●

Patrycja Komorowska, partnerka Pawła Deląga, sprzedaje używaną torebkę Hermès Birkin za 70 tys. zł. Patrycja jest psychoterapeutką, więc przy okazji wytłumaczy nabywczyni, w czym problem.

●

Daria Zawiałow poinformowała swoich fanów, że zdała egzamin na prawo jazdy. Gratulacje, Darka. To prawdopodobnie była ostatnia w twoim życiu jazda zgodnie z przepisami.

●

Natalia Karczmarczyk szuka bogatego partnera, bo gdy „facet zarabia mniej od kobiety, to takie związki kończą się tragedią". Żona zwykle wydaje więcej, niż zarabia mąż, żeby ludzie myśleli, że on zarabia więcej, niż ona wydaje.

W programie „Mam talent!" pojawił się czwarty juror, Agustin Equrrola, uchodzący całkiem niedawno za najsłynniejszy transfer do TVP Jacka Kurskiego. Agustin jest znanym tancerzem. Zatańczy, jak mu zagrają.

●

„Kubicka pokazała łazienkę. Nie uwierzycie, do czego dopasowała śmietnik" – to Zuzanna Kwasek z Plotka. Szkoda, że tak późno powstał ten demaskatorski materiał. Nagrody Grand Press już rozdane.

●

Andrzej Grabowski podsumował aktorskie zdolności Karola Nawrockiego: „Nie robi takich min jak Duda, ale zaczyna robić takie miny jak Trump". Ostatnio na plakacie filmu „Zamach na papieża" widziałem dopisek: „Papież płakał, jak oglądał".

●

„Patrzę w lustro i widzę gębę staruszka" – to brutalnie szczery Krzysztof Cugowski. Krzysztof. Życie jest jak lustro – samo się do ciebie nie uśmiechnie.

●

„Igor Herbut podzielił się gorzką refleksją w dniu urodzin" – czytam. „Były dni lekkie i bardzo trudne". Przy takich przemyśleniach czuję, że mądrość mnie goniła, ale ja zawsze byłem szybszy.

●

Tomasz Sakiewicz zapowiada utworzenie w 2026 r. kanału anglojęzycznego. Studia TV Republika pojawią się w kilku europejskich miastach. Jestem zawiedziony. Liczyłem na kanał rosyjskojęzyczny.

●

Wirtualna Polska na pierwszej stronie informuje, że celebryta Conan Kaźmierski sprawił sobie nowy uśmiech, ale zębów jest więcej niż miejsca. Tak się zdarza, kiedy miejsca jest więcej niż dziennikarzy.

© ADAM CHELSTOWSKI/FORUM

Krystyna Pawłowicz rozpocznie współpracę z Radiem Wnet. Jej felietony „Prawo bez cenzury" będą nadawane w każdy piątek. Jak pisał Dante Alighieri: „Ród ludzki wnet od prawdy odwyknie".

eprasa.pl 2d9fcd4723

Na muszce

Sylwestrowe kreacje, no to chyba mucha, panowie? W muszce czy na muszce? Muszka jeszcze niedawno kojarzyła mi się z pielęgnowaną długo tradycją akademików z Nowej Anglii w Stanach Zjednoczonych. Od rana mój licealny nauczyciel w Newton chodził w muszce w kratę, podobnie później profesorowie od etyki i astrofizyki. Byli to biali mężczyźni z okolic Bostonu. I kojarzy mi się z Tatą, który na co dzień co prawda chadzał w jesionkach z pedetu (państwowe domy towarowe), przetartych sztruksach i z teczką pamiętającą amerykańską interwencję w Wietnamie, ale dzięki wujkowi, który po Zagładzie go adoptował, potrafił wiązać muchę.

Ostatnio z każdej strony politycznej sceny dużo się pisze i jutubersko realizuje o ojcostwie, męskości i męstwie. O ojczymach i sierotach wychowywanych przez zastępczych ojców mniej, co bardzo mnie dziwi w naszym kraju katolickim. Wdowiec Józef, który ma już na głowie swoje biologiczne dzieci, a mimo to bierze sobie na głowę kolejne dzieciątko, przedstawiany jest zwykle jako jakiś stary safanduła w tle między osiołkami a tzw. mędrcami. Kto wie, może ci mędrcy to interesowni ludzie, którzy wiedzą, z kim i gdzie się spotkać, bo znają słynne zasady z „The Art of the Deal", czyli książki Donalda Trumpa?

Tymczasem bardzo różni troskliwi mężczyźni, czasem ojczym, czujny sąsiad czy Pan od Przyrody, mogą uczyć chłopców męskich rytuałów. U nas o żadnej muszce na gumce nie mogło być mowy. Wiązania muszki uczymy nie przed lustrem ani z jutubów, ale stając za plecami chłopca i kładąc jego dłonie na swoich. Liczy się bliskość, cierpliwość i asekuracja. Z dawnych sylwestrów mam przeważnie fatalne wspomnienia bądź po prostu nijakie, ale widok Daniela uczącego kolejne wnuki sztuki wiązania muszki zostanie ze mną i z nimi już na zawsze.

U progu roku 2026 muszka kojarzy mi się bardziej z trzymaniem kogoś na niej. Weekendy „Trenuj z wojskiem" u mnie w mieście były w minionym roku bardziej oblegane przez aktywne koleżanki niż fajfy czy zajęcia pilatesu. Jeśli kogoś podniecają mężczyźni w średnim wieku, to sugeruję migusiem zapisać się na weekend organizowany przez Wojskową Akademię Techniczną. Przy wspólnych przeładowywaniach magazynków tudzież w surwiwalowym kręgu wokół krzesiwa można się zapalić do boomera, który gdzieś zapodział starą książeczkę wojskową, albo do milenialsa, który liczył, że nie będzie musiał wstawać zza konsolki w celu udania się do najbliższego nieistniejącego schronu.

Plecak ewakuacyjny był najmodniejszym dodatkiem zeszłorocznej kreacji sylwestrowej, ale dziś, gdy Grupa Wyszehradzka wypięła się na nas w pełni, warto dodać coś mocniejszego. Może dron? W moim mieście ogromnie poprawiła się komunikacja miejska: odbudowaliśmy zniszczone przez komunistów szyny tramwajowe, pojawiły się buspasy, budujemy metro, bezpieczniejsze przystanki. Życie bez samochodu jest wyobrażalne, więc prawo jazdy przestaje być sexy, ale czas pomyśleć o nauce obsługi dronów. Bo już postarzał się nam ten piękny odbudowany po powstaniu warszawskim Pomnik Lotnika! Prawdziwy major lotnik do niego pozował Wittigowi. Czy dałby radę sterować bezzałogowcem? A tu wojna hybrydowa szumi pikaniem botów w necie i dźwiękiem dronów, który nasi przyjaciele z Ukrainy zdążyli już rozpoznać.

W święta Bożego Narodzenia przeczytałam ponownie powieść „Małe kobietki" L.M. Alcott w bardzo trzeźwym, realistycznym przekładzie Anny Bańkowskiej. Jak pamiętamy, to wielki bestseller amerykańskiej powieści z gatunku *coming of age*, opowieść o dorastaniu czerech sióstr w czasie wojny secesyjnej. Tatko jest tu nieobecny w kadrze, bo wyruszył na wojnę, a trud przetrwania wojny i biedy spoczywa na barkach matki i najstarszej siostry.

> Życie bez samochodu jest wyobrażalne, więc prawo jazdy przestaje być sexy, ale czas pomyśleć o nauce obsługi dronów.

Nasze opowieści domowe czy podręczniki pełne są świadectw o tym, jak polscy mężczyźni opuszczali mamy, siostry, babcie czy ukochane, idąc do powstań i na wojny. Widzieliśmy niedawno płaczące matki rosyjskich chłopców, słyszymy tragiczne opowieści o ukraińskich babciach czy matkach, które pracują ponad siły, byle tylko uratować od okopów tych młodych synków, którzy nie mają psychiki silnej na tyle, by sterować dronami czy rozbrajać miny w Donbasie. Nasze muzea, sale szkolne, plakaty pełne są fotografii bohaterskich sanitariuszek opatrujących powstańców czy harcerek tnących prześcieradła na bandaże tudzież gotujących kaszę plujkę.

Jednak ta wojna będzie inna, a w Ukrainie już jest inna. Tzw. nasze panie, jak zwykł mawiać o Polkach pan bankowiec Mateusz Morawiecki, nie będą nikogo niańczyły w domu ani czekały z kubkiem gorącej mleka, bo same się zgłoszą po książeczki wojskowe. Przyjemnie spotkać eleganckiego balowicza sojusznika w muszce, ale na muszce potrafimy też trzymać i neutralizować wrogów. A na razie: DRON WORRY – i tańczmy na parkiecie pełni wdzięczności, że jeszcze żyjemy, że operatorami i operatorkami dronów są nasi sąsiedzi i sąsiadki z Ukrainy.

AGATA PASSENT

eprasa.pl 2d9fcd4723

Orliński

Dobre wieści z kosmosu

Chciałoby się zacząć w nowym roku optymistycznie. Mój idol Stanisław Lem mawiał, że zajmuje się kosmosem, żeby nie myśleć o tym, co się dzieje na tej planecie – spróbuję więc pójść za jego poradą. Rok 2026 przejdzie do historii jako rok powrotu ludzkości w okolice Księżyca. Na razie jeszcze bez lądowania, ale to i tak dużo. Samo oderwanie się od ziemskiej grawitacji zużywa tak wiele energii, a co za tym idzie, jest tak kosztowne, że od 1972 r. nie podejmowano takich prób.

W 2022 r. w rejon Księżyca poleciała bezzałogowa misja Artemis I, która służyła przetestowaniu aparatury. Na pokładzie podróżowały manekiny – w lutym w ramach Artemis II ich miejsca zajmą ludzie. Wprawdzie misje kosmiczne często są odkładane w czasie (bo zła pogoda, bo jakiś czujnik coś pokazał, bo ktoś się zaciął przy goleniu), ale do końca roku powinni się wyrobić. A więc jacyś ludzie znowu zobaczą na własne oczy niewidzialną z Ziemi stronę Księżyca.

Nie wiadomo, jak to się dalej potoczy, bo misja Artemis III zakładała lądowanie na Księżycu z wykorzystaniem pojazdu Starship od Elona Muska. Jak to często bywa z tym panem, jego produkt wygląda genialnie na etapie samochwalstwa na Twitterze, ale w praktyce jest po prostu niegotowy. Na jedenaście testowych lotów sześć było udanych – przy tych liczbach nikt nie odważy się na załogowy lot Starshipem. Trwają więc nerwowe poszukiwania alternatywnych rozwiązań.

> Lepiej dla postępu byłoby, gdyby Elona Muska, Sama Altmana czy Jeffa Bezosa po prostu solidnie opodatkowano.

Media niestety mają nieuleczalną skłonność do przesadnego lansowania ludzi takich jak Musk. Odpowiada za to tzw. czynnik ludzki. Opowieść o człowieku zawsze czyta się ciekawiej (powiedzmy szczerze: „klika się lepiej") od prezentacji abstrakcyjnego zagadnienia. W efekcie zamiast o technologiach najchętniej piszemy o miliarderach, co z kolei prowadzi do promowania fałszywego wyobrażenia, jakoby to oni odpowiadali za wszelki postęp, a biurokraci z państwowych instytucji tylko ciskali im kłody pod nogi.

W rzeczywistości zawsze było odwrotnie – i nadal jest. To, co nie działa w projekcie Artemis, to przechwałki Muska. Działają natomiast produkty rządowych agencji. Statek kosmiczny Orion, którym astronauci mają w lutym polecieć na Księżyc, to wspólny projekt agencji kosmicznych – amerykańskiej (NASA) i europejskiej (ESA). Na orbitę wyniesie go rakieta SLS, rozwiniętą wersję boosterów, które 40 lat temu niosły w kosmos wahadłowce z programu *Space Shuttle*. Statek Orion przypomina zaś statek Apollo tak, jak podobne są do siebie kolejne generacje tego samego modelu samochodu (zazwyczaj następna jest większa, wygodniejsza i „naszpikowana technologią").

Powrót na Księżyc stał się więc możliwy nie za sprawą jakichś przełomowych odkryć i wynalazków, lecz odwrotnie – sięgnięto po sprawdzone rozwiązania sprzed lat, odłożone do lamusa z powodów polityczno-budżetowych. Jest ryzyko, że znów zostaną odłożone, bo Donald Trump zdaje się wrogiem wszelkiego postępu.

No trudno, to kolejna dziedzina, w której musimy pożegnać nadzieje wiązane z Ameryką. Ale tu zmierzam do drugiej dobrej wiadomości z kosmosu. Jak może państwo słyszeli, doczekaliśmy się pierwszych polskich satelitów wojskowych PIAST (Polish Imaging Satellites). Przeszło to względnie bez echa, zwłaszcza w porównaniu z medialną paradą polskiego astronauty, no ale znów zadziałała tu miłość mediów do „ludzkich historii".

Tymczasem wydaje mi się to o tyle ważniejsze, że te polskie satelity wykorzystują polską technologię. W dzisiejszych czasach trzeba się liczyć z tym, że Amerykanie wszystko mogą zdalnie wyłączyć, a Chińczycy mogą wszystko wykorzystywać jako podsłuch – dobrze więc mieć satelitę wyprodukowanego całkowicie nad Wisłą, ewentualnie nad Jeziorką (część sprzętu przygotowała firma Creotech Instruments z podwarszawskiego Piaseczna). Same satelity służą do nowatorskiego rodzaju obserwacji obiektów naziemnych – ich radary potrafią przenikać przez ściany i sufity, można więc zobaczyć, co wróg ukrywa w bunkrach i hangarach. Technologię ICEYE rozwijamy we współpracy z Finlandią, ale jej głównym twórcą i prezesem firmy jest inż. Rafał Modrzewski, absolwent Politechniki Warszawskiej.

Media uwielbiają amerykańskie opowieści o „firmie założonej w garażu", ale tu akurat odpowiednio zadziałały publiczne instytucje: Sieć Badawcza Łukasiewicz, Instytut Lotnictwa, Wojskowa Akademia Techniczna, fińskie fundusze wspierania start-upów itd. I znów mamy problem z mediami: chętnie piszą, gdy coś nie działa, a milczą, gdy coś działa. Stąd znów fałszywe wrażenie, że publiczne instytucje zawodzą, a prawdziwego postępu dokonują tylko charyzmatyczni miliarderzy zza oceanu. Lepiej dla postępu byłoby, gdyby Elona Muska, Sama Altmana czy Jeffa Bezosa po prostu solidnie opodatkowano, żeby NASA, ESA i Sieć Badawcza Łukasiewicz miały więcej pieniędzy i nie musiały kasować projektów z powodów budżetowych. Czego sobie i państwu życzę w nowym roku!

WOJCIECH ORLIŃSKI

eprasa.pl 2d9fcd4723

FELIETON

Chutnik Plebanek

Czas beretów

Po katastrofie w Czarnobylu Szwedzi ukuli zwrot „zostawić beret w reaktorze", co stało się synonimem błędu człowieka odpowiedzialnego za obsługę potencjalnie śmiercionośnej maszyny. Ironia stanowiła antidotum na lęk przed tym, że w lasach Północy wyrosną radioaktywne grzyby. Kiedy Grażyna mieszkała w Sztokholmie, znajoma jej opowiedziała, że po eksplozji w 1986 r. właśnie tak kanalizowano strach: kpiąc z pracownika, który zapomniał czapki, przez co doszło do awarii jądrowej. Według Sylwii u nas się mówi, że Polska działa na trytytki – plastikowe paski, które naprawią wszystko.

Być może nadchodzi czas beretów, bo wysoko wyspecjalizowane maszyny na dobre wkraczają w naszą rzeczywistość. Gorączka AI nakręca dobrze opłacanych pracowników big techów, ekscytuje gorzej wynagradzanych naukowców, pozbawia pracy twórców. Jedni wyobrażają sobie bezmiar możliwości, od medycznych po kosmiczne, inni są przerażeni, bo w pogoni za nowoczesnością depcze się prawa pracownika, jak ponad sto lat temu. Wtedy rewolucja przemysłowa przyniosła tak fatalne warunki pracy, że na ulice wyszły tłumy, a protesty krwawo tłumiła policja, ku uciesze właścicieli fabryk.

Dziś właściciele big techów powtarzają turbokapitalistyczny scenariusz, choć robią to sprytnie. Swoich lobbystów opłacają sowicie, by nie zwracali uwagi na cierpienie tych, których ich firmy oskubują. W wyścigu do odkryć w dziedzinie tzw. sztucznej inteligencji (zmieńmy wreszcie tę nazwę, bo nic w niej inteligentnego) artyści stanowią *collateral damage*. To nam zabiera się efekty wieloletniej pracy – bez pytania o pozwolenie, bez wynagrodzenia, nawet nie informując. Złapany na tym procederze Mark Zuckerberg nie krył, że ściągnął teksty książek z pirackiej strony założonej przez Rosjan. I nadal jest szefem jednej z najlepiej prosperujących amerykańskich firm, może nawet wzorem dla młodych biznesmenów. Poniósł konsekwencje? A gdzie tam, przecież nie będzie się z nim procesować marnie opłacany pisarz.

> Gorączka AI nakręca dobrze opłacanych pracowników big techów, ekscytuje gorzej wynagradzanych naukowców, pozbawia pracy twórców.

Przyzwoitość to pierwsze, co opuszcza ludzi, gdy ogarnia ich gorączka złota. Widać to choćby w takich wypowiedziach, jak uwaga Richarda Suttona, laureata Nagrody Turinga. Naukowiec krytykuje modele językowe i generatywną sztuczną inteligencję za to, że są trenowane na danych dostarczonych przez człowieka, a ta możliwość właśnie się kończy. Czytaj: zawłaszczyli już to, co się dało (wywiad Piotra Cieślińskiego z Andrzejem Draganem dla „Gazety Wyborczej"). Słychać tu zarzut o brak wydajności, ale nie ma ani słowa wyjaśnienia, że owe „dane dostarczone przez człowieka" to m.in. dzieła ukradzione współcześnie tworzącym artystom i artystkom. To ich obrazy, rysunki, utwory muzyczne i teksty literackie przepadły w powodzi zassanych danych. Naukowcy pozwalają sobie przy tym kpić z twórców, mówiąc, że ich dorobek to nieistotny objętościowo fragment danych.

Pogarda dla twórców i sprowadzenie kulturalnego dorobku ludzkości do niewiele znaczących danych pokazują, co dzieje się z ludźmi, gdy poczują w pobliżu żyłę złota. Jak pisze Asma Mhalla w książce „Cyberpunk. Le nouveau système totalitaire": „W tym stuleciu nie broni wam się myśleć. Czyni się was tak zajętymi, aż zapomnicie, jak to się robi".

Konsekwencje cynicznego podejścia będą katastrofalne dla nas wszystkich. Za to big techy obłowią się niczym łódzcy kapitaliści z „Ziemi obiecanej" Reymonta (ten tekst to nieistotne dane zassane do trenowania modeli). Dziś AI miele nasze dzieła i wypluwa produkty literacko?podobne, które sprzedaje się jako literaturę. Następny krok to produkty profilowane pod gusta konkretnego czytelnika. Kiedy zaczniemy przeżuwać tę papkę, nie będzie nam się chciało sięgać po książki pokazujące inny niż nasz punkt widzenia. Zaniknie umiejętność niezależnego, krytycznego myślenia. Wówczas łatwiej będzie nami rządzić. Zważywszy, że właściciele big techów dysponują majątkami większymi niż PKB niejednego państwa, już wiemy, kto będzie naszym panem.

Tu nie chodzi o lamentowanie nad postępem i rozwojem informatycznym, lecz o racjonalne zadanie pytania: na jakim etapie jesteśmy? Na co się zgadzamy? Najnowszym trendem na TikToku jest *analog bag*, czyli analogowa torba, odtrutka na bezmyślne scrollowanie telefonu i pisanie maili z użyciem ChatGPT. W torbie znajduje się – uwaga! – papierowa książka, wełna z drutami lub notes. Ludzie powracają do tego, od czego chcieli uciec. Znamienne.

W nowym roku życzymy nam wszystkim refleksji nad etyczną stroną technologicznego wyścigu. Uruchomienia wyobraźni, by zmierzyć się z wizją konsekwencji. Dalekowzroczności i czujności. Włączania się wyjącego alarmu, gdy czytamy, słuchamy, oglądamy materiał o dobrodziejstwach wyścigu do AI, bez omówienia kosztów. A pod choinkę polecamy znakomitą książkę Sylwii Czubkowskiej „Bóg techy. Jak wielkie firmy technologiczne przejmują władzę nad Polską i światem". Czyta się jak kryminał. Zgadnijcie dlaczego.

SYLWIA CHUTNIK, GRAŻYNA PLEBANEK

eprasa.pl 2d9fcd4723

Hartman

Przykazania nie-mądre

Od wylądowania Amerykanów na Księżycu żyjemy w nadrzeczywistości. Co kilka lat wydarza się coś tak absurdalnie nieprawdopodobnego, że doszliśmy do momentu, w którym nic nie może nas zdziwić. Wszystkie punkty orientacyjne zniknęły z horyzontu, chociaż dryf też już nas nie przeraża. W końcu Ziemia jest okrągła i cała należy do nas. Możemy wylądować wszędzie, byleby zdrowie było i co do garnka włożyć. A z tym ostatnim nawet nie jest źle. Żadne ludzkie pokolenie w przeszłości nie miało tak jak my.

Lądowania na Księżycu nie pamiętam, bo byłem malutki, ale wydarzyło się to całkiem niedawno – niespełna 60 lat temu. A potem? Potem przyszły komputery. Upadł Związek Radziecki. Pojawił się internet, smartfony i media społecznościowe. Następnie mężczyźni zaczęli wychodzić za mąż, a kobiety się żenić. Chiny stały się najpotężniejszym mocarstwem, a Stany Zjednoczone zapadają się w szaleństwo dyktatury. Globalne ocieplenie chwyta nas za gardła, a globalna zaraza na rok zatrzymuje życie. Wojna Rosji z Zachodem wydaje się nieuchronna, tak jak powstanie genetycznie zmodyfikowanych postludzi. A sztuczna inteligencja tańczy, śpiewa, recytuje...

Żadne rewolucje przemysłowe ani inne elektryfikacje nie mogą się równać z tym ciągiem wydarzeń, chociaż oglądanie, jak zapaliło się światło, usłyszenie pierwszego dzwonka telefonu i pierwszej audycji radiowej musiało być doświadczeniem zapierającym dech w piersi. Nie mówiąc już o samolocie i telewizorze. Tyle że to wszystko nie podważało sensu jednostkowej egzystencji ani nie wywracało wyobrażeń o życiowym sukcesie, szczęściu, dobru i złu.

> Co kilka lat wydarza się coś tak nieprawdopodobnego, że doszliśmy do momentu, w którym nic nie może nas zdziwić.

Wszystko się zmieszało ze wszystkim, a my zgłupieliśmy wystarczająco gruntownie, żeby odechciało się nam mądrzeć z powrotem. Bo na to wszak nie ma mądrych, a w każdym razie nie tak mądrych jak jakiś ej-aj. Cóż nam więc pozostaje, jeśli nie podnieść się z tego błota, obetrzeć, rozejrzeć po najbliższej okolicy i urządzić za pomocą tego, co znajdziemy pod ręką? Przecież wszelkie ambicje światowe nie mają już sensu. Idealizm okazał się narcystyczną i egzaltowaną opresją. Wiara w człowieka niewarta już więcej niż wiara w Boga czy kogoś w tym rodzaju. Cynizm jest tak samo nudny i śmieszny jak patos i mądrość kapłanów albo filozofów, za to miłości i nadziei mamy pod dostatkiem, podobnie jak chandry. Jesteśmy zaburzeni, lecz nie tak strasznie jak nasi przywódcy. Terapie są drogie, lecz dostępne, a życie zapowiada się na długie i zakończone względnie komfortową śmiercią w hospicjum. Potem urna w kolumbarium, grób na wirtualnym cmentarzu; pośmiertny awatar na socjalach. W sumie lajk. Żyć, nie umierać, a i umrzeć jest jakby OK.

Jako postfilozof, postcyniczny postpostmodernista, zalecam, co następuje. Po pierwsze, nie przejmuj się. Masz co jeść, a reszta jest milczeniem. Po drugie, nie walcz. Nie zmienisz świata, pieniądze znacznie powyżej średniej są mało przydatne, a wywalczone miłości to ułuda. Nic na siłę. Po trzecie, niczego nie oczekuj ani od świata, ani od siebie, ani od innych. Nie licz też na innych ani tym bardziej na siebie. Przeliczysz się i będziesz musiał chodzić na terapię. Zresztą i tak „nie jesteś tego warta". Po czwarte, bierz, co jest, i nie wybrzydzaj. Kolega, koleżanka też się nada, jeśli ma w miarę równo pod sufitem. Byle nie siedzieć samemu na tej kanapie. Po piąte, bądź koleżeński i rób to, co do ciebie należy i do czego się zobowiązałeś, mniej więcej dobrze i na czas. Byle bez gorliwości. Po szóste, dbaj o siebie i swoje przyjemności. Co zjesz, to twoje. Po siódme, ciesz się na przyszłe dni. Nigdy tak nie było, żeby jakoś nie było. Najwyżej się umrze. Ale przecież nie jutro. A jeśli nawet, to trudno. Po ósme, nie popadaj w afektację. Wszystkie te poetyczne i religijne uniesienia niewarte są robienia z siebie idioty. Dość jest na świecie przyjemności, które nie ogłupiają. Po dziewiąte, dbaj o dzieci i zwierzęta. Tylko niewinni zasługują na to, by dostać coś za darmo. Po dziesiąte, gdy widzisz świństwo, to chociaż spluń. Świat nie będzie lepszy, ale łajdak ma święte prawo wiedzieć, że jest łajdakiem.

Nie jest to może porywający dekalog, ale znam kilka gorszych. Zresztą nie o porywanie serc ani rząd dusz tutaj chodzi. Raczej o przetrwanie w świecie, którego nie jesteśmy w stanie ani zrozumieć, ani zmieniać na lepsze, bo jesteśmy tylko ludźmi, a on... pozaludzki. Nie możemy go już zawrócić, uczłowieczyć, przyciąć do miłego formatu, w którym dobrzy ludzie sieją wokół siebie ziarenka dobra, a z nich wyrastają gaje i oazy miłości na pustyniach zła i nienawiści. To już nie działa. Samowiedza psychologiczna unieważniła naszą samowiedzę moralną. Cnoty są iluzoryczne, a równowaga emocjonalna wymaga czegoś więcej niż praktykowania roztropności, męstwa i umiarkowania. W czasach nie-ludzkich skarbem człowieka jest jego psychologiczna wiedza i autoterapeutyczne umiejętności. Moje dobre rady nie-mędrca są świadectwem jednego i drugiego. Na niczym innym nie warto się znać i niczego innego umieć.

JAN HARTMAN

eprasa.pl 2d9fcd4723

Wartości poważne i niepoważne

Minister Przydacz tak intensywnie emanuje polskością, że dzieją się rzeczy niepojęte. Korespondent Polskiego Radia poinformował, że podczas briefingu ministra przed Białym Domem nagle z niewiadomego powodu w pobliżu rozległ się hymn Polski. Sprawca nie umiał wyjaśnić, dlaczego go puścił. Nie wykluczył inspiracji boskiej, chociaż biorąc pod uwagę silnie inspirującą osobowość Przydacza, stawiałbym raczej na niego.

W Pałacu Prezydenckim aura polskości była przed Bożym Narodzeniem tak przytłaczająca, że odurzony nią Karol Nawrocki odwołał uroczystość zapalania świec z okazji święta Chanuki. Uznał, że jako Polak ma obowiązki polskie i nie ma obowiązku zapalania żydowskich świec. Zapewnił, że swoje przywiązanie do wartości chrześcijańskich traktuje poważnie i obchodzi tylko święta, „które są bliskie jego osobie".

Gest ten trudno uznać za nieprzyjazny; pokazuje on po prostu, że obcego wartościom Nawrockiego żydowskiego święta Chanuki Nawrocki nie może traktować poważnie. Rezygnację z zapalania niechrześcijańskich świec przed chrześcijańskimi świętami odbieram też jako sympatyczny gest wobec chrześcijan skupionych wokół europosła Brauna. Obawiam się, że po tradycyjnym zapaleniu tych świec Braun i jego chrześcijanie mogliby przyjść z gaśnicami, żeby je tradycyjnie zgasić. Znając chrześcijański zapał Brauna, podejrzewam, że przy okazji ucierpiałaby bożonarodzeniowa choinka, mikrofony, nagłośnienie i niektórzy goście.

Braun jest na fali, tymczasem dla PiS mijający rok nie był zbyt pomyślny. Nastroje w partii poprawiły się dopiero przed Bożym Narodzeniem, gdy poseł Suski na sejmowej komisji kultury ogłosił dobrą nowinę o tym, że zasiadający w komisji posłowie koalicji rządzącej to debile. Nowina wielkiego zdziwienia nie wywołała; zasoby intelektualne Suskiego są znane i nikt nie oczekiwał, że ogłosi coś więcej. Mimo to i tak spadła na niego fala krytyki, moim zdaniem krzywdzącej, bo trudno mieć do Suskiego pretensję, że zachował się jak burak, skoro wiadomo, że to wina Tuska uprawiającego cyniczną politykę wzbudzania w przeciwnikach prymitywnych odruchów słownych po to, żeby oskarżać ich o mowę nienawiści.

Zgadzam się, że istnienie Tuska szalenie zaniża poziom publicznych wypowiedzi polityków PiS. Nic dziwnego, że najważniejszym programowym postulatem tej partii jest, żeby Tuska nie było. Z miejsca zmniejszyłoby to poziom prostactwa i żenady w wystąpieniach polityków PiS oraz pozwoliło ujawnić tym politykom właściwą im błyskotliwość i kulturę słowa.

GALERIA POLITYKI

ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY
tel. 22 451-61-36, e-mail: reklama@polityka.pl
Izabela Kowalczyk-Dudek *(dyr.)*,

ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWCZY
Piotr Zmelonek (dyrektor) *22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka (dyrektor) *67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk (dyrektor)

PRENUMERATA PAPIEROWA
www.sklep.polityka.pl
tel. 22 451-61-85,
e-mail: prenumerata@polityka.pl

SUBSKRYPCJA CYFROWA
www.polityka.pl/cyfrowa
tel. 22 336-79-16,
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

SERWIS INTERNETOWY
www.polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska

PORTAL POPULARNONAUKOWY
projektpulsar.pl
REDAKTOR NACZELNY
Karol Jałochowski

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska,
tel. 22 451-61-50,
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK Print Leipa

eprasa.pl 2d9fcd4723

Zdarzyło się

Zaglądamy do archiwum POLITYKI

Ćwierć wieku temu z okazji Nowego Roku robiliśmy na naszych łamach „remanent". W raporcie „Świat 2001" (POLITYKA 1/2001) Marek Ostrowski i Adam Szostkiewicz opisywali, jak zaczęło się nowe tysiąclecie.

„W noc sylwestrową – w okamgnieniu – nasz stary świat przeszedł ze stulecia w stulecie, a nawet z jednego milenium w drugie. W zgiełku zabawy i ogni sztucznych nie było komu podpisać światowego protokołu zdawczo-odbiorczego, globalnego bilansu: winien i ma, jakim każda szanująca się firma zamyka jeden okres rozrachunkowy, aby z czystym sumieniem wejść w następny. Wzięliśmy to zadanie na siebie. Przeklęty wiek XX – wiek

wojen i totalitaryzmów – akurat dla Polaków zarezerwował wspaniałe zakończenie, prezent wolności. Jednak w protokole na koniec wieku musimy z obowiązku odnotować wiele pozycji fatalnych, obciążających hipotekę nowego stulecia i psujących smak milenijnego szampana. (...)

Nad całą światową szachownicą polityczną przez pierwsze ćwierćwiecze, może przez całe rozpoczęte w tym tygodniu stulecie, będzie wisieć zasadnicze pytanie. Czy Chiny, Rosja i Japonia wybiorą integrację z regionem euroatlantyckim, czy pójdą własnymi drogami, które w przyszłości mogą narazić świat na napięcia i konflikty. Zarówno Chiny, jak i Rosja publicznie odrzucają jednobiegunową wizję świata i jednobiegunowy system bezpieczeństwa uzasadniający amerykańską hegemonię. Największą niewiadomą pozostają ponadmiliardowe, rozsadzane ciśnieniem wewnętrznym Chiny, które przekroczyły już próg gospodarki rynkowej, ale wciąż szukają swego modelu demokratyzacji. (...)

»Zgubiliście naszą planetę« – takie plakaty po klęsce konferencji w Hadze wywiesili ekolodzy. Brzmi w tym nuta histerii, bo bieg dziejów wykazywał dotąd, że zdolności samoadaptacyjne człowieka są ogromne. Narastają jednak obawy, że w tej jedynej sprawie człowiek przekroczył punkt, od którego nie ma odwrotu, wyzwolił siły, nad którymi już nie zapanuje i nawet nie wie, na jakie spustoszenia się naraża. Kto wie, czy walka o środowisko naturalne nie stanie się najważniejszą batalią nadchodzącego stulecia".

ODCHODZIĆ PO LUDZKU

Poradnik dla opiekunów: ściągnij, wydrukuj, zachowaj

„Bądź blisko" to poradnik, który warto mieć pod ręką, na wszelki wypadek. To zestaw praktycznych porad i niezbędnych informacji. Szczególnie przydatny, kiedy nagle, niemal z dnia na dzień trzeba de facto na nowo zorganizować życie bliskiej osoby, która z powodu niesamodzielności lub choroby wymaga naszej stałej opieki w domu. Poradnik powstał w ramach prowadzonej przez POLITYKĘ akcji „Odchodzić po ludzku", w ramach której pokazujemy, jak w praktyce wygląda starość w Polsce. Naszą akcję od samego początku wspiera Puckie Hospicjum pw. św. Ojca Pio. To właśnie dzięki naszemu partnerowi – i przy jego wydatnym merytorycznym wsparciu – opracowaliśmy poradnik „Bądź blisko". Broszura ta została opracowana na podstawie specjalistycznego serwisu **bliskochorego.pl**, uruchomionego przez Puckie Hospicjum. Mogą ją Państwo ściągnąć na swój komputer, tablet lub telefon, choć zachęcamy także do jej wydrukowania.

Znajdą tam Państwo praktyczne porady, jak opiekować się osobą chorą lub niesamodzielną, w tym: jak ją pielęgnować, karmić lub z nią ćwiczyć. Wskazujemy też m.in., w jaki sposób przystosować dom, jaki sprzęt wybrać, a także na jakie refundacje i dofinansowania można liczyć. Skupiamy się również na bólu: zarówno tym fizycznym, jak i psychicznym. Pokazujemy, co robić, kiedy wystąpią duszności, panika oddechowa, nudności czy problemy gastryczne, a także jak zapobiegać odleżynom. Ostatnią część poświęcamy zaś problemom samych opiekunów – piszemy, jak radzić sobie ze stresem, wypaleniem, żałobą i gdzie szukać wsparcia.

Zachęcamy, aby zapoznać się z naszym poradnikiem „Bądź blisko" – jak również z innymi materiałami, które dotychczas ukazały się w ramach naszego cyklu „Odchodzić po ludzku". Bo siła wynika także z wiedzy.

Poradnik oraz dodatkowe materiały znajdą Państwo w zakładce na naszej stronie: www.polityka.pl/odchodzicpoludzku

Wojciechowi Szackiemu
wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci
Mamy
składają przyjaciele z POLITYKI

eprasa.pl 2d9fcd4723

Zaparz sobie spokój

W chłodne dni i wieczory organizm domaga się regeneracji, ciepła, łagodności. To czas, gdy do łask wracają proste, aromatyczne i kojące napary.

TREND

Kiedyś ziółka były domowymi remediami na ból brzucha, przeziębienie czy „nerwy" i raczej nie uchodziły za smaczne, teraz to modny element *hygge*, rytuału spowolnienia i komfortu. Tym bardziej że napary doskonale wpisują się w nastrój troski o ciało, nie pobudzają jak kawa, herbata i energetyki, działają kojąco na żołądek, układ nerwowy i zmysły. W kawiarnianych kartach coraz częściej pojawiają się rozgrzewające ziółka doprawione miodem, pachnące skórką pomarańczową, cynamonem i kardamonem, wprost stworzone na chłodne pory roku, kiedy łyk ciepłego naparu „robi dobrze" nie tylko naszym kubkom smakowym, ale i duszy.

Picie naparów z ziół i nasion to jeden z najstarszych ludzkich rytuałów. Zaczęło się w momencie, gdy nauczyliśmy się gotować wodę w naczyniu i odkryliśmy, że wywary z liści, kwiatów czy kory mogą leczyć, przynieść ulgę i wzmocnienie. Jednym słowem, czynią coś, co uznawano za magię. W Korei i Japonii poza herbatami różnych kolorów od wieków pije się bezteinową zbożową *bori-cha* (jap. mugichę) z prażonego jęczmienia czy *oksusu-cha* z kukurydzy. Sączą je zamiast wody, przez cały dzień, także dzieci i osoby starsze, mają bowiem działanie nawadniające, łagodzące i mineralizujące, a przy tym są po prostu smaczne.

W Afryce Północnej króluje świetnie nam już znany rooibos z czerwonokrzewu afrykańskiego (*Aspalathus linearis*) i honeybush (*Cyclopia spp.*). Co ciekawe, chociaż od zawsze pili je przedstawiciele ludu Khoisan, świat odkrył je dopiero w XX w. i zaczął sprowadzać jako zdrową i pyszną alternatywę dla herbaty. Australijscy Aborygeni od tysięcy lat parzyli nasiona akacji oraz liście eukaliptusa i aromatycznego *lemon myrtle* (*Backhousia citriodora*), które działały leczniczo i oczyszczająco. Ich tradycja, podobnie jak inne, łączyła smak z troską o ciało i ducha. W Ameryce Południowej, którą kojarzymy głównie z pobudzającą mate z ostrokrzewu paragwajskiego, do kubków trafia cytrynowa werbena (*cedrón*) o uspokajającym działaniu oraz mięta, lipa i rumianek.

Agnieszka Krzemińska – archeolożka i dziennikarka działu naukowego POLITYKI. Autorka czterech książek popularnonaukowych. Najnowsza z nich, „Homo (nie tylko) sapiens. Inna opowieść o naszych przodkach", właśnie się ukazała.

W zachodnim świecie poza klasyczną miętą czy rumiankiem piło się wywary z lipy, szałwii, dzikiej róży, wrzosu i brzozy oraz rozliczne ziołowe mieszanki. Słyną z nich mieszkańcy Bałkanów. W Chorwacji króluje *dalmatinski čaj* składający się z szałwii, rozmarynu, tymianku, lawendy, mięty, melisy, rumianku i lipy, a w Serbii i Czarnogórze popularniejszy jest *planinski čaj*, czyli aromatyczna i doskonała na zimę „herbata górska" zawierająca gojnik (*Sideritis scardica*), dziką miętę, tymianek, oregano, lipę, rumianek i dziką różę. To bardzo aromatyczna mieszanka. Bałkany słyną właśnie z gojnika, dziko rosnącej rośliny, która naturalnie występuje na wapiennych zboczach gór powyżej 1000 m n.p.m. Jej ziołowo-miodowy aromat przypomina o słońcu i łąkach, a bogactwo flawonoidów i żelaza czyni z niej napój idealny na chłodne miesiące.

Łączy je jedno – są bezpretensjonalne i nie potrzebują ceremonii, po prostu się je parzy i pije. Oczywiście są niewielkie różnice w sposobach przygotowania, choć aromat ziół uwalnia się wtedy, gdy się je zaleje gorącą wodą i zostawi pod przykryciem na kilka minut. Smakoszom ziółka smakują w wersji sauté, ale początkującym mogą bardziej smakować z dodatkami – suszonymi owocami, płatkami róży, wanilią, imbirem, goździkami, anyżem, kardamonem czy miodem.

Jak każda moda, także ta może mieć swoje cienie – co najlepiej pokazał przykład matchy. Już teraz tradycyjnie zbierany ręcznie przez pasterzy gojnik zaczął być uprawiany z powodu rosnącej popularności, by ograniczyć nadmierne eksploatowanie naturalnie rosnących ziół.

Dlatego wielbiciele ziółek powinni stawiać na produkty z certyfikowanych upraw, lokalnych producentów i rodzime zioła. A Polska od zawsze była krajem naparów. Lipa, mięta, pokrzywa, rumianek, dzika róża, liście malin i porzeczki – to nasze odpowiedniki greckiego gojnika czy japońskiej mugichy. Pachną wakacjami i babciną kuchnią. Pasuje do nich estetyka prostoty: kubki z surowej ceramiki, dzbanki z przezroczystego szkła, lniane serwetki. Poza tym napary mają w sobie coś z zaklęcia. To przecież echo pradawnego odkrycia, że gdy wrzucimy do gorącej wody kilka liści, świat na chwilę złagodnieje. ■

eprasa.pl 2d9fcd4723

Rok w liczbach

WIRAL

W czasach przed aplikacjami podsumowania interesowały głównie zagorzałych fanów i nerdów gotowych prowadzić bazy danych przeczytanych książek, obejrzanych filmów czy odsłuchanej muzyki. Bogaty profil w serwisie last.fm był walutą przetargową na targowisku fajności. Zbieranie statystyk umiłowali sobie też fani aktywności fizycznej; dane zbierane przez opaski fitnessowe i smartwatche prezentowane jako mapki i cyferki doskonale sprawdzają się nie tylko jako materiał do samochwalstwa, ale też naturalny doping.

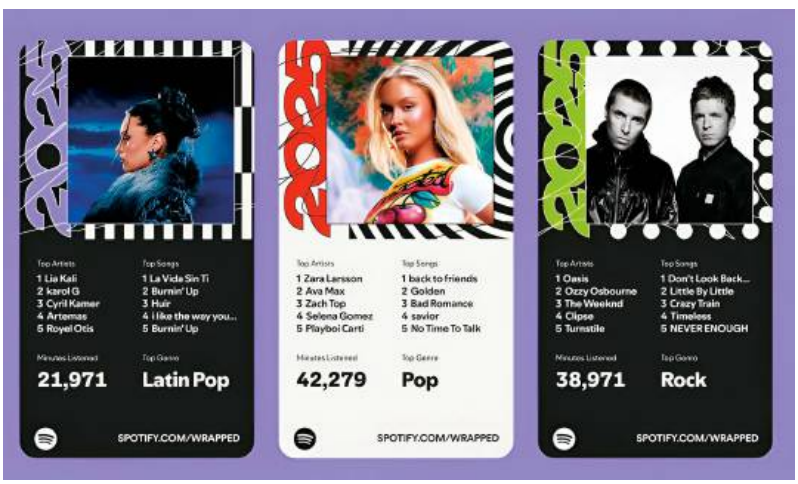

Wszystko zmieniło się w 2016 r., gdy platforma streamingowa Spotify pokazała podsumowanie roku każdego użytkownika jako serię interesujących infografik. **Spotify Wrapped** stał się odtąd ważnym momentem kulturowym zarówno hołubionym, jak i kontestowanym: kiedy jedni dzielili się swoimi najczęściej słuchanymi piosenkami i ulubionymi wykonawcami, inni deklarowali, że nie są bilbordami reklamowymi.

Dziś to coś więcej niż prosta statystyka: co roku dla swoich największych fanów artyści nagrywają filmiki z podziękowaniami, a śladem platformy poszły inne. Na początku te z muzyką i filmami; serwisy streamingowe pokazują na przykład, ile godzin seriali się obejrzało; aplikacja PlayStation podlicza czas spędzony w grach, serwis anime Crunchyroll na podstawie statystyk proponuje „przygodę na przyszły rok".

Dziś statystykami bawią się nie tylko serwisy rozrywkowe. Surowa sówka z edukacyjnej platformy Duolingo pokazuje czas spędzony na nauce języków (i w jakim procencie pilnych uczniów się znajdujemy), a aplikacja Koleo prezentuje, ile podróży pociągiem się odbyło (przy okazji oszczędzając środowisko i pieniądze niewydane na samochód). Na szczęście „podsumowanie zamówień Uber Eats" to na razie jedynie skecz z telewizyjnego „Saturday Night Live".

Podsumowanie roku to ważny rytuał zamknięcia, przystanek pozwalający przygotować się na kolejne wyzwania. Być może też nieco łatwiej się pogodzić z faktem, że platformy i aplikacje gromadzą nasze dane, jeśli raz do roku podzielą się nimi w ciekawej formie.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

Czas nonszalancji

SŁOWO

Świat próbuje nam sprowadzić myślenie do dwuwartościowego jak tiktokowy trend „klasa czy obciach". Chodzi o odpytywanie w krótkich filmach o stosunek rozmówcy – na tak lub na nie – do konkretnych kwestii lub osób. Rzecz była ostatnio tak popularna, że ze słowa „klasa", używanego jako synonim czegoś doskonałego lub ładnego jeszcze przez najstarsze żyjące dziś pokolenia (dokumentują to słowniki polszczyzny potocznej), uczyniła z powrotem coś modnego. Jednym słowem „klasa" znowu jest słowem klasowym, a nie obciachowym. Choć pewnie nie na długo, bo kolejne pozytywne określenia już stoją w kolejce. Na przykład „nonchalant".

Nic tak dobrze nie opowiada o przesuwaniu znaczeń jak to słowo. Oryginalnie francuskie: nad Sekwaną *nonchalant* oznaczało brak zaangażowania, niedbałość, ale też brak energii, wręcz ospałość. To ociąganie z czasem jednak zaczęto kojarzyć ze swobodą i u nas nonszalancja oznacza lekceważenie. A w końcu przeważyło angielskie znaczenie – tam *nonchalant* skojarzono raczej ze spokojem i dystansem – i mamy współczesną wersję słowa „nonchalant", tę opisywaną przez Urban Dictionary jako *not giving a f...*, czyli „mieć wszystko w d...".

Niedbałość urosła do miana cnoty, a beztroska i lekceważenie kojarzą się tym lepiej, im niżej idziemy w grupach wiekowych. Nowe „nonchalant" – koniecznie w tej oryginalnej pisowni, jak gdyby zostało na nowo odkryte i jeszcze niespolszczone – zbliżyło się więc do wyluzowania, niekierowania się opiniami innych, niewzruszenia, a nawet niezależności. I jako takie ma szanse na jeszcze większą popularność, bo to już blisko definicji słowa modnego od paru sezonów, czyli „sigmy". Choć może to nie samo słowo się zmieniło, tylko czasy, a wraz z nimi stosunek do nonszalanckiej postawy: teraz to zdecydowanie bardziej „klasa" niż „obciach".

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY
Nie beceluję na jej twarzy pielęgnację,
Wrócę jutro, kotku, jadę w delegację
PRO8L3M, Offbeat, 2025 r.
becelować – opłacać, sponsorować

© SHUTTERSTOCK (2), MICHAŁ MUTOR, SPOTIFY

eprasa.pl 2d9fcd4723

PODRÓŻE

Dlaczego zmierzam?

Dokąd będziemy podróżować w 2026 r.? Wszystko jedno, byle z sensem.

W połowie XIX w. Thomas Cook zorganizował pierwszą wycieczkę turystyczną. Zabrał grupę kilkuset osób z Leicester do odległego o kilkanaście mil Loughborough na zjazd abstynentów. Chciał im pokazać, że lepiej wydać pieniądze na podróż niż na alkohol. To wydarzenie uważa się za początek masowej turystyki. Zaraz potem Cook otworzył pierwsze na świecie biuro podróży; w jego ofercie szybko znalazły się wycieczki do wielu europejskich krajów, a nawet do Egiptu. Od tego czasu podróżowanie zaczęło być postrzegane jako festiwal „destynacji turystycznych" – Indonezja, Hawaje, Kostaryka, do wyboru, do koloru.

Niemal 200 lat po tej pierwszej wyprawie do Loughborough masowa turystyka dociera niemal do każdego zakątka na świecie, a tłumy turystów w Paryżu czy na Bali zostawiają za sobą spaloną ziemię. Słynne „destynacje" uginają się pod ciężarem własnej popularności: tłumy utrudniają życie mieszkańcom, a sobie samym sensowne obcowanie z kultowym miejscem. Barcelona, Wenecja, Dubrownik, Santorini – trudno wybrać się tam w sezonie i oglądać coś innego niż dzikie tłumy. Dodatkowo częste latanie generuje ślad węglowy, który przyczynia się do pogłębiania globalnego ocieplenia. I wreszcie – wiele popularnych miejsc właśnie przez rosnące temperatury straciło na atrakcyjności. Sycylia w sierpniu? Tylko jeżeli nie opuścimy klimatyzowanego hotelu.

Dlatego dzisiaj, zamiast wymyślać kolejny trend na podróżowanie rodzinne albo *city-break*, potrzebujemy przedefiniować myślenie o tym, czym właściwie jest turystyka. Zamiast zadawać sobie dobrze znane pytanie: „Dokąd pojadę w tym roku?" i odhaczać kolejne cele z listy marzeń, lepiej zastanowić się, dlaczego właściwie chcemy wyprawić się w podróż.

Jeśli chcemy po prostu odpocząć, *all inclusive* w Turcji nie jest naszą jedyną opcją. Wystarczy spokojna agroturystyka gdzieś na Podlasiu. Mamy ochotę na romantyczną wyprawę? Wenecja czy Paryż latem to raczej nie będzie nastrojowe doświadczenie. Może lepiej pojechać tam w styczniu? Albo wyprawić się w mniej oczywiste regiony niż popularne „miasta miłości", np. do rezerwatu ciemnego nieba, by wspólnie z ukochaną osobą spoglądać w gwiazdy.

Marzenie o czytaniu książek w ciszy? Proponuję sprawdzić, który hotel znajduje się w najbardziej odludnym miejscu i się w nim zaszyć. Wiele ośrodków zapewnia detoks od internetu, a w Szwecji można nawet odwiedzić stronę, na której znajdziemy pomiar natężenia dźwięku w różnych miejscach.

A może jednak Indie? Świetnie, ale dlaczego? Czy interesuje nas joga, jedzenie, a może chodzenie po górach? Jeżeli najpierw skupimy się na zrozumieniu, co nas przyciąga do tego miejsca, łatwiej będzie wybrać nieoczywiste trasy, które pozwolą nie utknąć w tłumie turystów w Tadż Mahal.

Całkiem proste, prawda? Ten trend kiełkował od lat, widać go było w modzie na „podróże slow" albo na „mikrowyprawy". Ostatnio sieć znanych hoteli nadała mu konkretną nazwę: *whycation*. W badaniach przeprowadzonych z tej okazji aż 72 proc. ankietowanych stwierdziło, że chce, by podróżowanie nabrało sensu, i często łączy je ze swoją pasją czy hobby. Ludzie niekoniecznie chcą na wakacjach pędzić od Luwru do wieży Eiffla. Ten trend widać także w ofertach biur podróży. Oczywiście wciąż dominują wycieczki typu „Tajlandia w tydzień" i „Magiczne Maroko", ale coraz większą popularność zdobywają takie, podczas których można zgłębić społeczne problemy danego miejsca, nawet tak skomplikowane jak kryzys migracyjny czy gentryfikacja. W ofercie znajdziemy także wyjazdy dla pasjonatów – entuzjastów insektów, fotografów ptaków albo dla introwertyków, którzy chcą po prostu wspólnie czytać książki.

Whycation wspaniale wyznacza kierunek koniecznych zmian w sposobie podróżowania. Bo zadanie sobie pytania: „Dlaczego chcę ruszyć w podróż?" daje też przestrzeń na to, by uznać, że wcale nie chcemy nigdzie jechać, wolimy spędzić wymarzony urlop na działce. Warto więc pytać „dlaczego" i tego wam życzę w 2026 r., nie tylko w kwestii podróży. ■

Urszula Jabłońska
– reporterka, autorka książek: „Człowiek w przystępnej cenie. Reportaże z Tajlandii" oraz „Światy wzniesiemy nowe".

eprasa.pl 2d9fcd4723

Jakie wina najbardziej zachwyciły w mijającym roku?

Najlepsze butelki

WINO

Był to dla winiarzy rok trudny i pełen wyzwań. Spadek konsumpcji wina w wielu krajach, nakręcany antyalkoholową propagandą, amerykańskie cła, wojna, inflacja, wzrost kosztów i katastrofa klimatyczna... Trzeba było mieć dużo samozaparcia, by patrzeć w przyszłość z optymizmem. Paradoks polega na tym, że praktycznie wszędzie robi się najlepsze wina w historii.

Na przykład w takiej Szampanii rocznik 2025 zapowiada się rewelacyjnie. A przecież region w ostatnich latach utracił blisko 20 proc. rynku. Spadki dotyczą jednak przede wszystkim tanich, masowych szampanów. Te najlepsze, od tzw. rolników (małych producentów, którzy robią wino tylko z własnych winogron), sprzedają się znakomicie i są coraz droższe. Nie dziwię się – smakują genialnie. W czasie kwietniowego wyjazdu do Szampanii zachwycili mnie m.in. Bérêche, Marguet, Agrapart, wyrafinowany Leclerc Briant, a co roku pojawiają się nowe twarze. Na tym poziomie jakości szampan nie ma żadnej konkurencji – niech mi wybaczą wszelkie niemieckie i austriackie Sekty, włoska Alta Langa – i szczerze mówiąc, gdybym miał zabrać na bezludną wyspę tylko jedno, ostatnie wino, byłby to szampan właśnie.

Chociaż... Skoro mowa o wyspach, to mam wielką słabość do Santorini. Nie jest ona żadną miarą bezludna i sama przeżywa dramat – w tym roku po raz trzeci z rzędu wiosną i latem nie spadła ani jedna kropla deszczu, winiarze zebrali jedną dziesiątą tego, co zwykle. Realny zaczyna być scenariusz, wedle którego jedno z najsłynniejszych win świata w ogóle przestanie istnieć. Ceny więc szybko rosną (nie ma już nic poniżej 25 euro), ale jakość też. Roczniki 2020, 2021 i zwłaszcza 2022 udały się wybitnie, a nawet 2024 – który też był ekstremalnie suchy – wygląda całkiem nieźle. A do tego Cyklady to jedno z najpiękniejszych miejsc na naszej szczęśliwej planecie, więc cieszmy się unikatowym cytrynowo-brzoskwiniowo-oleistym smakiem win z Santorini, póki możemy – nie ma drugiego takiego wina na Ziemi.

Chociaż... Co do krajobrazu, dolina Douro w Portugalii zgłasza swoją mocną kandydaturę do miana najpiękniejszego. Kamienne tarasy rozpięte nad meandrującą rzeką, bielone domki i winiarnie z kultowymi napisami jak w Hollywood, gaje oliwne i winnice pnące się na stokach po horyzont... Od 400 lat powstaje tu kolejny winiarski unikat: słodkie porto, które może leżakować w beczkach i butelkach niemal w nieskończoność. Tu winiarze zareagowali na kryzys, uciekając do przodu – wypuszczają dziś na rynek niesamowite porto w wieku 50, 80, 100 lat, a często nawet z XIX w. We wrześniu spróbowałem w ciągu tygodnia win liczących łącznie... 11 tys. lat. Wśród nich niesamowite perły, jak Wine & Soul 5G czy Van Zellers 1888. Ale nawet sącząc proste 10-letnie Tawny na tarasie jednej z quint (gospodarstw winiarskich) z widokiem na rzekę, pomyślałem, że porto to jednak najlepsze wino na świecie...

Wojciech Bońkowski
– od 2023 r. pierwszy polski Master of Wine. Chief Wine Officer w Studi Media, wydawcy pisma o winie „Ferment".

To był też bardzo dobry rok dla polskiego wina. Wieść o nim zaczyna docierać w najdalsze zakątki globu. Po świetnym występie na styczniowej Cool Climate Conference, a potem zrecenzowaniu wiosną kilkudziesięciu polskich butelek przez najbardziej wpływową dziennikarkę winiarską Jancis Robinson, dokonał się kolejny przełom. Wina naszego nadwiślańskiego gwiazdora Kamila Barczentewicza trafiły do prestiżowego sklepu internetowego w Wielkiej Brytanii – The Wine Society, a kolejni krytycy rozpływają się na temat jego rieslinga, chardonnay i pinot noir, które wprost nazywane są sensacją roku. Na naszym krajowym podwórku to żadna tajemnica – Barczentewicz wdarł się do ekstraklasy już swoim pierwszym rocznikiem – ale czytanie o tym w angielskich gazetach budzi silne wzruszenie. Jeśli nie dziś, to na pewno za rok lub dwa nasze rodzime wino trafi na analogiczne listy najlepszych butelek roku w innych krajach. Udanego 2026! ■

Kamil Barczentewicz Pinot Noir Dobre Major 2022, 155 zł (m.in. mielzynski.pl)
Kopke Porto Tawny 20 Years Old, 359 zł (festus.pl)
G.D. Vajra Barolo Bricco delle Viole 2021, 419 zł (vinieaffini.pl)
Pertois-Lebrun Champagne Derrière Le Mont Aigu no. 13, 442 zł (spot.pl)
Volcanic Slopes Vineyards Santorini Pure 2020, ok. 60 euro (internety zagraniczne)

© SHUTTERSTOCK, ARCHIWUM PRYWATNE, GETTY IMAGES, RAFAŁ MASŁOW

eprasa.pl 2d9fcd4723

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty

Elon Musk i OnlyFans

Dlaczego Elon Musk chce zaszkodzić Unii Europejskiej i czy OnlyFans to ostatnia platforma społecznościowa w internecie – to tylko dwa z wielu tematów, które poruszamy w rozmowie z Sylwią Czubkowską, ekspertką od nowych technologii, Doliny Krzemowej i lobbingu. Pytamy też o rozwój AI. Czy Bielik, polski model językowy, to powód do narodowej dumy? Cały odcinek do wysłuchania na kanale Polskiego demo, wspólnego podkastu POLITYKI i Fundacji im. Batorego.

Niemcy mocno wyprzedziły inne kraje Europy w wydatkach obronnych i inwestują w uzbrojenie przydatne całemu NATO. Za trzy lata mają w rok wydawać tyle, ile cała Unia przewidziała na 40-letni program SAFE. Siła gospodarcza Niemiec ma się przełożyć na militarną, która może być użyta także w obronie Polski. **Dlaczego zatem Niemcy to „niewygodny lider"? I dlaczego prymusem nie jest już Polska, choć przeznacza na obronność tyle PKB? Wyjaśnia na polityka.pl Marek Świerczyński, ekspert ds. bezpieczeństwa.**

Dyktatorzy od kuchni

Jaruzelski chętnie pił kompot, Gomułka lubił mielone z ziemniakami. „Światowi" dyktatorzy miewali większe kulinarne kaprysy, choć wielu z nich przy stole „tęskniło za kuchnią mamusi", np. za zsiadłym mlekiem. A dlaczego Kim Dzong Un ma nadwagę? O tym wszystkim opowiada **w podkaście historycznym POLITYKI Witold Szabłowski, reporter, autor książki „Kucharze dyktatorów". Gotowanie dla autokratów to był i nadal jest zawód wysokiego ryzyka. Posłuchajcie dlaczego.**

Utwory i wytwory

Piosenek wytwórni Kutas Records słucha na Spotify ok. 750 tys. osób miesięcznie, na YouTube były odtwarzane prawie 6 mln razy. Rzecz w tym, że to wytwór sztucznej inteligencji. To AI odpowiada za teksty, bity, riffy, wokale i okładki singli, człowiek tylko podpowiada, czego „dzieło" ma dotyczyć i jak brzmieć. **Wirtualne listy przebojów podbijają więc „Gejowski wampir", „Obrzezany Ronin" czy „Don Pedalini". Mateusz Witczak słucha, cytuje i analizuje ten fenomen na polityka.pl.**

Jak wytresować umysł

Emocje można, a nawet warto kontrolować i regulować – przekonuje dr Alicja Puścian, neurobiolożka i psycholożka, która od kilku miesięcy zarządza Laboratorium Neuroekonomii w Centrum Nowych Technologii Uniwersytetu Warszawskiego. Ekspertkę gościmy w podkaście psychologicznym POLITYKI. Wyjaśniamy, jak działa mózg, dlaczego agresja bywa (niestety) przyjemna i jak spisywanie tego, co czujemy, wspiera nasz rozwój. W sam raz na nowy rok.

© LESZEK ZYCH, MICHAŁ KOŚĆ /FORUM, SERGEI ZHUKOV/AP/EAST NEWS, GEMINI AI, SHUTTERSTOCK

GALERIA POLITYKI

JAN KOZA

eprasa.pl 2d9fcd4723

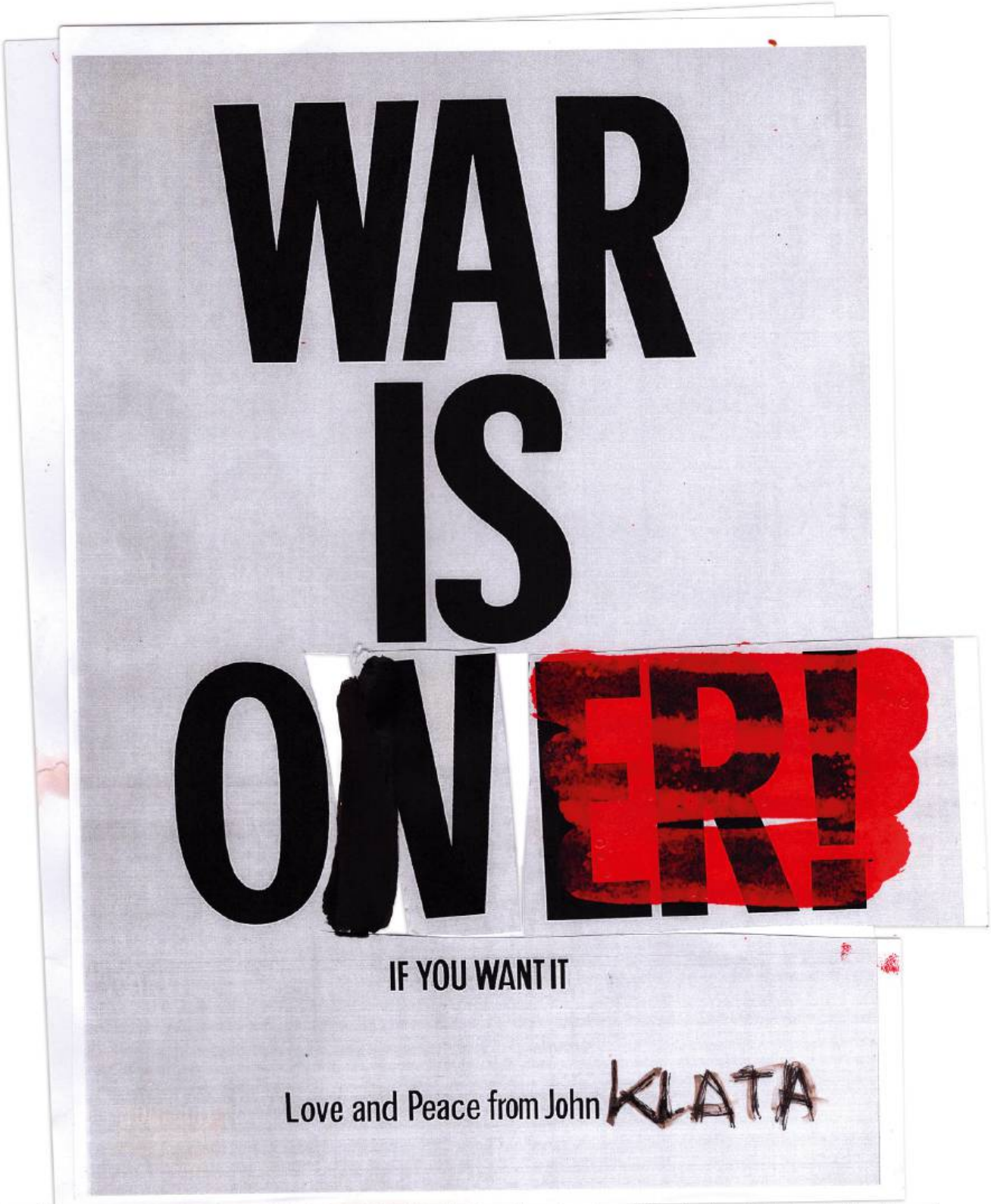

TERMOPILE POLSKIE

Tadeusz Miciński **22.11.2025**

---

projekt plakatu: Bartłomiej Kiełbowicz
opracowanie: Elipsy

Wykorzystano przetworzoną wersję plakatu Yoko Ono i Johna Lennona
War is Over, CC BY-NC 2.0

TEATR NARODOWY

Teatr Narodowy jest narodową instytucją artystyczną finansowaną przez
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

eprasa.pl 2d9fcd4723

Albatros travel

NOWOŚCI NA NOWY ROK!

NOWOŚĆ

Skarby Irlandii Północnej

Dołącz do wyjątkowej podróży po Irlandii Północnej – krainie, w której dzika siła natury spotyka się z pulsującą energią miast.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Polski do Irlandii. Przejazd do Donegal i wizyta w Ulster American Folk Park. **Dz. 2** Malownicze wybrzeże Slieve League i Ardara. **Dz. 3** Park Narodowy Glenveagh. **Dz. 4** Derry – mury miejskie, historia i siła nadziei. **Dz. 5** Pasmo górskie Sperrin, rejs po Lough Neagh i przejazd do Belfastu. **Dz. 6** Belfast. Spacer po mieście i wizyta w destylarni McConnell's. **Dz. 7** Dublin – serce Irlandii. **Dz. 8** Powrót z Dublina do Warszawy.

8 dni | Wylot z Warszawy 30/04 2026 | od 7.798,-

NOWOŚĆ

Wiosenna Majorka

Powitaj wiosnę na Majorce – wyspie pełnej słońca, atrakcji i relaksu. W cenie: komfortowy hotel, dwa posiłki dziennie oraz fantastyczne wycieczki, które pozwolą odkryć wszystkie uroki tej magicznej wyspy.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. Przylot na Majorkę i przejazd do Paguery. **Dz. 2** Spacer po Paguerze. Odkrywanie uroków miasteczka i okolic. **Dz. 3** Czas wolny – relaks lub odkrywanie Majorki. **Dz. 4** Półdniowa wycieczka do Palma de Mallorca z postojem przy zamku Bellver. **Dz. 5–7** Czas wolny na relaks i samodzielne odkrywanie wyspy. **Dz. 8** Wycieczka fakultatywna do Valldemossy i ogrodów Jardines de Alfabia. **Dz. 9** Dzień na odpoczynek lub odkrywanie wyspy na własną rękę. **Dz. 10** Wizyta w miasteczku Sant Elm i na targu w Andratx. **Dz. 11** Czas wolny na relaks. **Dz. 12** Sóller i Puerto de Sóller – wycieczka fakultatywna zabytkowym pociągiem i tramwajem. **Dz. 13** Podróż powrotna do Warszawy.

13 dni | Wylot z Warszawy 22/03 2026 | od 5.998,-

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL49**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 2d9fcd4723